



Gabriela Gargaś

Trudna miłość

DA IDOS
romans

Gargaś Gabriela

Trudna miłość

Bohaterką powieści jest trzydziestodwuletnia Natalia, żona Wiktorii, mama nastoletniej Julki. Natalia nie czuje się spełniona w życiu - zajmuje się domem i myśli o sobie z pogardą "kura domowa". Nie jest też szczęśliwa w małżeństwie, ma wrażenie, że popadli z mężem w rutynę. Marzy o ideale mężczyzny i pewnego dnia wydaje się, że go spotyka. Nieznajomy zdaje się być właśnie ucieleśnieniem jej marzeń. Jednak okazuje się, że nic nie jest takie, jak myślała. Wtedy Natalia zmienia nastawienie do życia i odzyskuje pewność siebie. Znajduje pracę i wszystko zaczyna się układać po jej myśli. Niestety, spotyka ją rodzinna tragedia. Czy będzie umiała poradzić sobie z bólem i stawić czoło faktom, które niespodziewanie wyszły na jaw? Czy będzie potrafiła przebaczyć?



*Między mężczyzną a kobietą przyjaźń nie jest możliwa. Namiętność,
wrogość, uwielbienie, miłość - tak,
lecz nie przyjaźń.*
Oscar Wilde

Część 1

Przebudzenie

Rozdział 1

Kura domowa

Z notatek N.

Rozpadam się na maciupkie kawałki. Cząsteczka po cząsteczce rozsypuje się. Smutek liże mnie po zakrwawionym sercu. Za mało, za dużo. Zbyt ciężko.

Drobne ziarenka maczkiem smutek utkały. Otoczyły mnie cienkimi niciami żalu niczym pajęczyna zastawiona na owady. Nie tak, za bardzo tak.

Na zewnątrz pięknie, słonecznie, a w sercu hula zawierucha. Zbyt tak. Puste słowa niczym echo odbijające się o dno duszy. Zamknięta w klatce pretensji, złości, nudy. Samounicestwienie. Nie chcę tak.

Wiem, że kiedyś cię znajdę albo ty mnie znajdziesz. Pojawisz się w moim życiu bezszelestnie i jednym ruchem strzepniesz ze mnie ten ból. Wyciągniesz do mnie pomocną dłoń, a potem, ot tak, mocno przytulisz. Moje szczęście! - krzyknę szczęśliwie szczęśliwa.

Jestem trzydziestodziewięcioletnią kobietą. Zwyczajną kurą domową. Moje imię zaczyna się na literę N. Jak nieszczęśliwa, niezadowolona, niedopasowana, niespełniona - Natalia. Mam

córkę i męża. Jestem też właścicielką rudego kota - małego psotnego sierściucha, za którym nie przepadam, z wzajemnością. Żyję z dnia na dzień. Bez żadnego wyznaczonego celu. Poświęcam czas rodzinie. Tak mnie wychowano. Nie mam pracy, od kilku lat jestem bezrobotna. Ale zaraz, zaraz, przecież codziennie pracuję na kilku etatach. Sprzątam, piorę, gotuję, prasuję, opłacam rachunki, ścieram kurze. I to z własnej, nieprzymuszonej woli. Może jestem stuknięta? Coraz częściej się nad tym zastanawiam. Nad moją poczytalnością. Na początku mężulo zachęcał mnie, żebym poszukała sobie jakiegoś zajęcia, ale później chyba przywykł do tego, że ciągle siedzę w domu. Wszyscy przyzwyczailiśmy się do takiego stanu rzeczy.

Raz w miesiącu uprawiam seks, z mężem oczywiście. W ostatnią niedzielę miesiąca. Zazwyczaj rano, żeby córka nie słyszała. Nic nadzwyczajnego. Kilka ochów i achów i po sprawie. Dwanaście stosunków w ciągu roku. Jak wypadamy? Raz w roku jeździmy na wakacje na Mazury. To tyle na temat ekscesów w moim życiu.

Jestem taką kobitką, która stoi na rozdrożu i czeka na jakiś znak. Niczego w życiu nie osiągnęłam, bo nawet nie próbowałam. Jestem najzwyczajniej zwyczajna. Szarobura, z kilkoma zmarszczkami i w rozciągniętym dresie. Kiedy zastanawiam się dłużej nad sobą, dochodzę do wniosku, że są we mnie dwie kobiety: jedna, która pragnie urozmaicenia, namiętności, przygód, ekstrawagancji, i ta druga, która godzi się być niewolnicą szarej codzienności, przykładną żoną i matką. Kiedy czasami zamykam oczy, marzę, by choć przez chwilę być do szpiku kości zepsuta, grzeszna i frywolna. Ale to tylko przelotne chwile i marzenia, do których nikomu bym się nie przyznała. Nawet Gosi. Jej w szczególności.

Jedyną moją pasją jest notowanie swoich myśli w zeszycie. Takie bazgrołki, które nawet nie udają niczego więcej.

Zanim zostałam zatrudniona przez męża jako kura domowa, pracowałam na poczcie. Byłam panią z okienka, która stem-

pluje listy. Niezbyt pasjonujące zajęcie. Nie lubiłam go, nużyło mnie, wysysało wszystkie siły witalne.

Urodziłam się w małej wiosce na Podhalu, jako nieślubne dziecko. To nie tak, że moi rodzice się nie kochali. Kochali się bardzo, ale na przeszkodzie ich szczęściu stanęli rodzice ojca, którzy nie pozwolili mu poślubić mojej matki. Nigdy go nie poznałam, zginął w wypadku samochodowym, zanim się urodziłam.

Mama ledwo wiązała koniec z końcem. Pracowała jako woźna w szkole, a w soboty jako sprzątaczką w sklepie. Tylko niedziele były nasze. Leniuchowałyśmy do południa, a potem, gdy była zima, lepiłyśmy bałwana, zaś latem plotłyśmy wianki z koniczyny. Mama mnie kochała, ale nigdy nie okazywała uczuć. W domu nie rozmawiało się o emocjach. Mama nie lubiła, kiedy płakałam. „Mamy dosyć zmartwień, a ty się jeszcze mazgaisz” - ucinała. Dlatego dusiłam w sobie łzy.

Kiedy miałam siedem lat, mama zaczęła spotykać się z Tadkiem, którego wkrótce poślubiła. Ojczym zabrał mi mamę. Tak to odbierałam w dzieciństwie. Nie był złym człowiekiem, prowadził niewielkie gospodarstwo i choć nie umiał mi okazywać uczuć, wiem, że na swój sposób mnie kochał. Od czasu do czasu kupował mi krówki ciągutki albo oranżadę.

Potem mama zaszła w ciążę i urodziła się Karolinka. Uwielbiałam się nią zajmować, wozić w wózku i karmić kaszką. Teraz nasze kontakty się rozluźniły, bo siostra wyemigrowała do Australii.

Wieś, moja wieś mnie zachwycała. Lubiłam staw rybny pana Zenka, pastwiska, na których hasałam po lekcjach, i łąki, gdzie zbierałam pieczarki i łapałam motyle. Ludzie pozdrawiali mnie słowami: „Szczęść Boże”, a ja z umorusaną buzią odpowiadałam: „A, daj, Panie Boże”. To był cały mój świat.

Każdy ma swój świat - taki mały, tutaj, na ziemi - a w nim miłości, zadry, potłuczone szkiełka, chwile dobre i te gorsze, małe zwątpienia i większe radości, rozkosze, namiętności, złości i smutki. Miliony małych światków tworzą jeden wielki świat.

W podstawówce byłam jedyną dziewczynką, która nie miała taty. Co prawda, była też Marysia, ale jej rodzice byli „tylko” rozwiedzeni i tata odwiedzał ją od czasu do czasu. Ja jedyna byłam wychowywana przez mamę. Oczywiście brakowało mi ojca. Marzyłam o nim, wyobrażałam sobie, jak idziemy razem do kościoła, a po mszy na odpust, jak kupuje mi lizaka i kolorowy balonik. Mama dała mi jego zdjęcie. Do tej pory trzymam je w portfelu. Pognieciona, wycalowana fotografia młodego chłopaka na motorze. Często wmawiałam sobie, że czuję jego obecność, że to on pomaga mi w trudnych chwilach. Do tej pory w to wierzę.

Nastały czasy licealne i wtedy zrozumiałam, jak bardzo różnię się od dzieci z miasta. Moje pochodzenie zaczęło mnie uwierać. Przeszkadzało mi, że dojeżdżam do szkoły pekaesem, że nie chodzę w dżinsach i że zamiast plecaka mam tornister. Nie byłam wcześniej w kinie ani w teatrze. Po prostu nie było nas stać na takie ekscesy. Do tego mama nie mogła pogodzić się z tym, że z dziewczynki staję się kobietą. Nie pozwalała mi się malować ani farbować sobie włosów. Wiem, że chciała dla mnie dobrze, ale te zakazy odnosiły odwrotny skutek. Czułam się jak szara myszka.

W drugiej klasie doszła do nas Ruda, która zmieniła mój świat. Stałyśmy się najlepszymi psiapsiółkami. W jednej chwili wszystko nabrało kolorów. To z nią łamałam zakazy i nakazy. Wtedy byłam inna. Szczuplejsza, radośniejsza, zwariowana, szczęśliwa. Wygłaszałam pseudofilozoficzne teksty, piłam wino, głośno się śmiałam - po prostu dusza towarzystwa. Z Rudą miałyśmy swój świat, swoją poezję, swojego Iwaszkiewicza (jego *Dzienniki*) i swoje wielkie platoniczne miłości, o których potrafiłyśmy rozmawiać godzinami. A chłopcy, w których skrycie się kochałyśmy, nie mieli o naszych uczuciach bladego pojęcia...

Po liceum dostałam się na studia, jednak przerwałam je już na drugim roku. Postanowiłam wziąć życie w swoje ręce i uznałam, że studia nie są mi do niczego potrzebne. Z mężczyznami zawsze miałam dobry kontakt, szczególnie w tamtym czasie.

Dzięki nim miałam ogromne pokłady energii, byli dla mnie jak słońce. Przyjemnie było wygrzewać się w ich ciepłe. Chciałam kochać i być kochaną. Wchodziłam w różne związki i wychodziłam z nich pokieroszowana. Kochałam zachłanną miłością. Chciałam, aby każdy z moich mężczyzn kochał mnie, tak samo jak ja jego. Wymagałam całkowitego oddania. Chciałam wyrównać deficyt miłości z dzieciństwa. Czasami czułam, po prostu wiedziałam, że jakiś chłopak nie jest dla mnie, a mimo to wiązałam się z nim. Wierzyłam głupio, że moja miłość go zmieni. Szukałam w partnerze ojca, opiekuna, wsparcia. Żeby powiedział mi, co mam robić, a czego nie. Żeby tulił mnie do utraty tchu.

Pamiętam, że kiedy miałam dziewięć lat, spadłam z drzewa. Bardzo się potłukłam i złamałam nogę. Leżałam potem w szpitalu. Mama odwiedzała mnie, kiedy tylko mogła. Utkwił mi w pamięci dzień, kiedy przyniosła placek z jabłkami i kompot w słoiku. Mimo braku czasu upiekła ciasto specjalnie dla mnie. Tak okazywała miłość. Poklepała mnie po ręce i powiedziała: „Będzie dobrze”. Bardzo chciałam się do niej przytulić, żeby mnie objęła i trzymała w ramionach. Ale nie powiedziałam tego. Gdybym poprosiła, oczywiście by tak zrobiła. A ja chciałam, żeby ona tak sama z siebie...

Pierwsza miłość

Zaparzyłam kawę, przymknęłam powieki i zaczęłam wspominać moją pierwszą miłość.

Pierwszy raz zakochałam się w wieku szesnastu lat. Ubóstwiałam go do szaleństwa. Byłam młodziutką i głupią. Może nie głupią, a raczej naiwnie przekonana o potędze miłości - że jak już się kogoś pokocha, to do końca życia. Teraz już wiem, że rzadko zdarza się taka miłość. Jedna na sto par, a może jeszcze mniej, potrafi kochać do grobowej deski. Z wiekiem chyba tracimy nadzieję. Albo stajemy się ostrożniejsi, bardziej nieufni, nie rzucajemy się w wir namiętności bez opamiętania. Kalkulujemy: to nam się opłaca, a tamto już mniej.

Ale wracając do Jacka - pociągnęłam łyk kawy, pianka z mleka osiadła na moich pełnych ustach - poznałam go w liceum. Siedziałam w szatni i zastanawiałam się, czy iść na geografę, czy nie. On siedział naprzeciwko mnie i też o czymś myślał. Zapewne o tym samym.

Po chwili zapytał:

-Wagary?

Skinęłam głową. Łaziliśmy po okolicy bez celu. Rozmawialiśmy o szkole i rodzicach, o przyszłości, która miała być bajeczna. Zaczynała się ciepła wiosna, słońce co chwila wychodziło zza chmur. Zdjęliśmy ubrania i w samej bieliźnie pluskaliśmy się w pobliskim jeziorze. I tak to się zaczęło. Od tej chwili byliśmy nierozłączni.

Dzieliśmy się sekretami, mieliśmy swoje ulubione miejsca, ławkę w parku, na której przesiadywaliśmy, dyskutując o życiu.

- Jesteś taka inna. - Zwrócił twarz w moją stronę, a jego ciemne oczy momentalnie nabrały barwy karmelu. - Ufam ci i bardzo cię lubię. Cieszę się, że cię spotkałem.

Moje serce zatrzepotało, wywinęło koziołka i napełniło się po brzegi nadzieją. Będziemy razem, jak chłopak i dziewczyna, para Nie będzie już „mnie” i „jego”, będziemy „my”.

Pewnego dnia zapukał do drzwi, zamyślony, rozmarzony, jakby nieobecny.

- Muszę ci coś wyznać - zaczął.

- Mów! - Nie mogłam się doczekać, co ma mi do powiedzenia.

- Zakochałem się.

Zapłonęłam. Podeszłam bliżej, zmrużyłam powieki, delikatnie rozchyliłam usta i... usłyszałam:

- Ma na imię Kamila.

- Słucham? - Otrzeźwiałam. - Jaka Kamila? - Usiadłam z wrażenia. - A ja? - rzuciłam z pretensją w głosie.

- Słoneczko, my jesteśmy przyjaciółmi.

- No, oczywiście. A co byś chciał? - starałam się wybrnąć z niezręcznej sytuacji i nie dać po sobie poznać, jak bardzo zaboląły mnie jego słowa.

- Uff - odetchnął. - Bałem się, że możesz traktować naszą znajomość inaczej. Ale przecież nigdy nie dałem ci powodów, żebyś myślała o nas jak o parze. Nie mówiłem, że cię kocham.

- Tak, tak. - Chciałam, żeby mój głos brzmiał naturalnie. Odwróciłam się w stronę okna, by nie widział łez w moich oczach. - Nie mówiłeś...

- Ona jest taka słodka - ciągnął, jakby nigdy nic. Jakby nie dostrzegł, że zmieniłam się w jedną wielką pulsującą ranę. Krew sączyła się dookoła, równym, niezmaconym strumieniem wypływając z mojego zranionego serca.

Pierwsza miłość i jej wspomnienie. Jak głęboki ślad w nas pozostawia? Jaki wpływ ma na nasze późniejsze związki?

Często przywołuję jego obraz w myślach. Szczególnie w bezsenne noce. Zamykam oczy i widzę pięknego bruneta o śniadej cerze i wielkich brązowych oczach. Wspomnienie pierwszej miłości na zawsze pozostanie częścią mojego życia, którą będę pamiętała bez względu na to, czy tego chcę, czy nie.

Druga miłość

Po pierwszej miłości jest druga. A potem trzecia i kolejna. Człowiek jest stworzony do kochania. Serce ma to do siebie, że nie lubi przestojów. Lubi bić mocniej, kiedy na horyzoncie pojawia się jakiś ON. Mając ze dwadzieścia lat, zakochałam się w Łukaszu. Był ode mnie starszy o osiem lat. Wydawał mi się taki dojrzały i zapewne był dojrzałszy ode mnie.

W pierwszych miesiącach znajomości wszystko układało się jak w bajce. On był moim Romeem, ja - jego Julią. To była miłość jak w najbardziej romantycznym z romantycznych filmów. Nazywałam go Pieszczoszkiem. Całowaliśmy się w świetle świec, jeździliśmy na pikniki za miasto, tańczyliśmy tango na łąkach. Ale ile można całować się w blasku świec, jeździć na pikniki i tańczyć tango?

Odkryłam, że mam problemy ze swoją seksualnością. Mama zawsze powtarzała mi, że cielesność i seks to nic dobrego, żebym uważała i nie dała się zwieść żadnemu chłopakowi, bo im cho-

dzi wyłącznie o jedno. Że jeśli seks, to tylko po ślubie. Dlatego byłam trochę ułomna pod tym względem. Skrępowana wstydem i lękiem. Z jednej strony, nie chciałam się „puszczać”, z drugiej, nie chciałam być wiecznie mniszką.

Łukasz mnie uświadomił. Sprawił, że poczułam przyjemność z seksu. Bycie z nim było żywe, prawdziwe, pełne wibracji i energii. . .

Z czasem jednak zapragnęłam, żeby kochał mnie tak, jak ja tego chcę. Tak jak to sobie wymarzyłam, nie inaczej. Domagałam się tej mojej miłości, a jego miłość była nieważna. Miał mnie kochać MOJĄ miłością- wysnioną, wymarzoną. Zamiast cieszyć się, że jesteśmy razem, popadałam w dziwne stany melancholii. Kochałam, ale moja miłość była niepełna, zdeformowana, zniekształcona. Nieustannie zadawałam sobie pytania: „Dlaczego przyszła?”, „Dlaczego wybrała właśnie mnie?”. Cierpiałam od tej miłości.

Ernst Jünger powiedział: „Ze wszystkich miar, które pozwalają zmierzyć życie człowieka, ból jest największą próbą w łańcuchu nazywanym przez nas życiem”. Chciałam mieć Łukasza na wyłączność. Może to brak ojca sprawił, że tak silnie pragnęłam mężczyzny tylko dla siebie.

- Kochasz mnie? - pytałam.
 - Kocham.
 - Ale jak mnie kochasz?
 - Po swojemu. Prychałam niezadowolona. -A ja wolę inaczej. -Jak?
 - Po mojemu.
 - Czyli jak?
 - Tak ze wszystkich sił. Żebym była dla ciebie całym światem.
 - Czyli?
 - Chcę kwiatów i kąpieli z pianką, pocałunków w szyję i komplementów. Motyli w brzuchu, zawirowań, ochów i achów.
- Zaśmiał się.

- Z czego się śmiejesz?

- Z tego, jaka jesteś dziecinna. To jest według ciebie miłość? Kwiaty? Komplementy?

Wzruszyłam ramionami.

- Miłość to natchnienie, sprawdzian, zanurzenie się w głębsze sfery duchowości. Miłości nie ocenia się po sile, po krótkich wyładowaniach, ale po długości trwania.

Mieliśmy inne spojrzenie na związek. On potrzebował spotkań z kolegami, samotnych wypraw w góry, chwili oddechu, a ja do życia potrzebowałam tylko JEGO. Im bardziej próbowałam go mieć, tym bardziej się wycofywał. Potrzebował więcej przestrzeni, a ja mogłam z nim płynąć rzeką życia tylko spleciona w ciasnym uścisku na malej łódce.

Po dwóch latach wyjechał do pracy do Anglii. Od tamtej pory go nie widziałam. Nie miałam od niego żadnych wieści. Przepadł jak kamień w wodę.

I wcale po nim aż tak bardzo nie rozpaczałam.

Trzecia miłość

Moją kolejną miłością był Wiktor. Miłością wielką i najważniejszą. Prawdziwą. Burza hormonów, huśtawka emocji, motyle w brzuchu i ta intensywność kochania. To był piękny okres w moim życiu. Niestety, trwał niedługo, dwa, może trzy lata. Wciąż mam przed oczami początki naszej znajomości: pierwsze spotkanie, pierwsze spojrzenie w oczy, pierwszy nieśmiały pocałunek. Doskonale pamiętam wszystko, co było pierwsze w tym związku.

Poznałam go przed sklepem. Rozerwała mi się torba z zakupami i wszystko upadło na chodnik. Pomógł mi je pozbierać i odprowadził mnie do domu.

- Czy nie miałabyś ochoty pójść ze mną na kawę? - zapytał.

- Posłuchaj...

- Wiktor jestem - przerwał mi i wyciągnął do mnie rękę.

- Natalia - przedstawiłam się.

- Ładne imię.

- A więc, Wiktorze, dziękuję za pomoc, ale nie umawiam się z nieznajomymi facetami.

- To tylko kawa.

- Dla mnie „aż” kawa - powiedziałam dobitnie, odwróciłam się na pięcie i weszłam do klatki. Sama nie wiem, dlaczego me chciałam się z nim umówić. Był szarmancki i przystojny. Może niezbyt wysoki, ale robił wrażenie.

Minęło kilka dni i spotkałam go znowu. Wracając z pracy, dochodziłam już do domu, gdy niespodziewanie rozległ się klakson Zaskoczona rozejrzałam się wokoło. Za kierownicą wana siedział młody mężczyzna. Przyjrzałam się uważnie i poczułam gwałtowne bicie serca. Wiktor.

- Cześć. Co tu robisz? - zapytałam.

- Czekam na ciebie.

- Dlaczego?

- Chciałem... - chrząknął -... .chciałem ponowić zaproszenie na kawę. Był zdenerwowany, co sprawiło mnie w zakłopotanie.

- Spodobałaś mi się, i to bardzo.

Coraz szerzej otwierałam oczy ze zdziwienia. Ja? Czyja mogę się komuś tak spodobać, by wystawał pod moim domem i za wszelką cenę chciał się ze mną umówić?

- Dobrze - usłyszałam swoje słowa.

Pamiętam też nasz pierwszy raz. Spotkaliśmy się u niego w akademiku. Nalewaliśmy tanie wino do plastikowych kubeczków. Powietrze było gęste od emocji. Wiktor nie mógł utrzymać przy sobie rąk, aja chichotałam, rozbawiona, za każdym razem, kiedy mnie dotykał. W pewnym momencie pchnął mnie na łóżko, przywarł do mnie całym ciałem i wyszeptał:

'- Kocham cię jak wariat. Nawet nie sądziłem, że można kogoś tak mocno pokochać.

Objął mnie mocno i rozpiął mi biustonosz, uwalniając moje duże, jędrne piersi. Drżałam, kiedy całował moje nagie ciało. Palcami dotykałam jego nagich pleców, schodząc w stronę po-

śladków. Pod zamkniętymi powiekami migotał świat, który miał w tamtej chwili inny smak - smak pożądania.

Dwa miesiące później Wiktor włożył mi na palec pierścionek z szafirem. A ja patrzyłam na moją dłoń i piałam z zachwytu. Potem pojechaliśmy do mojej mamy. Pół wsi się zleciało, żeby obejrzyć przyszłych nowożeńców. Mama pociągała nosem. Ojczym kiwał głową i klepał Wiktora po plecach.

- Tylko nie listopad, przełóżcie ślub na inny miesiąc - prosiła ciocia.
- Czemu? - zapytałam.
- Bo nie ma litery „r”. Małżeństwo nie będzie udane.
- Oj, ciociu, głupie przesady.
- Posłuchaj starszej i mądrzejszej.
- Będzie listopad. Już postanowione.

Nie tylko miesiąc, ale nawet dzień ślubu nie był dla mnie tak ważny jak dla wielu innych kobiet. Nie należę do tych, które chcą za wszelką cenę mieć „papierek” albo usidlić faceta, zakładając mu na palec obrączkę. Zawsze też bałam się, że małżeństwo może wszystko zepsuć. Nagle człowiek ma poczucie, że dostał już to, czego chciał, i osiada na laurach. Tymczasem ja pragnę jedynie miłości. Kochać i być kochaną.

Kiedy poznałam Wiktora, obiecałam sobie, że nie będę tak zaborcza, jak bywałam do tej pory. Nie uwieszę się na nim i pozwolę mu kochać mnie po swojemu. Postaram się też więcej dawać z siebie. Będę o niego dbała, gotowała mu i prasowała koszule. Wtedy będzie dobrze, będziemy tworzyć wspierającą się parę.

Była dżdżysta listopadowa sobota. Kto normalny bierze ślub w listopadzie? Ozdobna koronkowa suknia, którą miałam na sobie, była wymysłem mamy. Kwiaty, muzyka, tort orzechowy z kremem marcepanowym - to wszystko było dla gości, z którymi na co dzień nie utrzymywałam kontaktu. Wesele na sto osiemdziesiąt osób, dla cioci Heli i wujka Stefka, którzy i tak nie byli za-

dowoleni z muzyki, bo za głośna, z jedzenia, jakoś mało swojskiego, z rodziny pana młodego, która nie bawiła się z gośćmi panny młodej. Wszystko było nie tak. Widząc, co się dzieje, byliśmy z Wiktorem przerażeni. I, paradoksalnie, zrodziła się wtedy między nami jeszcze silniejsza, prawdziwa więź.

Z każdym dniem stawaliśmy się coraz lepszymi przyjaciółmi. Było nam ze sobą dobrze. Czegóż więcej mogłam chcieć od życia, skoro miałam kochającego męża, który w dodatku był moim przyjacielem? Nasz związek wydawał mi się niepowtarzalny, wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju. Dbaliśmy o siebie, opiekowaliśmy się sobą, spędzaliśmy ze sobą wolny czas.

Jednak ta przyjacielska bliskość spowodowała, że z czasem staliśmy się dla siebie... aseksualni. Może zbyt dobrze się poznaliśmy? Byliśmy zbyt przewidywalni? Znałam na pamięć każdy fragment jego ciała. On wiedział dokładnie, gdzie mnie dotknąć, żeby było mi dobrze. W tej bliskiej znajomości zabrakło przestrzeni na seks. Erotyzm karmi się nieprzewidywalnym, ryzykownym, nieznanym. Nam tego zabrakło.

Można przyzwyczać się do płatków na śniadanie, do chomika, do skrzypiącej podłogi, do kawy o poranku. Tak też się dzieje z przyzwyczajaniem do drugiego człowieka. Żyje się razem, ale obok. Tylko w imię czego to wszystko? Dogasającej miłości? Obrączki na palcu? Wspólnego kredytu?

Miłość, miłość. Wiara, nadzieja, oddanie, wspólne noce i dni, póki śmierć nas nie rozłączy. Wierzyłam, ufałam, niemal klaskałam z radości. A potem przyszła szara rzeczywistość i wszystko się sypnęło. Przeklęty listopad, bez litery „r”.

Kiedy urodziłam Julkę, nastąpił przełom. Nic już nie było takie samo. Z każdym miesiącem coraz bardziej się od siebie oddalaliśmy. Nastął czas kłótni i wzajemnych oskarżeń. Bo brakowało na rachunki, bo nie przyznali kredytu, bo na obiad znowu placki ziemniaczane, bo nie czas na to, nie czas na tamto, za późno, za wcześnie. Ja byłam zmęczona opieką nad małym dzieckiem, on ciężko pracował na nasze utrzymanie. No i stało się.

W pewnej chwili uświadomiłam sobie, że coś, co miało trwać wiecznie, zniknęło niby poranna rosa w pierwszych promieniach słońca. Budziłam się z pięknego snu. Coraz częściej w głowie kołatały mi się pytania: „Co się dzieje?“, „Dlaczego miłość się skończyła?“, „Czy to w ogóle była miłość?“, „Co z namiętnością i pożądaniem?“. Dwoje ludzi, którzy ślubowali sobie dożgonne uczucie, zgubiło coś po drodze. A może znów za dużo wymagam?

Po urodzeniu dziecka zrezygnowałam z pracy i siedzę w domu, odbębniając życie. Kilka lat temu byłam płomieniem, wirującą po orbitach energią. Teraz jestem bezbarwnym cieniem kobiety i wciąż tylko narzekam.

Sortowałam ciuchy do prania - białe, kolory i ciemne -i w pewnym momencie uświadomiłam sobie, że nie lubię swojego życia. Jestem znudzona, sfrustrowana. Pani domu - to brzmi śmiesznie.

Przerwałam swoje zajęcie i włączyłam komputer. Nigdy tego nie robiłam o dziewiątej trzydzieści rano. Szkoda mi było czasu na głupoty. Dziś jednak w wyszukiwarce wpisałam: „kura domowa“. Pierwsze pojawiło się hasło z Wikipedii. Przeczytałam: „Kura domowa (*Gallus gallus domesticus*) - ptak hodowlany z rodziny kurowatych, hodowany na całym świecie. W środowisku naturalnym nie występuje. Uważa się, że stanowi formę udomowioną kury bankiwa (*Gallus gallus*), lecz nie wyklucza się domieszki innych gatunków południowoazjatyckich kuraków (zarówno żyjących, jak i wymarłych)“.

Podoba mi się *Gallus gallus domesticus*, brzmi dostojnie. Jestem takim ptaszyskiem, które bezmyślnie zadziobuje każdy swój dzień. Uśmiechnęłam się do siebie przez łzy.

- Nie cierpię swojego życia! - krzyknęłam na całe gardło. - Nie spełniam się! - krzyczałam do pustych ścian. Wyrzucałam cały smutek i żal do siebie. To moja wina, że znalazłam się w martwym punkcie.

- Boże, uczyni coś, bo zwariuję albo zrobię coś głupiego! Panie Boże, proszę, daj mi jakiś znak!

Zalałam się łzami, zwinęłam w kłębek na podłodze i tępo wpatrywałam w sufit. Przez tyle lat wykonuję te same czynności. Ciekawa jestem, ile już prań nastawiłam? Ile obiadów ugotowałam? Ile ton ubrań wyprasowałam? Mam tylko (lub aż) trzydzieści dziewięć lat. Życie niczym piasek przesypuje mi się przez palce. Może pora na zmiany? Czy mogę jeszcze coś zrobić z resztą życia?

Byłam w sklepie, przy półce z makaronami. Zawsze dwa razy zastanawiam się, jaki wybrać. Wiktor lubi świderki, a Julka rurki. Wzięłam muszelki, żeby nie było niepotrzebnej kłótni, i zaśmiałam się pod nosem. Boże, jakie ja mam problemy! Do koszyka włożyłam też sos pieczarkowy. „Nie chce mi się dziś stać przy garach” - pomyślałam, podniosłam wzrok i... Patrzył na mnie nieziemsko przystojny facet w nienagannie skrojonym garniturze. Rozejrzałam się dookoła. W pobliżu nie było nikogo. Odruchowo poprawiłam włosy. Dobrze, że je dzisiaj umyłam i zrobiłam lekki makijaż.

Spuściłam głowę, udając, że czegoś szukam. Po dłuższej chwili znowu zerknęłam w jego stronę. Wciąż stał w tym samym miejscu i patrzył na mnie. Nie mógł przecież podziwiać atrakcyjnej kobiety, którą od dawna nie byłam... Może mnie z kimś pomylił?

- Cześć! - powiedział przystojniak. Nie wiem kiedy pojawił się tuż obok.

- Cześć... - odpowiedziałam drżącym głosem. Spojrzałam mu w oczy. Były lazururowe jak morze w samo południe. Ile mógł mieć lat? Na oko między trzydzieści pięć a czterdzieści. W kącikach oczu rysowały się delikatne zmarszczki. Był szczupły, wysoki i chyba umięśniony. Mógł być pracownikiem banku, dziennikarzem, ale równie dobrze kimś niebezpiecznym.

- Zakupy? - zagał bez sensu.

- Tak. Przepraszam, my się chyba nie znamy? - odparłam. Wciąż patrzyłam na niego zdumiona.

- Zawsze możemy się poznać - powiedział.

- Słucham? Jaja sobie robisz? - powiedziałam niegrzecznie. Pomyślałam, że facet kpi sobie ze mnie.

- Nie, po prostu chciałem cię poznać. Chyba nie ma w tym nic złego? Nie odpowiedziałam. Mimo iż ciągle się uśmiechał i był tak bezpośredni, w jego oczach dostrzegłam smutek albo raczej zagubienie.

Pchnęłam wózek w kierunku kasy. Myślałam, że przystojniak zostanie z tyłu, ale ruszył za mną.

- A tak w ogóle to chyba cię już gdzieś widziałem.

- Mógłbyś wymyślić coś bardziej oryginalnego. - Nerwowo przekładałam zakupy w koszyku. „Matko, ten facet jest świrem albo zboczeńcem, albo jednym i drugim: świrusem o zboczonych zapędach. Nie ma innego wytłumaczenia” - pomyślałam w popłochu.

- Nie, naprawdę wydaje mi się, że już się gdzieś spotkaliśmy.

- Musiałeś mnie z kimś pomylić.

- A jeśli to przeznaczenie? - powiedział z powagą, a ja zaczęłam się śmiać.

- Chcesz mnie zaciągnąć do łóżka? - zapytałam ostro, żeby się odczepił, i faktycznie go przytknęło, bo nic nie odpowiedział. Natomiast ja zdziwiłam się, że to powiedziałam. Kretynka ze mnie! Co mi odbiło? Gosia chyba ma rację, że od siedzenia w domu dostaje się kręćka.

- Nie. - W końcu zaczął się śmiać. - Chciałem... po prostu pogadać.

- Nudzi ci się?

- Masz ładny uśmiech i pomyślałem, że...

- Że co?

- Ze może wypilibyśmy razem kawę?

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.
- Nie masz z kim pić kawy i dlatego zaczepiasz kobiety w supermarketach?
- Przez chwilę się zastanawiał.
- W sumie to nie mam. A ty?
- Ja? - Z Wiktoorem od lat nie byliśmy w kawiarni. Jest jednak Gośka i... Nie, tylko Gośka. - Ja też nie zawsze mam z kim wypić kawę, więc piję sama - odparłam, uśmiechając się do niego.
- No, właśnie. A kawa najlepiej smakuje we dwoje. To co?
- Ale tak teraz?
- A czemu nie?
- Nie, dzisiaj nie mogę, ale wiesz co...
- Jutro? - Patrzy! mi prosto w oczy, a ja rozpływałam się pod jego spojrzeniem.
- Słuchaj, naprawdę mam dużo zajęć.
- Spędzimy ze sobą godzinę, góra półtorej, i jeśli się okaże, że nie było warto, to już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.
- A jeśli się nie zgodzę?
- Wtedy oboje będziemy się zastanawiać, co by było, gdyby... A może byłoby to sympatyczne spotkanie? Może wspólnie wypita kawa smakowałaby lepiej?
- Serce zaczęło mi bić jak szalone. Nie wiem dlaczego, ale w jednej chwili zapragnęłam tego spotkania, żeby wreszcie zrobić coś wbrew ustalonym regułom. A on był taki przystojny.
- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego...
- Czasami może nie warto się zastanawiać.
- Mówiąc to, patrzył mi prosto w oczy. Cholernie mnie pociągał, ale z drugiej strony się bałam. Podskórnie czułam, że jeśli się zgodzę, moje życie raz na zawsze wywróci się do góry nogami. Ale czy nie tego właśnie chciałam?
- Sądzę, że oboje tego potrzebujemy - dodał.
- Dobrze, jutro w tym samym miejscu, o tej samej porze. Wypijemy gdzieś kawę i chwilę pogadamy - zgodziłam się.
- Będę na pewno.

Nie mogłam zasnąć. Przewracałam się z boku na bok. Podeks-
cytowanie zmieniło się w wyrzuty sumienia. Odkąd jestem żoną
Wiktora, nigdy nie byłam na kawie z innym mężczyzną. „Nie mogę się
z nim spotkać” - karciałam się w duchu. Ale właściwie dlaczego?
Przecież to nie będzie randka, tylko rozmowa. Nie spotykam się z nim
na odludziu, tylko w centrum handlowym. Pójdę. Zobaczę. Chwilę
pogadamy. Sama nie wiem o czym, ale pogadamy... Od dawna się tak
nie czułam. Całe wieki.

Rano obudziłam się z wielkim bólem głowy, co najmniej jakbym
miała kaca. Wczorajsze łomotanie serca zniknęło, a pojawiła się
dobrze znana codzienna rutyna.

- Mamo, z kosza na śmieci śmierdzi! - krzyknęła moja czter-
nastoletnia córka, Julka.

- Serio? - Zaczęłam się z nią przekomarzać. -Tak.

- To może wynieś śmieci.

- Żartujesz? - spytała z niedowierzaniem.

- Nie, nie żartuję.

- Potem. - Machnęła ręką.

Znam tę śpiewkę. Potem będę musiała to zrobić sama. Ale poddaję
się, nie nalegam. Już taka jestem. Ustępliwa. Za bardzo kocham moich
bliskich. Tą miłością im szkodzę. Nie mają żadnych obowiązków,
wszystko spada na mnie.

- Mamooooooo!!!

- Tak, kochanie?

- Nie ma cheeriosów?

- Nie. Są czekoladowe kulki.

- Nie lubię. - Julka rozłożyła ręce na stole i zabawnie wydeła pełne
usta, odziedziczone po mnie. - Nie będę jadła.

- To pójdziesz do szkoły głodna - odpowiedziałam twardo.

- Trudno. I tak jestem na diecie - ucięła.

- Co się tu dzieje? - Do kuchni wszedł Wiktor.

- Twoja córka mnie wykończy.

- Nasza, kochanie, nasza.

Otworzył lodówkę i wyjął butelkę mleka. Pociągnął z niej duży łyk.

- Nie mam czystych białych koszul - zauważył.

- Widzę, że włożyłeś niebieską.

- Tak... - ugryzł kęs kanapki - ..ale źle się czuję w niebieskiej.

- Super, po prostu super. Mam dosyć waszego narzekania! Któregoś dnia odejdę i będziecie sobie radzić sami. - W tym momencie policzki zaczęły mi się trząść. Poczułam na sobie ich wzrok, a zaraz potem usłyszałam miauknięcie kota i po chwili kuchnia rozbrzmiała ich śmiechem, jakbym opowiedziała jakiś dowcip.

Cisza zapadła w domu kwadrans po ósmej. Zaczęłam powoli szykować się do wyjścia. Wyjęłam z szafy sukienkę, przymierzyłam, po czym ją zdjęłam. Nie było powodu tak się stroić. Włożyłam dżinsy i dopasowaną fioletową koszulę. Podkreśliłam końcówki włosów, pomalowałam rzęsy mascarą, usta pociągnęłam śliwkowym błyszczakiem. Może nie wyglądałam jak modelka, ale nie było najgorzej.

Weszłam do supermarketu na drżących nogach i już z daleka go zobaczyłam. Stał odwrócony plecami. „Mam jeszcze czas, żeby uciec” - pomyślałam i natychmiast skręciłam w stronę drzwi. „Po cholere mi to?!” - burczałam dalej pod nosem. On jednak mnie zauważył, bo po chwili był już przy mnie.

- Chcesz uciec przed przeznaczeniem? - Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Chcę uniknąć zrobienia głupstwa.

- Dużo w życiu zrobiłaś głupstw? Zaczęłam się śmiać.

- No, powiedz mi - nalegał.

- Prawie wcale. Może kiedyś, ale ostatnio - zero głupstw.

- Najwyższy czas to zmienić.

- Ty zapewne jesteś ekspertem w tej dziedzinie. Zaśmiał się.

- Wyobraź sobie, że nic z tych rzeczy. Jestem z tych grzeczniejszych. Masz ochotę na spacer?

- Człowieku, ja ciebie nie znam. Może jesteś jakimś szaleńcem albo mordercą? - Nerwowo bawiłam się paskiem od torebki.

- Gwarantuję ci, że nie.

Pewnie zachowywałam się jak naiwna nastolatka, ale jego głos sprawiał, że mu wierzyłam i naprawdę pragnęłam z nim rozmawiać. Drżałam z niepokoju, a jednocześnie byłam cała w skowronkach.

- Idziemy na spacer? - powoli propozycję. - Nie odpuszczę ci tak łatwo.

Śmiertelnie przerażona, a z drugiej strony podekscytowana, bardzo chciałam, żeby nie odpuszczał. Jakieś dziwne, bliżej nieokreślone uczucie rozpychało się w moim wnętrzu. Dotykało mnie swoimi mackami, powodując, że cała drżałam.

- Dobrze, chodźmy na ten spacer.

Szliśmy w milczeniu przez kilka minut. W końcu wskazał na ławkę. Usiedliśmy.

- Ładna jesteś - powiedział bez ogródek, a ja pomyślałam, że zaraz zemdleję.

Jednak świr? Spojrzałam na niego. Był szalenie przystojny. Wyciągnął długie nogi i oparł na kolanach umięśnione ręce. Jego malinowe wargi rozciągały się w uśmiechu, odsłaniając białe zęby. Zdawałam sobie sprawę z tego, że jestem przeciętna. Od dawna żaden mężczyzna nie zwrócił na mnie uwagi ani nie zaprosił na spacer. O co mu chodzi? O co mnie chodzi?

Zaczęliśmy rozmawiać - najpierw ostrożnie, o pogodzie, potem o upadkach i wzlotach, planach i nadziejach. O tym, o czym rozmawiają poznający się ludzie. Nawet nie zauważyłam, kiedy zleciały trzy godziny.

- Dasz mi swój numer telefonu? - zapytał w końcu.

- Wiesz, raczej dajmy sobie spokój. - Bardzo chciałam go jeszcze zobaczyć, ale wiedziałam, że takie ukradkowe spotka-

nia nie wchodzi w grę. Nie miałam zamiaru oszukiwać Wiktora. Oczywiście, zawsze można pewne rzeczy przemilczeć, ale nie, nie i jeszcze raz nie.

- Czy zrobiłem coś nie tak? - spytał, wyraźnie speszony.

- Po prostu nie powinnam się z tobą spotykać.

- Tylko rozmawialiśmy, to nic złego.

- To nic złego - powtórzyłam jak echo. W sumie miał rację, nic złego nie robiliśmy. - Wiesz co, to ty napisz mi swój numer. - Przez chwilę grzebałam w torebce w poszukiwaniu kartki i długopisu. Zamiast kartki znalazłam stary bilet, który podałam mu wraz z długopisem.

- Obiecuj, że zadzwonisz.

- Obiecuję.

- Albo wiesz co? Napisz esemes - powiedział po chwili zastanowienia.

Uśmiechnęłam się. „Napisz esemes”. A więc ma kogoś. Esemesy są bezpieczniejsze od kobiecego głosu w słuchawce.

- Dobrze.

Rozdział 2

Nieznajomy

Z notatek N.

Zawsze płaczę przy piosenkach Republiki.

Głos Grzegorza Ciechowskiego sprawia, że łzy zaczynają same płynąć.

Wraz z nim nucę: „Anioły uwięzione nie widzą wokół krat. Aniołom skrzydła płoną, a one jeszcze lecieć chcą... ”.

Usiadłam na parapecie i zaczęłam płakać. Niewiele mi trzeba, żeby ronić łzy. Czasami płaczę ze szczęścia, innym razem -bo mi źle.

- Natalia, co się dzieje? - Usłyszałam za sobą głos Wiktora. -Nic.

- Przecież widzę, że coś jest nie tak. - Delikatnie obrócił mnie w swoją stronę. - Ty płaczesz?

- Płaczę.

- Dlaczego?

- Bo nam nie wyszło. Znudziliśmy się sobą. Nie mamy dla siebie czasu.

- Nieprawda.

- Prawda.

- Kochanie... - uniósł mój podbródek - ...tak jest w każdym związku.

-Jak?

- Ludzie czasami się od siebie oddalają. Czasami uczucie, które 10h na początku łączyło, trochę blaknie, ale to nie znaczy' ze przestają się kochać.

- A nie przestają?

- Nie. Wciąż cię kocham.

Nic nie odpowiedziałam. Czy ja wciąż go kochałam? Może faktycznie za bardzo się czepiałam, za dużo wymagałam. Może takie są kobiety - czepialskie. Wiecznie o coś marudzimy, zawsze jest coś nie tak, nawet jeśli jest dobrze. Wiktor nie był złym człowiekiem. Był dobrym ojcem, starał się być dobrym mężem. Tylko że ja się w tym wszystkim pogubiłam. Znudziła mi się rola kury domowej.

Kupiłam kartę, drżącymi rękoma włożyłam ją do telefonu i wystukałam esemes do Niego. Z jednej strony przerażała mnie ta cała sytuacja, z drugiej - chciałam się z nim spotkać.

Po trzech dniach znów się widzieliśmy.

- Nie może nas łączyć nic oprócz rozmów, spacerów, może sporadycznych esemesów - powiedziałam stanowczo.

- To trochę jednak będzie nas łączyć. - Uśmiechnął się. „Boże, jaki on ma piękny uśmiech” - pomyślałam.

- Żadnych emocji, żadnej miłości, żadnych obietnic - kontynuowałam.

-Ale...

- Nie ma żadnego „ale”. I najważniejsze: nie możesz się we mnie zakochać - powiedziałam weselej, ale w sumie to nie był żart.

- Ani ty we mnie. Żadnych miłostek. Roześmialiśmy się oboje.

- Czysto kumplowski układ.

- Super, że się rozumiemy. *Just friends*.

Czułam, że go potrzebuję. Jego - to znaczy odmiany w moim nudnym życiu, męczyzny, kolegi, kumpla do rozmów, szczypty komplementów. Przyjaciela. Czułam, że on w jakimś stopniu też mnie potrzebuje. Choć nie wiedziałam dlaczego.

- Chodźmy na plażę - zaproponował.

- Dobrze. - Uśmiechnęłam się.

- Jak masz na imię?
- Tajemnica. Zaczął się śmiać.
- Lepiej żebyśmy nic o sobie nie wiedzieli - tłumaczyłam. - Ja będę twoją nieznaną, ty - moim tajemniczym nieznanym. To musi nam wystarczyć do szczęścia.

- Może masz rację.

Wolnym krokiem ruszyliśmy w stronę mola.

- Dlaczego wtedy, w sklepie do mnie podszedłeś?

- Bo spodobał mi się twój uśmiech. - Mówiąc, cały czas na mnie patrzył. Odgarnęłam z twarzy kosmyki włosów. - Stałaś przy półce z makaronami i tak szczerze się zaśmiałaś.

- Jak wariatka.

- Nie, jak ktoś bardzo szczęśliwy. Nie chciałem cię podrywać. Chciałem z tobą porozmawiać. Czułem, że nadajemy na tych samych falach.

- Naprawdę? Też się uśmiechasz do makaronu?

- Wyobraź sobie, że mi się zdarza.

Usiedliśmy na piasku, niedaleko mola. Wiał lekki, ciepły wiaterek. Mewy brodziły w piasku tuż przy wodzie, szukając pożywienia. Przez chwilę w milczeniu słuchaliśmy szumu morza. Poczułam z niedowierzaniem, że jestem cudownie odprężona. W okolicy serca rozchodziło się jakieś dziwne ciepło. Zastanowiło mnie to. Nie byliśmy przecież parą i nigdy nie będziemy. Spojrzałam na niego przeciągle, a w tym samym momencie on odwrócił głowę w moją stronę. W jego oczach, poza radością, kryło się coś jeszcze. Może był zraniony, może nieszczęśliwy, a może miał po prostu wszystkiego dość. Przez chwilę, nie wiedząc czemu, kusiło mnie, żeby go pocałować, tak po prostu. To była tylko chwila.

- Dobrze mi się z tobą rozmawia, tylko czuję się jakoś dziwnie. Bo wiesz... hmm... - zaczęłam się jękać.

- Nie widzę nic złego w spotykaniu się.

- Może masz rację - rzekłam z uśmiechem.

- Masz naprawdę zabójczy uśmiech. Zawsze się tyle śmiejesz? - zapytał.

- Bardzo rzadko. Tylko przy tobie i kiedy nie wiem, jaki makaron wybrać na obiad. Ostatnio nie jestem zbyt szczęśliwa. -Przesypywałam piasek z ręki do ręki.

- Dlaczego?

- Och, to długa historia. - Odwróciłam głowę, bo w jednej chwili do oczu napłynęły mi łzy. - A ty? Jesteś szczęśliwy?

- Zagubiony. Mój każdy dzień wygląda tak samo. Czuję, że muszę coś z tym zrobić, bo inaczej zwariuję. Znasz to uczucie?

- Tak. - Spojrzałam na niego. Czulałam się tak, jakby mówił o mnie. Znałam to poczucie powtarzalności, od którego robi się niedobrze.

- Czekasz na jakąś zmianę, na jakiś znak z nieba, może na anioła, który obejmie cię skrzydłami i powie, że będzie dobrze.

- Wszyscy potrzebujemy takich ludzkich aniołów: rozmówców, słuchaczy, przytulaczy, wspieraczy.

- Człowiek potrzebuje do szczęścia drugiego człowieka. -I jego zrozumienia.

- Kiedy cię zobaczyłem, poczułem gdzieś w środku, że muszę z tobą porozmawiać. Nie pytaj dlaczego. Po prostu wiedziałem, że jak tego nie zrobię, to coś stracę.

- Cieszę się, że do mnie podszedłeś.

Milczeliśmy przez chwilę. Zastanawiałam się, co takiego wydarzyło się w jego życiu, że znalazł się w tym samym punkcie co ja. A może wszyscy w pewnym momencie czują podobnie. Ogarnia ich poczucie beznadziei i wszystko, co do tej pory miało sens, nagle go traci.

- Może ja będę dla ciebie takim aniołem, a ty dla mnie. Zaczęliśmy się śmiać.

Plażą szła dziewczyna o długich blond włosach. Schylała się po kamyki i muszelki, uważnie obracając w dłoniach każde zna-

lezisko. Opuszkami palców badała jego strukturę. Owalne kamienie odrzucała. Podobały jej się te kanciaste.

„Zycie też bywa kanciaste” - pomyślałam.

W pewnym momencie do kobiety podbiegł pies. Zamerdał ogonem, a ona go pogłaskała, czy raczej wytarosiła. Wzięła koszyczek z drobiazgami i wyciągnęła przed siebie białą laskę, której wcześniej nie dostrzegłam.

Zamarłam i spojrzałam na Nieznajomego.

- Jest niewidoma - potwierdził. - Znam ją. Mieszka niedaleko mnie.

- Nie wie, co zbiera - zdziwiłam się.

- Nie wie? Ona nie tylko zbiera te muszle, bursztyny, kamienie, ale potem tworzy z nich wisiory, naszyjniki, bransolety. Powstaje feeria barw, przesączona subtelnością naturalnej energii.

Znów spojrzałam na niego pytającym wzrokiem.

- Ludzie tak rzadko używają wszystkich zmysłów, jakie ofiarował im Bóg. A życia trzeba też dotknąć, pomacać, poczuć, posmakować, powdychać jego zapach. Czasami dobrze jest zamknąć oczy i spojrzeć na świat otwartym sercem. Zachłysnąć się życiem. Jak niewidomy.

Popatrzyłam na piękną kobietę w zwiewnej sukience. Wiatr rozwiewał jej złote włosy. Uśmiechała się do siebie, do psa, a może do całego świata. Czuło się w niej jakąś niesamowitą moc.

- Prawdziwe życie to pasja - kontynuował mój towarzysz. - Trzeba dotykać każdego dnia, a nie tylko patrzeć na niego z boku.

- Jest niezwykła. - Odprowadzałam dziewczynę wzrokiem. - Czy jest niewidoma od urodzenia?

- Nie. - Pokręcił głową. - Kiedy miała siedem lat, musiała brać bardzo silne antybiotyki. Okazało się, że jest na nie uczulona. Leki wywołały u niej bardzo rzadką chorobę, zespół Stevensa-Johnsona, w wyniku której całkowicie straciła wzrok w lewym oku. Na prawe widziała jednak dobrze, więc funkcjonowała w miarę normalnie. Dorosła, wyszła za mąż, urodziła córeczkę. Kilka miesięcy po porodzie lekarze obudzili w niej

nadzieję. Zaproponowali przeszczep rogówki. Niestety, operacja się nie udała, a w wyniku infekcji kobieta straciła też wzrok w drugim oku. Przez pewien czas dostrzegała jeszcze rozmazane kontury, ale potem stała się zupełnie ślepa. Najbardziej cierpiała z tego powodu, że nie mogła widzieć, jak rozwija i zmienia się jej ukochana córeczka. Zajmowała się nią, jak umiała najlepiej, ale w jej stanie to ona sama potrzebowała nieustannej pomocy. Mąż tego nie wytrzymał. Jej ślepotą go przerażała. Odebrał jej dziecko. Sąd przyznał tej kobiecie prawo do spotykania się z córką raz na dwa tygodnie.

- Straszne! Tyle nieszczęść na nią spadło.

- To prawda. Ale to jedna z najsilniejszych osób, jakie znam. Nie poddała się, walczy o każdy dzień. Kocha i jest kochana, robi to, co lubi. Jej córka ma już jedenaście lat. Spotykają się, rozmawiają, śmieją się. Budują swój świat na nowo.

Zamilkliśmy na dłuższą chwilę.

- Zamknij oczy i dotknij piasku - powiedział. - A potem weź do ręki kamyk, rozgrzej go w dłoniach i obrysuj opuszkami palców jego kontury. Poczuj to, co ofiarowuje ci Ziemia.

Zrobiłam tak, jak polecił. Zamknęłam oczy i dotknęłam piasku. Drobne ziarenka łaskotały wewnętrzną stronę dłoni. Zacisnęłam rękę w pięść, piasek zaczął się przeciskać między palcami. Potem potarłam w dłoniach kamień. Był owalny z drobnymi wypustkami.

Nieznajomy położył rękę na mojej ręce. Zniknęła w jego dłoni. Przeszył mnie dreszcz.

- Zjesz coś? - zapytał, przywołując mnie do rzeczywistości.

- Muszę już wracać - odparłam.

- Na pewno?

- Tak, planowałam umyć okna - stwierdziłam gorzko. Nie chciało mi się, ale były już bardzo brudne.

- Daj spokój. - Uśmiechnął się.

Zostałam. Woda w morzu pienila się i buzowała. Fale rozbijały się o drewniane molo. Nieznajomy otworzył papierową

torebkę i wyciągnął z niej rumianą drożdżówkę oraz kefir. Odkręciłam butelkę i pociągnęłam łyk. - Dobrze.

Niewiele potrzeba do szczęścia. Słodka bułka, plaża, świeże powietrze, szum wiatru, morze...

„Nieważne, kim jest i co robi - pomyślałam. - Ważne, że miło spędziłam z nim czas. Tych kilka godzin wyjętych z szarej rzeczywistości miało wyraziste barwy. Przy nim czuję się dobrze. Cudownie jest pobyc w stanie takiej nieważkości. Chyba nie ma w tym nic złego? Jak to dobrze spotkać na swojej drodze kogoś, kto myśli i czuje podobnie jak ja. Muszę też przyznać sama przed sobą, że Nieznajomy jest niezmiernie przystojny. Jego ciemne włosy są przyprószone na skroniach siwizną, ale i tak wygląda młodo. Ciekawe, dlaczego jest taki zagubiony? Następnym razem muszę go o to zapytać. Bo przecież będzie następny raz, musi być. Czy szuka łatwej rozrywki? Nie, nie on. Nie wygląda na takiego, a ja mam dobrą intuicję do ludzi. Dobrze mu z oczu patrzy. Jest w nich więcej przyjacielskich iskier niż zmysłowych”.

Moje uczucie do męża osłabło, odczuwałam coraz większe znużenie w małżeństwie. Ktoś z boku powiedziałby, że jesteśmy zgraną parą, ale to nieprawda, coś się psuło. Potrzebowałam wrażeń, ekscytacji, motyli w brzuchu, a także prawdziwego zrozumienia. Pragnęłam, aby mnie zauważał. Przez ostatnie lata bardzo się od siebie oddaliliśmy. Może w pewnym momencie przestaliśmy o sobie zabiegać? Wszyscy miewają kryzysy, tyle że jedni je rozwiązują, a inni przymykają na nie oko. Nam brakowało cierpliwości do tego, by tłumaczyć, co jest dla nas ważne, i wyciągać dłoń na zgodę. Kiedyś godziliśmy się w łóżku, teraz zasypialiśmy odwrócenieni do siebie plecami. A ja chciałabym od czasu do czasu dzikiego seksu na plaży czy w sklepowej przymierzalni. Czy byłam jakaś dziwna? Czy to kryzys wieku średniego? Czy kobiety też go przechodzą?

Pozmywałam talerze, wytarłam kubki. Przetarłam podłogi i usiadłam przy stole. Pochylona nad filiżanką parującej kawy, rozmyślałam o Nieznajomym. Z letargu wyrwało mnie trzaśnięcie drzwi.

- Wiktor? - zawołałam.

- Tak, to ja.

- Co tak wcześniej?

- Julka jest u babci, więc postanowiłem wcześniej skończyć pracę.

-Aha.

- Jakoś nie widzę entuzjazmu.

Rzeczywiście, od kiedy pojawił się Nieznajomy, mój mąż jeszcze bardziej mi spowszedniał. Mimo to ucieszyłam się, że chce spędzić ze mną popołudnie. Uśmiechnęłam się niewyraźnie.

- No, to może zrobimy coś szalonego? - zapytałam z ostrożną nadzieją. Od pewnego czasu zaczęły się we mnie budzić różne pragnienia. Potrzebowałam jaskrawych kolorów, ekspresji, spontaniczności, czegoś nieprzewidywalnego. Chciałam robić nowe rzeczy, na które wcześniej sobie nie pozwalałam: tańczyć boso na łące, krzyczeć na całe gardło, zdobywać szczyty, wznosić się ku niebu. Pierwszy raz w życiu odczuwałam tak silne pragnienie zmian.

Popatrzył na mnie zdziwiony.

- Szalonego? Co masz na myśli? - Zmrużył oczy. Jego twarz była pokryta siecią drobnych zmarszczek.

- Wsiądźmy w samochód i pojedźmy nad jezioro. Taki ładny dzień, zrzucimy ubrania i popływamy nago. A potem będziemy się kochać do utraty tchu.

- Wszystko z tobą w porządku? - Postukał się palcem w czoło.

- Jak najbardziej - odparłam. Upiłam łyk kawy. - Po prostu chcę żyć. Budzić się i robić to, co lubię. Zanurzać się w życiu po czubek nosa i nie móc oddychać ze szczęścia.

- Wiesz co? Z nudów ci się filozofowania zachciewa. Przecież żyjesz.

- Posmarował kromkę chleba grubą warstwą masła. W jednej chwili poczułam, że narasta we mnie gniew.

- Nie! - Walnęłam ze złością w stół. - Ja wegetuję. Zamarł, a potem warknął:

- Idę do siebie! Wszystko popsukaś. Myślałem, że obejrzymy jakiś film.

- Tak, wiecznie to samo. Filmy na zabicie nudy. Wtedy nie trzeba rozmawiać.

Opadłam ciężko na fotel. Dopiero teraz dotarło do mnie, że my już nie potrafimy ze sobą rozmawiać. Mówimy do siebie, ale nie rozmawiamy ze sobą. Nie opowiadam mu o tym, co mnie cieszy, a on nie wspomina o tym, co go boli. Chowamy na dnie duszy wszystkie sprawy, zamiast o nich głośno powiedzieć. Szczera rozmowa boli, a niektóre słowa kłują w uszy.

Nie odezwał się więcej, wyszedł z kuchni. Na schodach słyszałam tylko szuranie jego kapci. Po policzkach pociekły mi łzy. Wiele razy chciałam ratować ten związek, ale każda próba kończyła się fiaskiem. A może niewłaściwie się do tego zabierałam?

Rozdział 3

Nie bój się jutra

Z notatek N.

Przytuptało do mnie życie.

Odgoniło nudę i rutynę. Zapytało o zdrowie, otarło z policzka słońca łzę.

Szemrało, szeleściło, aż w końcu się rozkrzyczało. Zawrzało.

Pokochało, utuliło, zatańczyło dla mnie kankana. - Nie bój się jutra! - powiedziało. Uwierzyłam.

Wstałam z łóżka z uśmiechem na twarzy, zimna kąpiel zmyła resztki snu. Kromka ciepłego chleba z marmoladą ze śliwek rozpływała się w ustach. Poranna kawa lepiej smakowała, gazeta przyjemnie szeleściła w dłoniach, aromat ziół, które posadziłam w doniczkach, słodko drażnił nozdrza.

„Dzisiaj znów go spotkam! Dlaczego jestem tym tak podekscytowana? Przecież praktycznie go nie znam. Nie znam, ale chciałabym poznać. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że odbieramy na tych samych falach. Poza tym jest taki tajemniczy i cholernie przystojny.

Jestem szalona! Za dużo sobie wyobrażam. Wciąż nie mogę odgadnąć, o co mu chodzi. O co mnie chodzi. Nasze ostatnie spotkanie tak bardzo mnie wzruszyło. Dziwne to wszystko. Mamy być wyłącznie przyjaciółmi, a między nami są jakieś dziwne wibracje. Świetnie mi się z nim rozmawia, ale chyba nie jestem do

końca przekonana, że chcę od niego tylko tego. Może... Nie, nie, nie. Nie ma żadnego «może». Mam męża i dziecko!" - karcę siebie w duchu.

- Jaka jesteś ? - zapytał, gdy się spotkaliśmy.

- Ja? - Kopnęłam kamyk leżący na polnej drodze. -Ty.

- Zwyczajna, nudna, przewidywalna, bardzo grzeczna... Nic ciekawego.

Podszedł bliżej. Poczulałam zapach wiatru i wzburzonego morza.

- Może pora to zmienić? - wyszeptał. - Czasami powinnaś być niegrzeczna.

- Z pewnością - zauważyłam z przekąsem.

- Uważasz, że świat nie lubi niegrzecznych dziewczynek? Bzdura! Jeszcze mniej lubi te ugrzecznione, które wegetują, zamiast żyć. Człowiek nie może być tylko wielozadaniowym robotem, który odbębnia dzień, wykonując kolejne zadania: wstać, ugotować, posprzątać, zjeść, usnąć.

Na te słowa lekko się uśmiechnęłam.

- Czasami wydaje mi się, że utknęłam w jakimś martwym punkcie, nie widzę żadnego sensu życia.

- Chyba każdy czasami wątpi w sens swojego istnienia. Ja też bywam zagubiony, ostatnio nawet bardziej niż kiedykolwiek. Zapewne jesteś wspaniałą kobietą, która po prostu na chwilę znalazła się w ślepym zaułku.

- Naprawdę tak myślisz? Że jestem wspaniała?

- Tak. Spotkaliśmy się zaledwie kilka razy, ale to mi wystarczy, by stwierdzić, że jesteś megafajną babką. Dopóki będziemy się spotykać, będę ci przypominał o twojej wyjątkowości. Aż w końcu w to uwierzysz. - Delikatnie odgarnął z mojego policzka kosmyk włosów. - Jest w tobie tyle różnych kobiet.

- Naprawdę?

Znów ten uśmiech, te dołeczki w policzkach, te chochliki w oczach.

- Naprawdę. I ta roztrzepana, i ta rozwichrzona, i ta, która dźwiga troski swoich najbliższych, i ta roześmiana, i ta pragnąca, i ta, która buszuje w marzeniach, i taka, która jest niepoprawną romantyczką.

- Boję się życia. Dlatego wolę go nie zmieniać. Jak miałabym wtedy żyć?

- Na to nie mogę ci odpowiedzieć. Musisz sama zdecydować, czy iść z wiatrem, czy pod wiatr, czy zdać się na los, czy kierować własnym życiem. Mogę ci jedynie podpowiedzieć, że należy walczyć o siebie.

- Walczyć?

- Musisz przede wszystkim uwierzyć w siebie, w swoje możliwości. Stłumiłaś swoją prawdziwą naturę, może czasami trochę dziką i nieobliczalną, ale autentyczną, wrażliwą, twórczą, pełną pasji.

- Rzeczywiście taka jestem?

- A masz wątpliwości? - odpowiedział pytaniem.

- Hm... - westchnęłam - ...a jeśli mi nie wyjdzie? Jeśli się pokaleczę? Jeśli zawiodę bliskich?

- W życiu trzeba przede wszystkim obrać właściwy kurs, a potem omijać mielizny i rafy. Trzeba być kapitanem swojego statku. Ktoś z załogi może odejść. To normalne. Odchodzą od nas różni ludzie. Trzeba im na to pozwolić, mimo że nie zawsze tego chcemy, nie zawsze jesteśmy gotowi na rozstanie. Ale nie możemy za nich decydować. Cieszymy się, że mieliśmy ich przy sobie przez lata, dni czy choćby godziny. Każdy człowiek ofiarowuje nam coś innego, wnosi coś do naszego życia.

- Wiesz, co jest najgorsze? - spytałam, wyłamując palce u rąk. Robię tak zawsze, gdy się denerwuję. - To, że ciągle na coś czekam: na lepszą przyszłość, na wakacje, na to, że jutro będzie mniej sprzątanego, na to, że dziecko dorośnie, na wnuki. I jest w tym coraz więcej strachu, nieufności, wahania.

- Czas szybko mija. Zmięte kartki kalendarza lądują w koszu na śmieci. Już ich nie odzyskasz - powiedział smutno.

- Przemijamy - szepnęłam i przysunęłam się do niego tak blisko, że między nasze ciała nie dałoby się wcisnąć nawet szpilki. - A ja nie jestem szczęśliwa.

- Bo nie chcesz być - odrzekł zdecydowanie, ale miękko, ciepło, bez wyrzutu. - Z każdego dnia można zebrać kilka okruchów szczęścia. Trzeba nauczyć się kochać to, co przynosi życie. A czekanie... - westchnął - ..ono zabija na raty. Znałem pewną kobietę - kontynuował po chwili - która ciągle czekała. Bez względu na to, co robiła, było w niej nieustanne czekanie. Na niego. Tak jakby ciągle stała w oknie i patrzyła na pustą ulicę. Tęsknota za mężem przytłaczała ją. W końcu zmarła, na dzień przed jego powrotem. Do niej.

- Kim była ta kobieta?

- Moją matką.

Odwrócił głowę. Przez moment milczeliśmy.

- Mogę cię o coś zapytać? -Wal.

- Czy gdybyś mógł cofnąć czas, zmieniłbyś coś w swoim życiu?

Chwilę się zastanawiał, po czym odrzekł:

-Nie.

Wieczorem uklękłam i zaczęłam się modlić:

Aniele Boże, strózu mój...

Dziękuję Ci, Boże, za życie. Za moje życie.

Rozdział 4

Bratnie dusze

Świtało. Świat oddychał równo, wciąż zanurzony w oparach snu. Słońce ziewnęło i zaczęło nieśmiało wschodzić. Fiołki drzemały jeszcze w doniczkach, ale lawenda rozsiewała już odurzającą woń, a listki mięty uginały się od porannej rosy. Lekki wiaterek tańczył po ulicach, wzbijając do góry liście, jakąś foliową torebkę, żdźbła skoszonej trawy. Pies zaszczekał, kot miauknął, wróbelek pobujał się na cienkiej gałęzi.

Założyłam ciepłe bambosze, otuliłam się puszystym szlafrokiem i poszłam do kuchni. Ekspres burknął na mnie i brzuchaty kubek wypełnił się po brzegi czarną kawą. Strzepnęłam z włosów resztki snu. Już za chwilę, za parę chwil Go zobaczę. Usta same rozciągnęły się w uśmiechu. Poczułam liryczny nastrój w sercu, które wystukiwało: pik - ON, pik - ON, pik - ON.

- Jestem tu - usłyszałam.

Poderwałam się na równe nogi i rozejrzałam dookoła, ale nikogo nie było.

- W twoim sercu - znów rozległ się ten sam niski głos.

Ja chyba oszalałam. Przyjemnie być taką wariatką.

- A teraz weźmy ciebie pod lupę - powiedziałam do Nieznajomego na następnym spotkaniu.

- Co chcesz wiedzieć? Pamiętasz, co mówiłaś na początku? Nie możemy o sobie wiedzieć zbyt dużo.

- Nie łap mnie za słówka. Trzeba troszeczkę uchylić rąbka tajemnicy, bo nie mielibyśmy o czym rozmawiać.

- Ach, tak! - Szturchnął mnie wesoło w bok. - Jestem tak samo zagubiony jak ty. Dlatego może wtedy w sklepie do ciebie podszedłem. Bratnie dusze wyczuwają siebie.

- Chrzaniisz.

- Chrzanię.

Złapałam go pod ramię. Szliśmy, śmiejąc się bez powodu. On mnie podszczypywał, a ja czochrałam jego włosy. Nagle przystanął. Dotknął mojego podbródka i uniósł go delikatnie, tak że moje oczy znalazły się na wysokości jego ust. Nachylił głowę. Poczułam jego ciepły oddech. Był stanowczo za blisko.

Mógł mnie pocałować, ale pogładził tylko po policzku, a potem odsunął się na bezpieczną odległość.

- A więc?

- Mam żonę, Malwinę.

Zabolało. Po co go pytałam o jego życie? Tak naprawdę nie chciałam tego wiedzieć. Chciałam, żeby był wolny. Chciałam być wolna dla niego. „Co się ze mną dzieje? Dlaczego tak reaguję?”.

- Czemu nic nie mówisz? - Spojrzał na mnie.

- A co mam ci powiedzieć?

- Nie wiem. Cokolwiek.

- Jesteś szczęśliwy w swoim małżeństwie?

- Czy szczęśliwy? Ostatnio zagubiony. Z żoną nie jest najlepiej.

- Co to znaczy? - zapytałam.

- Jest chora - odparł, nerwowo mnąc chusteczkę. -A dokładniej?

Przez dłuższą chwilę miał spuszczoną głowę.

- To jest choroba duszy.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie w pełni. - Westchnął ciężko. Ręce mu się trzęsły. - Ona... ona... - powtarzał - ..żyje między dwoma światami. Czasami jest tutaj z nami i wtedy wszystko jest okej. Innym razem znika w swoim wymyślonym świecie, którego obraz jest tylko w jej mózgu.

- Czyli ma problem ze swoją psychiką? - Nie wiedziałam, jak dobrać słowa, żeby go nie urazić.

- To się nazywa zespół Aspergera.

- Zespół Aspergera? Nic mi to nie mówi.

- Niedawno odkryta choroba psychiczna - wytłumaczył spokojnie. - Ludzie nią dotknięci mają z reguły normalny, a czasem ponadprzeciętny iloraz inteligencji, ale upośledzone są ich zdolności komunikacyjne. Nie potrafią odnaleźć się w społeczeństwie. Mają swoje rytuały. Jeśli się ich przestrzega, wówczas wszystko jest w porządku. - Głęboko wciągnął powietrze do płuc.

- A jeśli się nie przestrzega?

- Wpadają w panikę, krzyczą, boją się nowości, zmian. Ponadto są nadwrażliwi na dotyk.

- Nie możesz dotykać swojej żony?

- Czasami nie mogę. Dotyk wywołuje u niej fizyczny ból. Najbardziej denerwują ją dopasowane ubrania. Nie znosi rzeczy szorstkich i opiętych, dlatego chodzi w luźnych ciuchach, w których nie wygląda atrakcyjnie, a przecież jest naprawdę piękną kobietą...

- Nie wiem, co powiedzieć. Przykro mi.

- Mnie też czasami jest przykro, że to spotkało naszą rodzinę. Bo jest to choroba całej rodziny. Wszystko jest jej podporządkowane.

- Na pewno cię kocha za to twoje oddanie.

- Nie wiem. Mówi, że tak, ale nie potrafi wyrażać uczuć.

- Wiedziałeś o jej chorobie przed ślubem?

- Nie wiedziałem. Nie wtedy, kiedy się z nią żeniłem. Ale czy gdybym wiedział, postąpiłbym inaczej? - Zamyślił się na chwilę. - Chyba nie. Kocham ją.

Poczułam ukłucie zazdrości.

- Jak to się stało, że nie wiedziałeś o jej chorobie?

- Dopiero niedawno ją u niej wykryto. Podobno aż do pięćdziesięciu procent dorosłych z zespołem Aspergera nie zostaje zdiagnozowanych. Określa się ich jako innych, ekscentryków,

dziwaków, albo otrzymują błędne rozpoznanie psychiatryczne. Kiedy ją poznałem, wiedziałem, że jest jakaś inna, ale to mnie w niej pociągało. Zajmuję się Malwinką każdego dnia, najlepiej jak umiem. Jak matka dzieckiem. Tulę ją, rozmawiam z nią, znoszę jej wybuchy i dziwactwa.

- Dlaczego?

- Bo jest moją żoną.

- Bo jest twoją żoną - powtórzyłam głucho.

- Bo ją kocham. Znajomi mi mówią, jaki jestem dzielny, ale ja tego nie rozumiem. Wiem, że po prostu nie mogę inaczej.

- Takie sytuacje są sprawdzianem uczuć.

- Chyba tak.

- Święty Nieznajomy.

- Nie kpij. Malwina jest po prostu wciąż tą samą osobą, którą pokochałem.

- Nigdy nie miałeś ochoty na romans? - spytałam nagle, spuszcżając wzrok.

- Do tej pory nie.

- A ja myślę, że nie jesteś taki święty, za jakiego się uważasz.

- Nikt nie jest święty, chociaż pewnie chcemy się tak kreować. Potrzebuję kobiety, bliskości fizycznej, dotyku, rozmowy, ale nie chcę romansu.

- Potrzebujesz przyjaciółki?

- Tak. Chyba tak.

- To dobrze, że na siebie trafiliśmy. A tak w ogóle... - chwyciłam go za rękę - ...naprawdę bardzo mi przykro z powodu choroby twojej żony.

- Przyzwyczailem się. - Westchnął, po czym oparł głowę na drugiej dłoni. Wyglądał jakby ta rozmowa wprawiała go w zakłopotanie. Z jednej strony chciał mi opowiedzieć o swojej sytuacji, z drugiej - nie chciał się obnażać.

- A ty masz męża? Dzieci?

- Mam. - Położyłam się na piasku i zamknęłam oczy. - Mój mąż ma na imię Wiktor, a córka - Julka.

-I?

- Czasami mam ochotę uciec od swojego poukładanego świata.
- Mamo, jakoś tak ładnie wyglądasz - powiedziała Julka.
- Tak w piżamie? - spytałam zdziwiona.
- Nooo. - Włożyła do ust łyżkę musli. - Może masz romans?
- Z pewnością. - Poczułam, że czerwienię się po same koniuszki uszu.
- Ponoć kobiety pięknieją, gdy się zakochują - odparło moje dziecko.
- A tak serio... - Julka podeszła do mnie bliżej - ..naprawdę niezła z ciebie laska.

Uśmiechnęłam się pod nosem. „Moja kochana córcia” - pomyślałam. Kocham ją nad życie, mimo iż trudno jest być mamą nastolatki. Czasami nadajemy zupełnie na innych falach, ale jestem z niej dumna. Cieszy mnie, że ma zainteresowania, bierze udział w konkursach recytatorskich. Aktorska interpretacja wierszy to jej pasja. A właśnie pasja jest siłą napędzającą człowieka, motywuje do działania. Sprawia, że chce się żyć i podążać swoją drogą. Julka, choć tego nie pokazuje, jest typem romantyczki. Buntowniczką z melancholijną duszą.

Rozdział 5

Druga połowa

Z notatek N.

„Krwawię cicho, żyjąc, żyję cicho, krwawiąc”. To cytat z „ Sali samobójców”. Żyję sobie cichutko, bez wychylania się. Zasnuta w swojej nieśmiałości i lęku przed ludźmi, a najbardziej przed sobą.

Dawkuje sobie szczęście po troszeczku.

Są chwile, kiedy chcę czerpać z życia garściami, jednak wciąż uznaję to za niestosowne.

Wraz z ostatnim ziewnięciem sen zaczął leniwie odchodzić. Przeciągnęłam się i w końcu znikł. Nastął nowy dzień. Rozprostowałam wymiętą twarz (nie wiem, jak to możliwe, ale rano mam tak zawsze). Delikatnie położyłam stopy na włochatym chodniku i zaczęłam przebierać palcami. Włosie łaskotało mnie w pięty, a ja roześmiałam się na głos.

- Co jest? - Wiktor podniósł się na łokciu.

- Nic, przebieram palcami po włochatym chodniku. Wiesz, jakie to fajne? - odparłam zaskoczona tym odkryciem.

- Że co?

- Spij jeszcze.

- Nie mogę, bo rechoczesz.

- To chodź i porechocz ze mną.

- Lepiej wezmę prysznic.

Julka wyszła do szkoły, mąż do pracy, a ja, zamiast rzucić się w wir domowych zajęć, postanowiłam pójść na spacer. Tak daw-

no nie chodziłam sama do parku. Dlaczego? Nie wiem, po prostu zapomniałam o tym, co dobre i przyjemne. Wydeptuję nową ścieżkę. Jak przyjemnie jest dreptać po zielonej trawie, zamiast po pokojach, ze ścierką do kurzu, mopem czy odkurzaczem. Uśmiechnęłam się do siebie, łapiąc w dłonie rozgrzane powietrze. Mężczyzna w garniturze spojrzał na mnie, jakbym postradała zmysły. Uznałam, że dam mu jeszcze chwilę uciechy. Położyłam się na ziemi i machałam rękami i nogami, w górę, w dół i na boki, tak jakbym robiła orła na śniegu. W końcu wstałam. Facet oniemiał, nie mam pojęcia, czy z zachwytu, czy z przerażenia. Wybuchłam śmiechem na widok jego miny, a raczej szeroko otwartej paszczy. Otrzepałam sukienkę i rzuciłam w jego stronę:

- Przyjemnie jest od czasu do czasu powariować. Nie spodziewam się odpowiedzi, on jednak rzeki:

- A wie pani, że to chyba racja.

Wróciłam do domu tanecznym krokiem, jakby unosząc się nad ziemią. Lekkość bytu podczas rozmarzenia - to jest to.

Zmieniłam kartę w telefonie, rozglądając się przy tym na lewo i prawo, w obawie, że ktoś mnie nakryje. Byłam sama w domu, ale miałam wrażenie, że w każdej chwili ktoś może wejść. „Co ja, do cholery, wyprawiam? Po co mi to wszystko?”. Nie mogłam jednak oprzeć się pokusie. Musiałam wysiać mu w tej chwili wiadomość. Chcę się z nim zobaczyć. Muszę się z nim zobaczyć. Nasze spotkania stały się coraz częstsze i intensywniejsze. Potrafiliśmy spędzić z sobą pół dnia, a i tak było nam mało. Nie mogliśmy się nagadać.

Przyszłam pierwsza na umówione spotkanie. Słońce przyjemnie grzało, dlatego nie weszłam do kawiarni, lecz usiadłam na zewnątrz.

- Czym mogę służyć? - zapytała kelnerka.

- Poproszę herbatę owocową.

- A dla mnie czarna kawa. - Usłyszałam za plecami głos Nieznajomego.

- Gdzie pracujesz? - spytałam, uśmiechając się. - Jeśli chcesz, możesz skłamać.

- Dlaczego miałbym kłamać?

- Żeby zrobić na mnie wrażenie. Mógłbyś powiedzieć, że jesteś prezesem banku albo znanym pisarzem.

- Nie lubię kłamać. Z reguły nie kłamię.

- A żonę oszukujesz?

- Nie. Czasami po prostu nie mówię jej wszystkiego, ale nie oszukuję.

- Czyli jednak masz coś z krętacza? - Przechyliłam na bok głowę.

- Dlaczego łapiesz mnie za słówka?

- Już taka jestem.

- Pracuję w domu - odpowiedział mi na zadane wcześniej pytanie. - Często spotykam się też z kontrahentami na mieście.

- Co wtedy z żoną?

- Teściowa pomaga.

- To dobrze.

- Jadłeś już obiad? Pokręciłam głową.

- To może coś zamówimy?

- Z przyjemnością.

Nachylił się w moją stronę nad wąskim stolikiem i podał mi kartę dań. Nasze twarze dzieliło dosłownie kilka centymetrów. Serce podskoczyło mi do gardła. Po chwili przy stoliku pojawiła się uśmiechnięta kelnerka, by przyjąć zamówienie.

- Dla mnie zupa z borowików i sałatka grecka - powiedziałam. Nieznajomy zamówił średnio wypieczony stek z surówką z czerwonej kapusty.

- A ty co robisz? - spytał, gdy kelnerka znikła.

- Nic. Siedzę w domu. Sprzątam, gotuję, prasuję.

- To jednak coś. Odwalasz kawał dobrej roboty - mówił to ze śmiertelną powagą. - A nie chcesz pracować zawodowo? Ile lat ma twoja córka?

- Czternaście. Już czternaście. Miałam zamiar wrócić do pracy, kiedy Julka pójdzie do szkoły, ale jakoś tak zeszło i zostałam w domu.

Położyłam dłonie na stole i zaczęłam przyglądać się swoim paznokciom. W jednej chwili zrobiło mi się głupio i wyjaśniłam, że kiedyś miałam wiele pomysłów na siebie, ale potem przestałam się nad tym zastanawiać. W sumie nudziło mi się w domu i chętnie wyszłabym do ludzi. Nie wiem jednak, czy po takiej przerwie ktoś zechciałby mnie przyjąć do pracy.

- Powinnaś spróbować.

- Naprawdę tak myślisz?

- A czemu nie?

- Chyba masz rację: czemu nie? Ostatnio zaczęłam się przyglądać swojemu życiu i trudno mi uwierzyć, że właśnie o takim marzyłam.

- Skąd ja to znam. - Westchnął. - Widzisz, kocham Malwinę nad życie, robię dla niej wszystko, co w mojej mocy, ale czasami... - jego oczy zwilgotniały - ..brakuje mi siły. Wydaje mi się, że nie mam już żadnych pragnień, oprócz tego, aby ona czuła się dobrze. Mam siłę walczyć o nią, a nie mam siły zawalczyć o siebie.

Słyszałam, jak powoli oddycha. Po chwili mówił dalej:

- Jestem zmęczony. Kiedy chcę zasnąć, dopadają mnie ponure myśli, że może nie dość się dziś starałem, że powinienem zrobić więcej, że nie potrafię jej pomóc. Ale jedyne, o czym wtedy marzę, to uciec na trochę, zostawić za sobą swoje życie. Wyłączyć się. Wcisnąć pauzę w moim świecie.

- Masz prawo tak się czuć. Wszystko jest na twojej głowie. Każdy na twoim miejscu miałby czasami dość.

- Pierwszy raz zobaczyłem ją, gdy miałem osiemnaście lat... - zaczął wspominać, choć wcale nie miałam ochoty tego słuchać. Sama nie wiem dlaczego, ale wzmianka o jego żonie mnie rozdrażniła. - Boże, jaka ona była wtedy piękna! Nadal jest. Stałą w sklepie i przebierała jabłka. A ja ukradkiem na nią spogląda-

łem i nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia. Chciałem podejść i coś powiedzieć, ale byłem cholernie onieśmielony. Kolejny raz wpadłem na nią cztery lata później. Na weselu jej kuzynki z moim kolegą. Wypiłem kilka drinków i byłem śmielszy. Paplałem coś bez sensu, o pogodzie i o swoich planach na przyszłość. Ona tylko się śmiała, a potem niespodziewanie mnie pocałowała. To była jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu. Kiedy Malwina nie ma depresji, lęków, paranoi, między nami jest naprawdę dobrze. Mam taką namiastkę prawdziwego życia małżeńskiego. Jestem wtedy taki szczęśliwy i zakochany.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu, jednak nic mi nie smakowało, ani moja ulubiona zupa z borowików, ani sałatka. Czułam ucisk w dole brzucha. Pragnęłam tylko uciec z tego miejsca, od tej rozmowy, od jego wyznań.

- Deser? - spytał.

- Nie, dziękuję.

Wolnym krokiem poszliśmy w stronę starówki. Mijały nas zakochane pary, spieszący się ludzie, kobieta krzycząca do telefonu, zgarbiony staruszek. Nagle zobaczyliśmy, że na jezdnię wbiegła mała dziewczynka, nie zwracając uwagi na to, że z przeciwnej strony nadjeżdża samochód. Mój Nieznajomy jednym susem dopadł do niej i mocno odepchnął na bok. Samochód ostro zahamował. Stałam bez ruchu, patrząc na całe to zdarzenie, które trwało zaledwie sekundy.

- Jak ja panu dziękuję! - krzyknęła rozhisteryzowana kobieta, całując zapłakane dziecko.

- Nic ci się nie stało? - spytałam, podchodząc do Nieznajomego.

- W porządku - odpowiedział. - Chodźmy już.

- Uratowałaś tę dziewczynkę. - Nie kryłam podziwu dla jego refleksu.

- Dobrze, że nic jej się nie stało. Odeszliśmy trochę dalej od miejsca zdarzenia.

- Dlaczego nie masz dzieci? - spytałam.

- Chciałbym mieć, ale... po prostu nie możemy - wydusił zmienionym głosem.

Wyjęłam z portfela zdjęcie Julki, zrobione kiedy miała dwa latka.

- To moja mała córeczka.

- Słodka.

- Teraz to już duża pannica.

Uśmiechnęłam się. Spojrzałam na pyzată bużkę na fotografii. Jakby to było wczoraj. W jednej chwili uświadomiłam sobie, jak szybko przemija życie. Bawisz się lalkami, a za chwilę sama wydajesz dziecko na świat. Zaraz potem to dziecko daje ci wnuki. Jeszcze chwila i już cię nie ma. Wszystko znika.

- Smutno mi - powiedziałam. Nie odezwał się.

W sumie nie wiem, skąd wziął się ten mój smutek. Tęskniłam za tym, co odeszło i czego nie będzie mi już dane przeżyć. Ogarnęła mnie tęsknota za rodzinnym domem, za tatą, którego nigdy nie poznałam. A potem zatęskniłam za mirabelkami z naszego sadu i za kompotem z czereśni, za motylami, które goniłam, za bukietami polnych kwiatów i za zdartymi kolanami. Po policzkach popłynęły mi łzy.

Przytulił mnie. Wiedział, że tego potrzebuję, nie musiałam nic mówić. Nasze spotkania stawały się coraz bardziej intymne. Kobiety zakochują się w takich mężczyznach jak on - niebanalnych, tajemniczych, opiekuńczych, takich, którzy słuchają ich zwierzeń i mocną je tulą.

- Słyszałeś o tym, że każdy ma w sobie coś z dziecka, że to wewnętrzne dziecko zawsze w nas siedzi? Ja jestem chyba zbyt dorosła. Nie mam w sobie tego dziecka - powiedziałam.

- Nieprawda. To dziecko ciągle mieszka tutaj. - Wskazał na moją pierś. - Podporządkowałaś się wymogom szarej rzeczywistości. Uśpiłaś zachwyt nad światem i radość tej dziewczynki, więc ukryła się głęboko, jednak nadal tam mieszka. Wiesz, co jest najpiękniejsze w dzieciach?

-Co?

- To, że nie przejmują się tym, co pomyślą o nich inni. Kiedy chcą się śmiać, to się śmieją. Kiedy chcą się bawić w kałuży, właśnie tam tuptają i taplają się w błocie. Kiedy kogoś lubią, razem z nim budują zamek z piasku. I tylko dzieci tak pięknie i bezinteresownie kochają.

Wtuliłam twarz w jego muskularną pierś i poczułam jego silne ramiona nisko na plecach. Na pewno nie miał nic zdrożnego na myśli, na pewno nic, co byłoby podszyte namiętnością czy pożądaniem. Ale ja zadrżałam jak osika.

- Mówią, że kiedy rodzi się człowiek, z nieba spada dusza i rozpada się na dwie części - zaczął cichutko tym swoim pięknym barytonem. - Jedna z nich trafia do kobiety, druga do mężczyzny. A potem, nieraz przez całe życie, szukamy tej drugiej połowy. Połowy swojej duszy. Połowy samego siebie.

- Rzadko się ją znajduje. - Westchnęłam.

- Ludzie są niecierpliwi. Za szybko nudzą się poszukiwaniem, wędrówką po zawiłych szlakach, wspinaczką pod górę. Zadowolają się substytutem, jakąś niedopasowaną częścią, która później uwiera ich przez całe życie. Taką protezę.

- A gdyby tę protezę dopasować i próbować z nią żyć?

- Oczywiście, można tak zrobić. Proteza jednak nigdy nie jest tak dobra, jak własna noga.

- Ty znalazłeś tę drugą połowę siebie?

Spojrzałam mu w oczy i trwało to odrobinę za długo. Między nami przeskoczyła jakaś iskra. Uczucia zapłonęły niczym ogień. A potem Nieznajomy po raz kolejny tego wieczoru mocno mnie przytulił, za mocno, zbyt gwałtownie. Ten uścisk mówił: „Nie chcę być twoim przyjacielem. Chcę czegoś więcej”. Niemal słyszałam, jak jego ciało wibruje od ładunku emocji. Ogłuszający łomot jego serca. Ogarnęło mnie szaleństwo, pragnienie, żądza... I nagle on odsunął się ode mnie.

- Muszę już iść - szepnął.

- Rozumiem.

Wcale nie rozumiałam. - Tak będzie dla nas lepiej. „Nie będzie” - pomyślałam.

Wróciłam do domu, oszołomiona. Wiedziałam, że nie mogę się w nim zakochać. Na początku ustaliliśmy, że nasza znajomość będzie polegała na przyjacielskich kontaktach. Ale zasady są ponoć po to, by je łamać...

Uśmiechnęłam się do swoich kosmatych myśli. Wyobraziłam sobie siebie nagą w jego silnych ramionach. Czyżbym traciła zdrowy rozsądek? Ludzie przestają myśleć, gdy do głosu dochodzi seks i nagle jest tak trudno powiedzieć „nie”. A najgorsze jest to, że naprawdę go pragnęłam.

Każdy z nas ma dwie twarze - a może po prostu prawdziwą twarz oraz maskę, którą nosi na co dzień. I tylko od czasu do czasu zdejmuję tę maskę, żeby pokazać swe prawdziwe oblicze. Nigdy się nie spodziewałam, że kiedykolwiek choćby pomyślę

o zdradzie. Uważałam, że to mnie nie dotyczy. Brzydziłam się takim postępowaniem. A teraz?

Może te myśli wzięły się stąd, że potrzebowałam, aby ktoś mnie pożądał, pragnęłam jeszcze raz przeżyć te wszystkie uniesienia. „Poza tym pomyśleć o zdradzie to jednak coś innego, niż to zrobić. Chyba każda zaniedbywana przez męża kobieta miała choć raz taką myśl, choć nie każda zechce się do tego przyznać” - usprawiedliwiałam siebie.

Kiedyś bardzo między mną a Wiktorem iskrzyło. Wystarczyło, że się dotknęliśmy, a już mieliśmy na siebie ochotę. Nie mogłam doczekać się naszych łóżkowych gier. A teraz zmieniliśmy się w bryły lodu. Czasami zmuszałam się do stosunku

i wydawało mi się, że on również. Nasze pożycie zabiła rutyna. To tak, jakby wciąż zmuszać kogoś do jedzenia tortu czekoladowego. Nawet gdy się go bardzo lubi, po pewnym czasie przestaje smakować i wtedy na sam jego widok człowiek ma mdłości. Oczywiście, życie nie powinno się kręcić tylko wokół

seksu, ale nikt mi nie powie, że on nie jest ważny. Choć u nas nie tylko to szwankowało...

Zamknęłam oczy i położyłam głowę na błękitnej poduszce. Poczułam zapach konwalii. „Dobry proszek do prania” - odnotowałam w myślach. Wtuliłam twarz w poduszkę, a nogi schowałam pod kołdrę. Nie miałam siły, żeby przebrać się w piżamę. Tak było dobrze.

Rozdział 6

Przyjaciółka

Z notatek N.

A gdyby tak zaprosić Boga na kolację? Podziękowałabym mu za życie, a potem powiedziałabym, że kilka rzeczy Mu jednak nie wyszło.

Był wtorek. Kłębiaste chmury zasłaniały złote słońce. Chciałam pobiegać, jednak kiedy włożyłam dres, nagle straciłam cały zapał. Na dzisiaj zaplanowałam porządny jogging, okraszony hektolitrami potu. Tak, by poczuć przyspieszone bicie serca i pracujące mięśnie, a przede wszystkim zeszczupleć dla mojego Nieznajomego. Jakby w ogóle obchodziła go moja figura!

Rozebrałam się i zadzwoniłam do Małgosi. Jest moją psiapsiółką od wielu lat. Wiedziałam, że ma dzisiaj wolne, więc postanowiłam zaprosić ją na kremówki w pobliskiej kawiarence.

Czasami wydaje mi się, że Gosia jest bardziej nieszczęśliwa ode mnie. Ciągle jej wszystkiego mało: miłości, szczęścia, pieniędzy, a mogłoby się wydawać, że wszystko ma. Przystojnego męża, zawrotną karierę, wakacje na Florydzie. Nawet jej wygląd jest idealny: rudowłosa piękność niczym z obrazów Tycjana, skąpana w złocie jak zachodzące słońce. Oczy w kolorze miodu, karmelowa karnacja, karminowe, pełne usta.

Mimo to jest nieszczęśliwa, ciągle zapłakana. „To wszystko nie to - powtarza mi często. - Nie czuję tego”. A co ma czuć? Regularnie zdradza męża, bo podobno „już taka jest”. Mówi o sobie: „kochliwa”. Mąż przymyka oczy na te wyskoki i wierzy, że Gosia kiedyś się zmieni. A ona? Nie zakochuje się w swoich

amantach, bo „tak jest bezpieczniej”, i podziwia Cesarię Evorę. Nie tylko za jej niezwykły głos, ale za całość.

- Była podobna do mnie. Wiesz, że miała tylu mężów, że w końcu sama straciła rachubę, ilu ich było? - Uśmiechnęła się do mnie i wydmuchiwała dym papierosowy. - Była z jednym, a już oglądała się za drugim. Szybko ją nudzili. Wszyscy byli tacy przewidywalni. Traktowała związki jak zabawę, rozrywkę. Też taka jestem. - Westchnęła ciężko, po czym dodała: - Nie należy ufać mężczyznom.

- Małgośka, czego ty chcesz od życia? - spytałam.

- Dobrego seksu, a ty?

- Miłości. Zaśmiała się.

- Cała Natalia.

Pamiętam, jak zapytała mnie któregoś dnia w domu:

- Co widzisz, kiedy spoglądasz na siebie w lustrze?

- Siebie. Skrzywiła się.

- Czyżby? Widzisz umęczoną życiem kobietę. Przywykłaś do patrzenia na siebie oczami swojego męża, które ciebie nie dostrzegają. Jest coraz mniej prawdziwej ciebie.

- Nie rozumiem.

- Ile ciebie jest w tobie? - spytała.

- Procentowo?

- Może być w ułamkach. - Przekręciła się na krześle.

- Jedna szesnasta?

- I to ci wystarcza? - prychnęła. - Dążysz do samozniszczenia, zatracenia, biczujesz się szarą codziennością, zanurzasz ręce w praniu, szukając ciepła i przyjemności w mydlinach. Jesteś śmieszna.

- Nie tak ostro! - zdenerwowałam się.

- Dlaczego? Dokopałam ci? To dobrze, bo potrafisz zrobić coś więcej w życiu. A nie tylko to... - Zatoczyła rękami krąg w powietrzu i wskazała na stertę ubrań do prasowania.

- Daj spokój. Już to przerabialiśmy.
-1 będziemy zapewne przerabiać jeszcze sto razy albo i więcej.
Dopóki nie zrozumiesz.
Przypomniałam jej teraz tę rozmowę i stwierdziłam z pewnym zdziwieniem, że coś zaczyna do mnie docierać.
- Ogarnęłam się już troszeczkę, mam pewne plany - powiedziałam przekornie. - Poza tym poznałam kogoś i chyba czuję coś do niego. - Zaczerwieniłam się i zaczęłam przebierać nogami pod stołem.
- Co? Ty?- spytała zdziwiona. Potem roześmiała się głośno. -Ja.
- Kto to jest?
- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz? - Jej gardłowy śmiech niósł się echem po kawiarni.
Patrzyło na nas wielu ludzi.
- On jest... - zaczęłam się jąkać i zwijać serwetkę w rulon. -No?
- Taką moją przyjazną duszą. Spotkaliśmy się w supermarkecie.
- Może to jakiś psychol? - Włożyła do ust ogromny kawałek ciasta.
- Raczej nie.
- Słuchaj, ja wiem, że od siedzenia w domu różne głupie rzeczy przychodzą do głowy. Więc lepiej się nie angażuj. A powiedz mi... - nachyliła się w moją stronę i ściszyła głos - ..spaaś już z nim?
- Oczywiście, że nie... Przecież mam męża. Wiktor... - wyjąkałam.
- Natalia, daj spokój z tym Wiktorem.
- To mój mąż - powtórzyłam z naciskiem.
- Ja dziękuję za takiego męża. - Zakryła usta dłonią. -A chciałabyś z tym swoim nowym kolegą bara-bara?
- Gośka, skończ już.
- Posłuchaj, cieszę się, bo widzę, że w końcu jesteś radośniejsza, odprężyłaś się, nabrałaś powietrza w płuca. - Wstała

z krzesła i mocno mnie uściskała. - Nigdy nie lubiłam Wiktora. Przy nim sflaczałaś, stałaś się nudna i rozplanowana jak program telewizyjny.

- Dzięki za szczerość. - Wykrzywiłam usta w głupim uśmiechu.

- Naprawdę cieszę się, że jesteś szczęśliwa, tylko nie łykaj wszystkiego, co ci ten facet mówi. I nie zakochuj się. Romans...

- Jaki romans? - przerwałam.

- To kim on dla ciebie jest?

- No... no...

- No co? Wyduś to z siebie! - Szturchnęła mnie w bok.

- Jest moim kumplem. Obiecaliśmy sobie, że się nie zaangażujemy. Małgosia zaczęła się zanosić śmiechem.

- Ach, tak! - Uniosła ręce. - A może to nie facet, tylko anioł? Aniołowie stali się modni. Są niezwykle atrakcyjni i pożądani. Natalia, weź ty oprzytomniej, bo widzę, że źle z tobą.

Przebywanie z nim dawało mi niezapomniane przeżycia. Potem czułam wibracje w całym ciele. Nasłuchiwałam bicia serca. Często siadałam po turecku i kontemplowałam w ciszy. Zaczynałam szukać samej siebie, ukrytej pod maską zewnętrznego ego.

- Im więcej z tobą przebywam, tym lepiej cię rozumiem. Czasami wystarczy jedno twoje spojrzenie, jeden dotyk i już wiem, co chcesz mi przekazać. Wszystko odbywa się poza słowami.

Zaśmiał się. Słońce oświetlało jego profil. Miał długie czarne rzęsy, pełne usta, lekko szpiczasty podbródek i masywną szyję. Był stuprocentowym mężczyzną.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Ja oglądałam znaną muszlę, a Nieznajomy patrzył na statek płynący po wzburzonych falach. Czułam zimny wiatr na plecach. Sama nie wiem dlaczego, ale nagle zaczęłam się śmiać.

- Co cię tak bawi? - zapytał.

- Cała ta sytuacja i nasza znajomość. I to, że gdyby nie ty, pewnie siedziałabym teraz w domu i prasowała albo odkurzała.

- Więc uczyniłem twój świat piękniejszym. Jak mi się teraz odwdzięczysz?

- Upiękę ci ciasto.

- Och, tak, drożdżowe.

- Jeśli drożdżowe, to tylko z zakalcem.

- Co z ciebie za pani domu, skoro pieczesz z zakalcem?

- Nikt nie jest doskonały. Sernik i szarlotka - tak, ale drożdżowe mi nie wychodzi.

- Wybrakowany model z ciebie.

- Ja ci dam „wybrakowany”! - Zaczęłam go łaskotać.

- Nie, nie, tylko nie tuuuu... - Śmiał się głośno. Nagle przewrócił mnie na plecy i też zaczął łaskotać.

- Niiieeee... - Płakałam ze śmiechu. - Wystarczy!!! - Jego palce błądziły po całym moim ciele, aż przesywały mnie dreszcze. - Poddaję się - wydusiłam nieswoim głosem.

Odsunął się.

Milczeliśmy, zatopieni w myślach. Oparłam głowę na jego ramieniu, a on położył rękę na mojej dłoni. Niby zwyczajny gest, a ile w nim było czułości.

- Tutaj, za moło jest fajna knajpka... - zaproponowałam. Spojrzał na zegarek.

- Zjem w domu. Przepraszam, ale muszę się zbierać.

- Tak, tak, rozumiem. Mam kawałek czekolady. Chcesz trochę? - Wyjęłam ją z kieszeni i odwinęłam sreberko.

- No, pewnie. - Włożył kostkę czekolady do ust. - Mleczna z rodzynkami. Mniem... Moja ulubiona.

- Serio? Moja też.

- Najlepsza jest ta od Wedla.

- No, ba. Tylko taką kupuję.

- Patrz, jacy jesteśmy do siebie podobni.

- To chyba dobrze?

- Za dobrze.

Popatrzył na mnie w taki sposób, że... Nie, na pewno mi się zdawało.

- Podwieźć cię? - zaproponował.
- Jedziesz w stronę centrum?
- Mogę jechać. - Uśmiechnął się. - Tam mieszkasz?
- Niedaleko.
- Czyli nie chcesz, żebym podwiózł cię do domu?
- No co ty? Poznałbyś mój adres i nie mogłabym się od ciebie opędzić.

- Co racja, to racja.

Ruszyliśmy w stronę parkingu. Kiedy dotarliśmy do srebrnego nissana, otworzył mi drzwi od strony pasażera. „Prawdziwy dżentelmen” - pomyślałam. Wsiadłam i oniemiałam. W środku był straszny bałagan. Puste kubki po kawie, papierki po cukierkach i chipsach piętrzyły się pod nogami i na tylnym siedzeniu.

- Ojej - westchnęłam. Od razu pomyślałam o Goście i jej aucie, w którym panował sterylny porządek. - Co za pierdolnik! - powiedziałam na głos.

Zaczął się śmiać.

- Mogłaś zachować to spostrzeżenie dla siebie.
- A ty mogłaś tu posprzątać. Wieziesz damę - zazartowałam.
- Myślisz, że dlaczego zaprosiłem cię na przejażdżkę? Liczyłem, że sama zaproponujesz pomoc w sprzątaniu. Słuchaj, niedaleko za miastem jest takie małe jezioro, pojedziemy tam, umyjesz mi autko, a potem posprzątasz troszkę w środku.
- To już wiem, dlaczego mnie poderwałeś w tym sklepie. -A jak. Interesowny jestem.

- Zauważyłam.

Włączył radio i ruszyliśmy, słuchając jazzu. W pewnym momencie zwolnił i zjechał na pobocze. Oparł głowę o kierownicę. Nie wiedziałam, co mu się stało. W jednej chwili stracił dobry humor.

- Wszystko w porządku?
- Tak, tylko że...
- Że co?
- Nie sądzisz, że te nasze spotkania wyglądają jak randki?

- Hm... - westchnęłam. Zastanawiałam się, co odpowiedzieć. Przez chwilę siedziałam w milczeniu i patrzyłam na niego jak zaczarowana. - To zależy od punktu widzenia. Skoro oboje uważamy, że to są tylko kumpłowskie spotkania, skoro oboje się nie angażujemy, to chyba nie ma w tym nic złego.

- Może masz rację. Tylko że kiedy się nie widzimy, ja za tobą tęsknię. Złapałam się na tym, że czekam na esemesy od ciebie.

Rzeczywiście, nasza znajomość zaczęła chyba rozwijać się w niepokojącym kierunku. Wiedzieliśmy, że nie możemy posunąć się ani o krok dalej, bo wszystko, co działo się między nami, stawało się coraz bardziej niebezpieczne. Najgorsze, że oboje czuliśmy do siebie fizyczny pociąg. Widziałam, jak na mnie patrzył, a ja rozpływałam się pod jego spojrzeniem jak lody w lipcowe popołudnie.

Schlebiło mi to jego wyznanie, bo ja również miałam w stosunku do niego podobne odczucia. A może nawet pragnęłam od niego więcej niż on ode mnie. W jednej chwili wyobraziłam sobie, jak kochamy się w jego aucie. Jak gwałtownie zrywa ze mnie ubranie, jak namiętnie mnie całuje. Wchodzi we mnie szybkimi ruchami, a auto kołysze się w rytm naszych ciał. Z każdym naszym oddechem szyby stają się bardziej zaparowane.

„Boże! O czym ja myślę? Mam rodzinę, a on żonę” - pomyślałam w popłochu. Powiedziałam jednak:

- Chyba nie powinieneś się tak spinać i za dużo analizować. Westchnął, odpalił samochód i ruszył. Niemal do końca drogi nie odzywaliśmy się do siebie.

- Możesz mnie tutaj wysadzić? - poprosiłam, gdy znaleźliśmy się w mojej okolicy.

- Gdzie?

- O tam, za rogiem.

- Rozpadało się - powiedział. Faktycznie, niedawno zaczęło siąpić. - Podrzucę cię pod dom. Nie bój się, nie będę cię nachodził - dodał, widząc moją przerażoną minę.

- Okej - zgodziłam się. Tak naprawdę chciałam, żeby wiedział, gdzie mieszkam.

Siedziałam z Wiktorem przy stole i piłam mleko z miodem, które już mi nie smakowało. Kiedyś mój mąż brał łyżeczkę i wybierał kożuch z mojego kubka. To było kiedyś.

Siedziałam z Wiktorem przy stole, a on gasł w oczach, przestając nucić swoją ulubioną piosenkę, naszą piosenkę.

Siedziałam z Wiktorem przy stole i zamiast czarnej czupryny widziałam siwe pasma włosów. Ta jego siwizna przerażała mnie.

Siedziałam z Wiktorem przy stole w ciszy. Tylko sztuce porządkowały.

To nieważne, bo teraz był ktoś inny, dla kogo uśmiechając się, mrużyłam oczy.

Rozdział 7

Pragnienia

Z notatek N.

Tulę do piersi swe dziecięce marzenia, śpiewając im najpiękniejsze kołysanki. W moim dziecięcym pokoju pachnie miodem i goździkami, jest pluszowy miś bez jednego oka, szmaciana lalka, skrzypiące łóżeczko, puchowa kołderka. Po omacku szukam sznurówek, by związać nimi moje życie. Zacząć od nowa, przy dźwiękach porcelanowej pozytywki.

Nieznajomy miał dziś na sobie sprane dżinsy i koszulkę w kolorze kawy z mlekiem.

- Podobasz mi się taki na luzie - powiedziałam. Wyglądał ślicznie.

Od poprzedniego spotkania minął zaledwie tydzień, a ja miałam mu tyle do opowiedzenia. O tym, że Julka wygrała konkurs recytatorki, że zasadziłam zioła w doniczkach i że co rano śpiewa dla mnie ptaszek.

Zawsze słuchał moich opowieści w skupieniu. Na jego czole pojawiała się wtedy poprzeczna zmarszczka. A potem on opowiadał o swoim życiu - o tym, jak bardzo kocha swoją mamę, że w dzieciństwie był strasznie chorowity, że ma fajną starszą siostrę, że lubi górskie wędrowki. Dobrze nam się rozmawiało, a tematy pojawiały się same.

Nie lubię sieciówek typu Starbucks. Lurowata kawa podawana jest w wielkich kubkach i zazwyczaj przesiaduje tutaj dużo ludzi. Rozejrzałam się wokół, w obawie, że spotkam kogoś znajomego. Usiedliśmy przy narożnym stoliku, tyłem do okna. Zamówiłam herbatę z miodem i cynamonem, a Nieznajomy cappuccino.

- Ile ty właściwie masz lat? - zapytałam.

- Czterdzieści trzy.

- O, matko! - Zaczęłam się wachlować rękoma w teatralnym geście.

- Co się stało?

- Stary dziad z ciebie.

- Ha, ha, ha. Wcale nie.

- A właśnie, że tak - droczyłam się z nim. - Pewnie jeździłeś na koncerty Elvisa Presleya, nosiłeś dzwony i...

- Skarbie, urodziłem się pod koniec lat sześćdziesiątych.

- No przecież mówię - nie dawałam za wygraną.

- A ty ile masz wiosen?

- Kobiety nie pyta się o wiek. - Zanurzyłam łyżeczkę w herbacie, po czym energicznie ją zamieszałam.

- Czyli ile?

- Trzydzieści dziewięć - powiedziałam szeptem.

- Głośniej, nie słyszę.

Widziałam, że się nabija, i powtórzyłam z powagą:

- Trzydzieści dziewięć. Zaczął się śmiać.

- Cholera, to ty siksa jesteś. Z epoki Beatlesów. Niespodziewanie dotknął mojej dłoni i spojrzał mi głęboko w oczy.

- Czujesz, jakie ciepło bije ode mnie? - zapytałam.

- Tak. - Skinął głową.

- A więc możesz poczuć mnie całą, jeśli tylko zechcesz. - Mnie samą zaskoczyła moja bezpośredniość.

- Uwierz mi... - zaczął drżącym głosem - ...chcę tego samego co ty, ale...

- Tak, wiem. Nie było rozmowy.

- Tak się umawialiśmy.

- Zgadza się.

Odwróciłam wzrok. Serce zaczęło mi mocniej bić. Czyżbym się w nim zakochiwała? Nie, to niemożliwe. Lubię spędzać z nim czas, rozmawiać, śmiać się, droczyć. To wszystko.

Wiktor wszedł cichutko do sypialni.

- Przepraszam - powiedział.

- Za co? - Podniosłam na niego wzrok.

- Za to, że ostatnio jestem dla ciebie taki szorstki. Ze nie mam dla ciebie czasu.

- Ja też nie jestem najlepszą żoną - odpowiedziałam ze skrucą. Ostatnio zaniedbywałam rodzinę i dom kosztem spotkań z Nieznajomym.

Usiadł przy mnie na łóżku i objął mnie. Uśmiechnęłam się. Mój mąż i ja w objęciach.

- Kiedy wracałem dziś do domu, uświadomiłem sobie taką oczywistą rzecz, że miłość zaczyna się chyba od słów „na złe”. Przetrwac złe chwile razem. W naszym małżeństwie nie dzieje się najlepiej - powiedział spokojnie. Pokiwałam głową, a jednocześnie poczułam wyrzuty sumienia, że wciąż myślę o Nieznajomym.

- Jeśli twoja propozycja jest wciąż aktualna, to może zrobilibyśmy coś szalonego?

-Co?

- Moglibyśmy wyjechali gdzieś razem na weekend i zapomnieć o otaczającym świecie.

Zamrugałam oczami. I to mówił mój Wiktor?

Wyjazd był udany. Bawiłam się bardzo dobrze. Jednak nie mogłam zapomnieć o Nieznajomym. Staralam się o nim nie myśleć, a mimo wszystko wciąż był przy mnie. Może nie potrafiłam kochać już męża, może za dużo w tym związku było niedopowiedzeń. A może zgłupiałam na punkcie tamtego i nieważne, co

zrobiłby Wiktor, jak bardzo by się starał, moje serce będzie już należało do tego drugiego. A może jest tak, że człowiek pragnie nieustającego stanu zakochania, kiedy motyle latają w brzuchu, pragnie się myśleć wyłącznie o obiekcjach westchnień, pragnie się żyć, nie stąpając po ziemi, i marzyć...

- Kochanie? - zapytał Wiktor, kiedy wracaliśmy do domu. -Tak?

- Sądzisz, że jest już dla nas za późno?

- Nie rozumiem.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi - powiedział dobitnie.

- Nie, nie jest za późno.

- Pomyślałem... - głośno przełknął ślinę -.. że może poszlibyśmy na terapię.

- Terapię? - Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Terapię małżeńską. Na pewno nam nie zaszkodzi, a może pomóc.

- Zastanowię się nad tym - odpowiedziałam wymijająco, choć wiedziałam, że nie mam ochoty na żadne terapie.

- Może dobry psycholog byłby nam w stanie pomóc - powiedział miękko.

„Jakie to wszystko jest dziwne. Kiedy ja chciałam coś zrobić z naszym małżeństwem, wówczas Wiktor się ode mnie odsuwał. Gdy teraz ja zaczęłam się od niego oddalać, on próbuje ratować nasz związek. Nawet w tym się mijamy" - pomyślałam gorzko.

Rozdział 8

Wymarzony mężczyzna

- Jaki jest twój wymarzony mężczyzna? - zapytał Nieznajomy.
 - Jak z marzeń nastoletniej dziewczyny.
 - No, to dość tandetny. - Zaśmiał się.
 - Niepoprawnie romantyczny. Taki, co smaruje mi kromkę chleba miodem, parzy dla mnie kawę w imbryczku, mówi do mnie szeptem, w jego oczach igrają chochliki, a usta rozpromieniają mu się w uśmiechu na mój widok.
 - I zapewne rozsypuje płatki róż na białej pościeli? -Nie.
 - Nie? - zapytał. - Myślałem, że każda kobieta o tym marzy.
 - Ja wolę, żeby rozrzucił garść stokrotek na krwistoczerwonej atłasowej pościeli, a potem karmił mnie truskawkami i tulił do snu.
 - O kurczę, naoglądałaś się romantycznych filmów!
 - Kobiety czasami marzą. - Zachnęłam się.
 - Ostro świrują.
 - Nie lubię cię. - Odwróciłam się od niego i udałam obrażoną.
 - Pewnie, że lubisz.
- Na kolejnym spotkaniu zaprowadził mnie na parking.
- Po co tu przyszliśmy?
 - Idziemy do mojego samochodu.
 - Znowu chcesz, żebym ci sprzątała?
 - Zobaczysz. Chcę ci coś pokazać. Co?

- Cicho bądź.

Wyjął kluczyki z tylnej kieszeni spodni. Samochód zamrugał światłami.

- Otwórz tylne drzwi - rozkazał.

- Ale po co?

- Otwieraj.

Był zniecierpliwiony i chyba podekscytowany. Otworzyłam drzwi i zamarłam. Tylne kanapa tonęła w stokrotkach. Malutkie bukietki piętrzyły się jeden na drugim. Były ich setki.

- Powiedziałam „garść stokrotek” i „na łóżku”. - Zachichotałam.

- Nie ma łóżka, dlatego stokrotek jest trochę więcej.

- Widzę.

- Dla ciebie.

Delikatnie ujął moją twarz w dłonie.

- Chcesz być tym jedynym, wymarzonym?

- Przyjacielem. Bardzo cię lubię, dlatego chcę, żeby ci było miło. Chciałem ci sprawić przyjemność.

Więc tylko o to mu chodziło? Nie było w tym żadnego podtekstu?

- I sprawiłeś - odparłam, a serce żwawiej mi zabiło.

Wrzuciłam do miski pokrojone pomidory i ogórka, poszarpałam sałatę i pokruszyłam ser feta. Wszystko polałam oliwą i energicznie zamieszałam. Przeszłam do salonu i nakryłam do stołu. Po chwili w progu pojawił się Wiktor.

- Cześć! - rzucił w moją stronę.

- Cześć! - odpowiedziałam. - Na obiad mamy zapiekanekę i klopsiki, do tego sałatka.

- Dobrze.

Niedługo później jedliśmy w milczeniu obiad, wymieniając tylko jakieś zdawkowe pytania typu: „Jak minął dzień?”. W końcu Wiktor rozłożył gazetę. Bardzo nie lubiłam, kiedy czytał przy stole.

- A co u ciebie? - zapytał po kilku minutach.

- Dobrze.

- No, to dobrze.

Znów ciamkanie. Jego gazeta, moje rozzalenie. Gdyby tu był Nieznajomy.....

- Podobają ci się stokrotki? - Wskazałam na ustawione na stole bukietki.

- No - bąknął pod nosem, nawet nie patrząc.

- Dostałam od kochanka - wypaliłam zniechęta, chcąc wzbudzić jego zazdrość.

Odłożył gazetę, spojrzął na mnie i zaczął się śmiać.

Położyliśmy się wcześniej. Wiktor pisał coś na laptopie, ja leżałam odwrócona plecami. Po jakimś czasie wyłączył komputer.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

Przez szpary w roletach wpadało światło ulicznych latarni. Oczy szybko przyzwyczyły mi się do mroku. Było cicho, tak cicho, że zaczęło mi to ciążyć.

- Śpisz już? - zapytałam po chwili.

Nie odpowiedział, chociaż wiedziałam, że jeszcze nie śpi.

Rozdział 9

Bezdomne serca

Z notatek N.

„Ludzie to anioły bez skrzydeł, i to jest właśnie takie piękne, urodzić się bez skrzydeł i wyhodować je sobie... ”.

Jose Saramago

- Może wybierzemy się gdzieś razem? - zaproponował pewnego dnia Nieznajomy. Serce zaczęło mi bić jak szalone. Miałam ochotę mu wykrzyknąć, że cała jestem na „tak”. Zamiast tego spytałam:

- A co powiesz żonie?

- Co roku jeżdżę na tygodniowe targi. Dlatego... - Zaczął się plątać.

- A gdzie te targi?

- W Poznaniu. Tylko że ja nie chciałbym jechać do Poznania.

- A dokąd?

- Nie wiem. A ty?

- Może na wieś albo do jakiejś malej miejsciny, gdzieś na południu Polski, żeby i pagórki były? - zaproponowałam, nie kryjąc emocji.

- Może być wieś i pagórki. - Uśmiechnął się. - Pomożesz mi to wszystko zorganizować?

- No, pewnie. Tylko córka... - powiedziałam z wahaniem.

- Przecież jest już duża - powiedział.

- Przez całe piętnaście lat nie zostawiłam Julki i Wiktora samych na tak długo. Na dwa dni - tak, ale na tydzień? Chyba po-

winni sobie poradzić, prawda? - Spojrzałam na Nieznajomego, szukając u niego potwierdzenia swoich słów.

- Na pewno. Odpocznę od ciebie, a ty od nich. Wszystkim to wyjdzie na dobre.

Był bardzo przekonujący. Zależało mu na tym wyjeździe ze mną. „Ciekawe, dlaczego? - zastanawiałam się w duchu. - Ale czy to ważne? Czy ja muszę wszystko analizować? Jadę, jadę z nim i tylko to powinno się liczyć. A Wiktor? Cholera, co ja mu powiem?”.

- Tylko... - Z gorączkowych rozmyślań wyrwał mnie jego głos.

- Słucham.

- Może dasz mi swój adres e-mailowy? Wiesz, żeby to sprawnie zorganizować.

-Okej.

- No, to super - uśmiechnął się do mnie. - Muszę już lecieć.

- Zaczekaj. - Zatrzymałam go. Musiałam jeszcze o coś zapytać.

- Taaak? - Spojrzał mi prosto w oczy.

- Dlaczego chcesz ze mną wyjechać? Tylko szczerze. Spoważniał i przez moment milczał, a potem zaczął powoli mówić:

- Czemu chcę jechać? Bo, widzisz, nauczyłem się, że w życiu piękne są tylko chwile. To dla nich naprawdę żyjemy. Czas spędzony z tobą będzie właśnie taki. To przy tobie się śmieję, to z tobą przyjemnie mi się rozmawia... Poza tym mam już dosyć tego głosu, który jak jakiś cenzor pieprzy mi nad uchem, co mam robić, a czego nie. Chcę zapomnieć o świecie, a z tobą tak łatwo mi to przychodzi. Nic nie jest tyle warte, żeby sobie tego odmówić.

Krew w moich żyłach zaczęła szybciej krążyć. „Czego on ode mnie oczekuje? Czyżby zdecydował się zrobić kolejny krok?”.

Zaraz po pożegnaniu chwyciłam za telefon i wybrałam numer Małgosi. Opowiedziałam jej o wyjeździe z Nieznajomym.

- Kochana... - rzekła Gosia, coś żując - ...nie sądziłam, że ty, wzór matki i żony, możesz tak zgłupieć dla jakiegoś faceta.

- Gośka, nie pomagasz mi. To tylko wyjazd z kolegą. Będziemy chodzić po górach.

- I zapewne zdobywać szczyty, a nie chodzi mi tylko o te górskie... No, dobrze. - Ciamkała dalej. - Robimy tak: mówisz Wiktorowi, że mam poważne problemy małżeńskie i muszę z tobą pogadać, wyżalić się, dlatego zabieram cię na tydzień do spa.

- A jak do ciebie zadzwoni? - Stukałam nerwowo w blat stołu.

- To mu powiem, że jego żonę właśnie masuje zabójczy fizjoterapeuta.

- Gośka! - jęknęłam.

- Oj, już, już. Przecież Wiktor mnie nie cierpi, na pewno nie zadzwoni.

Wahałam się przez chwilę.

- Gośka... Wiem, że nie powinnam tego robić... - Słowa z trudem przechodziły mi przez gardło.

-Wal.

- Czy pożyczylabyś mi trochę gotówki? - spytałam cicho. Przecież nie mogłam wziąć karty Wiktora i płacić nią za pokój w hotelu.

- A co, kochaś nie zasponsoruje ci pobytu?

- Ile razy mam ci powtarzać, że to tylko kolega. Dzielimy koszty po połowie.

- No pewnie, że ci pożyczę. Ale czemu w kółko podkreślasz, że on jest twoim kolegą?

Wiedziałam, że w duchu ma ze mnie niezły ubaw.

- Dzięki. Cześć - zakończyłam rozmowę.

Tego samego dnia w skrzynce mailowej znalazłam wiadomość od nieznajomy43@op.pl. Pewnie specjalnie na tę okazję utworzył taki adres.

Rozdział 9.

Bezdomne serca

Witaj,

Co do naszego wyjazdu, zrobiłem podział obowiązków. Zerknij, czy Ci odpowiada. On - to ja, Ona - to Ty;-)

- znalezienie noclegu - On,

- zapewnienie przejazdu - On,

- wybór trasy zwiedzania wsi, miasteczek, zdobywania pagórków - On podaje kilka wariantów, potem wspólny wybór jednego z nich,

- nocleg w górach w jakimś schronisku (lub powrót do bazy na dole, nie upieram się z tym spaniem na szczytach) - On.

Hmm..., w sumie wyszło, że prawie wszystko ja mam robić... Jeśli tak zostanie, to będziesz musiała być w zamian baaaaardzo miła... ;-))
Żadnego marudzenia i użalania się nad sobą...;-)

Mój mejl do niego: No hej,

Najpierw Ci napiszę, że bardzo się cieszę, że zabierasz mnie na tę wieś i w te góry czy pagórki;-) Jestem ogromnie podekscytowana. Czuję się jak mała dziewczynka, która dostała upragnioną lalkę.

Żeby mój wkład nie był tak mały, dopisuję swoje zadania:

- stawienie się na miejscu zbiórki - Ona,

- bycie miłą dla Nieznajomego - Ona,

- zrobienie Nieznajomemu, w zależności od upodobań, kawy albo herbaty - Ona,

- wdrapanie się na szczyt - Ona.

Jak widać, też muszę zadbać o kilka spraw. Nie tylko Ty;-) Odpisał po kilku minutach:

Taaaak. Oczywiście, też masz swój udział w naszej eskapadzie ;-)

Zastanawiałem się, czy kupić butelkę lub dwie jakiejś wódeczki do drinków... :-)

Ja: Ty tak serio z tymi wódkami? To znaczy, że masz zamiar wy-trąbić dwie butelki? Wiesz, w sumie mi to nie przeszkadza, byle-

byśmy tylko dojechali tam, gdzie mamy dojechać, i żebyś nie chrapał za głośno.

On: A dam radę na trzeźwo?;-)

Ja: Obawiam się, że możesz nie dać rady wytrzymać ze mną na trzeźwo;-) Tylko zamów dwa pokoje albo jeden z podwójnym łóżkiem.

On: To wolę jeden z podwójnym łóżkiem.

Ja: O Boże, miałam na myśli dwa pojedyncze, nie podwójne. Dwa pojedyncze!!!

On: Za późno...:-) Pierwsze słowo do dziennika... Pewnie, że pojedyncze, a jak ty to sobie wyobrażałaś?;-)

Ja: A teraz jeszcze jedno pytanie: Czy masz czasami takie myśli, żeby kogoś udusić albo poćwiartować?

On: Me, nie mam takich myśli, ale obawiam się, że Ty czasami masz...;-)

Nie potrzeba Hiszpanii, Francji, Lazurowego Wybrzeża... Polskie miasteczka są takie urokliwe. Stare kamienice, ulice wykładane kostką, sklep, w którym jest wszystko: warzywa, mleko, płyn do płukania tkanin i gwoździe. Ludzie się znają i można kupować na tak zwaną krechę. Znaleźliśmy się na targu, pod Sanokiem. Stragany, przekupki, świeże owoce i warzywa. Wszystko mieniło się kolorami, soczyste i dojrzałe. Ani śladu zwiędłej sałaty, pakowanej w folię. Wzięliśmy łubiankę malin, jabłka i gruszki. Potem usiedliśmy na białym murku. Ja jadłam, a Nieznajomy patrzył na chmury.

- Wiesz, odkąd cię poznałam, miewam sny - zaczęłam.
- Wcześniej nie miałaś?
- Nie, zupełna pustka. Spałam tylko, żeby się wyspać.
- Co ci się teraz śni?
- Wszystko. Pięknie śnię. Moje sny są intensywne, barwne, pełne ekspresji. Podobają mi się.

- Cieszę się.

Pochłonęłam ostatnią malinę i wytarłam ręce o spodnie. Nie przejmowałam się, czy je pobrudzę. Zadarłam głowę i też popatrzyłam na przesuwające się po niebie obłoki. Nawet gdyby chciało się je złapać, i tak by uciekały.

- Czasami wydaje mi się, że rzeczywistość jest iluzją.

- W każdym razie jest taka, jak ją postrzegamy. Każdy widzi ją na swój sposób. Słyszałem kiedyś opowieść o tym, jak jakiś Indianin napotkał białego człowieka. Każdy z nich wrócił potem do swoich i opowiada, co się stało. Biały mówi: „Spotkałem Indianina. Podchodzę do niego, a on wskazuje na mnie palcem, grożąc, że mnie zabije. Więc pokazuję mu dwa palce, przestrzegając, że wydłubię mu oczy. Na to on składa dłonie w trójkąt i prosi mnie o przebaczenie, a ja robię falisty ruch dłonią i mówię, że ma się stąd zabierać”. W tym czasie Indianin przychodzi do swojej wioski i mówi: „Spotkałem bladą twarz, więc wskazuję na niego palcem, pytając: «Ktoś ty?». Odpowiada mi, że kozica. Pytam go, czy górską, a on na to: «Nie, rzeczna»”.

- Zabawna opowiadka.

- Ale jakże mądra. Trzeba rozumieć, że każdy człowiek inaczej postrzega rzeczywistość.

- Czy to źle? - spytałam.

- Nie wiem. Po prostu każdy ma swój obraz świata, subiektywny obraz.

- Rzeczywistość to wehikuł czasu, przemieszczający pionki po czarno-białej szachownicy świata.

- Ho, ho! - Nieznajomy szturchnął mnie w bok i zaczęliśmy się śmiać.

- Czasami mam takie filozoficzne wzloty. A z tobą dobrze mi się rozmawia - powiedziałam i spojrzałam na niego w tym samym momencie, w którym on obrócił głowę w moją stronę. Serce znów szybciej mi zabiło. Wystarczyłoby się nachylić, żeby go pocałować. Zabrakło mi odwagi. Chcąc pokryć zmieszanie, zadałam mu pytanie, starając się, by zabrzmiało jak czysto hipo-

tetyczny przykład: - Czyli ja mogę postrzegać naszą znajomość jako romans, a ty jako kumplowski układ?

- W sumie tak - zaczął rzeczowo. A potem dodał: - Cieszę się, że w twoim życiu zmieniło się coś na lepsze. Bo my... - mówił coraz wolniej - .. jesteśmy tu przecież tylko na chwilę.

- To znaczy?

Chyba jednak przestraszy! się moich wcześniejszych słów.

- Nasza znajomość nie jest czysto platoniczna. Nie zaprzeczaj, podobamy się sobie. Kiedy któreś z nas zapragnie czegoś więcej, wtedy to rozsawniejsze powinno zakończyć znajomość. Nie możemy sobie dawać niczego poza przyjaźnią, nie możemy liczyć na nic więcej.

- Tak, wiem. - Pokiwałam głową, ale zaraz potem usłyszałam własne słowa: - Tylko że to do mnie nie dociera. Chciałabym cię mieć przy sobie zawsze i na wyłączność. Chcę z tobą rozmawiać, uśmiechać się do ciebie. Co mam zrobić, żeby cię zatrzymać?

Nic nie odpowiedział, tylko potrząsnął głową.

- Może powinnam zadzwonić do Boga i złożyć reklamację? Zaśmiał się.

- Ja też lubię z tobą przebywać - zaczął. - Jesteś wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju.

- Ja? - spytałam z niedowierzaniem. Jakże dawno nie myślałam tak o sobie!

- Ty. - Pogładził mój policzek. -Tylko że oboje mamy rodziny.

Słońce ostro świeciło, dlatego zamknęłam oczy. Nieznajomy musnął moją twarz koniczyną. Uśmiechnęłam się. Moje ciało zalała fala gorąca. Nie otwierałam oczu, by przedłużyć ten stan błogości. Z pobliskiej kawiarenki dobiegała nastrojowa muzyka. Było mi naprawdę dobrze. Od dawna nie czułam się taka szczęśliwa. W pewnym momencie Nieznajomy wziął mnie za rękę i zaczął całować wnętrze dłoni. Podnieciła mnie ta niewinna pieszczota. Żaden facet nigdy nie całował wnętrza mojej dłoni.

- Będę rozpoczynała zdanie, a ty będziesz je kończył, tak jak czujesz.
- Dobrze. - Obrócił się na bok, cały czas trzymając moją rękę w swoich dłoniach. „Czy tak zachowują się znajomi? Czy ten mężczyzna nie daje mi nadziei na coś więcej niż tylko przyjaźń? Jak różnie mężczyźni i kobiety postrzegają świat!”.

- Życie jest...

- ...kruche, ulotne, często pogmatwane, szczęśliwe, pełne niespodzianek. Jedno. Wyjątkowe, bo niepowtarzalne.

- Czasami wystarczy chwila...

- ..by dwoje ludzi zrobiło głupstwo. Usiadłam i podciągnęłam kolana pod brodę.

- Ludzie, którzy siebie pożądamy, kierują się instynktem. Tak niewiele wystarczy, by zdradzić. Spotykasz na swojej drodze osobę, której pożądasz, i bach, lądujesz z nią w łóżku. - Spojrzałam mu głęboko w oczy.

Zaśmiał się.

- Bez przesady, nie jesteśmy zwierzakami - powiedział. -Ale masz rację, pożądanie to wielka siła. Wzajemne przyciąganie bywa ogromne. Czasami wystarczy jedno spojrzenie, a ciała są na „tak”. Jedna chwila zawieszenia między niebem a piekłem, jedna decyzja, jeden dotyk. Pragnienie silniejsze od wszystkiego, pragnienie, by działać natychmiast, by osiąść tu i teraz, do utraty tchu, by stopić się z drugą osobą, by twoje ciało stało się jego ciałem. Objęcia, pieszczoty, nieziemski rozkosz. A potem to dryfowanie w nieznane, odkrywanie nowych lądów...

Zrobiło mi się gorąco od tych słów, musiałam się od niego odsunąć.

- Ilu miałś partnerów? - zapytał.

- Czterech, pięciu.

- Dużo, jak na kobietę.

- A jak na mężczyznę?

- W sam raz. Parsknęliśmy oboje.

-A ty?

-Moja żona jest moją pierwszą i jedyną partnerką. Bo wiesz, chodzi o zasady, a jak się kogoś kocha...

- Czyli twoim zdaniem jestem rozwiązła? - weszłam mu w słowo. - Ja tylko poszukiwałam miłości, wierząc, że w końcu ją znajdę. Błądziłam po omacku, byłam ślepa, a kiedy indziej chciałam być po prostu szczęśliwa.

- Co ty wiesz o szczęściu? -A ty?

- Tyle, co nic - odparł.

- Jak ze zdrowiem: docenia się je po stracie.

- Wtedy się widzi, że było przed tym „źle”, które jest teraz.

- Ale kiedy ono było, to się o nim nie wiedziało.

- Albo nie chciało się wiedzieć. Traktowało się je jako coś oczywistego, coś, co się nam należy - dodał.

- A ono nie trwa wiecznie. Uświadamiam to sobie, kiedy patrzę na tęczę, jestem na wakacjach, dotykam twojej dłoni...

Po powrocie do pokoju spojrzałam na telefon. Osiem nieodebranych połączeń. Wszystkie od Wiktora. Serce podeszło mi do gardła. Dowiedział się o wszystkim? Domyślił się, że nie wyjechałam z Goską? Muszę do niego jak najszybciej oddzwonić. Trzęsącymi się dłońmi wybrałam numer.

- Wiktor?

- Natalia, wszystko w porządku?

- W porządku. - Staralam się, by mój głos brzmiał zwyczajnie.

- Dlaczego nie odbierałaś? Martwiłem się.

- Przepraszam, byliśmy z Gosią na zabiegach.

- Ach tak... - Chwila ciszy. - Mogłaś po prostu dać znać, że dojechałaś.

Rzeczywiście, powinnam. Zachowałam się nieodpowiedzialnie. Mam przecież męża i dziecko.

- Jak Julka? - spytałam.

- W porządku.

Chwilę rozmawialiśmy o bieżących rachunkach i o tym, że trzeba zmienić kablówkę. Potem rozłączyliśmy się. Usiadłam bez ruchu, wpatrując się w aparat. „Kłamstwo tak łatwo mi przyszło. Jakim jestem człowiekiem, skoro tak perfidnie oszukuję swoją rodzinę?” - pomyślałam ze smutkiem. Odsunęłam jednak te myśli od siebie. To nieodpowiedni moment na takie rozważania. Nie chciałam zepsuć sobie wyjazdu.

Weszłam pod prysznic. Ciepła woda działała jak balsam. Wyrzuty sumienia zniknęły.

Następnego dnia ruszyliśmy na wschód od Sanoka, gdzie wznoszą się Góry Słonne. To dziki, mało znany zakątek. Większość turystów nawet nie wie o ich istnieniu. Ja trafiłam na wzmiankę o nich na jakiejś stronie internetowej.

Szczyty nie są wprawdzie wysokie, a podejścia nie pozwalają napawać się widokami, bo stoki porasta las, ale w sumie chodziło nam o to, by trochę połączyć po niewysokich pagórkach. Wędrówka wśród dorodnych buczyn bardzo odprężyła. Szliśmy powoli, dookoła panowała cisza. W czasie kilkugodzinnego marszu minęliśmy tylko jednego turystę. Połacie Gór Słonnych przecinane są leśnymi potokami, przepastnymi jarami i wąwozami. W dolinach pomiędzy grzbietami leżą niewielkie wioski, a wokół nich rozciągają się łąki i pola.

- Wiesz, że niedaleko stąd jest urocze miasteczko, Lesko? Jak głosi legenda, kiedyś grasował w nim wampir, który nocą zakradał się do kościoła, zjadał świece z ołtarza i rozbijał lampy - powiedział Nieznajomy.

-1 co? - zapytałam.

- Sądzę, że za dnia może grasować w tych górach.

- Boję się - szepnęłam, udając zaniepokojenie.

- Wampira?

- Ciebie.

Zaczęliśmy się śmiać.

Podmuch wiatru poruszał delikatnie liśćmi. Między drzewami połyskiwał strumyczek. Nieznajomy wziął mnie za rękę i poprowadził na polanę. Słońce przebijało się poprzez korony drzew, rzucając cień na złotej piaszczystej glebie. Niebo było bezchmurne, typowo letni dzień. Takie przyjemne ciepło dawało niespożyta energię. Wzięłam głęboki oddech, czując zapach mchu, żywicy i sosnowych igieł.

- Tutaj diabeł mówi dobranoc - powiedziałam.

- A anioł dzień dobry. - Uśmiechnął się do mnie.

- Co będziemy robić? - spytałam po chwili.

- Można tu wsłuchać się w siebie, modlić się, tańczyć, zbierać liście. Oderwać się od wszystkiego, co mamy na co dzień, i pobyć ze sobą samym. Głęboko oddychać i czuć bicie swego serca.

Spojrzałam na niego. Coś mnie ujęło w tych słowach. Zdjęłam buty i skarpetki i zaczęłam brodzić w wilgotnym mchu, zostawiając Nieznajomego za sobą. Wystawiłam twarz w stronę słońca. „Dobrze mi ze sobą. Biorę w nawias swoje codzienne zmagania, słabości, wady, upadki, by zbliżyć się do swojej samotności i tego, co najważniejsze” - pomyślałam.

Marzę, a raczej otaczam się pozytywnymi myślami, że sporo jest jeszcze przede mną, choć już niemało za mną. Połowa życia. Jeśli dobrze pójdzie.

Moja samotność miała wymiar metafizyczny, wręcz mistyczny. Coś kazało mi zdjąć spodnie i bluzkę. Od razu zrobiło mi się lżej. Jakbym pozbyła się jakiejś skorupy, pancerza. Zaczęłam tańczyć, wirować, unosić ręce do góry.

Nagle usłyszałam śmiech dziecka.

- Mamusiu! Tato! Goła pani tańczy.

Odwróciłam głowę w kierunku dobiegającego głosu i zobaczyłam utkwione we mnie trzy pary oczu. Uśmiechnęłam się w ich stronę.

- Wariatka - orzekła kobieta, nie kryjąc zgorszenia.

- Pieprznietta jakaś - dodał facet.

- Ale fajna pani! - Dziecko zaczęło się śmiać i machać do mnie. Ja też mu pomachałam.

Czyż to nie wspaniale, przez chwilę poczuć siebie, odrzucając konwenanse? Zadziwić siebie i innych dookoła. Uśmiechnąć się do swojego wariactwa. Uścisnąć ręce ukrytej nienormalności. Któż jest normalny w tym nienormalnym świecie?

Ubrałam się i zaczęłam podziwiać kolory lasu. A potem ruszyłam w kierunku Nieznajomego. Chyba wystarczy mi tej samotności.

- Każdy powinien mieć w życiu jakieś chwile dla siebie, kiedy wsłuchuje się w to, co dusza ma mu do powiedzenia - powiedział na mój widok. - Takie bycie ze sobą sam na sam jest bardzo potrzebne.

Zamyśliłam się.

- Było dobrze. Przez chwilę byłam sobą na sto procent. W swojej wewnętrznej samotności odkryłam miłość. I to nie była miłość do dziecka ani do męża, tylko do siebie.

- Pięknie. - Klasnął w dłonie.

- Ale potem poczułam się tam obco. Coś zaczęło mnie dusić. Musiałam wrócić do ludzi.

Bar mleczny. W wielkich miastach takich nie ma. Tanich, z dobrym jedzeniem. Weszliśmy do środka. Z sufitu zwisał żyrandol pamiętający czasy Gierka, od ścian miejscami odpryskiwała farba, stoliki przykryto ceratą w kratę. Ale jedzenie było wyborne, porcje olbrzymie. Zamówiłam makaron ze śmietaną i białym serem. Posypałam go obficie cukrem. Popiłam kompotem.

- Smakowało? - zapytał Nieznajomy

- Było pyszne - odpowiedziałam, rozpinając guzik w spodniach. A po chwili zaproponowałam szeptem: - Chodź, poplotkujemy o ludziach, którzy tu siedzą.

- Co masz na myśli? - spytał również szeptem.

- Będziemy udawać, że umiemy czytać w ich myślach.

- Dobra. - Skinął głową i przełknął kawałek ciastka.

- Wkradnij się w umysły tych ludzi i powiedz, co tam widzisz
- powiedziała. Czułam się jak Ewa w raju. Kusicielka.
- Zaśmiał się.
- Może zaczniemy od tamtej dziewczyny. - Wskazałam palcem dwudziestolatkę z lekko podpuchniętymi oczami. - Co myślisz?
- Nic. -Nic?
- W głowie ma pustkę. Tak bywa, gdy kończy się miłość. Wszystkie myśli znikają. A teraz twoja kolej. Co myślisz tamten wąsaty mężczyzna?
- Który? - Nachyliłam się, żeby lepiej go zobaczyć. Przez chwilę byliśmy z Nieznajomym blisko siebie. Zbyt blisko.
- Ten, który się tak śmieje.
- Cieszy się, że dostał drugą szansę od losu.
- Uważasz, że możemy otrzymać drugą szansę w życiu? -Nieznajomy spytał z powątpiewaniem.
- Drugą, trzecią i dziesiątą. Czemu cię to dziwi?
- Sam nie wiem. Czasami mi się wydaje, że mamy tylko jedną szansę.
- Gdyby tak było, już na samym starcie bylibyśmy skazani wyłącznie na porażkę. Spójrz na tę parę. - Wskazałam kobietę i mężczyznę po pięćdziesiątce. - Trzymają się za ręce i są tacy szczęśliwi.
- Myślą o swojej córce, która dała im wnuka. On jest dumnym dziadkiem. Ona w pierwszej chwili przestraszyła się, że zostanie babcią, że czas tak szybko upływa. Ale odkąd zobaczyła swojego wnuka, jest najszczęśliwszą osobą na świecie.
- Szkoda, że ludzie nie umieją naprawdę czytać w myślach
- powiedziała.
- Czyżby? Chciałabyś znać wszystkie tajemnice? Czym bez nich byłby świat?
- Myślę, że ludzie byliby bardziej wyrozumiali. Szczerzy. Prawdziwi.

- Zastanów się, w ilu sytuacjach taka umiejętność byłaby zaletą, a w ilu wadą. Czytanie w myślach odzierałoby z intymności, odbierałoby prywatność.

- Może gdyby małżonkowie posiadali tę umiejętność, lepiej by się dogadywali? On wiedziałby, że ona potrzebuje czułości, ona zamilkłaby, kiedy on potrzebowałby ciszy.

Pokręcił głową.

- W sumie masz rację - skapitulowałam. - To wcale nie byłoby takie fajne. - Wyobraziłam sobie minę Wiktora, gdyby dowiedział się, ile naprawdę kosztuje krem przeciwzmarszczkowy. - A politycy, bankierzy, biznesmeni, handlowcy? Wszyscy poumieraliby z głodu, firmy by poupadały. Patrz, rzeczywiście świat kręci się dzięki kłamstwu.

- Może nie jest aż tak źle - odparł Nieznajomy. - Kręci się tylko dzięki lekkiemu naginaniu prawdy.

Wieczorny spacer wąskimi uliczkami. Zbita latarnia, przystań ze zdezelowanymi łódkami, skrzypiący pomost i my. Szliśmy blisko siebie, jak para zakochanych. A jednak nie byliśmy parą. Obowiązywały nas pewne reguły. Chociaż... może właśnie w tym miejscu, o tej porze powinny zniknąć wszystkie zakazy i nakazy. Może nie powinien liczyć się czas, nie powinny nas wiązać obietnice ani obrączki.

- Spotkania z tobą sprawiły, że rodzę się do nowego życia - zaczęłam.

- Chcę żyć inaczej niż do tej pory.

- To dobrze. Na wszystko przychodzi odpowiedni czas. Na pracę, odpoczynek, wędrowkę po górach i na to, by zdmuchnąć świece z urodzinowego tortu i zastanowić się nad sobą.

Słysząc było, jak woda pluska miarowo, spokojnie. „Jak fale czasu” - pomyślałam.

- Tyle dni zmarnowałam. Żal mi ich.

- Co się stało, to się nie odstanie. Nie ma sensu rozpaczać nad tym, co było. Zawsze trzeba myśleć o tym, co jest teraz. Może pomyślisz, że się wymądrzam. Zresztą mnie czasami też trud-

no jest się cieszyć z tego, co mam. Ale popatrz, masz tak wiele: zdrowie, dwie ręce i nogi, a to już dużo. Wystarczająco, żeby podążać po ścieżce życia. Zdobywać góry. Podnosić się i upadać, bo czasem się błądzi. Wszyscy błądzimy, po omacku szukając światełka w tunelu.

- Czy wiesz... - mówił dalej - .. że masz w oczach około stu milionów receptorów? Dostałaś je po to, by oglądać wschody i zachody słońca, przyływy i odpływy morza... Jesteś najdoskonalszym dziełem, niesamowitą energią...

Musiałam mieć dziwną minę, bo nagle przerwał swój wywód i powiedział z uśmiechem:

- Ja ci tu prawie swoje mądrości, a ty chyba ziewasz? -Szturchnął mnie w bok.

- Przepraszam.

- Jesteś zmęczona?

- Trochę śpiąca.

- Zaraz wracamy. - Wskazał głową hotel.

- Dlaczego w końcu zarezerwowałaś dwa pokoje? - zapytałam.

- Dla bezpieczeństwa.

- Nie wystarczyłyby osobne łóżka?

- Wystarczyłyby, ale byłoby trudniej...

- Trudniej co?

- Oprzeć się pokusie.

- Jesteś moim przyjacielem.

- Ale także facetem.

Kolejne dni były dla mnie jakby wyrwane z rzeczywistości. Wypożyczyliśmy rowery i zwiedzaliśmy okolice. Nieznajomy wybierał niezbyt wymagające trasy, gdyż ostatni raz na rowerze jeździłam dziesięć lat temu. Drogi prowadziły łagodnymi, długimi podjazdami. Pogodę mieliśmy idealną, na szlakach było bardzo niewielu turystów. Minęliśmy zarośnięty cmentarz, kapliczkę pod lipą, wałącą się chałupę, w której kiedyś tętniło życie, pasące się owce.

To właśnie z Nieznajomym obserwowałam tutaj gwieździste niebo nocą, śledziłam wzrokiem Drogę Mleczną, poczułam wiatr we włosach i zasmakowałam dzikich jagód. To tutaj, u boku tego mężczyzny poczułam się naprawdę wolnym człowiekiem. Jednak mijał dzień za dniem i czas powrotu nadchodził nieubłagane.

W drodze powrotnej mieliśmy przesiadkę na Dworcu Centralnym w Warszawie. Byłam tutaj dopiero drugi raz w życiu, ale chciałam jak najszybciej stąd uciec. Śmierdziało moczem i potem. Podróżni biegali w podziemiach niczym szczury w kanale. Wsiadali do pociągów i odjeżdżali. Widziałam jednak i takich ludzi, którzy tu mieszkają. Ten dworzec to ich dom, ich życie, cały świat. Patrząc na bezdomnych, poczułam ucisk w sercu.

- Żal mi ich.

- Mnie też - rzekł Nieznajomy. - Kiedyś robiłem o nich reportaż.

- Jesteś dziennikarzem?

- Studiowałem dziennikarstwo, ale nic z tego nie wyszło. O bezdomnych pisałem pracę semestralną. Pamiętam jedną kobietę. Czekał, czekał... Mira? - Potarł czoło. - Tak, miała na imię Mira. Sześćdziesiąt parę lat. Siedziała przygarbiona na plastikowej ławce. Drżała. Było jej zimno. Między peronami okrutnie wieje. Skulona, z podwiniętymi nogami, patrzyła przed siebie niewidzącymi oczami. Obok niej leżało małe zawiniątko. Lniany worek, czarny od brudu i kurzu. Koło niej przysiadali inni bezdomni, zagadywali. Nie chciała rozmawiać. Uśmiechała się tylko i kiwała na boki. Woląла swoją samotność. Przynajmniej tak to wyglądało.

- Jak się tu znalazła? - pytam.

- Nie pamiętała.

- Alzheimer?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie miała rodziny, dzieci?

- Kto to może wiedzieć? Czasem wydawało się jej, że miała dwóch synów, że jeden został nauczycielem, a drugi pracuje

w urzędzie. Ale kiedy ich ostatnio widziała, tego nie była pewna. A ja nie byłem pewien, czy w ogóle istnieli.

Bezdomni zawsze kojarzyli mi się z degeneratami, którzy sami są winni tego, że znaleźli się na dnie. Może to za proste oceny. Łatwo jest osądzić, potępić, postawić na kimś krzyżyk.

- Mów dalej, chcę poznać historię tej kobiety.

- Udało mi się ustalić tylko tyle, że kilka lat wcześniej była w domu opieki. Kto wie, może rzeczywiście miała tych synów, ale każdy z nich był zajęty własnym życiem? Teraz tak bywa: odwiedziny u matki raz w roku, na święta. Żeby mieć czyste sumienie, że przyjechali. Odbębnić i zapomnieć. W ciągu roku nie ma czasu. Można wysłać jakieś drobne sumy, zadzwonić na imieniny. I tyle. U młodych nie ma miejsca na starość. Trzeba być *cool*, tryskać radością, energią. Wszystko nakręcone przez system. A matka może była staroświecka, zacofana, chodziła do kościoła. Nie rozumiała. Żyła z roku na rok, coraz bardziej tęskniąc. A tęsknota może pogrążyć człowieka w chorobie, a nawet zabić. Serce stuka coraz smutniejsze melodie, aż w pewnym momencie chce zapomnieć, że kochało. Może ona w ten sposób zaczęła zapominać? Nie pamiętała, że to coś, czym się je, to widelec, wychodziła na spacer i zapominała drogi powrotnej do domu. W końcu umieszczono ją w domu opieki. Wciąż miewała przebłyski świadomości i woli. Wstawiała w nocy, szukała drzwi, naciskała klamkę. Drzwi nigdy się nie otwierały, były zamknięte. Dlaczego? Podchodziła do okna - zakratowane. W świetle latarni widziała pobliskie zarośla. Zamykała oczy i marzyła o wolności, o tym, żeby położyć się na zielonej trawie albo zbierać grzyby. I któregoś dnia udało jej się wymknąć. Ktoś nie zatrzasnął drzwi. A potem dworzec stał się jej domem.

Spojrzałam na bezdomnych, ludzi wykluczonych ze społeczeństwa. Dzielili się czerstwym chlebem, popijali gazowany napój, z którego dawno uszedł gaz. „Każdy z nich jest taki sam jak ja czy ty. Oni istnieją!” - pomyślałam rozpaczliwie.

Ta przesiadka na Centralnym na długo pozostanie mi w pamięci.

Nadszedł czas pożegnania. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

- Kiedy odchodzisz, to dla mnie jakby gasło słońce - powiedziałam wyświechtany frazes, ale tak właśnie czułam.

Odpowiedział na to cudnie:

- Kiedy gaśnie słońce, trzeba rozglądać się za gwiazdami.

- Tylko że gdy ciebie przy mnie nie ma, jest szaroburo, jakby nieustannie była jesień i padał deszcz - narzekałam.

- Deszcz w końcu przestaje padać i robi się cieplej. - Na wszystko miał gotową odpowiedź.

Powrót do domu był bolesny. Nie dlatego, że miałam jakieś wyrzuty sumienia wobec Wiktora. Przecież nic nie zrobiłam. A może jednak zrobiłam? Te westchnienia, szybsze bicie serca, miękkie nogi na widok innego mężczyzny, kłamstwa, którymi będę musiała uraczyć męża. Czy to jest nic? Czy może już coś?

- Jestem! - krzyknęłam w progu. Odpowiedziała mi cisza. - Halo?

Otworzyłam drzwi do kuchni i stanęłam jak wryta. Na stole stał ogromny kosz z długimi różami, a obok niego lekko przechylony na bok tort i butelka szampana.

- Niespodzianka! - Spod stołu wyszedł mój mąż z córką. Zaczęłam się śmiać.

- Dziękuję wam, kochani!

Julka podbiegła i rzuciła mi się na szyję, jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała, tuląc się do mnie.

- Ja za tobą też. - Objęłam ją mocno.

- A za mną? - spytał mój mąż.

- Oczywiście. - Odwróciłam głowę w jego stronę. Zrobiło mi się głupio.

- Jak Gosia? - spytał Wiktor.

- Gosia?

Wiktor spojrzał na mnie, nic nie rozumiejąc. Złapałam się za głowę, bo w tym momencie przypomniałam sobie małżeń-

skie kłopoty Goški, której rzekomo towarzyszyłam na wyjeździe.

- Już lepiej. Przeżywa trudny okres - odpowiedziałam niepewnie. Poczułam, że się czerwienię. Nie wiedziałam, że tak trudno będzie kłamać Wiktorowi prosto w oczy. - Tort wygląda smakowicie - zmieniłam temat.

- Sami go piekliśmy - powiedziała Julka z dumą.

- Tata też?

- Tata ucierał masę.

Parsknęłam śmiechem. Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić Wiktora w kuchni. Wydawało mi się, że mój mąż nawet wodę na herbatę by przypalił, a tu, proszę, zrobił masę do tortu. Może wcale go nie znałam? Oboje się starali i widać było, że naprawdę za mną tęsknili, a ja ich perfidnie okłamywałam. Postanowiłam w duchu, że koniecznie muszę ograniczyć spotkania z Nieznajomym. Weszłam do łazienki z komórką. Drżącymi rękoma przełożyłam karty w telefonie. Wyciszyłam aparat. Tak, musiałam to zrobić. Napisać mu, że nie będziemy się już więcej spotykać. Weszłam w wiadomości i w tej samej chwili w prawym rogu pojawiła się migocząca kopertka. Otworzyłam esemes: *Dziękuję, za cudowny wyjazd. Już tęsknię.*

Tęskni...

Odłożyłam telefon na brzeg wanny. Moje silne postanowienie wzięło w łeb. Dwa zdania wystarczyły, bym fruwała z radości. Serce biło mi tak szybko, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi.

Nieznajomy. Coraz mniej go rozumiałam. Wysyłał sprzeczne sygnały. Z jednej strony, chciał, żebym była jego przyjaciółką, powierniczką - jak zwał, tak zwał; z drugiej - tęsknił za mną, patrzył na mnie maślanym wzrokiem, lubił mnie, i to chyba za bardzo. Pilnował się, ale...

A Wiktor? Czy kiedykolwiek coś mnie z nim łączyło? Coś prawdziwego? Kiedy minęło pierwsze zauroczenie, zrozumiałam, że między mną a nim jest głęboka przepaść. Przez tyle lat myślałam jednak, że to on jest moją prawdziwą miłością. Może

za dużo od niego wymagałam? Chciałam, żeby mnie kochał tak, jak ja tego chcę. A on kochał mnie po swojemu. Ale kochał.

Usiadłam na łóżku w naszej sypialni. Urządzaliśmy ją wspólnie i malując ściany, świetnie się bawiliśmy. Przepychaliśmy się na drabinie, malowaliśmy wzorki, by później pokryć je jednolitą warstwą farby. Potem przez kilka dni ustawialiśmy meble, bo żaden układ nie wydawał się dość dobry. Duża szafa nie chciała zmieścić się w tej klitce.

To było kiedyś, a teraz...

Wiktor zajrzał do sypialni.

- Jesteś głodny? - zadałam rytualne pytanie, towarzyszące naszemu małżeństwu od lat.

- Nie - odparł i uniósł butelkę z piwem. - Zjadłem na mieście hamburgera.

- Od kiedy jadasz na mieście? Wiedziałam, że nie lubi jedzenia na wynos.

- Od kiedy przestałaś gotować.

- Wiktor... - Westchnęłam. - Zdarzyło mi się to raz, może dwa.

- Pięć- Liczysz? - Spojrzałam mu w oczy.

- Tak. - Pokiwał głową, zacisnął wargi i zaczął otwierać butelkę.

- Nie chcę tylko siedzieć w domku i gotować obiadków. Znudziło mi się.

- Co ci jest, u diabła? - spytał podniesionym głosem.

- Zaczęłam żyć. - Uśmiechnęłam się pod nosem.

- Słuchaj, ja wszystko rozumiem. Możesz mieć dosyć takiego życia. Tylko dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?

- Dlatego, że i tak byś mnie nie słuchał.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Masz rację, nie mogę. A wiesz, o czym marzę?

- Ty, ty, ty. Od jakiegoś czasu tylko ty się liczysz.

- Może dlatego, że przez tyle lat myślałam wyłącznie o innych. -
Zacisnęłam spocone dłonie na kołdrze.

- A ty wiesz, że ja też mam marzenia?

Nie wiedziałam. Nawet o tym nie pomyślałam. „Dobry Boże, co się ze mną dzieje? Co ze mnie za matka, żona? Dlaczego krzywdzę swoją rodzinę?”.

- Naprawdę się starałam - powiedział po chwili. - Upiekliśmy z Julką ten cholerny tort. Włożyłem dla ciebie niebieską koszulkę, której nie znoszę. Nawet nie zauważyłaś.

Miał rację, nie zauważyłam.

- Słuchaj... - zaczęłam miękkiem głosem - .. ja to doceniam. Tylko że... - urwałam, nie wiedząc, co mówić dalej.

- Tylko że co?

- Sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

- A ja sędzę, że wiesz.

Na zewnątrz zapadał zmierzch. Zimny wiatr znad morza przywiał wilgotne, słone powietrze. Zaczęłam się zastanawiać, czy nasze drogi z Wiktorem całkiem się rozeszły. Może mnie wyminął i zostawił daleko w tyle? Patrzyłam na ciemne, bezgwiazdne niebo i zastanawiałam się, co dalej. Czasami po prostu wiadomo, że to nie to, że już nie będzie szalu namiętności, ucisku w dołku, miękkich nóg. Serce nie będzie tańczyć z radości.

Związek z drugim człowiekiem jest jak jazda na rowerze. Wsiadasz i pędzisz co tchu. Nowe widoki, porywające krajobrazy i ekscytacja. Z górki na pazurki, jazda bez trzymanki. Ale z każdym przejechanym kilometrem jest coraz ciężiej. Tu i tam boli, drętwieją mięśnie. Czasem trzeba zsiąść z roweru i prowadzić go albo jechać pod górę, kiedy brak sił i tchu. Są też wywrotki. Bolesne. Łokcie i kolana zdarte do krwi. Zawsze można stanąć, rzucić rower w diabły i zawrócić. Albo jednak dojechać do końca. Każdy sam dokonuje wyboru.

Czułam, że mam w sercu totalny bajzel. Przecież nie mogę zabujać się w Nieznajomym. Powinnam pamiętać o tym, że mam

męża i dziecko. Usiadłam przy kuchennym stole, z brodą opartą na rękach. Nie myślałam o niczym szczególnym. Po prostu siedziałam beczynnie, wdychając zapach lawendy. Posadziłam ją trzy miesiące temu. Nie wiedziałam, że zakwitnie tak szybko.

Rozejrzałam się po kuchni. Przydałby się remont. Szafki pożółkły. Nie podobały mi się też ściany wyłożone płytkami w kolorze zgniłej zieleni; chyba po prostu mi się znudziły.

Pod drewnianym stołem ułożył się kot, zwany przez domowników Księciem. Czulałam jego głowę na mojej stopie. Dziwny stwór. Czasami się do mnie tulił, innym razem potrafił podrapać do krwi. Usłyszałam szuranie na korytarzu.

- Wiktor! - krzyknęłam w stronę męża, który chyba chciał cichcem czmychnąć do swojego pokoju.

- Słucham? - Stał przede mną.

- Może poszłabym do pracy? - spytałam, a on machnął ręką, jakby odgarniał natrętną muchę.

- Znów będziesz się dziwił, o co mi chodzi?

Przymknął oczy i usiadł na splewiałym fotelu. Całym ciałem przylgnął do drewnianego oparcia. Patrzył przez okno. Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem. Na zewnątrz było pięknie, ogród skąpany w popołudniowych promieniach słońca. To ta godzina, którą fotografowie nazywają złotą, pierwsza i ostatnia, kiedy na zdjęciach pojawiają się głębokie kolory, światło igra z cieniem, otulając wszystko dookoła swoim miękkim tiulem. Kanty tracą ostrość, a świat barwi się na rdzawe złoto.

- Skąd ten pomysł? Nigdy nie pracowałam.

- Tak, ale chcę to zmienić.

- Dobrze - westchnął w końcu. -1 tylko tyle?

- A czego ode mnie oczekiwałaś?

- Wsparcia.

Zaczęłam się denerwować. W jednej chwili wyobraziłam sobie, jak Nieznajomy zareagowałby na wiadomość, że postanowiłam się uniezależnić i realizować swoje marzenia. Rozpromie-

niłby się, nie kryjąc entuzjazmu dla mego pomysłu. A Wiktor... Jego największą wadą było to, że nie był Nieznajomym.

- Będę cię wspierał.

- Taaak - skwitowałam ironicznym tonem.

- Przecież powiedziałem, że będę przy tobie. - Widziałam, że jest coraz bardziej zdenerwowany. - Czyja robię coś nie tak? Albo czegoś nie robię?

-Nie.

„Może tylko jest o kilka miesięcy za późno na twoje wsparcie” - pomyślałam gorzko.

Rozdział 10

Czym jest miłość?

Z notatek N.

Być jak wiatr, by w jednej chwili znaleźć się przy Tobie, pieścić Twe nagie ramiona, otulać powiewem Twoją twarz. Tylko kiedy wieje wiatr, Twoja twarz jest najbardziej prawdziwa. Rozluźniona, odarta ze wszystkich emocji... Tak, to ona, twoja twarz, jest taka kobieca.

Zauważyłam, że od kiedy poznałam Nieznajomego, jestem strasznie roztrzepana. W środę poszłam wysiać kartki: imieninową do mamy, urodzinową do siostry, i do koleżanki - z okazji narodzin dziecka. Po powrocie do domu zobaczyłam, że na stole leżą znaczki, których widocznie nie nakleiłam na koperty. Czekałam na listonosza, który przed siedemnastą miał wybierać listy ze skrzynki.

- Czy coś się stało? - zapytał zdziwiony.

- Tak. Bo widzi pan, tu mam znaczki. A w skrzynce są koperty, które wrzuciłam bez nich.

- Ach, tak. I teraz chce pani zapewne poszukać swoich listów.

- Właśnie.

Uśmiechnął się tylko.

Innego dnia zrobiłam zakupy, które gdzieś zgubiłam. Dobrze, że to tylko chleb, mleko i masło. Ale co się ze mną stało, do cholery?

Nie mogłam przestać myśleć o Nieznajomym. Pojawiał się nieustannie w moich myślach. Wcielał się w mijających mnie

przechodniów. Szukałam go wszędzie: na ulicach, w kawiarniach, w sklepie. Wystarczyło, że na mojej drodze pojawił się wysoki ciemnowłosy mężczyzna, a dostawałam małego rozumu. Szłam za owym panem, dopóki się nie odwrócił - wtedy z bólem serca odkrywałam, że to nie ON. Byłam jak opętana. Rozpamiętywałam w kółko wspólnie spędzone chwile.

Zachowywałam się jak nastolatka, która wszystko robi po raz pierwszy. Przypadkowy dotyk, przeciągłe spojrzenia, pierwsze przytulenie. On stawał się dla mnie MOIM MĘŻCZYZNĄ, tymczasem ja dla niego byłam tylko odskocznią od codzienności. Musiał to zauważyć, tę moją rozanieloną minę i to, że szaleję na jego punkcie, bo pewnego dnia powiedział mi wprost:

- Bardzo cię lubię, ale w moim życiu nie ma dla ciebie miejsca. Mam już jedną kobietę do kochania. Jest nią moja żona.

Zabolały mnie te słowa. Cholernie zabolały. Pokiwałam głową na znak, że rozumiem i niczego od niego nie oczekuję.

- Jestem twoją kumpelą. - Na mojej twarzy wykwit! blady uśmiech. Zrobiło mi się ciężko na duszy - zamiast ciepła poczułam wielki chłód. Nagle dotarło do mnie, że jestem jego koleżanką, osobą, która go wspiera, ale nie kobietą, z którą chciałby zdradzić żonę.

A może jednak się myliłam? Tak bardzo chciałam się mylić. Zaczęliśmy spotykać się coraz częściej. Było mi to na rękę. Chciałam za wszelką cenę mieć go dla siebie. Przeżywać chwile bliskości z drugim człowiekiem, z mężczyzną.

* * *

Z notatek N.

Zanurzam palce w bladym poranku, miętoszę go, tarmoszę, wyciągam we wszystkie strony.

A potem moje dłonie formują z niego piękny dzień.

Bo wszystko dzisiaj może się zdarzyć: miłości, dąsy, uśmiechy, złości, tęsknoty, porzucenia, rozstania i powroty.

Wpatruję się w spokojną twarz Nieznajomego. W myślach nieustannie go całuję - w usta i przymknięte powieki. Odgarniam mu włosy z czoła i wdycham zapach jego skóry.

- Czym jest według ciebie miłość? - pytam go.

- A czym nie jest? Miłość jest wszystkim, co dobre. Zrodzona w sercu, utkana z najpiękniejszej energii. Wyobraź sobie, że z twojego serca wychodzą promienie, każdy w innym kolorze, od złotego po krwistoczerwony. Połączone mają największą moc: miłości. Miłość to istota życia, kontemplacja dobra i piękna. To energia, która jest wszędzie - w kwiatach, w tęczy, w drzewach, w deszczu, w słońcu, w chmurach i w każdej chwili. Jest w widoku pełni księżyca i w odgłosach dochodzących z oddali. Jest wszędzie. Jest też w każdym człowieku. Jest w sercu.

- W sercu jest tyle emocji, sekretów, cierpienia... -1 miłości.

-1 miłości - potwierdzam.

- A słyszałaś, że serce każdego człowieka wysyła wibracje wyczuwalne nawet z odległości kilku metrów?

-Nie.

- Ludzie zastanawiają się czasem, jak to jest, że kogoś od pierwszej chwili lubimy, a kogoś innego mniej.

- To wszystko przez te wibracje?

- Tak. Kiedy wibracje dwojga ludzi mają podobne natężenie, wówczas coś zaskakuje. Jest takie pstryk, a może nawet wielkie bum, jak wyładowanie atmosferyczne.

- U nas te wibracje były niemal namacalne, intensywne, z innego świata. Nasze energie się skumulowały i nastąpiło trzęsienie ziemi. Takie przyjacielskie trzęsienie... - dodałam.

- Ba, przyjacielska miłość. Platoniczna. Śmieję się.

- Więc dlaczego miłość czasami bywa ślepa, potrafi sprawić krzywdę, zadać ból?

- Bo tylko taka jest prawdziwa. Krucha, ulotna, zawadiacka, piękna, wyśniona, zraniona, nieproszona, za gorąca, odurzają-

ca, dodająca skrzydeł, uszyta na miarę lub uwierająca... -
odpowiedział z pasją.

- Potrafi też wgryźć się w serce jak kleszcz. Podły robal.
- Słodka i gęsta jak gorąca czekolada.
- Ale tylko ta wedlowska. Puści! do mnie oko.
- Widzisz w miłości same pozytywy - mówię do niego.
- A tobie kojarzy się z robactwem.

Rozdział 11

Rodzinne problemy

Z notatek N

Moją kobiecą duszę wciąż nęka ją rozterki. Za dużo emocji.

Wybucha nie wtedy, kiedy potrzeba - jak wulkan.

Płonie, potrzebuje do kogoś przynależeć, nie chce być samotna.

Julka z Wiktorem pochorowali się. Byłam wściekła. Oczywiście nie na nich, tylko na tego przebrzydłego wirusa. Ich choroba oznaczała brak spotkań z Nieznajomym, bo niby jak miałabym im wytłumaczyć kilkugodzinne wyjścia z domu? Miotalam się po mieszkaniu z prędkością światła. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Wariowałam z tęsknoty za NIM.

W końcu nie wytrzymałam i poszłam do łazienki. Zmieniłam kartę w telefonie. Od razu pojawiły się trzy wiadomości. Poczulałam, że serce bije mi jak szalone.

Spotkamy się jutro? - to była wiadomość z wczoraj.

- Mamo! - usłyszałam wołanie Julki. - Przyniesiesz mi herbatę?

- Zaraz! - krzyknęłam. Nie teraz. Najpierw musiałam przeczytać dwie następne wiadomości.

Jeśli nie możesz, to podaj jakiś inny termin - to esemes wysłany dzisiaj o 9:15. Jest 15:20.

I ostatni: *Wszystko u ciebie w porządku?*

Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Wiktor. Z wrażenia telefon wypadł mi z ręki.

- Co robisz? - spytał.

- Jezu, ale mnie wystraszyłeś. Dlaczego nie pukasz? - Próbowałam nadrabiać miną.

- Nigdy nie pukam.

- A powinienes.

- Może powinnaś mi to powiedzieć piętnaście lat temu, skoro tak bardzo ci to przeszkadza.

Podniosłam z podłogi telefon. Nie mogłam pokazać, że wpadłam w panikę.

- Pisałam esemes do Gośki.

- W łazience? Wzruszyłam ramionami.

- Nigdy nie zamykałaś się w łazience, aby pisać wiadomości. „Boże, od kiedy on jest taki dociekliwy?” - pomyślałam zniecierpliwiona.

- A co to, przesłuchanie? - Ominęłam go szerokim łukiem i wyszłam, ale wciąż czułam na plecach jego wzrok. Usiadłam na kanapie i zaczęłam głęboko oddychać.

- Mamo! - To znowu Julka.

- Już idę!

Zaniosłam jej do pokoju szklankę herbaty i obraną pomarańczę.

- Dzięki - rzuciła. - Wiesz... - zaczęła po chwili - ..chciałabym z tobą pogadać. Jest taki chłopak...

W tym momencie mój wzrok zatrzymał się na jej pępku, przyozdobionym kolczykiem.

- Julka! - Zerwałam się na równe nogi. - Ty masz kolczyk w pępku?

Julka jednym ruchem obciągnęła koszulkę od piżamy, która się podwinęła.

- Mam - odparła obojętnie, jakby to była najzwyklejsza rzecz pod słońcem.

- Musisz go natychmiast wyjąć! - powiedziałam tonem nie-znoszącym sprzeciwu.

- Mamo, połowa dziewczyn w klasie robi sobie piercing.

- Nie obchodzą mnie inne dziewczyny. Wyjmiesz go?

- Nie! - krzyknęła. - Tata mi pozwolił. Nie wierzyłam własnym uszom.

- Kiedy?

- Wtedy kiedy ty świetnie się bawiłaś na wyjeździe z ciotką Małgosią.

- Spojrzała na mnie wyzywająco. Jakby wszystkiego się domyślała. Jakby odkryła moje kłamstwo.

Wybiegłam z jej pokoju i poszłam do kuchni, gdzie siedział Wiktor.

- Pozwoliłeś Julce przekłuć sobie pępek? - spytałam podniesionym głosem.

- Tak. Co w tym złego? - Wiktor odłożył gazetę.

- Co w tym złego? - zaczęłam go przedrzeźniać. - Czy wyście pogłupieli?

- To tylko kolczyk.

- W pępku!

- Młodzi ludzie robią sobie piercing. Wolę to, niż żeby ćpała.

- Wiktor, czy ty słyszysz, co mówisz? Dlaczego nie zapytałeś mnie o zdanie?

- Bo cię nie było.

- Mogłeś do mnie zadzwonić.

- Dzwoniłem. Nie odbierałaś telefonu.

Faktycznie, kiedy byłam z Nieznajomym, liczył się tylko on, a nie rozmowy z mężem. Było mi naprawdę wstyd. Ale zaraz, zaraz, przecież Wiktor jest dorosły. Dlaczego pozwolił Julce na taki kaprys?

- Co się dzieje w tym domu? - Złapałam się za głowę.

- No, właśnie. - Spojrzał na mnie złowrogo. - Co tu się dzieje? Co się z tobą dzieje? Ostatnio odnoszę wrażenie, że wcale cię nie obchodzimy.

- To nieprawda! - krzyknęłam.

To prawda. Zanedbuję ich. To znaczy, obchodzą mnie, tylko że...

- Problemy same nie znikają - powiedział i wyszedł z kuchni. „Nie znikają, ma rację, tylko co ja mam z tym zrobić? Obiecuję sobie, że się zmienię, że zadbam o rodzinę. Oczywiście nie

zrezygnuję ze spotkań z Nieznajomym, to byłoby ponad moje siły, ale będę bardziej się starać w domu, dla Julki i Wiktora".

Następnego dnia przygotowałam dwudaniowy obiad. Upiekłam ciasto, zrobiłam galaretkę porzeczkową i lody. O siedemnastej stół był już nakryty, a ja czekałam na domowników. Pierwszy wrócił Wiktor. Miał skwaszoną minę.

- Coś się stało? - spytałam.

- Mój projekt nie przeszedł. - Uniósł ręce w górę, żeby uprzedzić moje dalsze pytania. Rozpiął marynarkę i rzucił ją na krzesło. Wiem, że nie powinnam, jednak pytania same cisnęły się na usta.

- Jaki projekt? To było coś ważnego?

- Mówiłem ci... - Wściekły, spojrzał na mnie. Dałabym sobie głowę uciąć, że nie mówił mi o żadnym projekcie. Ostatnio w ogóle nie wspominał o pracy. A może mówił, a ja nie słuchałam?

- A, to. - Udałam, że o wszystkim wiem. - Nie poszło? - Widziałam, jak Wiktor miota się po kuchni.

- Przed chwilą ci powiedziałem, że zawałem sprawę - wycedził przez zęby.

- Porozmawiajmy.

- Nie chcę.

- Dlaczego? Jesteśmy małżeństwem, powinniśmy ze sobą rozmawiać.

- Natalia, ja ciebie nie rozumiem. Od kilku tygodni w ogóle nie obchodzi cię moja praca, a dzisiaj, kiedy ja mam wszystkiego dość, to tobie zebrało się na rozmowę.

- Może chcę to naprawić.

- Nałóż mi obiad - powiedział rozkazującym tonem. A więc wszystko wróciło do normy. Po cholere były te moje starania. - Zupy nie chcę - dodał. Oparł łokcie na stole i bawił się widelcem, a ja w tym czasie nakładam na talerz puree ziemniaczane i roladki wieprzowe. Zaczął jeść w milczeniu. Usiadłam na drugim krześle, pijąc kawę. Zrobiło mi się przykro.

- Smakuje ci? - spytałam w końcu.

- Podaj mi pieprz - usłyszałam w odpowiedzi.

Gdyby moim mężem był Nieznajomy... To co? To co by było, do cholery? Poczulałam nieopisaną wściekłość na cały świat. W tym momencie w drzwiach stanęła Julka.

- Siema! - rzuciła na powitanie.

- Cześć! - odpowiedziałam. - Umyj ręce i siadaj do stołu.

- A co jest na obiad?

- Rosół i...

- Blee...

- Na drugie puree i roladki wieprzowe.

- Jestem wegetarianką.

- Od kiedy?

- Od dwóch tygodni - odpowiedzieli chórem mój mąż z córką.

„Czy oni robią mi to specjalnie, żeby popsuć mi humor? Dlaczego nie zauważyłam, że Julka przestała jeść mięso? Czym byłam tak zajęta? Sobą? Nową znajomością?” - zastanawiałam się gorączkowo.

- Idę do siebie - oznajmiła córka.

- Zrobię ci sałatkę.

- Nie jestem głodna. - Nawet na mnie nie spojrzała. - Tato, podrzucisz mnie do Ewki?

- Odrób najpierw lekcje - odparł Wiktor.

- Okej. Koło dziewiętnastej będę gotowa. - Wyszła do swojego pokoju.

- Chyba przeżywa trudny okres - zwróciłam się do męża, który zaczął czytać gazetę. Podniósł wzrok i stwierdził:

- To nie jest żaden trudny okres, po prostu jest nastolatka.

- Ach, tak.

Wylałam resztkę kawy do zlewu i poszłam do sypialni. Rzuciłam się na łóżko i zaczęłam płakać. Miałam wszystkiego dość. Czułam się we własnej rodzinie jak piąte koło u wozu. W piątek musiałam spotkać się z Nieznajomym. Koniecznie chciałam mu się wyżalić.

Rozdział 12

Zakochanie

Z notatek N.

Niebieski to mój ulubiony kolor. A raczej nie niebieski, tylko błękitny - pomieszanie granatu z najczystsza bielą. Błękitne są niezapominajki, a to moje ulubione kwiaty. Drobniutkie, malutkie, niepozorne, a jakże piękne. Błękitne jest niebo, po którym szybują ptaki. Zazdroszczę im tej wolności, tego, że mogą rozpościerać skrzydła, podczas gdy ja duszę się w szarej codzienności.

Nie lubię szarości. Szary jest nijaki, to najobrzydliwszy z kolorów.

Przeczytane w Internecie:

- *Spotkałam dzisiaj Miłość. -I co ci powiedziała ?*
- *Przepraszała, że nie zawsze trwa do końca.*
- *Płakała ?*
- *Płakała, bo często rani.*
- *Krzyczała?*
- *Krzyczała, że nie zawsze jest piękna.*
- *Śmiała się?*
- *Śmiała się, że umie z siebie żartować.*
- *Żałowała czegoś?*
- *Żałowała, że ludzie nie zawsze traktują ją poważnie.*
- *Złościła się?*
- *Złościła się, że czasem w nią wątpimy.*
- *Cieszyła się?*
- *Cieszyła się, że jej tak często szukamy.*

- *Coś jeszcze ci powiedziała?*

- *Powiedziała, że nie jest dla mnie.*

Zakochanie. Wzór chemiczny C₈-H₁₁-N. Ostatnio przeczytałam w jakiejś książce, że wystarczy jedno spojrzenie i już wiadomo, czy to ten (ta). Oczy zbierają informacje o wzroście, kolorze włosów, szczegółach twarzy. Następnie z prędkością około 400 kilometrów na godzinę przesyłają sygnały do mózgu. I albo coś się zacznie, albo nie. Jeśli tak, to serce zaczyna bić szybciej o jakieś 50 procent, oddech się spłyca, źrenice poszerzają. Wszystko trwa trzy sekundy. W tych trzech sekundach zawiera się cała tajemnica początku miłości do drugiego człowieka. Opisana wzorami z chemii, aktywnością receptorów, neuronowymi ścieżkami pobudzeń.

Nieznajomy. Co w tym złego, że od czasu do czasu się spotykamy? To tylko kumpel, nic więcej. Rozmawiamy sobie przy herbatce.

Zszokowało mnie to, jak bardzo siebie usprawiedliwiałam. Próbowalam z całych sił się w nim nie zakochać. Przecież miały nas łączyć czysto przyjacielskie stosunki. I na początku tak było, jakoś udawało mi się wyłączyć z gry serce. Ale z każdym spotkaniem pragnęłam go coraz bardziej i bardziej. Jemu też na mnie zależało, chociaż się do tego nie przyznawał. Umówiłam się z Nieznajomym w przytulnej kawiarence na rynku Starego Miasta. To było nasze ulubione miejsce spotkań. Często tu przychodziliśmy. Lokal mieścił się w piwnicy, dzięki czemu panował tu tajemniczy, wręcz magiczny nastrój. Przygaszone światło „otulało” ściany w kolorze ciepłego karmelu. Nie wiem dlaczego, ale to miejsce przypominało mi spiżarnię mojej babci. Szafki wypełnione słoikami miodu i konfiturami własnej roboty, patery z ciastami, które można było jeść oczami, szklane pojemniki pełne maślanych ciastek. Z kuchni roznosił się zapach naleśników i świeżo mielonej kawy. To tutaj nieraz się śmialiśmy, rozmawialiśmy, słuchaliśmy bluesa.

Usiedliśmy przy narożnym stoliku i piliśmy czarną jak smoła kawę, co chwilę na siebie zerkając. Coraz więcej było między nami niedomówień, napięć, powietrze aż wibrowało od emocji. Podskórnie czułam, że nie tylko ja zaczęłam się zbyt angażować. On również czuł coś do mnie i na pewno nie była to przyjaźń. Patrzyliśmy sobie za długo w oczy, jak dwoje kochanków, którzy wiedzą, że przed nimi nieskończenie wiele pięknych chwil, uniesień, spazmów. To było oczywiste: musimy iść ze sobą do łóżka, bo inaczej zwariujemy.

- Dlaczego nie przyszedłeś w zeszły piątek?

Pierwszy raz nie pojawił się wtedy na umówionym spotkaniu. Wysłał krótki esemes: *Nie mogę*. Akurat wtedy, kiedy chciałam mu tyle powiedzieć o Wiktorze, o Julce, o naszych popapranych relacjach, o moim rozgoryczeniu.

- Malwina miała napad paniki.

„Jezu, znowu ona! Rozumiem, że jest chora. Rozumiem, że on musi się nią zajmować, że to jego żona, ale, do cholery, jest moim przyjacielem. Ja też mam problemy” - pomyślałam rozgoryczona.

- Malwina to, Malwina tamto. Wiecznie ona - powiedziałam. Byłam naprawdę zła.

- Jest moją żoną. -A ja?

- Przyjaciółką - odparł najniewinniej na świecie. Zmierzyłam go wzrokiem. Przyjaciółką. Nie chciałam być

jego przyjaciółką. Chciałam być z nim na dobre i na złe. Byłam gotowa w jednej chwili rzucić rodzinę. Gdyby on tylko powiedział, że też tego pragnie...

„Zwariowałam. Boże, ja naprawdę zwariowałam. Mam męża i córkę. Nawet nie chcę myśleć, jak Julka zareagowałaby na wiadomość, że jej matka chce porzucić rodzinę. A może się mylę? Może by zrozumiała? Tak dobrze dogaduje się z ojcem. Ostatnio wydaje mi się, że w ogóle mnie nie potrzebuje. Zresztą to już prawie dorosła kobieta” - zastanawiałam się w duchu.

- Co jej mówisz, kiedy wychodzisz na spotkania ze mną? - spytałam. Byłam ciekawa, czy mój Nieznajomy jest taki święty i kochany.

- Zazwyczaj mówię, że mam spotkanie.

- Mówiłeś, że nie kłamiesz.

- Przecież taka jest prawda. Idę na spotkanie. Po prostu nie o wszystkim jej mówię.

- Jestem twoją kontrahentką? - zapytałam, nalewając sobie wina.

- Jesteś moją kumpelą. Zaśmiałam się.

- Myślałaś, że powiem jej o tobie?

- A co byłoby w tym złego? Nie sypiamy ze sobą. Jestem twoją kumpelą.

- A ty powiedziałaś o mnie mężowi?

- Nie, bo nie pytał. Nie interesuje go moje życie.

- Wydaje mi się, że jesteś na mnie zła. - Energicznie zamieszał kawę.

- Zależało mi na tamtym piątkowym spotkaniu. Chciałam ci tyle powiedzieć.

- Rozumiem. - Odłożył łyżeczkę na spodeczek. - Ty też mnie zrozum.

- Staram się.

- Nie możesz się ode mnie uzależniać. Tak nie może być. Lubimy się, spotykamy, rozmawiamy, ale mamy dwa oddzielne życia. A na osłodę możemy sobie wziąć naleśniczki? - zmienił temat, posyłając mi ten swój zabójczy uśmiech.

Skinęłam głową. Po kilku minutach przed nami stały dwa kopiate talerze z naleśnikami, oblanymi obficie złotym syropem klonowym i bitą śmietaną. Smakowały jak rozpuszczone na słońcu karmelki albo jak krówki ciagutki. Słodkie jak lody waniliowe i puszyste jak biszkopty, jak sernik mojej babci. Miały też posmak cynamonu. Wkładałam do ust jeden kęs za drugim.

Odrobina bitej śmietany spadła mi na brodę. Poczułam na twarzy ciepły dotyk jego dłoni. Delikatnie starł mi śmietaną. Moje oczy uchwyciły jego natarczywe spojrzenie. W tym spojrzeniu była iskra, która przeskoczyła niespodziewanie. Nastąpiło wyładowanie - bach! - i na chwilę znaleźliśmy się w innym wymiarze. To na pewno nie było niebo, raczej grzeszne piekło. Otworzyłam usta, ale nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów by wyznać mu to, co czuję. Nie powinnam żywić takich uczuć do żonatego mężczyzny. Zresztą sama byłam mężatką.

- Wysyłasz mi sprzeczne sygnały. Czasami nie rozumiem, o co ci chodzi - wyznałam otwarcie.

Potaął dłonią podbródek.

- Chyba źle to odbierasz. - Odwrócił wzrok. „Kłamie, jestem o tym święcie przekonana. Kłamie” - pomyślałam. - Pociągasz mnie, chwilami cię pożadam...

- To się zdarza - powiedziałam wolno, gapiąc się w pusty talerz. - Ludzie się zakochują, nawet jeśli są już z kimś związani - Poglądziłam go po policzku.

- Posłuchaj... - złapał mnie gwałtownie za rękę - ...nie mieszaj mi w głowie, w sercu, w życiu. Uszanuj to, że chcę być ze swoją żoną.

- Przecież ty też coś do mnie czujesz. Nie sądzę, że to tylko przyjacielska relacja.

„Czy można naraz kochać dwie osoby? Tak samo mocno a jednak inaczej” - pomyślałam.

- Jesteś cudowna - powiedział i przełknął głośno ślinę. - Jesteś taką moją gwiazdką z nieba. A Malwina jest moim domem portem, przystanią. Rzeczywistością. Kocham ją. Z tobą lubię spędzać czas, rozmawiać, śmiać się, tylko że...

- Nie kończ - przerwałam mu gwałtownie.

- Zostawmy to tak, jak jest.

- Tak, oczywiście. Idę już. Znowu poczułam złość. - Ale dlaczego?

- Dla gówna psiego! - fuknęłam.
- Dobrze, przejdźmy się. Ochłoniesz.
- Mam w dupie twoje spacerki! - wybuchnęłam, wstałam i wyszłam.

Wydawało się, że miasto drży od podmuchów wiatru. Ciasno otuliłam się szalem. Czyżby mój statek osiadł na mieliźnie? Ja chciałam płynąć dalej. Pod prąd, z prądem - wszystko jedno, chciałam płynąć, znów się wyswobodzić. Ale nie mogłam, wiedząc, że on istnieje. Byłam skazana na czekanie, wieczne czekanie na niego, na to, że się we mnie zakocha, że przytuli, pocałuje, obsypie pieścotami moje spragnione czułości ciała. Zabrał mi wolność. Każde jego spojrzenie, uśmiech, mile słowo to części układanki o nazwie „ILUZJA”. Uciec z nim to jedyne, czego pragnęłam. Poza ograniczenia, standardy, poza ten jego cholerny świat.

Wróciłam do domu i zaczęłam sprzątać. To zawsze mnie uspokaja. Zamoczyłam gąbkę w pianie i umyłam płytki nad wanną. Spłukałam je gorącą wodą. Para osiadła na lustrze, można było na nim rysować.

Potem wyciągnęłam się na sofie. Złość już mi przeszła. Mruczałam jak kot, popijając kawę. Poczułam się dobrze. Łyzeczka dzwoniła o delikatną porcelanę. Przez otwarte okno do pokoju wpadało rześkie powietrze. Ptaki ćwierkały przy akompaniamencie świerszczy. Moje myśli stały lepkie i słodziutkie niczym wata cukrowa. Miałam dwa światy - jeden bajkowy, z Nieznajomym, drugi z rodziną.

Zamknęłam oczy. Wróciło wspomnienie pewnego wieczoru, kiedy spacerowaliśmy w parku. Wydawał mi się taki kruchy, przestraszony, wręcz wątpy. Nie spał poprzedniej nocy. Nie powiedział mi dlaczego, ale dobrze wiedziałam. Przez Malwinę. Spoglądałam na niego, kiedy podrzucał wysoko kasztany. Miał w sobie tyle z chłopca. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo mi się podobał. Pamiętam, że zatrzymał się na chwilę, żeby

podać mi kolorowy liść. Opuszki jego palców delikatnie musnęły moją dłoń. Wtedy pierwszy raz tak na mnie spojrział. W tym spojrzeniu kryła się wielka tęsknota.

- Wiesz, czasami nie mogę patrzeć na swoje odbicie w lustrze - powiedział.

- Dlaczego?

- Wstydę się swoich uczuć do ciebie... - Potarł ręką brodę. - Kocham Malwinę, ale przy tobie czuję, że jestem sobą na sto procent. Czuję się mężczyzną.

- Mężczyzną... - powtórzyłam głucho. Oczekiwałam wyznań w stylu, że się zakochał, że mnie pragnie. A on mi powiedział, że czuje się przy mnie mężczyzną. - To dobrze - przyznałam.

Nie, nie było dobrze.

- Tyle jest w moim życiu zmagania z jej nierealnym światem, z jej obsesjami. Czasami mam dosyć tej przeklętej choroby.

Chciałam mu powiedzieć, że ja też mam dosyć tej przeklętej choroby. Tak, byłam egoistką, jeśli chodziło o niego. Nie chciałam się nim dzielić. Czyjej współczułam? Oczywiście, że tak, ale jej nie znałam i wydawała mi się przez to jakaś mniej realna, jakby wcale nie istniała, jakby była tylko wymysłem...

- Mamo! - Z korytarza dobiegał głos Julki. Wbiegłam do przedpokoju.

- O co chodzi? - zapytałam. W progu ujrzałam posłańca z ogromną wiązką.

- To dla ciebie. - Julka wskazała na bukiet.

- Dla mnie? - spytałam zdezorientowana. Czyżbym zapomniała o swoich urodzinach? Jakiejś rocznicy? Przelatywałam w myślach wszystkie daty.

- Kto je przysłał? - zapytałam kuriera, ale ten tylko wzruszył ramionami.

- Bilecik jest w środku - powiedział w końcu, trochę zniecierpliwiony. Dopiero teraz zobaczyłam, że nie był to typowy

bukiet z kwiaciarni, tylko wiązanka pokrzyw. Wielkich, pierzastych, drapiących pokrzyw!

Julka zaczęła się śmiać z mojej miny.

- Ktoś musi cię bardzo nie lubić - stwierdziła. „To na pewno sprawka Goški” - pomyślałam. Otworzyłam kopertę i... zamarłam:

Domyśl się, czemu pokrzyw. Znajomy / Nieznajomy

Zaczęłam się nerwowo śmiać.

- Od kogo? - Julka była nie mniej podekscytowana ode mnie.

- Ciotka Małgosia zrobiła mi głupi kawał - odpowiedziałam i drżącymi rękoma schowałam bilecik do kieszeni.

Oczywiście rozbawił mnie ten gest Nieznajomego, tylko że przysyłając mi bukiet do domu, trochę przesadził. A gdyby tak Wiktor go odebrał i przeczytał bilecik? Byłam wesoła, a zarazem trochę zła.

Kiedy Julka zamknęła się w pokoju, zmieniłam kartę w telefonie i wystukałam wiadomość: *Dziękuję za pokrzyw. Po chwili przyszła odpowiedź: Podobają Ci się? Przesłanie takiej kobiecie jak Ty bukietu róż byłoby niestosowne i tandetne, wręcz pretensjonalne. A pokrzyw...*

Uśmiechnęłam się do telefonu: *Doprowadziły mnie do białej gorączki. Nie powinieneś tego robić. Wiesz, że mam męża.*

Odpisał: *Wiem, przepraszam. Ale po naszym ostatnim spotkaniu miałem wyrzuty sumienia. Chciałem zrobić Ci psikusa, żeby cię rozbawić i żebyś mi wybaczyła. Mój esemes: Łaskawie wybaczam*

Już miałam wyłączyć telefon, kiedy pojawiła się kolejna wiadomość od niego: *Lubię Cię, Natalia.*

Zabrzmiało to jak obietnica. Tak chciałam mu powiedzieć, że go kocham. Kocham go wbrew sobie, na przekór światu, wbrew rozsądkowi, niezgodnie z moimi zasadami. Kocham go

Rozdział 13

Spotkania w domu

Z notatek N.

Miłość jest kobietą.

Tylko kobieta może być dość silna, by pokonywać przeciwności losu.

Tylko kobieta potrafi tak bardzo zranić, że boli każda najmniejsza część ciała. Miłość to ona, ta, tej, owej.

Miłość jest czerwona, krwista, purpurowa od nadmiaru wzruszeń, z wypiekami na twarzy. Jej wszystko wolno, nie pyta o wiek, o stan cywilny. Często przemyka oczy na niedostatki urody. Gruba, chuda, ładna, brzydka, wysoka, niska - tylko nie byle jaka.

Miłość nie znosi bylejakości. Szkoda jej czasu na coś, co nie jest pierwszego gatunku.

Z radia sączyły się dźwięki relaksującej muzyki, a na ogniu bulgotał garnek z jabłkami. Uwielbiam rozgotowane jabłka, do których wsypuję łyżeczkę cynamonu, dodaję laskę wanilii i łyżkę brązowego cukru. Kiedy były gotowe, usiadłam na parapecie i patrzyłam na otaczający mnie świat. Od dziecka lubiłam obserwować ludzi. Za oknem tańczyły śnieżynki, pokrywając białym puchem sterczące nago gałęzie. Przechodnie podnosili kołnierze. Dzieci piszczały z uciechy, chwytaly w dłonie płatki śniegu, ślizgały się po skutej lodem kałuży. Było im dobrze.

A mnie? Czy mnie było dobrze? Dzisiaj te rozgotowane jabłka zrobiłam dla niego. Zgłupiałam, bo zaprosiłam go do domu. Czy jestem normalna? Było już za późno, wiedział, gdzie mieszkam. A jeśli Wiktor wróci wcześniej z pracy, będziemy przecież tylko pili kawę. To nic złego. Oczywiście to facet. Nie powinno się zapraszać obcego mężczyzny do domu pod nieobecność męża. Ale raz, tylko raz... Jedna kawa w domu...

Odważyło mi, i to ostro. Coraz bardziej wchodził w moje życie, a ja wiedziałam o nim coraz więcej. Nie taka była umowa.

Przed spotkaniem przebierałam się z pięć razy. W końcu włożyłam lnianą sukienkę w kolorze kawy z mlekiem, a pod nią wysłużony bawełniany stanik. Uśmiechnęłam się do siebie, bo wyobraziłam sobie minę Gośki, gdyby go zobaczyła. Po namyśle zdjęłam go i włożyłam koronkowy push-up. Usta pomalowałam czerwoną szminką, ale po chwili ją zmyłam. Nieznajomy chyba wolałby coś bardziej stonowanego. Pociągnęłam usta jasno-różowym błyszczkiem. Dla niego. On, On, On.

Wypiliśmy jedną kawę, potem drugą, w końcu rozlałam do kieliszków wino. On sączył swoje pomarańcze, ja piłam za dużo i za szybko.

- Dalej myślisz, że to było przeznaczenie, że trafiliśmy na siebie? - zapytałam.

-Tak.

Nie odezwałam się. Patrzyłam w okno.

- Mój mąż, Wiktor, przestał widzieć we mnie kobietę - zaczęłam. Nagle głos mi się załamał. - Ostatnio włożyłam dla niego seksowną bieliznę, a on podszedł do mnie i zarzucił mi na ramiona gruby szlafrok, żeby przypadkiem się nie przeziębila.

Spuściłam głowę i ukradkiem wytarłam łzę. Nieznajomy patrzył na mnie zatroskany.

- Dolać ci wina? - zapytałam.

- Nie, dziękuję.

- Myślisz, że moglibyśmy... - urwałam. Pewnie musiał mieć mnie dosyć.

Pokręcił głową.

- To by się nie udało - powiedział po chwili. - Nie można całe życie kręcić się na karuzeli. To może być przyjemne, gdy jesteś młoda i zaczynasz życie, kiedy nie masz nic do stracenia, a najważniejsze to czuć zawroty głowy, przeżywać te fajerwerki, te eksplozje, tę euforię. W prawdziwym, dorosłym życiu trzeba zejść z karuzeli i zacząć stąpać po twardym gruncie. Mamy zbyt wiele do stracenia.

- Oboje nie jesteśmy szczęśliwi.

- Jesteśmy, na swój sposób. Mamy naprawdę dużo. Tylko się pogubiliśmy.

Rozłożył się wygodnie na kanapie, wyciągnął nogi i poluzował ciasno zawiązany krawat. Zapewne powiedział żonie, że idzie na spotkanie z klientem.

- Chcę się upić - oznajmiłam.

- Nie zapijaj smutków. Odkorkowałam drugą butelkę wina.

- Gdybym położyła ci na dłoniach swoje serce, co byś z nim zrobił?

- Serce jest delikatne. Lepiej niech pozostanie w piersi - odpowiedział.

- Ale ja... - pociągnęłam kolejny łyk - .. .chcę ci je oddać.

- Nie rób tego.

- Dlaczego?

- Szkoda by było, gdyby przeze mnie pękło.

- Nie mógłbyś choć przez jeden dzień poudawać, że mnie kochasz? Ja bym ci chętnie przez ten dzień wierzyła.

- Lubisz być okłamywana?

- Lubię być kochana.

- Za dużo było tego wina. Muszę już iść.

- Uciekaj, uciekaj.

- Gdybyśmy się spotkali kilka lat wcześniej...

- To co?

Pokręcił głową. Szybko wkładał płaszcz i buty.

- Ta znajomość robi się niebezpieczna. - Odwrócił się do mnie. - Nie obiecuj sobie za wiele. Jesteśmy kumplami. Nie chcę cię zranić.

Jedyne, o czym teraz marzyłam, to żeby go pocałować. Teraz, w tej chwili. Odsunęłam się gwałtownie i oparłam o framugę.

- Jak jest między wami? - spytałam.

- Kocham ją.

- No tak, wiem. - Zaśmiałam się. - Tylko że to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Chcesz usłyszeć, że jej nie kocham.

-Nie. Chcę usłyszeć, jak jest teraz między wami: gorąco, ciepło, letnio, lodowato?

- Chwilowo letnio. Ale to przejściowe.

Wyszedł, a ja zostałam sam na sam ze swoimi marzeniami o NAS, z cichutko bijącym sercem, z pociągającym nosem, z kilkoma łzami i ze swoją głupią miłością.

Nasze spotkania upływały głównie na rozmowach, chociaż robiliśmy też inne rzeczy: gotowaliśmy, chodziliśmy na spacer, układaliśmy puzzle i dużo, dużo się śmialiśmy. Był coraz częstszym gościem w moim domu. Nie używałam już też swojego tajnego numeru telefonu. Dzwoniłam do niego nie tylko z komórki, ale również ze stacjonarnego. Coraz więcej było go w moim życiu, coraz więcej mnie było w jego życiu. Wiedzieliśmy o sobie naprawdę sporo i spędzaliśmy ze sobą dużo czasu. Za dużo. Coraz częściej podawałam Wiktorowi i Julce obiady z torebek, nie sprzątałam tak często, nawet pranie robiłam dwa razy w tygodniu, a nie cztery, jak kiedyś. Nic się nie liczyło, tylko mój Nieznajomy.

Lecz kiedy było nam ze sobą naprawdę dobrze, zazwyczaj dzwonił jego telefon. Zona jakby wyczuwała, że jest wesoły. A widocznie nie powinien, skoro ona wylewała w domu Izy. Boże, ta kobieta to chodzące nieszczęście. Wtedy on z miejsca podrywał się i biegi do przedpokoju, do swoich butów i płaszcza.

- To Malwina - mówił zdenerwowany. A ja chciałam mu wykrzyknąć, że wiem, że to ona. - Może coś się stało - zastanawiał się, wiążąc sznurówki.

- Tak, tak. Leć.

- W porządku?

- Oczywiście. - Szybko mrugałam powiekami, żeby się nie rozplakać. Potem wychodził, a ja zaczynałam przedstawienie. Wyłam, zawodziłam, jęczałam. Nie byłam w stanie nad sobą zapanować i to zaczęło mnie poważnie niepokoić. Bez niego mnie nie było, przestawałam istnieć. Nie było już nic. Potrafiłam przeleżeć kilka godzin na zimnej podłodze, płacząc, dopóki cała nie zdrewniała i nie zmarzłam, tak że nie mogłam rozprostować palców. Ból trochę mijał około szesnastej. Wiedziałam, że muszę wziąć się w garść, choćby dla Julki. Zrobić obiad i ogarnąć dom. Cały czas jednak myślałam o NIM. Był dla mnie jak pociąg, do którego wsiada się na gapę i jedzie przed siebie, nie wiadomo dokąd. Od początku było jasne, że w jego świecie nie ma miejsca dla mnie, dla mojej miłości. Albo to zaakceptuję, albo on przestanie się ze mną spotykać. A tego bym nie zniosła.

W nocy nie mogłam spać. Nie byłam w stanie, nie chciałam. Bałam się tych nocy. Miłość prosząca, żebrząca, rozgniewana, niegodziwa, zahukana, bolesna. Nie chciałam takiej. Chciałam kochać radośnie, bezboleśnie, kolorowo, ciepło.

Ktoś kiedyś powiedział, że jeden dzień, jedna chwila, ułamki sekund mogą zmienić całe życie. Nie wierzyłam w to, do teraz. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, jeden uśmiech, jedno jego słowo, i już wiedziałam. Nie mogłam tego pojąć, do tej pory nigdy tak nie miałam, a teraz... Tylko że ON miał JA. Może też to poczuł? Może od niej odejdzie? Wszyscy przecież kiedyś odchodzą. Poczulałam łzy na policzkach.

Leżę w jeziorze moich łez. To zabawne, ale kiedy płaczę, łzy spływają mi do uszu. Jeśli płaczę długo, w uszach tworzą mi się małe jeziora.

Miłość to najwspanialsze, a zarazem najbardziej bolesne z uczuć. Najtrudniejsze, a jednocześnie najpiękniejsze. Odbiera rozum, bierze w posiadanie myśli, doprowadza do szaleństwa, często do zguby. Pojawia się nieproszona, w nieodpowiednim czasie. Ta najprawdziwsza zwycięża każdą przeciwność losu, potrafi trwać wbrew normom, zakazom, nakazom, twierdzeniom.

Miłość - ta do śmierci i ta niespełniona, szalona i spokojna, namiętna, platoniczna, ta, która uskrzydla, i ta, która podcina skrzydła, ta pełna rozpacz, wierna, i ta zdradliwa.

Miłość jest zazdrosna.

Moje uczucie do Nieznajomego to złudzenie, sen. Istnieję dzięki tej miłości, która jest permanentnym zniewoleniem. Posępne, gorzkie, mdłe szczęście. Na chwilę.

Rozdział 14

Z Gością

Małgosia siedziała przy stoliku, popijając czerwone wino. Obserwowałam ją przez chwilę, zanim do niej podeszłam. Była piękna, pociągająca, wyzywająca. Długie nogi położyła na krześle obok. Biała spódniczka uniosła się do góry, odsłaniając jej opalone uda. Nie tylko ja nie mogłam oderwać od niej oczu, młody kelner co chwilę rzucał w jej stronę ukradkowe spojrzenia. Dopasowana czerwona bluzka podkreślała jej duży biust. Przypominała mi Sharon Stone z *Nagiego instynktu*. Podobnie jak ona, była *femme fatale*, cyniczną, kipiącą erotyzmem, przebojową, wyzywającą kobietą, taką, która potrafi zniszczyć niejednego mężczyznę. Tańczyli wokół niej, jak im zagrała. A ona się śmiała, klaskała w dłonie lub trzepotała rzęsami. Padali jej do stóp.

Większość kobiet chciałaby choć przez chwilę znaleźć się na jej miejscu. Być adorowaną, zasypywaną komplementami, niezależną, pławić się w męskich zachwytach. Ja też trochę jej tego zazdrościłam. Kobiecości, zalotności i urody.

- Cześć, Gośka! - Cmoknęłam ją w policzek.
- Hej - przywitała się ponuro.
- A tobie co?
- Jak to co? Nie widzisz? - Była naprawdę wściekła. Przyjrzałam się jej, ale nie zauważyłam, żeby było z nią coś nie w porządku.
- Wszystko do dupy! - Z impetem odstawiła niedopity kieliszek wina.
- Jestem wkurwiona.
- Widzę.

- Otworzyłam dziś szafę i pojawił się problem pod tytułem: nie mam co na siebie włożyć.

- Moim zdaniem wyglądasz świetnie.

- Możesz mi nie przerywać? Pokiwałam głową.

- Chciałam wbić się w dżinsy, obcisłe rurki. Po wielkich trudach udało się. Wciągnęłam brzuch i, o dziwo, się dopięłam.

- To w czym problem?

Małgosia spiorunowała mnie wzrokiem.

- W tym, że jak kucnęłam, strzeliły mi na tyłku. Zaśmiałam się odruchowo.

- Co w tym śmiesznego?

- Wszystko. Czyli ile teraz ważysz? - spytałam. Byłam pewna, że po tym fatalnym incydencie moja przyjaciółka natychmiast wskoczyła na wagę.

- Pięćdziesiąt pięć kilo.

- O Boże! - udałam przerażenie. - Musisz zastosować głodówkę.

- Przestań się nabijać.

- Co byś powiedziała na moje siedemdziesiąt kilo?

- Strzeliłabym sobie w łeb - przyznała szczerze. Zjadłyśmy obiad w milczeniu. Gosia stawiała, więc mogłam pozwolić sobie, na co tylko dusza zapagnie. Podczas gdy ja delektowałam się sznyclem z serem, ona wpychała sobie do ust liście sałaty.

- To nie wszystko - zaczęła po dłuższej chwili. - Starzeję się.

- To chyba normalne. Wykazano naukowo, że z każdym dniem się starzejemy, zamiast młodnieć.

- Ty nie bądź taka do przodu. Trzymałam się dobrze, ale do czasu. A teraz z dnia na dzień widzę coraz więcej oznak starości. Pojawiają się nowe zmarszczki, drugi podbródek, mam zwiotczałą skórę, przybyło mi siwych włosów. A co najgorsze, wolę się wyspać niż uprawiać seks.

- Z tym ostatnim objawem naszego wieku się nie zgodzę.

- Natalia... - Gośka aż podskoczyła i od razu poprawił jej się humor -..
.czyżby coś było na rzeczy z twoim nowym znajomym?

- Czy coś jeszcze podać? - Przy naszym stoliku zmaterializował się kelner, który, ignorując moją osobę, z błogim uśmiechem spoglądał na biust Małgosi.

- Nie, dziękujemy - spławiła go bez zastanowienia. Widocznie naprawdę była ciekawa, jak rozwijała się moja znajomość. W przeciwnym razie nic nie powstrzymałoby jej od poflirtowania z młodym chłopakiem.

-Nic.

- Nic? Nie próbuje cię poderwać?

- Nie. - Wydęłam usta, niczym mała dziewczynka.

- A to dobre - skwitowała i zaczęła się śmiać. - Ale ty byś pewnie chciała czegoś więcej?

- Nie o to chodzi.

- A o co?

Westchnęłam i oparłam się na krześle.

- Uśmiechasz się głupawo - powiedziała po chwili milczenia.

- Jak bardzo głupawo?

- Bardzo. A to świadczy o tym, że... - Spojrzała mi prosto w oczy.

- Zakochuję się w nim. Ale on ma żonę, a ja męża.

- No nie, tylko tego brakowało. Wiesz, że to jest jakiś banał.

- Wiem. Ale nic na to nie poradzę.

- Przestań się z nim spotykać - powiedziała poważnym tonem.

- Nie! - odparłam stanowczo. Nie wyobrażałam sobie, że miałabym zakończyć tę znajomość. Przynajmniej nie teraz.

- Posłuchaj, jeśli do czegoś między wami dojdzie, to będzie bara-bara, nic poza tym. Ty jeszcze bardziej się zaangażujesz, a on złamie ci serce. Czy tego chcesz?

- Nie, oczywiście, że nie. Do niczego nie dojdzie.

- A co wy tak w ogóle razem robicie?

- Rozmawiamy.

Gośka teatralnym gestem położyła rękę w okolicach piersi.

- Ty mu opowiadasz o swoich rodzinnych problemach, a on tobie o swoich?

- Tak. I co w tym złego? Przyjaciele są potrzebni w życiu.

- Masz mnie.

- A może potrzebuję kumpla faceta?

- Nie. Ty potrzebujesz faceta, który by odmienił twoje życie, z którym przeżyłabyś ekscytujący romans.

- Wiesz co, muszę już iść - powiedziałam. Wstałam i włożyłam żakiet.

- Przed przeznaczeniem nie uciekniesz, a tym bardziej przed miłością. Natalia, pamiętaj jedno, możesz robić z nim, co ci się żywnie podoba, tylko przestań się angażować. Tego nie wolno robić pod żadnym pozorem.

Łatwo powiedzieć, trudniej uspokoić rozkochane serce, które na samą myśl o NIM zwawiej bilo. Z każdym kolejnym spotkaniem było mi coraz ciężej. Cały mój świat kręcił się wokół niego.

Rozdział 15

Malwina

W czwartek wieczorem napisałam do niego esemes: *Masz czas jutro koło osiemnastej?*

Odpowiedź: *Jutro Malwina ma wystawę swoich obrazów.*

Ja: *Jakich obrazów?*

On: *Zadzwoń za godzinę, okej?*

Ja: *Tak.*

Telefon zadzwonił równo po godzinie.

- Nic mi nie mówiłeś, że twoja żona maluje.

- Naprawdę? Tak, maluje i jest w tym dobra. W internecie jest strona z jej pracami: www.MalwinaMorawskaArt-studio.pl

Zamilkł. Widocznie zorientował się, że za dużo powiedział. Morawski. Mój Nieznajomy ma nazwisko.

- Z przyjemnością obejrzę jej prace. Szkoda, że się nie spotkamy.

- Tak. Muszę kończyć. Cześć! - Rozłączył się. Pobiełam do komputera. Jedyne, o czym teraz marzyłam, to zobaczyć stronę jego żony. Może będzie tam jej zdjęcie. Może dowiem się czegoś o tej kobiecie. O ukochanej mężczyzny, którego pożądam.

Na stronie nie znalazłam jednak nic oprócz jej prac. Była świetną malarką. Nagle w prawym dolnym rogu zobaczyłam link do jej błoga. Kliknęłam go drżącą ręką. Chciałam ją poznać, /nienawidzić, wyczytać z tych zapisków jej szaleństwo i obłąkanie. Bo jej nienawidziłam, dlatego że miała JEGO. Ona, ta wariatka.

„Boże, odbiło mi. Jestem okrutna, niesprawiedliwa" - pomyślałam po chwili.

Zacząłam czytać z wypiekami na twarzy. Kobieta pisała tak, jakby była najnormalniejszą osobą na świecie, całkowicie zrównoważoną. Czasami wspominała o swojej chorobie, ale zawsze z wielkim dystansem, a nawet humorem, jakby to nie ona cierpiała. Może tylko udawała? Wymyśliła tę chorobę, żeby wszyscy jej współczuli? Żeby zatrzymać męża u boku.

W pewnym momencie poczułam, że przekraczam jakąś granicę. Od tej chwili będę ją poznawała. Z każdym wpisem będzie mi coraz bliższa.

25.07.2017

Wiesz, jak to jest być całe życie wykluczoną? Ja wiem.

Wiesz, jak to jest być całe życie nazywaną dziwakiem? Ja wiem.

Wiesz, jak to jest, kiedy twoja własna mama nie dostrzega w tobie córki, tylko podopieczną? Ja wiem.

Jak mam zacząć swoją opowieść? Może od tego, kim jestem... Cierpię na zespół Aspergera. Miewam też przewlekłe depresje, napady lękowe i paranoiczne. Może łatwiej mi będzie powiedzieć, kim byłam.

Zawsze starałam się być grzeczną dziewczynką, taką, która na wszystko uważa, wykonuje polecenia, przestrzega zakazów. Nigdy nie okazywałam, że czegoś chcę, o czymś marzę. Zawsze się dostosowywałam, a mimo to wszyscy dookoła uważali mnie za dziwadło.

Moja mama przez długi okres namawiała ojca, aby pójść ze mną do psychologa, jednak na tym się skończyło. Ojciec uznał to za fanaberie. „Ona już taka jest" - mówił.

Starałam się być pilną uczennicą, grać na fortepianie i nie sprawiać kłopotów. Mimo to sprawiałam je, przez swoje roztrzepanie i dziwne napady smutku. Często płakałam bez powodu. A przecież powinien być jakiś powód do płaczu.

Już w podstawówce dzieciaki stroniły ode mnie. Byłam nad wiek dojrzałym, inteligentnym dzieckiem, które czasem dziwnie się za-

chowowało. Największym koszmarem były dla mnie przerwy między lekcjami. Nie wiedziałam wtedy, co ze sobą zrobić. Włączyłam się bez celu po korytarzach. Czułam się bardzo samotna. Inne dzieci potrafią być naprawdę okrutne. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że jestem chora. Rodzicom wmawiano, że jestem odmieńcem, i już.

W dorosłym życiu było troszkę lepiej. Poznałam wspaniałego mężczyznę, który został moim mężem. Przez chwilę było dobrze, ale dopadły mnie moje smutki i mąż musiał przejąć rolę opiekunki. Który facet wytrzymałby z taką kobietą jak ja? Tylko mój mąż. Anioł w skórze mężczyzny. Kocham go bezgranicznie za to, że przy mnie jest. Za to, że jest wspaniałym facetem, o którym zapewne śni niejedna kobieta.

Przerwałam czytanie i odeszłam od komputera. Napilałam się kawy i podeszłam do okna. Byłyśmy dwie. Dwie kobiety, które kochały tego samego mężczyznę. Ona miała do niego prawo, bo była żoną. A ja? Nawet nie byłam kochanką. „Co ja najlepszego wyprawiam z własnym życiem? Z jego życiem? Z życiem tej niewinnej kobiety? Muszę zająć się własną rodziną” - zastanawiałam się.

Zrobiło mi się żal Malwiny. To nie było współczucie, a raczej smutek związany z jej chorobą, z tym, że już do końca życia taka będzie. Miała szczęście, że spotkała kogoś takiego jak Nieznajomy. Nie każdy mężczyzna sprostałby takiemu wyzwaniu. Był z nią w zdrowiu i w chorobie, na dobre i na złe. To było piękne. I choć czegoś mu w życiu brakowało, choć się pogubił, choć w pewnym sensie był mną zauroczony, i tak na pierwszym miejscu zawsze była ona. Szanowałam go za to, mimo że moje serce pękało z bólu; mimo mojej zazdrości o nią...

03.08.2011

Wykluczona, arogancka, dziwna - tak o mnie mówiono przez lata. Zespół Aspergera to podstępna choroba. Można z nią żyć, wcale o tym nie wiedząc. Tak było ze mną. Zostałam zdiagnozo-

wana dopiero w wieku dwudziestu ośmiu lat. Do tego czasu byłam traktowana jak dziwoląg. Spotykałam się z dyskryminacją, ostracyzmem, nawet wyzwiskami. Ukończyłam studia, a mimo to wiele osób uznawało mnie za kretynkę.

Nie piszę tego po to, żeby się nad sobą użalać, bo teraz jestem na swój sposób szczęśliwa.

Mam swoje chwile normalności. Naprawdę doceniam to, co mam.

04.08.2011

Dzisiaj odgrzebuję wspomnienia początków swojego małżeństwa. Było nam ze sobą naprawdę dobrze. Dalej jest. Chociaż moje dziwactwa czasami wszystko psują. Jak w każdym małżeństwie, i nas nie ominęła rutyna. Ale Michał mnie kocha, wiem o tym.

Michał. Ma na imię Michał. Mój Michał kocha swoją Malwinę.

Dzisiaj mi powiedział, że nieważne, jak daleko będziemy od siebie, nikt i nic nie zniszczy naszego związku.

Upewniał w tym bardziej siebie czy mnie?

Czasami zastanawiam się, czy wołałby miecza żonę normalną kobietę. Pewnie tak, ale ma mnie.

„Jesteś inna, a przez to wyjątkowa ” - powiedział mi.

06.08.2011

Maluję.

W pewnym momencie życia obudziła się we mnie pasja malowania. Przez pryzmat barw pokazuję w obrazach, jak widzę świat. To moja odskocznia od życia.

Najbardziej lubię malować emocje i sny.

Tyle jest we mnie emocji, które przelewam na płótno. Radość przeplatana smutkiem.

Moje malarstwo to skarga do Boga na los, jaki mi zgotował. Moja twórczość nie jest wiernym odtwarzaniem rzeczywistości. To plątanina uczuć.

Sny. Je najbardziej lubię malować. Dużo śnię, choć mało śpię. Może to wpływ leków. Mam kolorowe, często bardzo żywe sny.

Jak maluje się sny? Jak łapie się tę jedną jedyną chwilę, będącą istotą snu?

Przerwałam czytanie, otworzyłam wyszukiwarkę i wpisałam: „zespół Aspergera”. Nie chciałam czytać treści medycznych. W końcu znalazłam artykuły kobiety, która miała syna cierpiącego na tę chorobę. Dowiedziałam się, że chłopiec ma spokojne usposobienie, żyje według ustalonego rytmu, o stałej porze je śniadanie, ćwiczy, wychodzi na spacer. Każda zmiana tego schematu wyprowadza go z równowagi. Jest nieskory do kontaktów z ludźmi. Ma swoją pasję: zbiera znaczki. Filatelistyka jest czymś, co nadaje jego życiu kolorów. Podobnie jak dla Malwiny malarstwo.

05.09.2011

Noc uświadamia mi, że jestem wariatką. W nocy nie śpię lub śpię niewiele.

Nocą popadam w psychozy, którym towarzyszą halucynacje. Widzę tańczące lalki, gwiazdy na suficie, księżyc, który puszcza do mnie oko. Widzę gadającego kota, śpiewające papugi, nastroszone zioła w doniczkach.

Nocą słyszę najdrobniejsze szmery. Miłosne odgłosy u sąsiadów, kapanie wody z kranu, tykanie zegara.

Nocą otaczają mnie inne samotne zwariowane dusze, spętane w swoich nic nierozumiejących ciałach.

Dużo myślę też o swoim pożeraczu normalnego istnienia. To przez tę nienormalność wszyscy cierpimy.

20.09.2011

Przez długi czas miałam depresję. Młoda żona wspaniałego mężczyzny wpada w depresję -jak to możliwe? Każda młoda żona powinna obowiązkowo tryskać szczęściem, ma przecież u boku swojego ukochanego. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że cierpię na aspergera. Byłam tak bardzo skołowana. Byłam szczęśliwą żoną, ale nie potrafiłam być szczęśliwym człowiekiem.

Wtedy się tego wstydziałam. Teraz już wiem, że nie trzeba było się wstydzić, trzeba było prosić o pomoc. Wołać o nią, żebrać. A ja zamknęłam się w swojej skorupie i cierpiałam. Gryzły mnie wyrzuty sumienia, że nie potrafię walczyć ze smutkiem, ośpieniem, łzami.

Czy mój mąż, rodzina coś podejrzewali? Chyba tak, ale skoro mówiłam, że wszystko jest w porządku, to nie drążyli tematu. Ale coraz bardziej puchły mi oczy od tego cholernego płaczu, gardło bolało od wycia, dłonie od gryzienia.

Byłam złą żoną, jestem złą żoną, będę złą żoną.

Pół roku później mąż zaprowadził mnie do lekarza, który przepisał mi leki. Czy było mi po nich lepiej? Trochę tak. Czulałam się bardziej ośpięta. No i nie potrafiłam się zajmować domem. Nie miałam siły, by sprzątać, gotować, prasować.

Zona powinna dbać o męża, a ja miałam tylko swoje smutki i chorobę.

Kiedyś usłyszałam, jak mama szepcze do mojego męża: „ Ona nie ma powodu, by popadać w melancholię. Ma ciebie, mieszkanie. Czego chcesz więcej? W głowie jej się przewraca”.

08.11.2011

Kolejny pobyt w szpitalu, który był jedną wielką pomyłką, cierpieniem, zawodem.

Lekarze, którzy ze mną eksperymentują, choć sami nie wiedzą, jak mi pomóc.

Dla mnie nie ma już ratunku!

Proszę, niech mi ktoś pomoże! Błagam!

Mój umysł jest inny niż umysł zdrowego człowieka. Nie prosiłam o taki. Ale skoro już go mam, muszę z nim żyć. Muszę postarać się zrozumieć natłok myśli.

Nie chciałam dzielić swego świata na dwa mniejsze. Normalny i nienormalny.

Nigdy nie poznasz mojego cierpienia, mój drogi Czytelniku. Możesz starać się je zrozumieć, ale nigdy go nie poznasz.

09.11.2011

Chorzy ludzie są samotni. Tak naprawdę - skazani tylko na siebie.

Czasami w jednej chwili ich życie zmienia się o 180 stopni, gdy dowiadują się o diagnozie. Mężczyźni często odchodzą od chorych psychicznie kobiet, bo który normalny facet wytrzyma z wariatką? Oczywiście są też kobiety, które nie chcą żyć z chorym mężem.

Człowiek, który cierpi na zaburzenia psychiczne, jest zagadką. W jego wyglądzie nic się nie zmienia. Zdawałoby się, że to ta sama osoba, a jednak tak nie jest. Nigdy już nie będzie taka sama.

W szpitalu poznałam mężczyznę, który od trzech lat czeka na swoją żonę. W przebłyску świadomości powiedział mi: „Przecież przyrzekała, że będzie ze mną aż do śmierci... w zdrowiu i chorobie”.

Szpital zmienia - chorych i zdrowych. Relacje międzyludzkie ulegają zakłóceniu. Tutaj jest całkiem osobny świat. Życie po drugiej stronie jest inne. Bardziej kolorowe czy może na odwrót? Może tam jest za dużo szarości?

12.11.2011

Czasami mam takie chwile, kiedy już nawet nie czuję tego cierpienia. Nie czuję nic, a jak się nic nie czuje, to przecież, jakby się nie istniało. Tymczasem istnieję, żyję, oddycham. Tylko co to za życie, kiedy emocje znikają, a umysł tępieje?

Wykluczona z normalności. Jestem rozbitkiem na morzu odrzucenia u obcych i u bliskich.

Z każdym dniem coraz bardziej zatracam swoją normalność. Jeszcze mam chwile, kiedy jestem sobą, ale jest ich coraz mniej.

13.11.2011

Dziś straciłam poczucie miejsca i czasu. Wyszłam sama na spacer, tzn. wymknęłam się z domu ukradkiem, kiedy mama spała. Zapragnęłam takiej chwili normalności dla siebie. Chciałam zrobić coś sama, bez niczyjej pomocy. Wszystko było w porządku, do czasu. W pewnym momencie zaczęłam się bać. Poczułam się jak w klatce. Dostałam ataku duszności i paniki. Ludzie się rozpięchli i udawali, że mnie nie widzą. Nikt nie zapytał, co mi jest. A ja tak strasznie się bałam. Dotarłam do domu ostatkiem sił. Wszystko mnie przerażało...

Taka jestem.

14.11.2011

Mój mąż ma przyjaciółkę.

Skąd wiem? Sprawdziłam wiadomości w jego telefonie. Sto dwadzieścia esemesów od „Nieznajomej”. Tak ma ją zapisaną. Nie było erotycznych podtekstów, trochę czułości, szczypta tęsknoty.

Nie wiem, czy to normalne, żeby żonaty mężczyzna przyjaźnił się z inną kobietą. Ale może szuka kogoś, w kim znajdzie oparcie, z kim będzie mógł znaleźć odskocznię od naszego nienormalnego życia. Jestem wdzięczna tej kobiecie, że się z nim spotyka, rozmawia, wspiera. Jest tylko jedno ale... Mój mąż ją lubi, za bardzo lubi. Wiem to. Nawet nienormalne kobiety czują, kiedy na horyzoncie pojawia się ta druga.

Zapytałam go o nią wczoraj. Zachnął się, że nic dla niego nie znaczy, że kocha tylko mnie. Skoro mnie kocha, to dlaczego mnie okłamuje, kiedy do niej wychodzi? Czuję przez skórę, że są sobie bliscy. Jak bardzo bliscy? Ta świadomość, że nie jestem dla niego najważniejsza, sprawia mi niewymowny ból.

A więc ona wie. Nieznajomy (jakoś nie mogę się przyzwyczaić, że ma na imię Michał) też wie, że ona wie. Dlaczego mi nie powiedział? Nie mam dla niego znaczenia - zapewniał ją o tym. Nie tłumaczył, że jestem jego przyjaciółką, kumpelą, ale kimś bez znaczenia.

Poczułam ból w okolicach mostka. Co ja sobie wyobrażałam? Przecież dał mi jasno do zrozumienia, że nie jest mną zainteresowany w taki sposób, jakiego ja oczekuję. Tylko dlaczego wciąż pisze tęskne esemesy? Dlaczego się ze mną spotyka, przytula?

15.11.2011

Wciąż jestem atrakcyjną kobietą, wiem, że podobam się mężczyznom.

Czy mogłabym zdradzić męża tylko po to, by się zrewanżować?

A jeśli on mnie faktycznie nie zdradza? Może potrzebuje tylko kogoś do rozmowy?

Kocham go, ale czy ja w ogóle potrafię kochać? Ponoć ludzie z chorobą Aspergera nie potrafią nawiązać trwałego związku emocjonalnego z drugą osobą.

Ja potrafię.

16.11.2011

Normalność i nienormalność przychodzą do mnie falami.

Dziś uświadomiłam sobie, że nie powinnam walczyć z chorobą, po prostu muszę z nią żyć. Jest nieodłączną częścią mojego życia.

Chciałabym mieć przyjaciółkę. To musi być niesamowite uczucie, kiedy możesz się przed kimś otworzyć i wiesz, że ta osoba nie będzie cię oceniać. Kiedy możesz z kimś pomilczeć lub się pośmiać. Nigdy nikogo takiego nie miałam. Przecież boję się ludzi.

Wyłączyłam komputer i siedziałam przez chwilę bez ruchu. Do tej pory ta kobieta była dla mnie zupełnie nierealna, tak jakbym do końca nie wierzyła w jej istnienie. Teraz, kiedy przeczytałam jej blog, stałą się dla mnie konkretnym człowiekiem. Jest

taką samą kobietą jak ja - kocha i chce być kochana. Ma swoje pragnienia i pasje. W dodatku jest chora. Do tej pory nie myślałam o jej chorobie, a teraz wiem, jak wielkim jest dla niej utrapieniem. Muszę odejść od jej męża, muszę o nim zapomnieć. Nie mogę rozbijać rodziny, ani swojej, ani jego.

Obiecałam to sobie solennie. Jednak na obietnicach się skończyło. Po dwóch dniach o wszystkim zapomniałam. Chciałam tylko jednego: spotkać się z nim i porozmawiać.

Moje uczucie do niego było jak balansowanie na linie. Szłam po niej krok po kroku, uważając, by nie spaść. Po jednej stronie - kraina świetlików i motyli, po drugiej - mroczne sny i jego rodzinne życie. Nie zawsze udawało mi się iść prosto. Przechylałam się raz w jedną, raz w drugą stronę. Niekiedy prawie dotykałam nadziei na spełnienie, chwytalam się każdego jego słowa. Innym razem na łeb, na szyję leciałam w mrok. Huśtawka sprzecznych emocji. Szłam, a on mnie bujał - góra, dół, góra, dół.

Rozdział 16

Bez niego

Miałam mu tyle do powiedzenia, a on na powitanie rzeki:

- Wyjeżdżam z żoną na wieś.
- Jak to? - zapytałam zrozpaczona. - Jak długo cię nie będzie?
- Dwa tygodnie.
- Dwa tygodnie? - powtórzyłam z niedowierzaniem. - No to baw się dobrze! - rzuciłam ironicznie.
- Czasami nie rozumiem, o co ci chodzi.
- O nic.
- Może też powinnaś pojechać na urlop z mężem?
- No tak, sielankowy urlop ze współmałżonkiem.
- Jesteś zazdrosna o moją żonę?
- „Nie! Jestem zazdrosna o ciebie. O to, że będziesz odpoczywał z nią, nie ze mną” - pomyślałam ze złością.
- Przepraszam.

Powinłam uważać na to, co mówię. Nie chciałam go przecież stracić. Każdego dnia musiałam kryć swoje uczucia. Ale trudno wyznaczyć sobie granice, ukrywać ten blask, charakterystyczny dla zakochanych. Zaciskać na sercu obręcz. Niemożność odczuwania, dotykania, kochania...

- Będę mogła pisać esemesy?
 - Nie. Nie chcę, żeby Malwinka się denerwowała.
 - Rozumiem - odpowiedziałam. „Nie, nic, kurwa, nie rozumiem”. - Czy ona o mnie wie? - spytałam.
 - Posłuchaj, muszę już lecieć. -Wie?
- Odwrócił się i odszedł. Tak, on przecież nie kłamie.

Kiedy jestem szczęśliwa, wówczas wydaje mi się, że nasza znajomość to same powitania. Kiedy jest mi źle, uświadamiam sobie, że to ciągle pożegnania.

Te dwa tygodnie bez niego nadszarpnęły, wyszczerbiły, ukruszyły moją duszę. Nie nadawałam się do życia. Zamieniłam się w tęsknotę. Nie żyłam, lecz trwałam dla samego trwania. Trwałam, bo wiedziałam, że on kiedyś wróci. Za czternaście dni. Ile to godzin? Za dużo. Spowolnienie. Rozpacz. Czerń.

Wiem, że on odpoczywał, zapewne nie miał dostępu do internetu. Mimo to wysłałam do niego setki e-maili. Codziennie pisałam kilkanaście listów. Tęsknota zżerała mnie od środka.

Listy bez odpowiedzi.

W przeddzień jego przyjazdu zbudziłam się do życia. Wstałam z kolan, otarłam łzy. Krew w żyłach zaczęła szybciej krążyć, wargi nabrały koloru, świeżo umyte włosy rozsypały się na nagich ramionach.

Liście szeleściły na wietrze. Rumieniły się od ostatnich promyków słońca. Wisiały na gałązkach, by po chwili spaść na chodnik. Jego uczucia do mnie były jak te kołyszące się na wietrze liście. Delikatne, kruche i nietrwałe. Gdybym mogła ująć w dłonie jego serce, włożyłabym do niego swoją duszę. Związałabym na supeł dwa serca. Przywiązanie - uwiązanie. Zapomniałby o NIEJ. Żyłby moim życiem, tak jak ja teraz żyłam jego.

Małgośka weszła z impetem do mojego mieszkania. Nawet nie usiadła, tylko od razu zaczęła mówić:

- Ostatnio masz wszystko gdzieś! Zachowujesz się jak jakaś smarkuła, która ugania się za kolesiem i ma cały świat w głębokim poważaniu. Musisz zakończyć tę znajomość.

- Co ty mówisz?!

- Dla twojego dobra, dla dobra twojej rodziny musisz to zakończyć.

- Od kiedy to jesteś taka prorodzinna? - spytałam ironicznie.

- Natalia, po cholere ci ten facet?

- On jest moim kumplem.

- No właśnie, niczego więcej od ciebie nie chce, a ty się w nim głupio zakochałaś. Jaki w tym wszystkim jest sens?

Wiedziałam, że Gośka ma rację. Kompletnie mi odbiło. Żyłam od spotkania do spotkania z nim, od godziny do godziny, od chwili do chwili. Żyłam jego życiem, jego troskami, jego radościami. W jednej chwili był ze mną, a zaraz potem znikał. Moje zachowanie przypominało obsesję. Kochałam i wydawało mi się, że to jest najważniejsze. Miłość do niego była teraz całym moim światem. A przecież miałam też inny świat: córkę, męża, Gośkę, własne życie, które zaniedbywałam. Każda cząstka mojego ciała wołała do niego. Chciałam być z nim zespolona. Pragnęłam go do szaleństwa. To pragnienie było jak wirus, który krążył w moim krwiobiegu. Pomału atakował moje wnętrze, komórkę po komórce.

Z każdym dniem uzależniałam się coraz bardziej. Każda chwila bez niego była dla mnie torturą. Gdy się rozstawaliśmy, zasypywałam go pretensjami: „Dlaczego już idziesz?"; „Nasza przyjaźń umiera"; „Jestem dla ciebie ważna tylko wtedy, gdy czegoś chcesz ode mnie". Zwariowałam na jego punkcie, a on chciał mieć jedynie przyjaciółkę. W dupie miałam przyjaźń. Wszystko wewnątrz mnie bolało. A teraz Gośka powiedziała mi, że mam się z niego wyleczyć. Tylko jak to zrobić?

Rozdział 17

Po raz ostatni

Z notatek N.

Mam paznokcie w kolorze fuksji, Usta spierzchnięte od słonej wody, Opaleniznę w kolorze pustynnego piasku, Nastroszone włosy od kudłatych myśli, Wspomnienia pachnące maciejką, Malinowy uśmiech... Taką siebie lubię najbardziej.

Szłam z Nieznajomym w stronę bujnej łąki. Był letni wieczór, który pachniał lodami waniliowymi. Słońce dogorywało, barwiąc niebo na kolor brudnego złota.

- Nie możemy tak dłużej.

Widziałam, jak bardzo jest zdenerwowany. Ręce mu się trzęsły.

- Rozumiem. - Wolno przełknęłam ślinę. - To wszystko było zbyt piękne...

- Wiesz, nasza znajomość rozwinęła się nie tak, jak powinna. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale mu przerwałam: ,

- Zaczęliśmy łamać zasady, których powinniśmy się trzymać. Spojrzał mi prosto w oczy i pokiwał głową.

- Ten czas, który spędzałem z tobą, powinienem poświęcić żonie.

Prychnęłam.

- Nie przypuszczałem, że sprawy zajdą tak daleko. Naprawdę sądziłem, że będziemy się tylko przyjaźnić.

- Ale przeskoczyła jakaś iskra, pojawiło się pożądanie i ja się w tobie zakochałam. A ty?

Widziałam, że jest zdenerwowany. Wyłamywał palce u rąk.

- Zakochałeś się we mnie?

- Bardzo cię lubię, naprawdę. Pożądałem cię, to fakt, ale nigdy nie pokochałem. Miłość mam zarezerwowaną dla żony.

Westchnęłam. Zrobiło mi się naprawdę przykro.

- Jesteś dziwny.

- Dlaczego?

- Wysyłałeś mi sprzeczne sygnały. Te stokrotki, te tęskne esemesy.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że tak to wszystko odbierzesz.

Przystanęłam.

- A jak, do cholery, miałam to odebrać? Byłam dla ciebie rozrywką? Poczyszycielką?

- Proszę cię, nie obrażaj się. Byłaś dla mnie prawdziwą przyjaciółką. To z tobą się śmiałem, tobie się zwierzałem, z tobą spędziłem niezapomniane chwile. Obiecaliśmy sobie, że się w sobie nie zakochamy.

- Myślisz, że to takie proste?

- Myślę, że nie. Ale ty masz swoją rodzinę, ja mam żonę. -Kopnął kamyk, który przeleciał przez piaszczystą ścieżkę i odbił się od pnia drzewa.

- Ale ja się w tobie zakochałam.

- Wiesz, że... - zaczął się jąkać.

- Tak, wiem. Znalazłeś sobie mężatkę jako przyjaciółkę, żeby było bezpiecznie.

- Nie mów tak.

Widziałam, że i jemu nie jest lekko, ale nagle zrobiłam się na niego wściekła.

- Nic nie poczułeś?! - krzyknęłam. Chociaż sama chciałam przerwać tę znajomość, z jakiegoś powodu bardzo mnie zabolalo, że i on wpadł na ten sam pomysł. W gruncie rzeczy, jakie to ma znaczenie, kto kończy? Tak samo ciężko jest porzucać, jak

być porzucanym. Świat zaczął mi się rozmazywać przed oczami. Kontury straciły wyrazistość.

- Czyli mam rozumieć, że to nasze ostatnie spotkanie? - zapytałam.

- Tak będzie lepiej - odparł łamiącym się głosem. Poczułam, że w gardle rośnie mi coś na kształt kuli z drutu kolczastego.

- Nie chcę cię tracić - wyjęczałam.

- W życiu jest tak, że coś się zyskuje, a coś innego traci.

- Przestań pieprzyć! Odwrócił wzrok w drugą stronę.

- Chodzi o twoją żonę?

- Tak. O nią przede wszystkim. To prawda, że czasem miałem dosyć, czasem jej nie rozumiałem, ale teraz nabrałem dystansu do jej choroby. Zrozumiałem, że między chorymi a zdrowymi istnieje naturalna przepaść. Malwina miała do mnie żal o moje normalne życie, podczas gdy ona większość czasu spędza w domu. Przez całe lata nigdy nie poruszaliśmy tego tematu. Dopiero niedawno otworzyła się, a ja ją wysłuchałem. Broń Boże, nie chciała, abym znalazł się na jej miejscu, jednak kiedy siedziała tygodniami w domu, budziła się w niej zazdrość o moją zwyczajność. Myślę, że teraz musimy naprawić nasze relacje. Naiwnie sądziłem, że wszystko między nami było cacy, ale to nieprawda. Ja się nią tylko opiekowałem, a ona potrzebowała normalności, nie opieki. Rozmowy - nie tylko o jej chorobie czy lekarstwach.

- Po co mi o tym wszystkim mówisz? - spytałam rozgoryczona.

- Żebyś wiedziała, że nasze rozstanie nie jest przez ciebie, ale po prostu muszę w pełni zaangażować się w swoje małżeństwo.

- Nie możemy być dalej przyjaciółmi?

- Przykro mi, ale nie. Bo... to nie była czysto platoniczna przyjaźń. Sama o tym najlepiej wiesz. Nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiała.

- Teraz nie chcesz?

- Proszę cię, nie miej do mnie pretensji.

- Muszę iść! - Odwróciłam się na pięcie. Nie mogłam dłużej tego słuchać. Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że to już koniec.

I wtedy podbiegł do mnie. Chwycił mnie wpół, położył na trawie, uwolnił włosy ze wstążek. Ujął moją twarz w dłonie. Okrył wygłodniałe usta pocałunkami. A ja płonęłam, drżałam jak trzpiotka, podlotka, małolata. Chciałam się zatracić, zapomnieć, poszybować z pierwszym skurczem, pierwszym wstrząsem, czekać na kolejne i przyjmować, dawać, kąsać. Pragnąć, by więcej, by mocniej, by głębiej.

Na pocałunkach się skończyło. Wstał, podał mi rękę. Kiedy otrzępywałam sukienkę, odwrócił się i odszedł. Po prostu odszedł.

Wróciłam do domu. Włączyłam komputer. Musiałam to zrobić, musiałam wejść na jej blog. Poczułam suchość w ustach, serce zaczęło mi bić jak szalone. Przeczytałam dwie ostatnie notki:

77.06.20/7

Dzisiaj mój mąż obsypał mnie pocałunkami.

Po tym pierwszym zdaniu zabrakło mi tchu. Boże Najświętszy, on ją naprawdę kochał. Przez cały ten czas. Nawet wtedy, gdy miał chwilę słabości ze mną, nie przestał jej kochać.

Zapewnił o swojej miłości. Tylko ja i on, na zawsze.

Ja też go kocham, nawet wtedy, gdy w niego, w nas wątpiłam, to też go kochałam.

„Musisz walczyć-powiedział. - Nie przestawaj ani na chwilę”.

Nie przestanę, dla mojej rodziny. Staję się silną kobietą. Biorę swój krzyż na ramiona i idę.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość siadły na ramionach tego krzyża. Wady i błędy, paranoje i normalność. Będzie ciężko, ale nikt mi nie obiecywał łatwego życia. Wezmę z niego wszystko, co dobre, ale też chwile rozpacz i zwątpienia.

Błędy - każdy je popełnia. Co bym wiedziała, gdybym nie uczyła się na błędach?

„Kocham cię”- powtórzył mój mąż ze sto razy.

31. 06.2012

Zamykam blog. Nie ma sensu, żebym dalej pisała. To koniec mojej historii. Dziękuję, że ze mną byliście przez ten czas.

Przyszedł czas przebudzenia. Czas, gdy postanowiłam wyłączyć komputer i zająć się swoim życiem. Przede wszystkim swoim małżeństwem.

Mam wspaniałego męża. Dla niego żyję i coraz rzadziej popadam w obłąd.

Chcę żyć z całych sił!

Numer telefonu, pod który wysłałam wcześniej tyle wiadomości, teraz był nieaktywny. E-maile też wracały. Szukałam go wszędzie, we wszystkich naszych miejscach. Znikł. Zapadł się pod ziemię. Odszedł bez pożegnania.

Płakałam i usprawiedliwiałam go. Wiedziałam, że tak postanowił dla naszego wspólnego dobra, dla mojego dobra.

Czy wszystkie wielkie miłości są nieszczęśliwe? Czy ten szal, to pragnienie, pożądanie, ta błogość są tylko na chwilę?

Tak trudno oddychać, gdy nie było go w pobliżu. To tak, jakby ktoś wypompował tlen z powietrza. Jakby ktoś odjął mi od ust wodę w upalny dzień. Usta miałam spierzchnięte i popękane. To dlatego, że nie czułam jego ust. Były dni, kiedy siadałam i bujałam się na krześle. Albo takie, kiedy płakałam od świta do nocy. Albo takie, kiedy krzyczałam w niebo, żeby wrócił. Choć na parę chwil, na jedno spojrzenie, jeden dotyk, jedno słowo.

Ponoć nawet bociany nie wiążą się na całe życie. Nie wiem, skąd mi to teraz przyszło do głowy. Dlaczego naiwnie wierzyłam, że między nami będzie tak zawsze? Ale właściwie co będzie? Ta niepewność? Nie sądziłam, że nadejdzie dzień, gdy już nigdy... „Nigdy” - jak to słowo strasznie boli. Nigdy już go nie

zobaczę. Najgorsze były poranki, kiedy budziłam się i patrzyłam na świat, który mnie osaczał. Dzień wstrzymywał oddech. Dusiałam się w promieniach porannego słońca. Ranek odzierał mnie z sennych marzeń.

Trwałam - nie żyłam, lecz wegetowałam. Uświadomiłam sobie, że już nigdy go nie dotknę. Ta świadomość sprawiała mi niewyobrażalny ból. Często siedziałam bez ruchu w fotelu albo na podłodze i płakałam. Byłam kompletnie rozbita. Dlaczego tyle sobie wyobrażałam?

Nie żałowałam tych chwil z nim, choć wiedziałam przecież, że nie będą trwać wiecznie, i potem zniemacka musiałam zapomnieć o jego ustach, jego dotyku, jego uśmiechu. Czy można kogoś na stałe wykreślić ze swojego życia? Czy też taka osoba zostanie w nas już na zawsze?

Kochałam go w tamtej właśnie chwili, w przeszłym TERAZ, przy tamtym skurczu serca, tamtym dotyku, głębszym westchnieniu, moim zagubieniu. Gdybym postąpiła inaczej, gdybym go nie pokochała, czy moje życie byłoby lepsze? Byłoby inaczej: nudniej, bardziej szaro, mniej intensywnie. A było wspaniale, niepowtarzalnie, gwałtownie.

Miłość potrafi uzależnić bardziej niż narkotyki. Odbiera zdolność myślenia i w jednej chwili zmienia człowieka we wrak. Realizuje się nie tylko w dawaniu i braniu, zaufaniu i zaniedbywaniu, przyjemności i bólu, lecz przede wszystkim w tkwiącej w nas wszystkich silnej potrzebie kochania i bycia kochanym.

Z notatek N. Odszedłeś, tak po prostu.

Będę pamiętać twoje muskularne ciało - nieważne, czy było ono ziemskie, czy nieziemskie.

Zmrużę oczy i ujrzę strzępki obrazów, które poskładam jak puzzle. Przewinę slajdy. Szybko. Nasz film, pełen wzruszeń. Twoje imię na zawsze wyryję w sercu. Popłynie krew, przy pierwszej literze tylko odrobina, ale przy ostatniej to już będzie krwotok Michale.

Składam ręce do modlitwy, modlę się do Ciebie. Grzeszę.

Nie będzie już wspólnego śmiechu, spacerów, rozmów, zwierzeń, dotyku, spojrzeń w oczy.

Nicość. Jego odejście pozornie mnie nie zmieniło. Wciąż wstawałam, żyłam, funkcjonowałam. Tylko że w niczym nie widziałam sensu, nie potrafiłam się cieszyć.

Wreszcie nadeszła wiosna. Napisałam do niego ostatni list. To taka forma terapii, rozliczenie z przeszłością. Z szuflady wyjęłam różową papeterię w fioletowe motyle. Pochyliłam się nad kartką i przelałam słowa na papier:

Kochanie,

Czy wolno mi się lak do Ciebie zwracać? Przecież nie mam takiego prawa. A może mam?

Miłość rządzi się swoimi prawami. Nawet ta zakazana.

Niczego mi nie obiecywałeś. To mnie zdawało się, że czytam między wierszami. Pamiętasz, przed naszym wyjazdem zapytałam Cię, dlaczego chcesz ze mną jechać, a Ty odpowiedziałeś: „ Czemu chcę jechać? Bo, widzisz, nauczyłem się, że w życiu piękne są tylko chwile. To dla nich naprawdę żyjemy. Czas spędzony z tobą będzie właśnie taki. To przy tobie się śmieję, to z tobą przyjemnie mi się rozmawia... Poza tym mam już dosyć tego głosu, który jak jakiś cenzor pieprzy mi nad uchem, co mam robić, a czego nie. Chcę zapomnieć o świecie, a z tobą tak łatwo mi to przychodzi. Nic nie jest tyle warte, żeby sobie tego odmówić”.

Te słowa były dla mnie obietnicą...

Ciekawa jestem, czy gdybyś wtedy mógł poznać przyszłość, to zmieniłbyś swoją decyzję. Ja niczego nie żałuję. Tych pięknych, magicznych, roześmianych chwil, wspólnych spacerów, deszczu, który nas moczył, twojej roześmianej twarzy i wspólnych nocy, podczas których nic się nie wydarzyło.

A nasze rozmowy...

Wszystko, co razem przeżyliśmy, było nasze i nikt nam tego nie odbierze, to na zawsze pozostanie w naszych sercach.

Twoja Nieznajoma, Natalia

Na swojej drodze poznajemy różnych ludzi: fajnych i mniej fajnych. Chcemy o nich wiedzieć jak najwięcej - jacy są, co robią, gdzie byli w zeszłe wakacje. Czasem z butami wchodzimy w ich życie, a tak naprawdę nie znamy siebie. Tak trudno jest znaleźć czas tylko dla siebie. Żyjemy sprawami innych i dla innych. Co dzisiaj zrobiłam dla siebie? Kawę. Tyle mojego.

Z każdej znajomości z drugim człowiekiem zostaje nam jakaś jego część, chociaż czasami ta znajomość wydaje się niestosowna. Przy Nieznajomym uwierzyłam w siebie, dojrzałam. To on uświadomił mi, że powinnam zrobić dla siebie coś więcej niż tylko przysłowiową kawę.

Zapach kwiatów był odurzający, słońce mocniej grzało, a trawa miała seledynowy kolor. Otwarłam szeroko drzwi i wyszłam naprzeciw światu. Odgoniłam ponure myśli. Usiadłam na ławce w parku. Ciepły wiatr plątał mi włosy. Kupiłam na targu nowalijki: sałatę, rzodkiewkę, szczypiorek, kilka pomidorków. Wróciłam do domu. Otworzyłam butelkę soku marchwiowego i wypiłam go duszkiem. Rozłożyłam się wygodnie na kanapie i czytałam gazety.

Poczułam, że mogę działać. Będę działać. Odkręciłam kran. Srebrne krople zaczęły kapać na moje palce. Obliziałam łyżeczkę, na której osiadła pianka z cappuccino. Powąchałam ciasto drożdżowe. Pomału żułam każdy kęs, by odkryć wszystkie smaki, delektować się nimi. Uśmiechem witałam znajomych i nieznajomych. Staralam się wycisnąć z życia, ile się da. Poczułam, że życiodajne soki znów krążą w moim ciele. Moje jestestwo zaczęło nabierać kształtów. Byłam kulistą energią. Mogłam, naprawdę mogłam wiele...

Przyszło pogodzenie. „TAK MUSI BYĆ” - powtarzałam sobie codziennie. Kochałam go nadal, ale... już nie tak szaleńczo. Nie do utraty tchu, zdartego naskórka i pokrwawionych warg. Kochałam go we wspomnieniach...

Przyszło pogodzenie, złamane serce się zrosło, choć pozostała szpecąca blizna.

I nawet jeśli w danej chwili myślimy, że bez ukochanej osoby nie da się żyć, to bzdura. Da się - inaczej, ale się da... Świat przybiera różne barwy. Najpierw jest mroczny, czarny, później sinieje, a potem gdzieś pojawiają się zielone plamki nadziei.

Rozdział 18

Piękne serce

I kiedy już myślałam, że nigdy więcej nie pojawi się w moim życiu, pewnej środy, około południa odwiedził mnie w domu. Ot tak, zwyczajnie, jak gdyby nigdy nic. Nawet nie zapukał do drzwi. Wszedł jak do siebie.

- Miałeś już nie przychodzić - powiedziałam. Serce znowu zaczęło szybciej bić. Nogi miałam jak z waty.

- Nie tak łatwo jest zapomnieć. Jesteś ważną osobą w moim życiu.

- Skoro już jesteś, to ucieknijmy stąd - zaproponowałam.

- Dokąd?

- Obojętnie. Do nieba, przed siebie, na koniec świata.

- Nie możemy.

- To zatrzymaj czas. - Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Przecenisz moje możliwości. - Zaśmiał się. - Ale zaczekaj, pokażę ci piękne miejsce, którego nigdy nie zapomnisz.

Wyjął z kieszeni kartkę zgiętą na cztery. Rozprostował ją starannie w dłoniach.

- Co to? - Nachyliłam się nad nim.

- Mapa. Spójrz tutaj. - Palcem wskazał czerwony punkcik obok setek innych, zaznaczonych tak samo. - Będziemy tam za kilka chwil.

Kręta ścieżka była wysypana brązowymi drobinkami, jakby wiórkami.

- To czekolada - wyjaśnił Nieznajomy z uśmiechem. Czekoladowa ścieżka, wzdłuż której stały wiklinowe koszyczki, wypełnione po brzegi dojrzałymi czereśniami. Z puchatych

chmur zwisały złote wstęgi. Dotknęłam ich opuszkami palców. Ścieżka prowadziła do drewnianej ławeczki przykrytej kraciastym kocem.

Poczułam nieopisaną radość. Serce zaczęło mi mocniej bić.

- Ciiii! - Nieznajomy przyłożył palec do moich ust. - Słyszysz tę melodię?

- Ktoś gra na akordeonie. Usiedliśmy. Przed nami roztaczał się przepiękny widok. Z jednej strony zielone góry, z drugiej -wzburzone morze i złoty piasek. Nagle zaczął padać deszcz. Ale zaraz, zaraz, to nie deszcz... Krople miały kolor bursztynu czy karmelu. Umoczyłam palec w kałuży, która utworzyła się przy ławce, i oblizalam go.

- Miód! - krzyknęłam na całe gardło.

- To są chwile szczęścia.

- Czyje?

- Twoje.

- Gdzie jesteśmy? - spytałam.

- W twoim sercu.

- Gdzie?

- W twoim sercu - powtórzył. - Dlaczego tak cię to dziwi?

- Bo nie wiedziałam, że mam takie słodkie serce.

- Mamo! Mamo! - Julka szarpnęła mnie za ramię. Otworzyłam jedno oko. - Wszystko w porządku? Nic ci nie jest? - dopytywała się przestraszona.

- Tak, oczywiście. - Usiadłam na zimnej podłodze. Musiałam chyba przysnąć.

Julka westchnęła ciężko.

- Już myślałam, że zemdląłeś. Nie mogłam cię dobudzić. Rozejrzałam się po mieszkaniu. W koszu leżało nieposortowane pranie. Na ekranie monitora widniała notatka o kurze domowej. *Gallus gallus domesticus*.

- Jaki dzisiaj dzień? - spytałam.

- Wtorek.

- Czyli jutro jest środa?

Moje dziecko spojrzało na mnie jak na wariatkę.

Pomału wszystko zaczęło do mnie docierać. To był tylko sen? Nie, niemożliwe. On był taki realny, prawdziwy, namacalny, czułam do niego miłość.

Julka podreptała do kuchni. Ja dalej siedziałam na podłodze.

- Mamo, nie byłaś na zakupach?

- Byłam.

- I nic nie kupiłaś?

- To pewnie nie byłam.

Znów spojrzała na mnie badawczo.

- Na pewno wszystko okej?

- Chyba tak.

- Zadzwoń do lekarza? Do taty?

- Nie, nie, nie! - krzyknęłam zrozpaczona.

- Rozumiem, że wszystko działo się tylko w mojej głowie, ale nawet teraz nie chce mi się wierzyć, że to były tylko senne marzenia. Czasami mi się wydaje, że to musiało się zdarzyć, bo jak wyjaśnić to, że się zakochałam? To, że czułam go, kiedy mnie dotykał czy pieścił?

Doktor Kamińska - postawna i poważna kobieta - przyjmowała mnie w swoim gabinecie, tchnącym dostojną, kojącą aurą profesjonalizmu.

- Hmm... - Uniosła brwi, zastanawiając się nad odpowiednim doborem słów, tak by wykład o meandrach psychiki mógł dotrzeć do laika. - Może zaczniemy od tego, czym jest sen. Sen jest zjawiskiem fizjologicznym polegającym na obniżeniu aktywności całego organizmu, w tym ośrodkowego układu nerwowego. Analiza zapisu EEG u zdrowego śpiącego człowieka pozwala wyróżnić kilka podstawowych okresów czy faz snu, które należą do dwóch typów. Jeden z nich stanowi REM, zwany także snem paradoksalnym. To wtedy występują najbarwniejsze marzenia senne. Wiąże się też z charakterystyczną aktywnością elek-

tryczną kory mózgowej. Daje się mianowicie zauważyć desynchronizację fal, taką jak w stanie czuwania, oraz zjawisko zwane iglicami, odróżniające sen REM od snu wolnofalowego o dużej regularności i niskiej częstotliwości.

- Chyba trochę się pogubiłam. Czy z tego wynika, że coś jest ze mną nie tak? Czy mam jakieś zaburzenia psychiczne? Czy to możliwe, że kontrolowałam swoje sny? Że chciałam, by moje marzenia senne były prawdziwe?

- Świadomość może sprawować pewien zakres kontroli nad przebiegiem snu. Pewnie chce pani wiedzieć, w jakim stopniu taka kontrola nad marzeniem sennym jest możliwa. Kiedy z biernego widza zmieniamy się w aktywnego marzyciela? - Popatrzyła na mnie przenikliwym wzrokiem. - Możemy nauczyć się sterować wydarzeniami w trakcie snu. Niektórzy w pełni świadomie kontrolują marzenia senne.

- Czyli wszystko dałoby się racjonalnie wytłumaczyć? - zapytałam.

- W zasadzie tak. - Pokiwała głową. Zaśmiałam się cierpko.

- Tylko, pani doktor, ja w to nie wierzę. Nie wierzę, że to był tylko sen.

Nieznajomy nie mógł być wytworem mojej wyobraźni. Jakże miałabym wyśnić tak rzeczywisty sen? A jeśli już, to był to najpiękniejszy sen w moim życiu. Nigdy go nie zapomnę. Nie zapomnę tej ekscytacji, tych zbliżeń, tego szczęścia, tych drzeń serca i tej drogi, którą przebyłam, by odkryć swoją kobiecość...

Część II

Walka

Siedziałam w kawiarni, rozmyślając o tym, co mi się ostatnio przydarzyło. Ten sen wciąż we mnie siedział. Nie mogłam uwierzyć, że można śnić tak prawdziwie. To dziwne, ale myślałam o Nieznajomym, jakby naprawdę istniał, a nasze spotkania odbywały się w realnym świecie. Trochę mi smutno, że było to tylko marzenie senne... Sen, naturalna kontynuacja jawy. A gdyby Nieznajomy istniał naprawdę, czy spotykałabym się z nim potajemnie? Czy zakochałabym się w nim do szaleństwa, mimo iż mam rodzinę? Tak, myślę że tak. Byłam w takim momencie życia, że pożądanie i namiętność pewnie wzięłyby górę nad zdrowym rozsądkiem. To smutne, ale taka jest prawda. Czegoś mi w tym życiu brakowało. Spełnienia? Pasji? Pracy? Komplementów? Rozmowy z mężem i córką? Obecności mężczyzny, fizycznej i duchowej? Kiedy tak się oddaliliśmy od siebie z Wiktorem? Najpierw były niedomówienia, jakiś przemilczany drobiazg. Od tego się zaczęło. Winne zawsze są obie strony. Ciekawe, co on sobie o mnie teraz myślał? „Kiedy się z nią żeniłem, była wesołą, pełną życia dziewczyną. Teraz ma dodatkowe dziesięć kilogramów i ciągle skwaszoną minę. O czym z nią rozmawiać? O tym, ile prań nastawiła? O obiedzie na następny dzień? Czy mam tak spędzić resztę życia z tą nudną kobietą? Nie chciałbym jej skrzywdzić, ale czy tak ma wyglądać moje życie?”.

Może więc powinnam zacząć zmiany od siebie? Może ten sen przyśnił mi się po coś? To był taki bodziec, by zmusić mnie do działania. Nie można siedzieć z założonymi rękoma i czekać na cud. Cudów nie ma, a manna z nieba nie spada.

Gdyby ten sen był jawą, to skrzywdziłabym z premedytacją drugą kobietę, chorą kobietę. Czyjaś żonę, która nie byłaby niczego świadoma. Czy byłabym do tego zdolna? A może kiedy człowiek się zakochuje, wtedy nie liczy się nic? Jest zaślepiony uczuciem i tylko to jest dla niego ważne. Ta chwila, ta druga osoba, te emocje, te uniesienia... Dobrze, że to był sen, a jednak mimo wszystko czuję lekkie rozczarowanie...

Pociągnęłam łyk kawy, uregulowałam rachunek i energicznym krokiem ruszyłam w stronę domu. Czas na zmiany!

Rozdział 1

Galimatias

Otworzyłam drzwi, weszłam do mieszkania i stanęłam jak wryta. Klucze wypadły mi z rąk. Brzdęk, i dwie głowy jak na komendę obróciły się w moim kierunku. Chłopak bez koszulki, moja córka z podwiniętą spódnicą.

- Co tu się dzieje? - wyjąkałam, bo tylko tyle byłam w stanie zrobić. Najchętniej rzuciłabym się na niego i dała mu porządnego klapsa, a ją postawiła do kąta. Stałam jednak przy drzwiach, jak słup soli. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. „To tylko dzieci - pomyślałam. - Dzieci, które bawią się w dorosłych”.

- Mamo... - Julka odezwała się pierwsza. Była speszona. Zaczęła nerwowo obciągać spódniczkę.

- Dzień dobry. - Chłopak zaczerwienił się po uszy i zaczął pospiesznie wkładać bluzę.

- Wcale nie dobry - warknęłam. Zrobił niewyraźną minę.

- To ja już pójdę - powiedział. Minął mnie w bezpiecznej odległości, wymknął się na korytarz i czmychnął niczym zbieg.

- Mamo - powtórzyła Julka głucho.

- Co to, do cholery, znaczy?! - Nerwy mi puściły. - Masz dopiero czternaście lat.

- Prawie piętnaście.

- Nie dyskutuj! Co ty wyprawiasz?! - krzyknęłam.

Wybuchnęła płaczem, pobiegła do swojego pokoju i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Cała się trzęsłam. Byłam wściekła. Zaczęłam szarpać za klamkę. Drzwi nie ustępowały. „Zamknęła się, smarkula”.

- Otwieraj! - zawołałam. Cisza.

- Otwieraj!

- Daj mi spokój.

- Musimy porozmawiać.

- Nie ma o czym - ucięła.

- Otwórz! -Nie!

Zastanawiałam się, kiedy się tak od siebie oddaliłyśmy. Jeszcze wczoraj była małą dziewczynką, a dziś? Gdzie popełniłam błąd? Rzeczywiście, coraz rzadziej rozmawiałyśmy - tylko o szkole, lekcjach, zakupach. Nic poważnego. Nic o życiu, jej życiu, jej emocjach. A więc to moja wina? Ostatnio byłam tak zajęta sprzątaniami, praniem, gotowaniem i oglądaniem durnych seriali, że zaniedbałam własną córkę.

„Inne matki pracują całymi dniami i naprawdę nie mają czasu dla swoich dzieci, a mimo to te dzieci nie robią im takich numerów” - pomyślałam z goryczą. Julka stała się obojętna, żyła w swoim świecie, a ja coraz częściej na nią krzyczałam. Tłumaczyłam sobie, że to taki wiek, że jej przejdzie i jeszcze zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami. Z wyglądu była do mnie bardzo podobna, chociaż dużo ładniejsza, ale duchowo byłyśmy daleko od siebie. Ona była cichą buntowniczką, która jak najszybciej chciała być dorosła.

Byłam tak wstrząśnięta, że zaczęłam chodzić w kółko po przedpokoju. Kiedy się zmęczyłam, usiadłam przy komputerze i zaczęłam przeglądać strony o nastolatkach. Nie znalazłam nic, czego bym wcześniej nie czytała.

- Długo się spotykacie? - zapytałam Julkę następnego dnia rano, starając się, by mój głos brzmiał naturalnie.

- Od kilku tygodni - mruknęła. - Mamo, daj spokój.

- O, nie, kochana, nie dam spokoju. Jestem twoją matką, czy ci się to podoba, czy nie.

Kaśka ma wyluzowaną mamę, dała jej kondomy - wycedziła, a mnie na moment zatkało.

- Ale ja nie jestem mamą Kaśki, tylko twoją.

- Wiem. - Stanęła naprzeciwko mnie.

- Kim on jest? - zapytałam.

- Moim chłopakiem - odburknęła.

- Jak się nazywa?

- Po co ci to?

- Po prostu chcę wiedzieć, z kim spotyka się moje dziecko.

- Marek Raduński.

- Raduński, Raduński... - zaczęłam powtarzać. - Coś mi mówi to nazwisko. Ach, tak, oni mieszkają w bloku obok.

Zerwałam się ze stołka i wybiegłam z mieszkania.

- Mamo! - krzyknęła za mną Julka. - Nie rób nic głupiego! Po chwili pukałam do drzwi mieszkania państwa Raduńskich.

„Już ja im powiem, co ich synalek wyrabia” - pomyślałam. Drzwi się otworzyły i stanął w nich chłystek, który obłapiał moją córkę.

- Dzień dobry - rzekł zaskoczony.

- Dzień dobry. Jest mama? - spytałam. -Nie.

-A tata?

- W pracy.

- Dobrze, w takim razie porozmawiam z tobą. Chłopak zbladł, a ja zaczęłam:

- To moja córka! Moja, rozumiesz?! Skinął głową.

- Spróbuj ją tknąć, a urwę ci to, co ci dynda między nogami.

- Chce nam pani zabronić spotykania się? - spytał cicho.

- Spotykajcie się. Jednak nie wszędzie. Następujące miejsca nie nadają się na randki z moją córką... - zaczynam wyliczankę - ...pomieszczenia, w których stoi łóżko albo leży dywan, pomieszczenia, w których spożywa się alkohol, dyskoteki, gdzie panuje zbyt swobodna atmosfera. W grę nie wchodzi też nieoświetlone skwerki, ławki w parku czy polanki w lasu. Podob-

nie seanse kinowe, w ogóle wieczorne wyjścia. Jeśli dowiem się, że ją skrzywdziłeś, to twoje dni są policzone. A uwierz mi, jestem nieobliczalna. -Ale...

- Nie ma żadnego „ale”.

Dopiero kiedy wracałam do domu, zauważyłam, że zapomniałam włożyć butów. Sąsiadka z wrażenia omal nie wypadła z okna. A Wiktor, który wjechał właśnie na parking, wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Co się stało? - zapytał przerażony.

- Opowiem ci w domu - odparłam i spojrzałam wyzywająco na żadną sensacji sąsiadkę, która nastawiała uszy. Byłam taka zła, że najchętniej pokazałabym język tej wścibskiej babie. Na szczęście pohamowałam się.

- Wiktor... - krzyknęłam od progu - ...czy wiesz, co nasza córka wyrabia, kiedy nas nie ma w domu?!

Opowiedziałam mu całe zajście, oczekując, że staniemy po jednej stronie barykady, ale on tylko na mnie naskoczył, twierdząc, że to moja wina, bo nie poświęcam czasu rodzinie.

- A ty co? - fuknęłam na niego. - Od trzech dni nie ma cię w domu.

- Byłam w delegacji.

- To cię usprawiedliwia? W ogóle nie rozmawiasz z Julką. -A ty?

-Co ja?

- Jaką jesteś matką?

- Masz mi coś do zarzucenia?

- Ostatnio nie dbasz o rodzinę. - Rozwiązał krawat i rzucił go na łóżko. Był nieogolony i zmęczony. - A tak w ogóle, Julka jest już prawie dorosła, a ty wciąż ją traktujesz, jakby chodziła do przedszkola.

- Dorosła?! Co najwyżej jest dzieckiem, które chciałoby być dorosłe. Nawet nie wiesz, jak ten chłopak na nią patrzył. Chcesz być dziadkiem?

Nic przesadzaj, Julka jest odpowiedzialna.

- Właśnie, mamó. - Do pokoju weszła Julka z nadąsaną miną. - Jestem odpowiedzialna, niańczenie dzieci w wieku nastu lat to nie dla mnie. Zresztą, wiem co nieco o antykoncepcji.

Znów zaniemówiłam. Nie mogłam sobie wyobrazić, że moja córka już rozpoczyna współżycie. Nie teraz, nie tak.

- Dlaczego nie jesteś na kółku teatralnym? - warknęłam.

- Źle się czuję.

Wieczorem zapukałam do pokoju Julki. Zero reakcji. Weszłam do środka. Na podłodze - rozrzucone papierki po batonikach, w kącie - brudne skarpetki. Julka leżała na łóżku, odwrócona przodem do ściany.

- Mogłabyś posprzątać.

- Odpoczywam - burknęła.

Byłam tak wściekła, że bezceremonialnie włączyłam światło.

- Mamó! Co ty robisz? - krzyknęła rozzłoszczona.

- Posprzątaj.

- Później.

- Co się z tobą dzieje, do cholery? Spojrzała mi w oczy.

- Po prostu czasem ze mną porozmawiaj. Zainteresuj się mną, okej? - powiedziała Julka.

Podeszła do biurka i wyjęła iPod'a, założyła słuchawki na uszy i włączyła muzykę.

„Boże, co się ze mną dzieje? Co się dzieje z moim dzieckiem?” - pomyślałam z przerażeniem.

- Ratusj! - Zarzuciłam Goście ręce na szyję.

- Co się stało? - Pobladła w jednej chwili.

- Zaraz ci opowiem. Usiądźmy gdzieś.

- Oczywiście.

Weszliśmy do ciastkarni na rogu. W środku było duszno, mimo otwartych na oścież okien. Małgosia poszła złożyć zamówienie.

wienie, a ja usiadłam w fotelu i patrzyłam na podwórko. Dzieci bawiły się w berka, inne grały w piłkę. Zakochana para tuliła się pod rozłożystą wierzbą. Dlaczego wszyscy oprócz mnie są szczęśliwi?

- Mów! - Postawiła przed nami dwie filiżanki parującej kawy i talerzyk ciastek maślanych.

Opowiedziałam jej wszystko po kolei. Kiedy skończyłam, z oczu popłynęły mi łzy.

- Spokojnie - powiedziała, gładząc mnie po włosach. - To tylko seks.

- Seks w wieku czternastu lat?

- Robi to? - Spojrzała na mnie badawczo.

- Chyba jeszcze nie.

- Słuchaj, najważniejsza jest rozmowa. Jeśli chcesz, żeby twoje dziecko miało właściwy, pozytywny, odpowiedzialny stosunek do seksu, musisz mu w tym pomóc. Ty, a nie znajomi, filmy, internet, czy jej chłopak, który też jest dzieckiem.

- Jak w ogóle zacząć taką rozmowę? - Byłam przerażona.

- Ona jest już nastolatką, nie zapominaj o tym. Fajną, dojrzałą dziewczyną. Usiądźcie i porozmawiajcie o jej uczuciach, oczekiwaniach. Po partnersku.

- Tylko że ja się wstydę.

- Natalia. - Gosia wstała z krzesła, podeszła do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu. - Dasz radę. Twoją rolą jest przeprowadzenie Julki przez etap dojrzewania. Nie możesz zamknąć oczu i udawać, że ciebie ten temat nie dotyczy. Poza tym pamiętaj, że kiedy człowiek ma naście lat, wszystko w nim kipi, buzuje. Nie pamiętasz, jak ty byłaś młoda? Porozmawiaj z nią.

- Porozmawiam.

Nie porozmawiałam. Sama nie wiem dlaczego. Tyle razy chciałam zacząć ten temat, ale po prostu tchórzyłam. Sądziłam naiwnie, że sprawa sama się rozwiąże.

Rozdział 2

Depresja poporodowa

Moja ciąża była zaplanowana. Przeze mnie. Wiktorowi było chyba wszystko jedno. Natomiast ja z wielkim napięciem wyczekiwałam tego momentu. Pół roku po ślubie w końcu nie dostałam okresu. W szafce nad wanną miałam zapas testów ciążowych. Usiadłam na sedesie, rozpakowałam plastikowy prostokąt i po chwili wiedziałam już wszystko.

- Wiktor! - krzyknęłam podekscytowana.
- Co? - usłyszałam zza drzwi.
- Chodź tu szybko! - Usłyszałam skrzypnięcie podłogi. Po chwili zajrzał do łazienki. - Spójrz! - W triumfalnym geście wyciągnęłam test w jego stronę.
- Czy to znaczy, że jesteś w ciąży? - Zbladł.
- Właśnie tak. Cieszysz się? - spytałam radośnie.
- Yhmmm.

Jego odpowiedź nie w pełni mnie przekonała.

Narodziny Julki sprawiły, że w naszym związku pojawił się kryzys. Zaczęły się kłótnie i pretensje. Były nieprzespane noce, kolki, potem ząbkowanie. Julka była chorowitym dzieckiem. Godziny spędzone w poczekalniach u lekarzy sprawiały, że Wiktor ciągle chodził naburmuszony. Nasza sytuacja finansowa również była nie najlepsza. Kupiłam farbę, żeby pomalować pokój, ale nie sprawdziłam stanu konta i nie doś, że przekroczyłam limit, to jeszcze musieliśmy pożyczać na pieluchy i chleb.

Wiktor zaczął się ode mnie oddalać. Oczywiście to nie była tylko jego wina, moja również. Stałam się matką, zapominając o byciu żoną czy kochanką. Kiedy chciał wykąpać Julkę, nie pozwalałam mu. „Wszystko robisz źle”; „Uważaj, bo nalejesz jej wody do uszka”; „Woda wystygła, wyjmij ją”. Ciągłe miałam

o coś pretensje.

W dodatku miałam coś w rodzaju depresji poporodowej, która wtedy nie była jeszcze tak powszechnie znana. Co chwilę roniłam łzy i nie mogłam się pozbierać. Hormony szalały we mnie

1 wszystko doprowadzało mnie do płaczu.

- Skończ z tymi fanaberiami - mówiła moja matka. - On od ciebie w końcu odejdzie. Ja miałam dwójkę dzieci i jakoś sobie radziłam. Nie czas na rozczulanie się nad sobą.

Dzień w dzień wyrzucałam sobie, że jestem złą matką albo że pewnie mam coś z głową. Od najbliższych, którzy pytali z troską: „Natalia, co ci jest?”, oddzielał mnie niewidzialny mur. Czułam się tak, jakbym traciła grunt pod nogami. Wiecznie zmęczona, zniechęcona, niechlujna, z nadmiarem pokarmu i obolałymi piersiami. Wiedziałam, że może być ciężko. Byłam przygotowana na zarwane noce, ale nie spodziewałam się, że w ogóle nie będę miała siły zwlec się z łóżka. Czasami Julka płakała, a ja razem z nią - z bezsilności, z rozpacz, dlatego, że czułam się nieszczęśliwa i tak bardzo samotna. Kiedy Julka przysysała się do mojej piersi, wyłam z bólu. Była jak mały wampirek, który gryzł mi sutki do krwi. Mijał dzień za dniem, a mnie wcale nie przechodziło. Przeciwnie, było coraz gorzej. Doszło do tego, że miałam napady paniki i duszności. Przerażało mnie wszystko wokół. Patrzyłam przez okno i ostatekiem sił powstrzymywałam się, żeby nie wyskoczyć.

Pomogła mi Gośka. Zabrała mnie na miesiąc do siebie, na działkę. Była słoneczna, ciepła wiosna. Wszystko kwitło i ja też zaczęłam się budzić z odrętwiającego letargu. Choć nie od razu. Najpierw leżałam całe dni na leżaku, wystawiając twarz do słońca. Potrafiłam tak leżeć bez ruchu przez kilka godzin.

To Gośka zajmowała się Julką. Do tej pory nie zapytałam jej, skąd wiedziała, jak pielęgnować takie maleństwo, gdzie nauczyła się zmieniać pieluchy. To ona wstawiała w nocy po kilka razy do Julki, podczas gdy ja chlipałam w poduszkę i miałam wszystko gdzieś. Małgosia stanęła na wysokości zadania, choć nigdy nie podejrzewałam, że może mieć w sobie tyle cierpliwości do dziecka. A ona odciągała mi pokarm, a potem karmiła małą. Tuliła ją podczas kolki i masowała jej brzuszek.

- Będzie dobrze. - Gładziła mnie po mokrych od potu włosach. - Musi być. Wyjdiesz z tego.

Nie odpowiadałam. Nie chciało mi się. A ona akceptowała ten stan, to moje milczenie. Właśnie ta jej pełna akceptacja przywróciła mnie do życia. Gośka była wtedy takim moim aniołem bez skrzydeł.

Kiedy burza hormonów minęła, rozkochałam się w macierzyństwie. Nie zawsze byfo różowo, ale to chyba normalne. Czasami chodziłam z nieogolonymi nogami, niewyskubanymi brwiami, w wyciągniętym dresie. Jednak uśmiech mojej córeczki wynagradzał mi wszystko. Uwielbiałam chodzić z nią na spacerzy na plac zabaw. Poznałam kilka fajnych mam, które miały zdrowe podejście do macierzyństwa, choć były też takie, od których stroniłam. Nie fascynowały mnie rozmowy wyłącznie o kupkach, ząbkowaniu czy zbliżających się szczepieniach. Też czekałam z utęsknieniem na pierwszy ząbek Julci, ale chciałam czasami uwolnić mózg od gugania, kaszek i pieluszek.

- Gośka, czy ja jestem złą matką? - zapytałam któregoś dnia przyjaciółkę.

- Dlaczego?

- Bo niektóre tylko o dzieciach by gadały.

- Daj spokój. - Machnęła ręką. - One są nawiedzone. N A W I E D Z O N E - powtórzyła wolno. - Potrafią zachwycić się obsraną pieluchą. „Mój synek zrobił dziś żółciutką kupkę”. „A mój nakrapianą”. Zazwyczaj gotują też codziennie obiadki swoim mężusiom.

- To tak jak ja.

- Bo trochę jednak jesteś nawiedzona. Zaśmiałyśmy się.

- Uważaj, niedługo Wiktor pierdnie, a ty mu podziękujesz, bo zaleci ci fiołkami.

Z Wiktorem coraz bardziej się mijaliśmy. Nie wiem dlaczego. Może to była moja wina. Może po prostu miał dosyć moich humorów. Nawet nie odpisywał regularnie na moje esemesy.

Brakowało mi go. Dużo przez niego płakałam. Jedynym plusem był jego awans, co wiązało się z poprawą naszej sytuacji finansowej. „Nie będziesz musiała pracować” - powiedział mi tylko. I nie pracowałam.

Z zamyślenia wyrwało mnie pukanie do drzwi. Kiedy się otworzyły, stanęła w nich Gośka.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - rzuciła na powitanie. Patrzyłam się na nią, nic nie rozumiejąc.

- No co tak stoisz jak mimoza? - zapytała.

- O co ci chodzi?

- Jak to o co? O ciebie, o Julkę. O twoją rodzinę.

- Wszystko z nami w porządku.

Gosia rzuciła płaszcz na oparcie krzesła.

- Czyżby? Rozmawiałam z Julką już kilka razy, ona twierdzi, że nic nie jest w porządku. Nie porozmawiałaś z nią - rzuciła oskarżycielsko.

- Serio?

- Tak.

Zrobiło mi się głupio, że to ona częściej rozmawia z moją córką niż ja, ale rzeczywiście Julka od małości pokochała ciotkę Małgosię'. Aby ukryć zakłopotanie, podeszłam do ekspresu do kawy.

- Napijesz się?

- Natalia! - Gosia krzyknęła tak głośno, że aż podskoczyłam do góry.

- Mam w nosie kawę. Usiądźmy i pogadajmy.

Posłusznie klapnęłam w fotelu. Ona usiadła naprzeciwko mnie, na kanapie.

- Julka czuje się przez ciebie zaniedbywana. Dlaczego z nią nie porozmawiałaś, tak jak obiecałaś?

Wzruszyłam ramionami.

- To wszystko mnie przerasta. I ten cały chłoptaş...

- To jest jej chłopak.

- Skąd wiesz?

- Zwierzyła mi się po tym, jak ją opieprzyłaś i sama z nią nie porozmawiałaś.

Zaczerwieniłam się. Rzeczywiście po tym, gdy ich przyłapałam, trzeba było od razu porozmawiać z Julką. Dlaczego tego nie zrobiłam?

- Ona ma dopiero czternaście lat - powiedziałam bezsilnym głosem.

- Mogłaś załatwić to inaczej, a nie krzykiem.

- Wszystko mnie ostatnio drażni.

- Natalia, porozmawiaj z nią... Ale nie praw kazań.. - powiedziała łagodnie. - To twoja córka, ona teraz bardzo cię potrzebuje. Dojrzewa, zakochuje się, przechodzi młodzieńczy bunt.

Rozdział 3

Rozmowa z Julką

Z notatek N

Droga przez życie:

wyboista, kamienista, z kłodami pod nogi

wspina się po stromych zboczach,

ale czasem też prowadzi

łagodnie wśród szumu drzew i blasku słońca

upstrzona marzeniami...

- Musimy porozmawiać. - Weszłam energicznie do pokoju córki.

Odwróciła głowę w stronę okna.

- Będzie kazanie. - Wydęła usta jak mała dziewczynka. Jeszcze wczoraj miała pięć lat, dzisiaj niespełna piętnaście.

- Nie utrudniaj mi, dobrze?

Podkuliła nogi i zrobiła mi miejsce koło siebie. Zapadła cisza.

- Boję się twojego dojrzewania - wydusiłam w końcu.

Spojrzała na mnie. Dopiero teraz zauważyłam, jak się zmieniła. Nabrała kobiecych kształtów, biust jej urósł, rysy twarzy wyostrzyły się. Zniknęła pulchna dziewczynka. Miałam przed sobą prawie kobietę. W dodatku atrakcyjną.

- Też się boję - powiedziała szczerze. Głos jej trochę drżał. Znowu cisza.

- Jestem rozsądna, mamo.

- Tak? - spytałam zdziwiona.

- Tamto to były pieszczoty. Nie zrobiliśmy tego.

Odetchnęłam z ulgą.

- Na razie - dodała.

Po całym ciele przeszły mnie dreszcze.

- Szkoda, że mi nie ufasz. - Wbiła we mnie wzrok.

- Podobnie jak ty mnie - odparłam. - Dlaczego nigdy nie pytałaś o tę sprawę?

- O seks, mamo. Nazywajmy rzeczy po imieniu. A co byś odpowiedziała?

- Nie wiem.

- Dzięki za szczerość.

- Od początku powinno to tak wyglądać. Powinniśmy ze sobą rozmawiać.

- To ty jesteś starsza, dojrzała i jesteś moją mamą. A ja... jestem czasami taka zagubiona, samotna.

- Poprawię się, obiecuję... - Przytuliłam ją do siebie. - Będziesz mi się zwierzać?

- Mamo... - odsunęła się ode mnie - ...ja muszę mieć swój intymny świat, do którego cię nie wpuszczę.

- Okej. - Skinęłam głową, a potem spytałam: - Jaki on jest? Rozpromieniła się.

- Marek jest taki cudowny. Widziałaś, jak się ubiera?

- Mhmm... - Nie zwróciłam uwagi na jego ubiór.

- Jest opiekuńczy i czuły. Rozumiemy się bez słów.

- Jesteś szczęśliwa, spędzając z nim czas? - zapytałam.

- Bardzo.

- To najważniejsze.

Znowu ją przytuliłam. Długo siedziałyśmy w objęciach. Zakopywałyśmy przepaść, która powstała między nami. Burzyłyśmy mur milczenia. Będzie lepiej. Musi być.

Rozdział 4

Zaczynam od nowa

Były takie dni, kiedy moje myśli wciąż krążyły wokół wyśnionego kochanka. Wiem, to nie jest normalne, a mimo to wciąż o nim intensywnie myślałam. Opuszkami palców dotykałam swoich warg, były spierzchnięte, jakbym za długo się całowała na wietrze. Wciąż od nowa analizowałam swój sen. Byłam zła, a już po chwili uśmiechałam się. Siedziałam pół dnia, spoglądając na puszyste chmury i prowadząc bezsensowne rozmowy z kimś, kto nie istniał. Za długo patrzyłam w niebo, a trzeba było spojrzeć pod nogi - może wtedy nie miałabym złamanego serca.

Sen, który był przestrogą. Gdyby to wszystko zdarzyło się naprawdę, mogłabym stracić to, na czym naprawdę mi zależało: rodzinę. Kilka potajemnych spotkań, rozmów, czułości, komplementów - przeciw całemu życiu. Romans, który niósł ze sobą wielkie ryzyko. W tej grze mogłam przegrać wszystko, co było naprawdę ważne. Miałabym kogoś na parę chwil, kogoś, kto pozwoliłby mi zapomnieć o codzienności, rozbudziłby młodzieńcze uczucia, wspierałby, ale nie obarczał problemami. Związek pozamałżeński jest bardzo atrakcyjny, do czasu. Romanse mają napisany gotowy scenariusz: ekscytujący początek i smutny koniec. Dopóki ktoś się nie zaangażuje, dopóki kłamstwa nie zaczną się piętrzyć i wychodzić na jaw. Przecież mimo problemów, jakie mieliśmy, nadal kochałam Wiktora, a za Julkę oddałabym życie. Jaką krzywdę bym im wyrządziła, gdybym naprawdę zgłupiała dla innego faceta? Jak dobrze, że to był tylko sen...

Rozdział 5

Ruszam do boju

- Biorę się za siebie - powiedziałam, kiedy leżeliśmy z Wiktorem w łóżku.

- To znaczy? - Odłożył na bok gazetę.

- To znaczy, że zaczynam szukać pracy.

Sięgnął po okulary, włożył je i spojrzał na mnie. Mój mąż mnie zauważył. Pierwszy raz od dawna chciał posłuchać, co mam do powiedzenia. Do tej pory słyszałam tylko „hm” albo „tak, tak”.

- Masz dom na głowie.

- Ty też masz.

- Ja pracuję.

- Ja też będę pracować. Julka jest już duża, a mnie czegoś w życiu brakuje. Jakiegoś bodźca, jakiejś ekscytacji. Nie spełniam się i mam dość siedzenia w domu.

- Rozumiem. - Pokiwał głową i wrócił do gazety, jakby w ogóle go to nie obeszło albo jakby nie wierzył, że mogę robić coś innego poza praniem i gotowaniem.

- Potrzebuję od ciebie wsparcia.

- Dobrze.

- Dobrze, i tyle?

- Natalia. - Odwrócił się w moją stronę. - Wiecznie się czepiasz. Co bym nie powiedział, to jest źle.

- Może dlatego, że w niczym mi nie pomagasz? A może nie spełniasz moich oczekiwań?

Ściągnął brwi i zmarszczył czoło, po czym przetoczył się na swoją stronę łóżka i odwrócił do mnie plecami.

- Jak to nie spełniam twoich oczekiwań?

- Tak to.

- Dobranoc - burknął.

- Przepraszam - powiedziałam bardziej do siebie niż do niego-

Miałam popracować nad naszymi relacjami, a zamiast tego znów coś spieprzyłam. Sama nie wiem, czego oczekiwałam od Wiktora. Ciągłe było mi źle. Długo nie mogłam zasnąć. Przewracałam się z boku na bok. Starłam się przekonać samą siebie, że wszystko między nami jest w porządku, że w każdym małżeństwie dochodzi do kłótni. Że to tylko przejściowe kłopoty.

Rozesłałam do różnych firm swoje CV i list motywacyjny. Zostałam nawet zaproszona na kilka rozmów w sprawie pracy, nigdzie mnie jednak nie chcieli, bo nie znałam pięciu języków, nie miałam trzech fakultetów, tyle czasu byłam w domu i - co najważniejsze - byłam za stara.

- Za stara? - zapytałam kierowniczkę kadr. - Mam dopiero trzydzieści dziewięć lat.

- Właśnie, a my poszukujemy młodych, energicznych osób do naszego zespołu...

Na kochankę szefa też się nie nadawałam. Szara, zbyt pospolita, w dodatku matka i żona. Za dużo zobowiązań. Jeszcze rano fruwałam nad ziemią, a teraz siła grawitacji boleśnie dała o sobie znać.

Wróciłam do domu zrezygnowana. Otworzyłam drzwi i potknęłam się o torbę Julki.

- Cholera! - zakląłam pod nosem. - Julka, jesteś? - zawołałam w kierunku jej pokoju.

Nie odezwała się. Nalałam sobie soku i poszłam do niej. Siedziała schylona i malowała paznokcie. Nie zauważyła mnie. Pochyliłam się nad nią i mocno ją przytuliłam. Tak bardzo chciałam, aby między nami było dobrze. Julka podniosła na mnie wzrok.

- Mamo, dobrze, że jesteś. Chciałabym dziś nocować u Martynty - powiedziała.

- U Martynty? Nie znam żadnej Martynty. Obrzuciła mnie chłodnym spojrzeniem.

- Bo to nowa dziewczyna w klasie. Zaprosiła mnie do siebie na babski wieczór.

Wiedziałam, że to nieprawda. Myślałam, że doszliśmy do porozumienia, a ona perfidnie mnie okłamywała. Postanowiłam zachować spokój.

- Babski wieczór? Dobrze. W takim razie przyjadę po ciebie o dwudziestej drugiej. Podaj mi adres.

- Mamo! - Julka wpatrywała się we mnie błagalnym wzrokiem. - Ja chcę zostać u niej na noc. Muszę zostać u niej na noc.

- Czy ta nocna eskapada ma coś wspólnego z twoim chłopakiem? Spuściła wzrok.

- Posłuchaj, nie okłamuj mnie - poprosiłam łagodnie.

- Czyli mogę iść? -Nie.

Zerwała się na równe nogi. Stanęła naprzeciwko mnie i zaczęła krzyczeć:

- Ty nic nie rozumiesz! Ty mnie nie rozumiesz! Wybiegła z pokoju.

-Julka!

Usiadłam na łóżku. Znów zawaliłam sprawę. „Co ja mam zrobić, do cholery? Jak mam z nią postępować? Wszystko miało iść gładko. Miałam znaleźć nową pracę i poukładać na nowo sprawy rodzinne. A tu ciągle pod górkę” - rozmyślałam niewesoło.

Okna naszej sypialni wychodzą na wschód. Specjalnie nie zasłaniam ich do końca. Kiedy wstaje nowy dzień, promienie słoneczne przedostają się do pokoju przez tę niewielką szpa-

rę i padają na moją twarz. Rozjaśniają ją, a usta jeszcze w półśnie rozszerzają się w uśmiechu. Cudownie zacząć dzień od ciepłej pieśczoły. Przeciągnęłam się i napotkałam wzrok Wiktora.

- Jak poszukiwania pracy? - zapytał.

- Nijak - burknęłam. W jednej chwili mój dobry humor gdzieś się ulotnił. „Jakie on ma świetne wycucie czasu z tymi swoimi pytaniami!” - pomyślałam ze złością.

- Istne szaleństwo - mruknął pod nosem, sądząc zapewne, że nie usłyszę.

- Uważasz mnie za wariatkę? - zapytałam.

- Dziwnie się ostatnio zachowujesz. I ta praca... - Westchnął ciężko.

- Co w tym dziwnego, że chcę pracować?

- Masz już prawie czterdzieści lat.

- Trzydzieści dziewięć! - Wstałam z łóżka i z impetem wpakowałam skarpetki do szuflady, nawet ich nie segregując.

- Tyle czasu siedziałaś w domu...

- I myślałaś, że zawsze tak będzie? - Byłam kompletnie wytrącona z równowagi.

- Wydawało mi się, że było dobrze - stwierdził. No tak, jemu się wiecznie coś wydaje.

- Widzę, że mam w tobie ogromne oparcie. - Usiadłam w fotelu i spojrzałam na jego silne ramiona.

- Mamy co do garnka włożyć i tobie niczego nie brakuje. Czego jeszcze chcesz? Nie prowokuj losu. To może się źle skończyć dla rodziny.

- Właśnie. Mamy problem z Julką.

- Ty masz.

- Jak to ja? A ty niby nie?

- Między nami jest super.

- Akurat. Wczoraj chciała spędzić noc ze swoim chłopakiem, wciskając mi głodne kawałki, że jedzie do koleżanki na babską imprezę.

- Jak zwykle dramatyzujesz.

- A ty na wszystko jej pozwalasz. Dajesz jej wolną rękę, a to nie jest dobra metoda! - Podniosłam głos.

- Jak sobie pościeli, tak się wyśpi. - Wiktor mówił spokojnie i poprawiał krawat. Zawsze tak robi, gdy się denerwuje. - Sama powinna się przekonać o słuszności naszych rad i ostrzeżeń. Sparzy się raz czy drugi, to zobaczy, że mieliśmy rację.

- Czyli twoim zdaniem, powinnam się zgodzić na jej nocne eskapady z wymyśloną koleżanką?

- Potem porozmawiamy. Spieszę się - powiedział i zatrzasnął za sobą drzwi.

Rozdział 6

Zycie jest największym cudem

Przeglądając jakieś czasopismo, natknęłam się na artykuł o mężczyźnie, który - jak krzyczał nagłówek - cieszył się, z tego, co ofiarowało mu życie. „Szczęściarz - pomyślałam. - A może tylko udaje, że jest mu tak wesoło na tym świecie?”. Już miałam przewrócić kartkę, kiedy mój wzrok padł na jego zdjęcie. Uśmiechał się na nim od ucha do ucha i było w tym coś takiego, że dałabym głowę, iż był to szczery uśmiech. W jego oczach igrały wesołe iskierki. Dopiero po chwili zauważyłam, że ten człowiek nie miał rąk ani nóg! Po plecach przebiegły mi ciarki. Zaczęłam czytać jego historię, opisaną na kilku stronach. Mężczyzna nazywał się Nick Vujić. Urodził się kaleką, a mimo wszystko nie zrezygnował z siebie, ze swoich marzeń. Grał w golfa, serfował, podróżował, pływał, czytał, spotykał się z przyjaciółmi, a nawet gotował. Najbardziej nurtowało mnie nie to, jak nauczył się wykonywać tyle czynności, ale jak to możliwe, że był takim radosnym i zadowolonym z życia człowiekiem. Nie zawsze było kolorowo. Mały Nick nie mógł się pogodzić ze swoim kalectwem, próbował nawet popełnić samobójstwo. Na szczęście próba była nieudana. Skwitował to słowami: „Widocznie Bóg miał dla mnie inny plan. Dawać innym ludziom nadzieję poprzez historię mojego życia”. Oczywiście i jemu zdarzały się gorsze dni, kiedy świat malował się w czarnych barwach i przychodziło załamanie. „Jestem tylko człowiekiem” - stwierdził. Po każdym upadku pod-

nosił się jednak i szedł dalej, by realizować swoją pasję, pasję życia, i dawać nadzieję innym - nie tylko chorym, ale także zdrowym, którzy gdzieś po drodze zagubili sens istnienia.

Ja rozkładałam ręce w obliczu problemów, a tutaj ten roześmiany mężczyzna nie mógł tego zrobić, gdyż nie posiadał rąk. Za to potrafił cieszyć się życiem bardziej ode mnie.

Nick skończył swoją opowieść słowami: *If you don't get a miracle. .. become one!* Jeżeli nie przydarzą ci się cuda... sam stań się cudem! Coś ścisnęło mnie w dołku. Dotarło do mnie, że życie jest największym cudem! Że jeśli będę bardzo chciała znaleźć pracę, to w końcu ją znajdę.

Myślałam całą noc, co mogłabym robić, oprócz gotowania, prania, sprzątania, niańczenia. Miałam kilka pomysłów. Od zawsze uwielbiałam dekorować mieszkanie, przemeblowywać, upiększać, naklejać, ozdabiać ściany, upinać finezyjnie zasłonki. Sprawiało mi to ogromną przyjemność. Mogłabym zrobić jakiś kurs albo zacząć od upiększania mieszkań znajomych, za darmo lub za drobną opłatą. Pomóc im urządzić swoje gniazdko zgodnie z preferowanym przez nich stylem i osobistymi potrzebami. Dobrać w ich wnętrzach odpowiednie kolory, meble, oświetlenie.

Potrafiłam też pisać... Może musiałabym popracować nad warsztatem, ale dobrze mi szło. Pisanie było w modzie.

A może zostać wolontariuszką? Pomagać innym bezinteresownie? „Tak, dużo mogę” - pomyślałam z uśmiechem na twarzy. Pogmatwane życie należało wygładzić, rozwiązać supełki, rozprostować kanty, dodać szczyptę pikanterii, nie za dużo, dla smaku.

Przez te wszystkie lata zgadzałam się na bycie kuchcią, praczką, oddaną żoną, matką, cierpiętnicą. Co ciekawe, Wiktor wcale tego ode mnie nie oczekiwał. Sama siebie ukrzyżowałam. Z czasem wszyscy przywykli do tego. Było im przyjemnie, choć mnie znacznie mniej. Znudziło mi się gadanie do pustych ścian i marudzenie do kotleta.

A potem pojawił się sen... Z czasem stwierdziłam, że dzięki niemu zrozumiałam wiele spraw. Nie chciałam rzucać wszyst-

kiego i uciekać, jak to teraz w modzie. Chciałam działać, pracować, spotykać się z ludźmi, zawierać nowe znajomości i zacząć nowe życie. Na własnych warunkach. Chciałam być dekoratorką wnętrz! Amatorką z wielkim zamiłowaniem. Miałam dryg do tego. Postanowiłam spróbować!

Siedziałyśmy z Gością na podłodze i piłyśmy kawę.

- Czyli naprawdę chcesz pracować? - spytała przyjaciółka, kiedy jęczałam jej nad uchem o moich planach, a bardziej nawet o obawach związanych z rozpoczęciem własnej działalności. Chciałam, ale się bałam. - To dobrze.

- Gosia, mówisz jak Wiktor.

-A co, chcesz, żebym to ja odwalala za ciebie robotę? - Wstała, podeszła do barku i wyjęła czekoladowe ciasteczka. - Nie o to chodzi. Po prostu nie wiem, jak się do tego zabrać.

- Kochana, masz dryg, wyczucie smaku, lubisz przemeblowywać mieszkania, choćby moje urządziłaś wzorcowo. O twoim już nie wspomnę. Ciągle coś w nim zmieniasz.

- No tak, ale talent to nie wszystko.

- Nie wszystko. Wiesz, myślę, że może powinnaś zrobić jakiś kurs, rozreklamować się, popytać znajomych, czy nie są zainteresowani takimi usługami. Wszystko da się zrobić - mówiła podekscytowana. Kiedy wbita sobie coś do głowy, to nie było odwrotu.

- Pomogę ci. - Włożyła ciasteczko do ust, po czym cmoknęła powietrze koło mojego ucha i zaczęła się ubierać. - Pędzę do pracy, mam mnóstwo roboty. A ty działaj, bo nie ma się nad czym zastanawiać!

Rozdział 7

Zazdrość o Julkę

Patrzyłam na moją córkę z zazdrością. Była taka piękna. Ja nigdy nie byłam piękna ani nawet ładna, raczej pospolita. A teraz w dodatku stara. Małgosia nazywała ten okres dojrzałością ale mnie trudno było pogodzić się z upływającym czasem. Zmarszczki mimiczne, cellulit, włosy przetkane siwizną, spowolniony metabolizm - a tuż obok brzoskwińowa, gładka cera, zgrabna figura, długie nogi. Starość w zestawieniu z młodością. Od kilku tygodni miałam obsesję na tym punkcie. Dwa razy byłam u fryzjera, raz u kosmetyczki, zaczęłam kupować tylko zdrowe jedzenie. Zrezygnowałam z kawy. Sama nie wiedziałam, co się ze mną działo. Byłam zła, kiedy Julka paradowała koło mnie w kusej spódniczce i opiętym topie. A najbardziej wkurzało mnie, że miała chłopaka. Marek był sympatyczny i cholernie przystojny jak na szesnaście lat. Może chciałam choć przez chwilę być tak piękna, żeby nie mogła opędzić się od mężczyzn. Być przez chwilę jak Małgosia albo jak moja rodzona córka. Wiedziałam, to głupie. Może byłam próżna, a może na stare lata odjęło mi rozum? Zwierzyłam się Goście.

- Sądzę, że powinnaś jej otwarcie powiedzieć
- Ale co?
- No, że jesteś zazdrosna o to, że jest młoda i piękna. -I co by to zmieniło?
- Nie wiem, co by to zmieniło, ale szczerza rozmowa zawsze pomaga. Stałam przed lustrem i naciągnęłam skórę.

- *Źle* mi ze sobą.
- Bo wciąż nie możesz siebie zaakceptować. Myślałam, że ostatnio się poprawiło...
- Też tak myślałam, ale to wraca. Szczególnie teraz, kiedy widzę, jak Julka rozkwita.
- Pewnie, że lepiej mieć gładką skórę niż pomarszczoną, ale w każdym wieku można odkryć walory kobiecości.
- I kto to mówi? - prychnęłam. - Kobieta, która wstrzykuje sobie botoks.
- Daj spokój! - Roześmiała się. - Ze mną to zupełnie inna historia.
- To wina mojej matki - stwierdziłam.
- Po części pewnie tak, jeśli nie była przy tobie, kiedy wchodziłaś w dorosłość. Ale nie możesz jej wciąż obwiniać za swoje podupadłe ego i wszelkie nieszczęścia.
- Tak czy owak, nie potrafię zaakceptować kobiecości Julki - wyznałam ze smutkiem. Upiłam łyk zimnej herbaty.
- Wszystkim nam trudno się pogodzić z upływem czasu, z przemijaniem.
- Myślałam, że mam zdrowe podejście do swojej cielesności. A tu niespodzianka - powiedziałam i poszłam do kuchni nastawić wodę na herbatę. - Zielona czy owocowa? - spytałam po chwili. Otworzyłam szafkę i wyjęłam dwie fajansowe filiżanki.
- Zieloną poproszę.
- Po chwili dwa czajniczki z herbatą stały na ławie.
- Pokolenie mojej córki ma lepiej - stwierdziłam. Ugryzłam suchara; zrezygnowałam ze słodyczy, aby czuć się lepiej we własnym ciele. - Nie muszą tak wcześnie jak my podejmować ważnych decyzji. Te śluby tuż po dwudziestce, dzieci...
- A czy to było takie złe? Teraz w modzie jest sztucznie przedłużanie dzieciństwa. Młodzi ludzie są bombardowani reklamami, jacy powinni być, a jacy nie, co jest *cool*, a co do bani. I hulaj dusza, wiecznie młodzi do czterdziestki. Niedojrzałość i brak odpowiedzialności są na topie.

- Tak źle i tak niedobrze.
- A tak w ogóle, to jak wasze stosunki? Gadałaś z nią? - Małgosia dołała sobie herbaty.
- Rozmawiałam i przez chwilę było dobrze. Ale teraz znów się na mnie obraziła.
- Za co?
- Bo nie pozwoliłam jej zostać u niego na noc.
- Dobrze zrobiłaś.
- Ale ona jest na mnie wściekła. Wiesz, to ja jestem teraz tą złą, a Wiktor to cudowny tatuś.
- Właśnie, a co u twojego mężulka?
- Ciężko pracuje.
- Jak zawsze.
- Jak zawsze - powtórzyłam jak echo. - Naprawdę chciałabym to nasze rodzinne życie jakoś sklecić, ale nie bardzo się udaje.
- Każda rodzina ma mniejsze lub większe problemy. - Gosia pociągnęła łyk herbaty. - Myślisz jeszcze o tym swoim śnie? - zapytała niespodziewanie.
- Tak - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. - Tylko te myśli już nie są takie obsesyjne. Mam pomysł na siebie, chcę pracować i przede wszystkim ratować swoją rodzinę. Przecież nie będę wiecznie żyła jakimiś majakami. Chociaż nie powiem, mam takie dni, kiedy myślę nad przekazem tego snu. Uważasz, że mi odbiło?
- No wiesz... - Na ustach przyjaciółki pojawił się uśmiech. Zaczęła bacznie mi się przyglądać. - Nikt nie jest stuprocentowo normalny. Czytałam kiedyś w jakiejś „mądrej” gazecie, że pewien psychiatra, który zajmował się interpretowaniem snów, stwierdził, iż odbijają się w nich kompleksy śniącego, będące wyrazem jego psychiki. Uważał, że są odzwierciedleniem naszej podświadomości i dzięki nim można odkryć przyczyny lęku i neurotycznych zachowań.
- Cholercia - udałam wzburzoną. - Jednak mi się w głowie popieprzyło od tego siedzenia w domu.

- Kochana, jak ja bym tylko prała mężusiowi brudne gacie i gotowała obiady, to też by mi się na głowę rzuciło, pewnie jeszcze bardziej niż tobie.

Zaczęłyśmy się głośno śmiać.

_ Ale niedługo ruszam z pracą, więc mam nadzieję, że to mi pomoże.

Wiktor wszedł do kuchni. Rzucił w moim kierunku spojrzenie, ni to smętne, ni to obronne. Tak jakby chciał dać mi do zrozumienia, że bym go znów nie atakowała. Oczywiście milczał. To jego forma obrony przede mną. Stałam przy kuchennym blacie i po raz dziesiąty mieszałam herbatę. Chciałam się do mego przytulić, a jednocześnie byłam na niego zła: za sprawę z Julka, za to że nie wspierał mnie w poszukiwaniu pracy, za to że ze mną nie rozmawiał. A jeśli już, to nieustannie na siebie krzyczeliśmy albo mieliśmy o coś pretensje.

Zrobił sobie kanapkę z wędliną, po czym wyszedł z kuchni.

Poszłam za nim.

- Idziesz spać? - spytałam.

- Tak. Jestem zmęczony.

- Jest dopiero dziewiąta.

- I co z tego? - Wzruszył ramionami.

- Może pooglądamy razem telewizję? Albo wypijemy drinka? - zaproponowałam, bo chciałam zatrzymać go przy sobie. Żeby przy mnie usiadł i porozmawiał, tak jak kiedyś.

Wiktor stanął jak słup soli i patrzył na mnie jakbym była kosmitką.

- Chcesz ze mną obejrzeć telewizję? - Uniósł do góry brwi.

- Tak

Podszedł do stolika i położył na nim kanapkę. Na jego twarzy zobaczyłam delikatny uśmiešek.

- Dobrze - Włączył telewizor i usiadł koło mnie na kanapie. Poczułam się skrępowana. Dawno nie robiliśmy niczego razem Taka zwykła rzecz, a cieszy. Przez chwilę nie odzywaliśmy się do siebie. Po czym on, nie patrząc na mnie, powiedział:

- Przepraszam.

- Ja też przepraszam - odpowiedziałam bardziej do szklanego monitora niż do niego.

I nagle jego dłoń niespodziewanie dotknęła mojej dłoni. Moje palce splotły się z jego palcami.

Co mnie podkusiło, żeby stać w świetle reflektorów i świecić gołym tyłkiem? Nie „co”, a „kto”? Małgosia.

- Załatwiłam nam sesję zdjęciową - oznajmiła przy wieczornej herbatce.

- Jaką sesję?

- Rozbieraną. - Zaczęła się śmiać.

- Oszalałaś?

- Nie! - Znowu rehot.

- I z czego tak rżysz?

- Z twojej głupiej miny.

- Ale po co komu ta sesja?

- Żebyś zobaczyła, jaka jesteś ładna, nawet z tymi kilkoma zmarszczkami. Potraktuj to jak formę psychoterapii.

- Mam gdzieś taką psychoterapię - zachnęłam się. - Chyba mnie nie znasz, jeśli myślisz, że się zgodzę. Nie ma mowy.

- Przestań pieprzyć farmazony. Idziesz i już. -Nie!

-Tak! -Nie!

- Dlaczego nie?

- Bo nie mam ciała modelki. Mam za to grube uda i wielki tyłek.

- I piękne piersi, ciekawą twarz, zmysłowe usta, gęste, falujące włosy.

Po kilku dniach od sesji dostałam album ze zdjęciami. Nie mogłam uwierzyć, że kobieta, na którą patrzyłam, to ja. Czterdziestolatka, matka, żona.

- Jestem piękna - powiedziałam z dumą.

Rozdział 8

Dekoratorka wewnątrz

Za radą Gośki zapisałam się na kurs pod wdzięcznym tytułem „Projektant wewnątrz”. Mimo iż miałam świetne wyczucie smaku, byłam przekonana, że takie szkolenie naprawdę mi się przydał gdyż o wielu rzeczach nie wiedziałam. Moim głównym celem była nauka programu do aranżacji wewnątrz. Miałam chodzić na wykłady, które zapowiadały się naprawdę ciekawie. W planach były też zajęcia praktyczne, by wypróbować teorię w praktyce. Pierwszy wykład miał być już jutro. Jak coś zaczynać, to jak najszybciej. Byłam bardzo podekscytowana. Po raz któryś czytałam program kursu. „Umiejętność rysowania przestrzeni w perspektywie i poznawanie zasad kompozycji”. O to właśnie mi chodziło!

Z pierwszego wykładu wróciłam cała w skowronkach. Wiktor podszedł do mnie od tyłu i objął silnymi ramionami.

- Kochanie, jesteś studentką - powiedział z dumą. Wziął notatki i zaczął je przeglądać. - To jest naprawdę ciekawe.

- Jestem taka podekscytowana. Dzisiaj omawialiśmy, w jaki sposób łączyć estetykę z funkcjonalnością w projekcie wnętrza mieszkalnego, a jak to robić w przypadku pomieszczenia biurowego. Wykładowca mówił też o doborze barw, ruchomych i stałych elementów wyposażenia wnętrza. Na kolejnych zajęciach będziemy omawiali materiały wykończeniowe, jak urządzić pokój dla dziecka, a jak nowoczesną łazienkę.

- Widzę, że macie w planach nawet trochę historii architektury.

- Mhm... - Odsunęłam się od niego i zaczęłam jeść pączka.
- Architektura starożytna w Egipcie i Grecji, a także średniowiecze i neoklasycy.
- Kamień we wnętrzu, światło we wnętrzu. - Przerzucał kartki. - Trochę tego jest.
- Dla chcącego nic trudnego. - Otrzepałam dłonie z cukru pudru. Znów mnie do siebie przytulił i pocałował w czoło, a mnie w jednej chwili zrobiło się błogo.
- A wiesz, że aranżacje możemy różnicować kolorem? Jasny pastelowy jest zalecany we wnętrzach małych, a na ciemny
 - na przykład wenge - możemy sobie pozwolić, gdy dysponujemy dużą powierzchnią. - Chciałam się z nim podzielić wiadomościami z wykładów.
 - Kochanie, ty wszystko łapiesz w lot. - Uśmiechnął się.
 - No pewnie - odparłam, unosząc głowę. Zaczęliśmy się śmiać. - Każde słówko zapisuję i zapamiętuję. Zobacysz, jeszcze zrobię karierę.
- Wiktor usiadł wygodnie w fotelu. Spojrzałam na niego kątem oka. Był jakiś dziwny. Z jednej strony - szczęśliwy, bo ja byłam szczęśliwa, z drugiej - wyglądał, jakby czymś się martwił.
 - Wiesz... - zaczął, kręcąc się nerwowo w fotelu. -Tak?
 - Już nic.
 - Coś się stało? - spytałam.
 - Nie, dlaczego tak myślisz?
 - Zaczynasz i nie kończysz.
 - Już sam nie wiem, co chciałem powiedzieć - odparł. Miałam wrażenie, że kłamie. Chciał mi coś powiedzieć, ale po namyśle zmienił zdanie. - Naprawdę się cieszę, że zaczynasz nowy rozdział w swoim życiu, że chcesz pracować.
 - Wydawało mi się, że nie jesteś zachwycony tym pomysłem.
 - Patrzyłam mu prosto w oczy.
 - Bo nie byłem. Ale widzę, że to cię uszczęśliwia. Znów się uśmiechasz.

Nie wiem czemu, ale właśnie w tym momencie przypomniał mi się nasz ślub. Moment, kiedy on włożył mi obrączkę i ślubował miłość oraz wierność. Spojrzałam na serdeczny palec - obrączka wciąż na nim była, przez tyle lat. Lekko porysowana, już nie taka błyszcząca, ale idealnie wpasowana w to miejsce na palcu. Wciąż kochałam tego mężczyznę, mimo iż czasem było ciężko. Mimo kłótni i gorszych dni. Miłość do Wiktora była najważniejsza.

- I jak ci idzie na kursie? - dopytywała się Gosia.

- Kochana, jestem najlepsza w grupie. Po prostu to jest to.

- Wiedziałam. - Była nie mniej podekscytowana ode mnie.

- Mam za sobą jeden egzamin, który świetnie mi poszedł.

- Moja kochana Natałka. A teraz słuchaj uważnie - zaczęła. Wiedziałam, że coś knuje, bo nie mogła usiedzieć w miejscu, tylko spacerowała w kółko po pokoju. - Mam znajomego fotografa, który strzeli kilka fotek w moim mieszkaniu i kilka fotek w twoim. Potem ty zbierzesz to wszystko do kupy, zrobisz opisy... A następnie zajmiemy się poszukiwaniem przyszłych klientów.

- Ale ja nie jestem jeszcze gotowa.

- Przestań pieprzyć. I nie ma żadnego „ale”. Musisz mieć portfolio. Poza tym moi znajomi z pracy kupili mieszkanie i szukają kogoś, kto by je ładnie urządził. I tym kimś będziesz ty. Już im o tobie opowiadałam.

- Pewnie same głupoty.

- Jakie głupoty? Samą prawdę. Zachwalałam cię pod niebiosa. Są nadziani. Wiesz, tacy młodzi nowobogaccy, którzy chcą się pokazać. - Puściła do mnie oko.

- Czy mogłaby pani zostać na chwilę? - zapytała po zajęciach moja wykładowczyni, profesor Zawadzka.

- Tak, oczywiście - odparłam.

- Jest pani moją najlepszą studentką. - Uśmiechnęła się do mnie.

- Dziękuję. - Czułam, że się rumienię.

- Prowadzę biuro projektów, które zajmuje się aranżacją i wystrojem wnętrz. Czy miałaby pani ochotę odbyć u mnie staż?

Patrzyłam na nią szeroko otwartymi oczami.

- Czy pani milczenie oznacza odmowę?

- Nie, po prostu nie wiem, co powiedzieć.

- Może przyjdzie pani do nas któregoś dnia? Tutaj jest adres. - Podała mi wizytówkę, na której był adres i nazwa biura: Zawadzka Design Projekt.

- Z wielką chęcią - odparłam. Czułam narastające podniecenie. Do biura przyszłam już następnego dnia.

- Proszę, niech się pani rozgości - przywitała mnie profesor Zawadzka. - Herbaty? Kawy?

- Słabą kawę poproszę. I proszę mi mówić po imieniu. Biurko pani profesor było zawałone projektami, rysunkami technicznymi, próbkami tkanin, deseni i tapet.

Zostałam tam do wieczora. Obserwowałam pracę zespołu, ale przede wszystkim mojej wykładowczyni. Słuchałam, chłonełam informacje. W jednej chwili poczułam, że naprawdę żyję i że chcę to robić. Spotkanie dobiegło końca. Zawadzka podniosła się z krzesła.

- To kiedy zaczynasz? - zapytała.

Byłam naprawdę zaskoczona, że tak szybko chce mnie przyjąć do swojego zespołu.

- No... może... jutro? - wyjąkałam.

- Świetnie. O dziewiątej?

- Będę.

- Możemy się umówić, że będziesz przychodziła trzy razy w tygodniu, aby starczyło ci czasu na naukę; wykłady.

Wyszłam z biura na świeże powietrze i poczułam się jak w transie. Serce biło mi jak oszałałe. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że otworzą się przede mną takie możliwości.

Po pierwszych trzech dniach pracy w biurze projektów głowa pękała mi ze zmęczenia. Zawadzka pracowała szybko i wymagała ode mnie, bym wszystko w mig zapamiętywała. Była wymagająca i nieustannie motywowała mnie do pracy. Wiedziałam, że aby dotrzymać jej kroku, będę musiała się jeszcze wiele nauczyć. Obecnie pracowała nad projektem wnętrza kawiarni. Właściciel Cafe Ragioli chciał, by jego lokal był ekskluzywnym miejscem, gdzie będą się odbywały wernisaże i gdzie będzie się spotykać śmietanka artystyczna miasta.

- Chciałabym, żebyś zajęła się tym projektem, a później wspólnie go dopracujemy - powiedziała.

Rzuciłam się w wir pracy. Najpierw wykonałam projekty koncepcyjne, przedstawiające funkcjonalny układ kawiarni. Następnie zabrałam się za wizualizacje przedstawiające przestrzeń, kolorystykę i charakter wnętrza. Wszystko szło mi niezwykle wolno. Rysunki, na podstawie których miał być realizowany projekt, były nieudolne, chociaż bardzo się starałam. Najbardziej cieszyły mnie wyjazdy do sklepów, gdzie wyszukiwałam materiały pasujące do wnętrza kawiarni. Uzbierałam mnóstwo próbek materiałów i tapet w różnych deseniach.

Po dwóch tygodniach mozolnej pracy z dumą zaprezentowałam swoje dokonania szefowej. W napięciu czekałam na jej ocenę. Zawadzka przerzucała szkice, obejrzała uważnie tkaniny i próbki materiałów, po czym zdjęła okulary i popatrzyła na mnie tak, jakby była rozczarowana.

- Jest okej... Ale stać cię na więcej. Zaproponowane rozwiązania są funkcjonalne, kolory stonowane, jakby to była nudna sieć kafejek. Oczekiwałam czegoś naprawdę dobrego, czegoś ambitnego.

Serce mi waliło, a nogi miałam jak z waty.

- Wiem, że włożyłaś w pracę dużo serca, ale to nie to. Odpocznij trochę i zabierz się za projekt jeszcze raz.

Wracałam do domu przygaszona i smutna. Nie mogłam przestać myśleć o zawalonym projekcie. Może jednak porwałam się

z motyką na słońce? Może nie nadawałam się do tej pracy? Wlokłam się zatłoczonym chodnikiem i w jednej chwili doznałam olśnienia - kawiarnia w stylu secesyjnym! Wnętrze ozdobne, pełne ornamentów, dostojne. Pękate żyrandole w stylu wiedeńskiej secesji. Przy stolikach foteliki zamiast krzeseł. Pod ścianą stara komoda, na każdym stoliku lampka i fikuśny dzbanuszek, z włożoną różyczką. Serwis z delikatnej porcelany. Cieniutkie ozdobne filiżanki w drobniutkie wzory i białe talerzyki na ciasto. Na ścianach reprodukcje obrazów Klimta... Muzyka ze starego adapteru. Kolory ścian nasycone i ciepłe. Tak, to jest to.

Po tygodniu dostarczyłam Zawadzkiej nowy projekt. Moje pomysły tym razem przypadły jej do gustu.

- To jest naprawdę świetne - powiedziała zachwycona. W jednej chwili poczułam, że kamień spadł mi z serca. Uśmiechnęłam się do niej. Byłam zmęczona, a jednak bardzo zadowolona. - Dopracuję szczegóły i przedstawię projekt zleceniodawcy.

Po kilku dniach zadzwoniła do mnie.

- Bardzo się podobało! - mówiła przejęta, a ja nie mogłam złapać tchu.

- Naprawdę?

- Naprawdę - potwierdziła. Dałabym sobie głowę uciąć, że uśmiechała się od ucha do ucha.

- Może spróbuję pracy na własny rachunek? - zapytałam nieśmiało.

- Świetny pomysł. Jeśli będziesz chciała, mogę wystawić ci referencje.

- Dziękuję.

W kolejnych dniach z pomocą fotografa i Małgośki zrobiłam portfolio, które ona przekazała znajomym. Spodziewałam się odmowy. Tymczasem któregoś popołudnia zadzwoniła do mnie znajoma Gośki i zaproponowała, abym urządziła jej mieszkanie. Chciałam skakać ze szczęścia. Szczęśliwy zbieg okoliczno-

ści sprawił, że dostałam pierwsze zlecenie. Tym razem wszystkim miałam zająć się sama.

Denerwowałam się. To była moja pierwsza poważna praca od niepamiętnych czasów. Czyli od czasów stemplowania listów na poczcie. Nigdy też nie prowadziłam własnego interesu. Trudno mi było wyobrazić sobie siebie w roli bizneswoman.

- Kobieta sukcesu. - Zaśmiałam się pod nosem i pomyślałam: „Bądź sobą”.

Czułam się tak, jakbym wspinała się na górę bez odpowiedniego ekwipunku. Chciało mi się pić, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Czułam jednak, że dojdę na szczyt i pokonam kryzys, znajdując sposób na lepsze życie.

- Marta jestem. - Drobną kobietą w jasnej garsonce wyciągnęła dłoń w moją stronę.

- Natalia.

- Konrad. - Mężczyzna również się przedstawił.

- Czego państwo oczekują? - zapytałam nieśmiało. Marta i Konrad byli młodym, zamożnym małżeństwem, a niedawno stali się właścicielami ekskluzywnego dwupoziomowego apartamentu.

- Żeby było przytulnie, może trochę ekstrawagancko, nietypowo - odpowiedziała kobieta, gładząc się po okazałym brzuchu.

- Ja bym stawiał na elegancję. - Mężczyzna zdjął marynarkę, powiesił ją na kłamce od drzwi i podwinął rękawy koszuli.

- Sądzę, że przy odrobinie kreatywności i odpowiednich materiałach można przeprowadzić prawdziwą stylową rewolucję.

Oboje uśmiechnęli się do mnie.

- Który miesiąc? - zapytałam, aby rozładować atmosferę.

- Siódmy. - Marta uśmiechnęła się do mnie, ukazując rząd bielutkich, równych zębów.

- Co myślicie o tym, żeby pomalować mieszkanie w odcieniach ostrej czerwieni, poprzez pomarańcz aż po żółć? Ściany jadalni w kolorze soczystym jak dynia, szafki o ton jaśniejsze.

Pokój dziecienny w kolorze cytrynowym. Dodatki zielone i niebieskie.
- Przymknęłam powieki i rozmarzyłam się. Już widziałam piękny efekt moich poczynań.

- Myślałam raczej o tapetach, znów wracają do łask. - Przyszła mama klasnęła w dłonie.

„Tapety, tapety...” - szukałam w pamięci informacji dotyczących tapet, które ostatnio omawialiśmy na zajęciach praktycznych na kursie. Gosia! Jej sypialnia była wytapetowana. Kupiłam dla niej piękną tapetę w różane wzory.

- Tapeta to proste i ciekawe rozwiązanie aranżacyjne, sposób na ożywienie lub zagospodarowanie pustej przestrzeni, ale także na uzupełnienie przestrzeni o przedmioty z marzeń - mówiłam, jakbym cytowała podręcznik. To ze zdenerwowania. Wdech - wydech. „Natalia, uspokój się” - upominałam siebie w myślach. - Proponuję tapety w surrealistyczne wzory.

- Super! - Marta była zadowolona. Mążzonek nic nie odpowiedział, jednak kiedy żona trąciła go łokciem, pokiwał głową na znak akceptacji.

Dwa dni później po wstępnych ustaleniach wpuściłam do domu ekipę malarsko-tynkarską. Prace rozpoczęły się na dobre, a ja wyruszyłam na poszukiwanie dodatków i tapet. Wybierałam te ekstrawaganckie, na których były bryły geometryczne, buty, torebki, ramy do obrazów, kafelki, cegły, znaczki, kwiaty, abstrakcyjne i popartowskie wzory. Kiedy uporałam się z tapetami, ruszyłam w stronę bibelotów.

- Do pomarańcza pasują zimne dodatki... - mówiłam na głos
-...ciężkie beżowe tkaniny, poduszki w kolorze popielatym.

Byłam w swoim żywiole. Wreszcie mogłam się wykazać. Na drewnianych półkach ustawiłam kilka bibelotów. Pod oknem w pokoju gościnnym rozmieściłam pękate pomarańczowe doniczki, które ładnie kontrastowały z zasłonami w kolorze ecru.

Przyglądałam się zasłonom, gdy za plecami usłyszałam stukot szpilek.

- Dzień dobry - przywitała się Marta.
- Dzień dobry - odparłam.
- Ślicznie tu - powiedziała. - Tylko nie do końca jestem zadowolona z sypialni.

Serce zaczęło bić mi szybciej, czułam, jak po plecach cieknie mi stróżka potu. „Znow coś zawaliłam” - pomyślałam w popłochu.

- Ale proszę się nie denerwować. - Moja zleceniodawczyni podeszła bliżej i chwyciła mnie za rękę. - To moja wina, bo na początku ustaliłyśmy wszystko, poza wyglądem sypialni.

- Moja też, bo nie dopytałam. - Uśmiechnęłam się niemrawo. - Wie pani, to moje pierwsze zlecenie, więc jestem naprawdę zdenerwowana.

- Tak, rozumiem. Proszę się nie przejmować. - Wydawało mi się, że mówi szczerze. - Sypialnia powinna być bardziej... - potarła dłonią podbródek - ..surrealistyczna. Jak ze snów.

- Ze snów? - zapytałam.

- Tak, jak z marzeń. Chciałabym zbudować taką nierealność we wnętrzu sypialni.

- Myślę, że da się to zrobić. Możemy kupić asymetryczne zagłówki, poduchy o nieregularnych kształtach. Zestawić ze sobą barwy tak, aby uzyskać efekt nocy i dnia.

- Jeszcze łóżko... Chciałabym, żeby było naprawdę duże. Zanotowałam na kartce.

- Dobrze. Materac sprężysty, lekko zapadający się, ale niezbyt miękki?

- Zgadza się. Bardziej twardy niż miękki, coś pośrodku.

- Chyba się rozumiemy.

Kurczę, popełniłam poważny błąd, nie wsłuchując się w potrzeby klienta. Przypomniały mi się słowa profesor Zawadzkiej, która powtarzała, że każda praca nad projektem rozpoczyna się od wsłuchania się w potrzeby i upodobania klienta, tak by końcowy efekt odpowiadał jego charakterowi i stylowi życia. Jeśli chciałam profesjonalnie zajmować się projektowaniem i aranżacją wnętrz, powinnam to sobie wbić raz na zawsze do głowy!

- Jak tu pięknie! - wykrzyknęła Marta, kiedy ponownie wpadła na oględziny mieszkania. Z radości w brzuchu zaczęły mi fruwać motyle.

- Cieszę się - zaszczębiotałam. - Jeszcze tylko kilka poprawek i jesteśmy na finiszu.

Przyszła mama wolno przechadzała się po mieszkaniu, dotykała ścian, firan, które finezyjnie upięłam, doszywając do nich zabawne falbanki z aplikacjami polnych maków.

- Jesteś cudotwórczynią - powiedziała z uznaniem.

Małgosia czekała na mnie w parku.

- No i jak? - spytała z przejęciem. - Zadowoleni?

- Tak. - Słowa utknęły mi w gardle. - Wiedziałam! - Rzuciła mi się na szyję.

Drzwi do pokoju Julki były niedomknięte. Zapukałam.

- Wejdz - powiedziała Julka, wycierając nos.

- Kochanie, ty płaczesz? - Podeszłam do niej. - Coś się stało? - Tak.

- Co takiego?

- Mamuś... - Zatkaną, wtulając się w moje ramiona. - On ze mną zerwał.

- Dlaczego?

- Bo zakochał się w innej! - Wybuchnęła płaczem, a ja pogładziłam ją po włosach.

- Już dobrze, córeczko, już dobrze.

- Jak to dobrze, że się z nim nie przespałam - wychlipiała. Nie skomentowałam tego. - Dziękuję, że nie pozwoliłaś mi się z nim wtedy spotkać.

- Wiem, że często masz dosyć mojego zrzędzenia, moich zakazów, ale ja naprawdę chcę dla ciebie dobrze.

- Wiem, mamo.

Tuliłam mocno Julkę, która zapewne czuła się samotna, opuszczona, zdradzona. Dobrze wiedziałam, jak to jest. Po raz pierwszy

od długiego czasu połączyła nas jakaś silna, niewidoczna więź. Czasami tak trudno pokazać drugiej osobie, jak bardzo się ją kocha. Im większa miłość, tym większa nieporadność w okazywaniu uczuć.

- Mamo... - odchyliła głowę do tyłu - .. czy jestem dla ciebie kimś ważnym?

- Oczywiście. Jesteś wspaniałą, piękną, utalentowaną młodą kobietą. Wiedziałam, że to właściwe słowa. Słowa, których bardzo potrzebowała.

- To dlaczego on mnie nie chce?

- Nie wiem, kotku. Czasami tak jest, że my kogoś chcemy, a ten ktoś woli kogoś innego.

- Życie jest popieprzone.

Odruchowo chciałam zwrócić jej uwagę, aby uważała na słowa, ale powstrzymałam się.

- Bywa. Wierzymy, by za chwilę wątpić, posiadamy, by stracić, odchodzimy, by powracać, śmiejemy się, by potem płakać.

- Ile razy można się zakochać?

- Tyle, ile razy czujemy się samotni.

- I potem znowu mieć złamane serce? Po co?

- By móc je skleić. Wydmuchała nos.

- Mamo, może ta miłość przyszła za wcześnie, może on do niej nie dorósł?

- Mnie się wydaje, że miłość zawsze pojawia się wtedy, kiedy ma się pojawić. Nawet ta zakazana, cierpiąca, konająca, głupia.

- Ale ja nie wiem, czy będę mogła żyć bez niego... - Wytarła zapłakane oczy. Wciąż głaskałam ją po włosach.

- Od braku faceta się nie umiera. Wiem, że pewnie teraz mi nie uwierzysz, ale za jakiś czas będziesz się z tego śmiała.

- Akurat. A ciebie ktoś kiedyś porzucił? -Tak.

- I co?

- Jak widzisz, wciąż żyję.

Rozdział 9

Daniel

Nigdy nie lubiłam wczesnej wiosny. O tej porze roku zawsze jestem nie do życia. Nic tylko bym spała, ziewała, wkurzała się i jadła. Zasnęłam w poczekalni u ginekologa. Kiedy pielęgniarka wezwała mnie do gabinetu, wyrwana z drzemki wstałam tak raptownie, że walnęłam głową w ścianę. Cały świat przez chwilę zawirował mi przed oczyma. Nie zdążyłam się wysiusiać, dlatego podczas badania moje myśli skupiały się wokół pęcherza. A po wizycie znowu dopadła mnie senność. Przytknęłam głowę do brudnej szyby w autobusie i odpłynęłam w błogostan.

Ukoronowaniem drzemki był przyjazd na pętlę autobusową. Zasuwałam pieszo do domu ponad godzinę. Nie powiem, wyszło mi to na zdrowie. Czułam, jak podczas spaceru mięśnie spalają nadmiar zbędnego tłuszczu, a pośladki dziękują mi, że w końcu raczyłam wstać z krzesła. Po drodze wstąpiłam do „Chińczyka”, kupiłam kurczaka w sosie curry, sajgonki i banana w cieście, polanego obficie syropem toffi i bitą śmietaną. Spacer był długi, więc i kalorii spaliłam wystarczająco dużo, by pozwolić sobie na obżarstwo, abym przypadkiem nie schudła.

Opanowało mnie takie lenistwo, że najchętniej nie wychodziłabym z domu. Ale zadzwoniła Gośka, że koniecznie musi się ze mną spotkać. Włożyłam dres i ruszyłam w stronę mieszkania przyjaciółki.

- To jest obrzydliwe! - krzyknęłam jej prosto w twarz.

- Dlaczego? - spytała spokojnie. Zaciągnęła się papierosem. Popatrzyłam na nią zdziwiona.

- Jak to „dlaczego”? On jest od ciebie młodszy...
- O dwadzieścia lat. I co z tego? Mam męża, potrzebuję kochanka. Ty nawet nie wiesz, jak on mnie dotyka, jak dopieszcza słowami. Przy nim czuję się prawdziwą kobietą. Każdy potrzebuje w życiu czegoś innego, każdy wie, co jest dla niego najlepsze. Dla mnie najlepszy jest młody mężczyzna u boku.
- Twój mąż jest doskonały. Kocha cię - powiedziałam dobitnie.
- Doskonałość może się znudzić. Od nadmiaru szczęścia można zwariować. Usta bolą od tego ciągłego śmiania się. Moje życie jest pozbawione doznań, pikanterii, ekscytacji. Przewidywalność dobija, tak samo jak nuda.
- Ranisz drugiego człowieka. - Próbowałam jej wytłumaczyć.
- On nic nie wie i nie dowie się.
- Kłamstwo ma krótkie nogi.
- Raczej ma na imię Daniel. - Gdy wypowiedziała imię nowego kochanka, jej policzki poczerwieniały. - Od kilku tygodni mam zamęt w głowie. Poznałam go na basenie. Jest szkolącym się ratownikiem. Codziennie patrzy na młode, dwudziestoletnie ciała, a mimo to zwrócił uwagę na mnie. Wiem, wiem, co powiesz, że to tylko chwilowe... Ale właśnie dla chwil żyjemy. Na razie do niczego nie doszło. Oprócz kilku niewinnych pocałunków i pieszczot. Jadamy razem kolacje.
- Robisz za sponsorkę? - zakpiłam.
- Nie, on stawia. Hot-dogi, pizzę. Albo odgrzewane obiady jego mamusi.
- Musiałam mieć naprawdę głupią minę, bo Gośka wybuchnęła śmiechem.
- Przepraszam - zreflektowałam się. - Zawsze kojarzyłaś mi się z kawiozem i szampanem.
- Czas na odmianę! - Klasnęła w ręce. - Dobrze mi z tym. A tak w ogóle, to mój ginekolog mnie podrywa.
- Gosia, czy ty sądzisz, że każdy facet leci na ciebie? - spytałam.

- Większość - odparła jak zwykle pewna siebie.
- Ale ginekolog? Dajże spokój.
- Słuchaj, dla mnie to jest chore, że facet wybiera sobie taką profesję. Coś musi być z nim nie tak. Nie sądzisz? Większość z nich to zboczeńcy.

Obróciła się na pięcie i poszła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę. Ja w tym czasie wyszłam na balkon. Słońce przyjemnie świeciło, a po porannej ulewie nie było ani śladu. Po chwili wróciła z talerzem sezamowych ciasteczek i zieloną herbatą.

- Nie lubię zielonej herbaty.
- Pij, na zdrowie. O czym to ja mówiłam? - zapytała.
- O zboczonych ginekologach.
- No, właśnie, co myślisz?
- Myślę, że robią to dla pieniędzy.
- Co ty opowiadasz? Mogli zostać chirurgami plastycznymi lub szcękowymi, ortopedami, a nie ginekologami.
- Niech ci będzie. - Dla świętego spokoju przytaknęłam.
- Kurcze, ale czaisz? Nawet ginekolog na mnie leci.

Rozdział 10

Schronisko

Julka przez kilka tygodni była naprawdę przybita z powodu rozstania z Markiem. Martwiłam się o nią. Natomiast między nami, o dziwo, było coraz lepiej. Może nie doskonale, ale dobrze. Pewnego dnia wbiegła do domu uradowana.

- Znalazłaś nową miłość? - zapytałam.

- Oj, mamo, daj spokój. Nie samym facetem żyje człowiek. „Dobrze się zapowiada” - pomyślałam i zapytałam:

- To czemu jesteś taka wesoła?

- Bo znalazłam pracę.

- Pracę? Jak to? A szkoła?

- Mamo, wyluzuj. Będę wolontariuszką w schronisku dla zwierząt. Oczywiście, jeśli podpiszesz zgodę. To nie będzie kolidowało ze szkołą. Ta praca jest w weekendy.

Nie mogłam w to uwierzyć.

- Halo? Ziemia do mamy. No i co ty na to?

- Super!

- Czyli zgadzasz się?

- Oczywiście.

Byłam naprawdę dumna z mojej córki.

- Wiesz, ile tam jest nieszczęśliwych zwierząt? - mówiła szczerze przejęta. - Ile złamanych psich i kocich serc? Ile nieszczęść malujących się w wielkich ślepiach? Od trzech dni jest z nami Dona. Ma dziesięć lat. Śliczna, zadbana labradorka. Jej pani zmarła miesiąc temu, a po trzech tygodniach zmarł też mąż tej kobiety. Pies został sam. Starych drzew się nie przesa-

dza. - Westchnęła. - Każdego dnia jest jej coraz mniej. Niknie w oczach, a przecież ma zapewnioną opiekę i jedzenie. To z tęsknoty... Zimą psiaki trzęsą się w swoich budach. Kierowniczką opowiadała mi, że któregoś dnia właściciel przyniósł suczkę z rozległymi odmrożeniami. „Co jej jest?” - zapytał zdziwiony. Kobieta nie wytrzymała i odparła: „Wejź do budy, posiedź sobie tam kilka godzin, a zobaczysz”. Był mroźny dzień, temperatura na zewnątrz spadła poniżej dwudziestu stopni. A ten pan trzymał swoją suczkę w budzie, gdzie przez szpary wpadał lodowaty wiatr. Nawet koca tam nie było. Zwykle klepisko.

- To smutne, co mówisz. Ile w ludziach jest bezmyślności.

- To prawda. Latem plaże się zapelniają. Właściciele psów wylegają się na złotym piasku, szukają schronienia w cieniu drzew lub chłodzą się w morzu, zapominając o swoich czworonogach, które zamykają w samochodzie. Udar murowany. A wiesz, co jest najgorsze? Że pies jest jedynym stworzeniem na świecie, które kocha bardziej swojego pana niż siebie ...

- Musi być ci ciężko patrzeć na te wszystkie skrzywdzone zwierzęta, które spoglądają na ciebie zza krat.

- Tak. Mają taki błagalny wzrok, jakby chciały mi powiedzieć: „Przygarnij mnie, daj mi dom”. Chciałabym, ale to niemożliwe. Dlatego cieszę się, że mogę pomóc. Pogłaskać, przytulić, wycze-sać sierść. Nakarmić.

-Julka...

- Co?

- Czy mówiłam ci już, że jesteś wspaniałą kobietą i masz dobre serduszko?

- Mówiłaś, ale możesz ciągle mi to powtarzać.

Rozdział 11

Serce na trampolinie

Spacerowałyśmy z Małgosią po molo. Na dworze było byle jak. Ni to zimno, ni to ciepło. Zapięłam polar pod samą szyję, by po chwili rozsunąć zamek.

- Wyładniałaś - powiedziała nagle przyjaciółka. - Jakby zdjęto ci z rąk kajdany i dzięki temu nałożyłaś makijaż. Dobrze ci w nim. - Uśmiechnęła się. - Ubyło ci kilka lat.

- Dziękuję. To przez to, że przestałam siedzieć w domu. Pracuję, wychodzę do ludzi.

- Teraz tylko przydałby ci się romans.

- Gośka, ja mam męża.

- Tak, wiem. Dużo kobiet ma mężów i romansuje na boku.

- I wcale nie są przez to szczęśliwsze. Więcej wyleją łez, niż to wszystko jest warte. Dla kilku chwil uniesień rozpieprzają sobie życie.

Małgosia popatrzyła na mnie czujnym okiem.

- Mówisz tak, jakbyś miała coś na sumieniu. Uśmiechnęłam się pod nosem.

- Znasz mnie i wiesz, że nigdy bym tego nie zrobiła.

- Nigdy nie mów nigdy. A gdybyś spotkała faceta ze swoich marzeń? Takiego, który by cię rozumiał? Rozmawiał z tobą i zapewniał, że jesteś piękna? Takiego Nieznajomego, jak ze swojego snu?

- Rozmowa, komplementy... Od tego można zgłupieć, ale czy ja wiem...

Przystanęła i popatrzyła mi prosto w oczy.

- A gdybyś się zakochała?
- To całkiem inna historia... Tylko że dla kilku porywów serca nie warto zaprzepaszczać kilkunastu lat małżeństwa.
- Nie, my się nigdy nie dogadamy w tej kwestii.
- Gośka, co się dzieje? Chcesz mi coś powiedzieć?
- Nie wiem, dlaczego się jeszcze nie rozwiodłam. Lubię mojego męża, ale go nie kocham.
- To świetny facet, dba o ciebie, lata za tobą i spełnia twoje zachcianki.
- Nie możesz wiedzieć, jak między nami jest. Łatwo jest kogoś oceniać.
- Nie sądzisz, że jesteś infantylna z tymi swoimi romansami, ciągłym zakochiwaniem się?
- Dlaczego? - Odgarnęła z twarzy rozwiane włosy. - Ludzie się zakochują, szukają wrażeń, dobrego seksu. A małżeństwo... Znam tyle małżeństw szczęśliwych nieszczęśliwie. Początek zawsze jest taki sam, jak z taniego romansu. Radość, uniesienia, obietnice. Biały welon i przysięga, że to na zawsze, do końca. Ślepa wiara, że sielanka będzie trwała przez wszystkie wspólne dni. Świat przez chwilę jest wypełniony szczęściem. A potem pierwszy kryzys, niespłacona rata za mieszkanie, ciąża, której nie zawsze się chce. Są też małżeństwa do bólu normalne. Takie, gdzie nie ma krzyków, kłótni ani tej iskry. Coś przygasło, wypaliło się. Normalność wpisana w codzienność...
- I dlatego zdradzasz? Bo nie ma tej iskry?
- Dlatego jem z kimś innym truskawki. Nie patrz tak na mnie. Ostatnio jedliśmy z Danielem te z przeceny. Przejrzały na słońcu. Popalone przez promienie, bardzo słodkie, mało soczyste, ale dobre. Karmił mnie nimi. Wybiera! dla mnie te najładniejsze. Czyż to nie urocze? Czuję się tak, jakby moje serce nabierało coraz większego rozpędu, tańczyło na trampolinie, rozpędzało się i skakało w nieznane, na głęboką wodę. Tylko taka trampolina jest dobra do balansowania i skoków. Nic stałego. Brak fundamentów. Ja to wiem i on to wie, a mimo to z każdym dniem

kocham go coraz mocniej, tak po prostu, za nic. - Zatrzymała się i patrzyła na odbijające się od brzegu fale. - A ty byś tak nie chciała? Choć przez chwilę? Westchnęłam ciężko.

- Gośka, chcieć a móc to dwie różne rzeczy.

- Może masz rację, ale człowiek to istota omylna. I ja kiedyś popełniłam błąd. Za szybko wyszłam za męża.

- Trzeba być odpowiedzialnym za swoje wybory.

- Serio? - Odwróciła twarz w moim kierunku. - A czy ty jesteś święta?

- Masz rację, nie jestem. Ale zrobię wszystko, żeby uratować moje małżeństwo i rodzinę. I tobie radziłabym zrobić to samo.

- Natalia! - Złapała mnie za rękę i popatrzyła prosto w oczy. - Gdyby koło ciebie pojawił się jakiś boski nieznajomy, w którym zabujałabyś się po uszy, i powiedział, że chce, byś została jego kochanką, nie wahałabyś się ani chwili. Uwierz mi, tak by było. Bo tacy są ludzie, takie jesteśmy my, kobiety. Przestań więc posuwać głodne kawałki o mężu, szczęśliwej rodzinie. Czasami pożądanie bierze górę nad zdrowym rozsądkiem, a ludzie zakochują się, mimo iż są związani z kimś innym.

Rozdział 12

Warto walczyć

Na klatce nie było słycać nic prócz postukiwania moich obcasów. Powoli sunęłam na górę. Jeszcze kilka schodków i stanęłam przed drzwiami. Klucze i szcęk zamka. Otworzyłam je, czując jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Zapaliłam światło i weszłam do kuchni. Na stole leżał obrus. Ten świąteczny, biały, wykrochmalony. Przez moment nie widziałam nic oprócz niego. Na krześle siedział uśmiechnięty Wiktor, mój mąż. Nie czyj inny, tylko mój. Wskazał ręką na wazon z czerwonymi goździkami. Lubiłam goździki za ich prostotę. Z półmiska wylewała się sałatka. Na drugim talerzu leżał pieczony schab.

Pewnie zapomniałam o jakiejś rocznicy, urodzinach, imieninach... W myślach szybko przeleciałam wszystkie daty, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

- Co się stało? - spytałam w końcu.

- Niespodzianka. - Wiktor uśmiechnął się szeroko. - Chciałem ci zrobić niespodziankę.

Otwarłam oczy ze zdziwienia.

- Siadaj - powiedział, wciąż się uśmiechając. Pospiesznie zdjęłam buty i płaszcz, w obawie, że to wszystko jest tylko snem.

Jedliśmy i rozmawialiśmy. Tak zwyczajnie, bez pośpiechu. Wiktor pytał o moją pracę, o to, czy czuję się spełniona i szczęśliwa.

- Tak - odpowiedziałam. - Jestem szczęśliwa.

- To dobrze. - Wstał od stołu i pogładził mój policzek. - Kocham cię - wyszeptał. A mnie z wrażenia zaschło w ustach. -Chciałbym wszystko naprawić.

- Ale dlaczego?

Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu.

- Dlatego, że zależy mi na nas, na naszej rodzinie i małżeństwie. A tobie?

Przełknęłam głośno ślinę.

- Mnie też bardzo na nas zależy.

„Tak, to wszystko było po coś - pomyślałam. - Moje oddalenie sprawiło, że mąż zaczął na nowo mnie pożądać, moja praca spowodowała, że mamy o czym ze sobą rozmawiać. Zauważył mnie. Kiedyś byłam zakopana w praniu i brudnych garach, a teraz - teraz mnie widać. Nie da się cofnąć czasu i udawać, że nie było kryzysu. Nie da się zapomnieć o niedomówieniach, cichych dniach, pretensjach, niewierze. Ale może jest jeszcze dla nas szansa?”.

Po kolacji usiedliśmy na kanapie. Byłam zdziwiona, bo zazwyczaj mój mąż włączał wtedy telewizor. Teraz odłożył pilot na stolik.

- Pamiętasz, jak za tobą latałem? - spytał. Zmrużył oczy i zatopił się we wspomnieniach.

- Pewnie, że pamiętam. - Uśmiechnęłam się.

- Nie chciałaś ze mną wypić tej cholernej kawy.

- Ale w końcu się zgodziłam. - Podłożyłam sobie pod plecy poduszkę i przysunęłam się do niego. Pogładził mnie po ramieniu.

- To były piękne chwile. Najpiękniejszym dniem w moim życiu był ten, kiedy powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży.

- Serio? - Byłam naprawdę zdziwiona. - Myślałam, że byłeś przerażony i nie chciałeś dziecka.

- Pewnie, że byłem przerażony, ale bardzo się cieszyłem.

- Potem dopadła mnie depresja.

- Tak, i nie potrafiłem ci pomóc. Zamiast tego zamknąłem się w skorupie milczenia. Przepraszam. Po tylu latach cię za to

przepraszam. Byłem młody, głupi i nie radziłem sobie z tym wszystkim.

- Dlaczego wtedy nie mogliśmy ze sobą o tym porozmawiać?

- Żałuję tego.

- Ja też.

- Czy czasami miałeś ochotę ode mnie uciec? - zapytałam szczerze.

- Chcesz znać prawdę? -Całą.

- Tak. Były momenty, że chciałem w pośpiechu wrzucić trochę ciuchów do walizki, zabrać paszport, zgarnąć koszule z szary, wciągnąć spodnie na dupsko i - niczym złodziej - uciekać jak najdalej stąd.

- Ha, ha, ha. -A ty?

Położyłam nogi na jego kolanach, a on zaczął masować mi stopy.

- Ja też. Mówiłam ci o tym.

- Wiem, a ja nie chciałem cię słuchać.

- A wiedziałeś, gdzie chcesz uciec? - zapytałam

-No właśnie, tu był problem, nie miałbym się gdzie zahaczyć chyba ze u twojej mamy - odparł. Moja mama kochała Wiktora całym sercem. „To dobry chłopina” - mawiała.

Zaczęliśmy się śmiać.

- To były chwile słabości. Kiedy się jednak nad tym głębiej zastanowiłem, to wiedziałem, że jesteście dla mnie najważniejsze. Ty i Julka.

Usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi. Do domu weszła nasza córka. Stała w progu pokoju.

- Co się stało? - zapytała zdziwiona.

- A co się miało stać? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

- Wy razem, w objęciach, jak jakaś para zakochanych nastolatków. - Patrzyła na nas jak na kosmitów.

- Bo my się tak bardzo kochamy. - Wiktor przytulił mnie jeszcze mocniej.

- Oszalesiście. - Julka uśmiechnęła się i wskoczyła między nas.

Z Gością spotkałam się po dwóch tygodniach. Chciałam jej o wszystkim opowiedzieć, ale ona w ogóle mnie nie słuchała, tylko nawijała bez przerwy o tym swoim Danielu.

- Kręci mnie to, że mam młodszego i seksownego faceta -mówiła.

- Gośka, to nie jest twój facet, tylko kochaś. Mógłby być twoim synem.

- Ale nie jest - zachnęła się.

- Straciłaś dla niego głowę. Ty, która zawsze owijałaś sobie facetów wokół palca. Teraz to ty tańczysz, jak on ci zagra.

- Może się zakochałam.

Z wrażenia wyplułam kawałek ciastka, który przed chwilą włożyłam do ust.

- A zakochałaś się?

- Nie wiem. Przy nim czuję się młodo. Zaczęłam chodzić z nim na imprezy, jeździć na rolkach, nawet skoczyłam na bun-gee. Czaisz?

- Postradałaś zmysły. I jak ty to mówisz? Czaisz?

- Natalia, ja wreszcie żyję.

- Przestań pieprzyć głupoty.

- Przy młodszym facecie więcej się chce. Mam więcej energii.

- Mnie się wydaje, że ty masz potrzebę ciągłego dowartościowywania się.

- Wiesz co, pójdę już.

- To ja już pójdę, przecież jesteśmy u ciebie. Obraziłaś się?

- Nie. Jasne, że nie, ale mam dosyć twoich pouczeń.

- Gośka, a jak ty mnie pouczałaś, to było wszystko okej? Od tego są przyjaciele, żeby mówić prawdę prosto w oczy.

Praca i kurs pochłaniały mnie bez reszty. Miałam coraz więcej zleceń, na razie niedużych, ale każde z nich mnie cieszyło. Do-

piero teraz poczułam, że żyję. Zaczęłam również czytać fachową prasę i przeglądać strony w internecie, dotyczące projektowania wnętrz. Czułam taki głód wiedzy. Wciąż chciałam wiedzieć więcej.

Uwielbiałam chodzić po sklepach i wyszukiwać nietypowe rzeczy, które później wykorzystywałam podczas urządzania jakiegoś wnętrza. Ostatnio trafiłam na sklep, w którym meble i wszystkie dodatki były zrobione z plecionych gałęzi pokrytych farbą w kolorze białym i ecru. Wzbocono je płytą lub szkłem. Naturalność połączona z nowoczesnością. Z kolei w necie znalazłam producenta mebli z Finlandii, który w akcesoriach dekoracyjnych starał się odwzorować piękno natury. Lampy w kształcie liści lub kielichów kwiatowych, tapety w różane wzory przywołujące wspomnienia z dzieciństwa.

- Mamo?

Na głos Julki podnoszę głowę znad monitora. -Tak, kochanie?

- Super, że zaczęłaś pracować.

- Naprawdę tak myślisz?

- Serio. - Uśmiechnęła się do mnie. - Jesteś teraz radośniejsza i *cool*.

Babka z klasą.

- Zaczęłam się malować.

- I fajnie ubierać.

- A co, wcześniej źle się ubierałam?

- Workowate dżinsy albo rozciągnięty dres. - Przewróciła oczami. -

Wyglądałaś jak...

- Lepiej nie kończ! - Zaczęłam się śmiać. Julka skubała winogrono.

- Poza tym plotkowałyśmy o tobie z ciotką Małgosią.

- Aż się boję usłyszeć, co ona ci nagadała.

- Same mądrości. Kobiety, które spełniają się zawodowo, są lepszymi matkami i żonami od tych, które tylko stoją nad garami i wachlują chochlą.

- A co, udowodniono to naukowo?

- Nie wiem, czy naukowo, ale ciotka Małgosia tak twierdzi.

- To wszystko wyjaśnia. Parsknęłyśmy śmiechem.

Był piękny poranek, puszysty od mgieł unoszących się nisko nad seledynową trawą. Słońce jeszcze nie wzeszło. Lubiłam tę porę dnia. Wtedy najlepiej mi się pracowało. Wstawałam z łóżka, nakładałam puszysty szlafrok i szłam do kuchni w której stworzyłam sobie małe biuro. Ekspres bulgotał, syczał i wlewa! do kubka co pół godziny nową porcję kawy. Otwierałam okno, by wpuścić do zaspanego domu rześkie powietrze. Na podłodze, stole, blacie do krojenia wały się strzępki tapet, poduszki, bele tkanin, projekty, magazyny wnętrzarskie z pozaginanymi rogami.

Usłyszałam pukanie do drzwi. Otworzyły się. Stała w nich Gosia.

- Siadaj. - Jednym ruchem zgarnęłam z krzesła kawałki materiałów. - Napijesz się kawy?

- Chętnie.

Piłyśmy w milczeniu. W końcu zaczęła:

- Między mną a Danielem niby jest dobrze. Jednak z każdym dniem widzę coraz wyraźniej, że dzieli nas przepaść nie do pokonania. Na początku myślałam, że gdy ludzie się kochają, to nic nie może stanąć im na przeszkodzie. A jednak może. Udaję, że wszystko jest w porządku, a tak naprawdę nie jest. Kocham go, ale wiem, że ten związek nie ma przyszłości. Wiem, że wszystko się sypnie, jak nie dziś, to jutro. Zdaję sobie sprawę, że może nie być żadnego jutra. Akceptuję to, bo pragnę go mieć dla siebie choć przez chwilę. Czym jest chwila wobec wieczności? Ta jego młodość, dzikość, szaleństwo przyciągają mnie ze zdwojoną siłą. Wodzą na pokuszenie. Oszalałam. Cały świat nazywam jego imieniem. Kocham go na przekór sobie, na przekór całemu światu. Kocham tę niepewność i to nienasycenie, to cierpienie i tę ekscytację. Czy wiesz, jak to jest?

Wiedziałam doskonale.

- On mówi, że mnie kocha, ale ma też swój świat, swoich znajomych, swoje studia, swoje pasje i marzenia. Te jego marzenia są inne od moich. Mijamy się. Jesteśmy na różnym etapie w życiu. Z każdą chwilą coraz bardziej mi to przeszkadza.

- I co zamierzasz? - zapytałam.

- Zaakceptować to. Dopóki z nim jestem, muszę akceptować jego i jego świat.

„Akceptacja - czy to ona jest przedpołem prawdziwej miłości? Czy akceptować drugiego człowieka to pozwalać mu być sobą?” - zaczęłam się zastanawiać.

- Miłość bez akceptacji jest skazana na powolne konanie - powiedziała Gosia.

- Gośka, a nie lepiej odpuścić? Teraz, kiedy jeszcze nie będzie tak bolało.

Spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Nigdy! Jego sobie nie odpuszczę! Wiesz, że on jest pierwszym mężczyzną, którego pokochałam, tak naprawdę. Dla niego jestem gotowa zrezygnować z siebie.

- Gosiu, nie chcę być wredna, ale on odejdzie, wcześniej czy później. Spiorunowała mnie wzrokiem.

- Natalia, ja to wiem. Zapewne wcześniej...

Otworzyłam drzwi i gdybym się nie cofnęła, to Julka by mnie staranowała.

- Dziecko, uważaj! - zawołałam.

- Cześć, mamo.

- Cześć, córciu. Wychodzisz?

- Lecę do schroniska.

- W piątek po południu? - Byłam zaskoczona. - Myślałam, że pomagasz tylko w weekendy?

- Mamo... - Julka miała poważną minę - ...już ci mówiłam, że w schronisku mamy kupę pracy. Muszę tam dzisiaj iść, bo inaczej nie zasnę. Zastanawiam się ciągle, co u tych nowych psia-

ków które ktoś przywiózł tydzień temu. Jak je widziałam w zeszły weekend, miały takie smutne oczy. Jestem ciekawa, czy się zaaklimatyzowały, czy mają posprzątane boksy. A Melę będą operować.

- Melę?
- Taką starą suczkę - wyjaśniła z przejęciem.
- Dajesz im tyle miłości. - Poczułam, że ze wzruszenia wielka klucha rośnie mi w gardle.
- Bo one tego potrzebują. Zawiódł je człowiek. Te porzucone kociaki i niechciane psy nie są niczemu winne.
- Julka, jestem z ciebie cholernie dumna.
- Cholernie?
- Oj, czepiasz się słówek. Leć już.
- Kocham cię - powiedziała i zatrzasnęła za sobą drzwi. Oczy zaszkliły mi się ze wzruszenia.
- Też cię kocham, córeczko - wyszeptałam.

Rozdział 13

Małgosia w rozsypce

Zadzwoiła zapłakana, mówiąc, że koniecznie musi się ze mną spotkać, bo inaczej umrze z bólu albo się zapije.

- Dobrze, zaraz u ciebie będę - powiedziałam. Kątem oka zerknęłam na zegarek. Było grubo po północy.

-Nie u mnie.

- A gdzie? -W hotelu...

Podawała adres. Popędziłam na złamanie karku. Rozczochrana, wymięta, odpędzałam od siebie resztki snu.

Kiedy weszłam do pokoju dwieście trzydzieści sześć, znalazłam ją tonącą w zużytych chusteczkach. Leżała na podłodze, przyciskając do piersi butelkę wódki. Uklękałam koło niej i zaczęłam gładzić jej potargane włosy. Nie musiała nic mówić. Wiedziałam. Odszedł.

Wypaliłyśmy paczkę marlboro. Były wstrętne. Nie potrafiłam się zaciągnąć, a gdy już mi się udało, krztusiłam się i kaszlałam; w końcu nie paliłam od wielu lat. Wypiłyśmy wódkę, zero siedem litra - jak na nas to cholernie dużo. Zagryzałyśmy chipsami i biszkoptami. A potem na zmianę rzygałyśmy w łazience. W końcu dopadł nas potworny kac. Na szczęście Gosia miała przy sobie butelkę wody i tabletki przeciwbólowe. Leżałyśmy z nogami uniesionymi do góry. Przez chwilę było lepiej.

- Nie ma już nas - powiedziała niemal bezgłośnie. Skinęłam głową w geście zrozumienia.

- Dzięki, że jesteś.

- Od tego są przyjaciele, żeby smarkać im w rękaw. Uśmiechnęła się niemrawo.

Płakała za nim przez tydzień, a potem wzięła się w garść. Tak mi się przynajmniej wydawało, ale to nie była prawda. Rozpoczął się czas kłamstw.

Okłamywała wszystkich dookoła, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Jednak najbardziej pragnęła oszukać swoje serce. Az nim było najgorzej. Trudno mu było zwolnić po takiej wyczerpującej gonitwie. Kiedy bito tak szybko: bip, bip, bip, bip.

Teraz musiało wrócić do swojego normalnego rytmu; biiiip... biiiip... biiiip... Tak było lepiej. Dla zdrowia.

Małgosia udawała, że z przyjemnością gra w tenisa, słucha muzyki, śpiewa, pracuje, wyprawia bankiety. Niby wszystko wróciło do normy, a jednak coś było nie tak. Jej oczy straciły ten charakterystyczny błysk, typowy dla zakochanej kobiety. Usta miała ściśnięte z żalu.

Kiedyś przyszedłam do niej z ciastem. Powiedziała mi wtedy:

- Czasami w życiu jest tak, że wdeptujesz w śmierdzące gówno. Pragniesz jak najszybciej się go pozbyć. Ale im mocniej chcesz je wytrzeć, tym ono bardziej się rozmazuje. Myślisz sobie: „Czemu ja? Gdzie ta piękna miłość, gdzie to szczęście?”. I wiesz, jaka jest odpowiedź. To wszystko jest gówno warte.

- Nieprawda - zaprzeczyłam. - Mówisz tak, bo jesteś rozzalona.

Innym razem zadzwoniła do mnie:

- Natalia - wychlipiała mi do słuchawki.

- Mam przyjechać? - spytałam.

- Nie, nie trzeba. Chcę tylko pogadać.

- Dobra.

- On był tym jedynym, wyśnionym, ulepionym z moich pragnień. Przy nim stawałam się lepszą osobą, pozbawioną sztuczności i zahamowań. Przy nim umiałam cieszyć się z każdej drobnostki. Znasz to uczucie?

- Znam - odpowiedziałam, zgodnie z prawdą.

- Żyłam kłamstwem, że on, że z nim, że wtedy... To musiało się tak skończyć, bez pożegnania, czułych pocałunków, głupich zapewnień, że może kiedyś... Jeszcze kilka dni temu mój świat określało jedno słowo: „miłość”. A teraz... - przełknęła głośno ślinę - ...teraz czuję tylko piekący ból. Zawładnął mną. Czuję go w sercu, w żołądku, pod skórą. Od myśli o nim drętwieją mi palce i wszystko leci z rąk. A jeśli już tak zostanie? Jeśli ten ból zostanie ze mną na zawsze? Będzie mnie niszczył i rozrywał po kawałku serce? Natalia, ty nic nie mów. Nie zapewniaj, że minie, że czas i te wszystkie bzdury. Teraz jest teraz...

Z notatek N.

To było jakby wczoraj.

Wtedy jeszcze był.

A z nim szampan, który buzował w schłodzonym kieliszku, i czerwone truskawki. Jego zachłanne, ciepłe, kochane usta. I te dłonie, które dotykały jej spragnionego ciała. Przyszedł niespodziewanie, rozkochał, a potem zniknął tak nagle.

Był przez chwilę, na chwilę... Dlaczego?

Ulubione pytanie wszystkich porzuconych i zranionych kobiet. Po prostu czasami to nie to, tak bywa. A może miłość nie była miłością?

Zadzwoiłam do Gosi. Gdy podniosła słuchawkę, usłyszałam jej zapłakany głos.

- Co robisz? - spytałam.

- Czytam.

-Co?

- *Cierpienia młodego Wertera.*

Cała Gosia, uwielbia się dobijać. Kocha Goethego. Jej prawdziwa, niemiecka miłość" - pomyślałam. „Goethe by mnie me zostawił" - powtarzała mi często.

- Nie katuj się - poprosiłam łagodnie.

- Dobrze - odparła bez przekonania.

Tak bardzo chciałam, żeby uwierzyła, że jeszcze będzie dobrze. Musi być.

- Jestem zmęczona - dodała po chwili.

- Czym? - spytałam głupio.

- Czekałem na telefon od niego, na jakiś znak, na esemes, że wróci. ,

- Wiem że ci ciężko i nie jestem w stanie ci na to poradzić, musisz to przeżyć, a ja mogę ci tylko pomóc dobrym słowem, swoją obecnością. Niestety, nie mogę wziąć na siebie twojego bólu, choćbym nawet chciała.

- Wczoraj jechałam samochodem, było ślisko. Nacisnęłam pedał gazu. Wskazówka prędkościomierza przekroczyła sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę - powiedziała spokojnie a ja zadrżałam. -1 wiesz, co jest najśmieszniejsze? Uświadomiłam sobie, że chcę żyć - z nim czy bez niego, ale chcę. To jednak jest coś, nie sądzisz?

- Przyszedł czas na nowe życie, bez niego.

- Natalia? -Tak?

- Masz jeszcze chwilkę?

- Pewnie.

- Już nic, idź spać.

- Na pewno?

- Tak. Kiedyś ci o tym opowiem.

Odłożyłam słuchawkę. Dobrze wiedziałam, co czuje Małgosia Kiedy ukochana osoba odchodzi, to tak jakby ktoś odarł cię z najpiękniejszych marzeń, jakby nastąpiła deszczowa pora, jakby ktoś wbijał ci w serce nóż, zadając niewyobrażalne cierpienie, jakby zniknął cały świat. O dziwo, ty nie znikasz, tkwisz po-

środku nicości. Żyjesz, egzystujesz, oddychasz, jesteś. Jesteś, a chciałabyś nie być. Pojawia się zniechęcona samotność. Wysysa z ciebie wszystkie siły, kąsa, gryzie. Samotność, która boli. A potem - zawsze jest przecież jakieś „potem”, bo nie możesz zatrzymać czasu - rany się zablźniają, przez chmury prześwituje słońce, świat zaczyna na nowo istnieć, a ty otrzepujesz kolana i podnosisz się. Zaczynasz od początku, inne życie. Ani lepsze, ani gorsze - po prostu inne.

Rozdział 14

Czasami jest tak

Z notatek N.

Są tematy, których wciąż nie chcę poruszać, osnute bolesnym wspomnieniem. Tamto spojrzenie oczu, spierzchnięte wargi, ten śmiech, to imię...

Minęło już tyle dni, a ja wciąż NIM ŻYJĘ!

Z rozmyślań wyrwał mnie dzwonek telefonu. Na wyświetlaczu pojawiło się imię przyjaciółki.

- Natalia! - Usłyszałam w słuchawce głos Gośki. „Znowu wpadła w dół” - pomyślałam.

- Rozpaczasz po nim?

- Jestem w ciąży - oznajmiła spokojnie.

- To cudownie! - wykrzyknęłam. Wyobraziłam sobie, jak jej mąż skacze z radości.

- To jest jego dziecko. Opadłam na krzesło.

- Daniela?

- Tak. - Głośno przełknęła ślinę.

- Powiedziałaś mu?

- Nie. Nie powiem mu. On nie traktował naszej znajomości poważnie. Po prostu przez kilka tygodni ze mną sypiał.

- Nie mów tak.
- Dlaczego? Taka jest prawda. Mnie się tylko wydawało, że on mnie kochał. A on mnie pożądał. Byłam naiwna. - Zaśmiała się. To był pusty śmiech. - Z jego strony nie padły żadne obietnice.
- Co zamierzasz?
- Urodzić.
- A mąż?
- Powiem mu.
- Nie rób tego! Zbyt wiele stracisz.
- Mam udawać, że to jego dziecko?
„Póki Małgosia nie powie mężowi, wszystko będzie w jak najlepszym porządku, nawet kiedy on będzie podejrzewał, że dziecko nie jest jego. On ją przecież tak kocha, że zaakceptuje to dziecko. Maluch natomiast wychowa się w pełnej rodzinie” - rozmyślałam.
- Tak będzie lepiej.
- Żartujesz sobie? I mówisz to ty, matka?
- Wiele ostatnio zrozumiałam. Czasami milczenie jest lepsze od słów prawdy. Jesteśmy ludźmi, popełniamy błędy, nie chcący raniąc przy tym bliskich. A największym szczęściem człowieka jest potęga nieświadomości. Człowiek jest szczęśliwy, dopóki nie wie pewnych rzeczy.
- Trzeba być odpowiedzialnym za swoje czyny! Zawsze mi to powtarzałaś.
- Tak, masz rację, tylko że teraz jesteś też odpowiedzialna za tę malutką istotkę, która w tobie rośnie. Zastanów się, co będzie dla niej najlepsze. Gośka, nie chodzi już tylko o ciebie. Najważniejsze jest dobro dziecka.
- Aleja...
- Gośka, nie ma już ciebie. Skończ z tym swoim „ja, ja, ja”!
- wybuchnęłam. - Teraz jesteście „wy”. Byłaś u lekarza?
- Mój ginekolog jest na urlopie. Idę za dwa tygodnie.
- To może idź do innego?
- Wolę poczekać.

Małgosia nigdy nie chciała być matką. „To mnie ograniczy” - mówiła. A teraz macierzyństwo spadło na nią jak grom z jasnego nieba. Nie mogłam jej sobie wyobrazić, jak przeciera soki, masuje brzusek swojemu dziecku albo zmienia brudną pieluchę. Wszyscy inni, tylko nie ona. A może za mało w nią wierzyłam? Kiedyś nie uwierzyłabym, że Gosia może się zakochać, tak prawdziwie. A jednak, stało się.

Siedziałyśmy na plaży. Było zimno. Na niebie kłębowisko szarych chmur. Małgosia zaczęła dłubać patykiem w mokrym piasku. Milczałyśmy.

- Muszę ci coś powiedzieć. - Nagle odwróciła twarz w moim kierunku. Była piękna niczym gwiazda filmowa.

- Mów!

- Cieszę się, że jestem w ciąży.

- Co? Myślałam, że nie będziesz chciała tego dziecka.

- Nie! - Pokręciła głową. - Od początku chciałam. Zaplanowałam to z premedytacją. Wiedziałam, że Daniel prędzej czy później ode mnie odejdzie. A ja, ja go kochałam na zabój, do szaleństwa, obłądnie.

- Ponoć wszystkie nieszczęśliwe miłości są wielkie. Pokiwała głową. Jej pełne usta w kolorze malin rozszerzyły się w uśmiechu.

- Chciałam go jak najdłużej zatrzymać, aby być pewną, że zajdę w ciążę. Udało się w ostatnim cyklu. Myślisz, że jestem złą kobietą?

- Nie, wcale tak nie myślę. Z miłości robi się różne rzeczy. Miłość nie zważa na nic, rozrywa więzy małżeńskie, nie obchodzi jej wiek, stan konta i twoje zobowiązania. Dla niej nie ma przeszłości ani przyszłości, najważniejsza jest terażniejszość. Bywa nieodpowiedzialna, ale zawsze ma sens. I tylko miłość sprawia, że serce oddala się od rozumu o tysiące mil. Zazdroszczę ci - zwróciłam się do niej. Poczułam na twarzy przeraźliwie chłodny wiatr.

- Czego?

- Nie, nic już. - Machnęłam ręką.

Pomyślałam o Nieznajomym ze snu. „Boże, ja naprawdę powinnam się leczyć. Jak mogę wspominać kogoś, kto był tylko wytworem mojej wyobraźni?”. Uświadomiłam sobie, że gdyby on istniał naprawdę, to zgłupiałabym na jego punkcie. A gdyby mnie chciał, to pewnie bym mu się oddała. Przestraszyłam się tych odczuć. Miałam męża, którego kochałam, a mimo to pewnie i tak bym zgłupiała. A może jednak nie? Może potrafiłabym się oprzeć Nieznajomemu? Po cholerę tyle o tym myślałam? Pierwsza łza kapnęła mi na biały polar, a potem kolejna i następna. Taki deszczyk: kap, kap, kap.

- Natalia, co z tobą? - spytała Gosia. Była naprawdę przejęta.

- Nie, nic. Po prostu czasem tak mam.

- Powiedziałam mężowi, że jestem w ciąży. Ucieszył się. Chciał wierzyć, że noszę pod sercem jego dziecko. Wierzył, chociaż wiedział, że to nieprawda. Kiedy w moim życiu pojawił się Daniel, nie sypiałam z mężem. To śmieszne: zdradzałam męża, a nie chciałam zdradzić kochanka. Chciałam, żeby tylko Daniel mnie dotykał, kochał, troszczył się o mnie.

- A co z mężem? - Zadrzałam. Lubiłam go, był dobrym, troskliwym i czutym mężczyzną, który kochał Małgosię całym sercem.

- Kiedy mu powiedziałam, nie odzywał się do mnie przez kilka chwil. Długo patrzył na zegar. Siedział w fotelu bez ruchu. A potem oznajmił, że uzna to dziecko, że kocha i mnie, i dziecko. Po chwili dodał, że mi wybaczają, że ta zdrada nie ma znaczenia.

- Wspaniale.

- Nie, nieprawda. Odchodzę od niego.

- Dlaczego? Gośka, opanuj się. Mężczyźni zazwyczaj tak nie kochają. A twój mąż oddałby za ciebie, za was, życie. Ten romans to już przeszłość. - Tak bardzo chciałam ją namówić do zmiany decyzji, wiedziałam jednak, że jest za późno.

- I to jest wystarczający powód, by zostać z mężem? Będzie lepiej dla wszystkich, jak go zostawię. Nie chcę byle jakości. Ja

go nie kocham. Robię to z szacunku do niego. Pewnie z nim byłoby mi wygodniej, łatwiej, tylko że tak nie można. Wiesz, że zmieściłam swoje rzeczy w dwóch walizkach? Dziesięć lat, i tylko dwie walizki...

- Niewiele. -Tak.

- Ten romans zburzył cały mój świat. Otworzył mi oczy. Do teraz budzę się zrana potem, bo przypominają mi się pieszczoty mojego kochanka. Żyłam przez chwilę na jakiejś innej orbicie. Czułam się jak schizofreniczka. Zapominałam o obowiązkach, na niczym nie potrafiłam się skupić. Byłam dziwką, a zarazem żoną. Rozmawiałam z mężem, a jednocześnie pisałam esemesy do kochanka. Śmieszne? Żalotne? A może tym karmi się miłość. Oglupieniem. Byłam winna mężowi prawdę. Musiałam oddać mu wolność i sama się uwolnić.

- Tyle razy już cię pytałam, dlaczego? Dlaczego przez całe swoje małżeństwo zdradzałaś?

- Brakowało mi w życiu fajerwerków. - Zaśmiała się smutno. - Wiesz, że ponoć nie ma mężatki, której nie dałoby się uwieść? - zapytała.

- Smutne to.

- Ale prawdziwe. Jesteśmy samotne w związkach... Nawet te kochane i te gotujące obiady, te matkujące i te, które są kochankami. Wszystkie. Gdzieś kiedyś przeczytałam, że kwiaty od męża nie pachną tak intensywnie jak kwiaty od kochanka.

- A czekoladki są słodsze.

Nad naszymi głowami przeleciała mewa. Lubiłam te ptaszyska. Mroczne, białe, skrzeczące.

- Natalia, ja się trochę boję tej ciąży - powiedziała Małgosia.

- Dlaczego?

- Wiesz, że nie chciałam mieć dzieci. Ostatnio coś się we mnie zaczęło budzić, jakiś instynkt macierzyński. Zdałam sobie sprawę, że to ostatni dzwonek. Jestem taka szczęśliwa, ale mam prawie czterdzieści lat.

- I co z tego? Teraz coraz więcej kobiet rodzi w tym wieku. Do macierzyństwa trzeba dojrzeć. Najpóźniejsze owoce zwykle są najśłodsze, nie słyszałaś o tym? - Chwyciłam ją za rękę, aby dodać jej odwagi. - Macierzyństwo zawsze jest wielkim wyzwaniem, niesie ze sobą i radości, i troski, ma jednak nieco inny odcień dla młodej dziewczyny i dla dojrzałej kobiety.

- Niby tak, tylko że twoja Julka jest już odchowana i możesz cieszyć się życiem.

- A ty nacieszyłaś się życiem i będziesz mogła teraz cieszyć się macierzyństwem.

- Będę wyglądała jak babcia z wnukiem.

- Przestań gadać głupoty. Ty? W życiu! Spójrz na siebie. Wyglądasz nieziemsko.

- Serio?

- Serio.

- Ufff - odetchnęła. - Od razu mi lepiej.

Rozdział 15

Zwyczajny gest

Może będę mogła naprawić kawałek świata, taki tyci, tyciuteńki. Może trzeba spróbować. Gdyby każdy człowiek zadbał o swój mały wszechświat, to z pewnością byłoby lepiej. Może wtedy te wszystkie wszechświaty zebrane razem okazałyby się całkiem przyjemnym, pięknym światem.

Czasem wystarczy zwyczajny gest, by komuś sprawić radość. Wystarczy wyciągnąć rękę do drugiego człowieka albo się do niego uśmiechnąć. Przez cały dzień miałam ochotę sprawić radość Wiktorowi. Ot, tak mnie naszło. Wymyśliłam, że upiekę ciasto, jego ulubione - sernik z dużą ilością rodzynek i kakaowym spodem. Uśmiechnęłam się do siebie. W naszym małżeństwie działa się coraz lepiej. Pomału kielkował zielony pączek, pełen nadziei.

Jak postanowiłam, tak zrobiłam. W domu roznosił się apetyczny zapach. Wiktor wszedł z bukietem czerwonych róż. Kwiatów było tak dużo, że musiał je trzymać oburącz.

- Piękne. - Westchnęłam z podziwem.

Był dziwnie speszony. Podobał mi się. Wyglądał jak nastoletni chłopak na pierwszej randce. Wzięłam od niego kwiaty, rozdzieliłam na dwa bukiety i wstawiłam do wazonów. On w tym czasie rozebrał się, złapał mnie i rzucił na podłogę. Kochaliśmy się. Jeszcze nigdy nie było tak cudownie.

Teraz naprawdę uwierzyłam, że przetrwamy wszystko. Czyżbym zakochiwała się w swoim mężu? Tak, i jak nigdy dotąd wierzyłam w nasz związek. Małżeństwo to kilka nakładających się

na siebie sfer: sfera rozmowy, milczenia, wspólnego spędzania czasu, modlitwy, wychowywania dzieci, chorowania i starzenia się.

- Dobrze mi z tobą. - Poglądziłam go po piersi.

Skąd ta euforia? Ta dzika radość? Po prostu znów staliśmy się rodziną. Już nie byliśmy samotnikami błędzącymi po bezludnej wyspie i szukającymi tratwy, by się z niej wydostać. Nasz dom stał się dla nas azylem. Potrafiliśmy normalnie ze sobą żyć. Może w życiu, tak jak i w mieszkaniu, raz na jakiś czas należy robić generalne porządki, a nie zamiatać wszystko pod dywan, bo tak prościej. Nasz remont trwał. Wszyscy złapali za pędzle. Mieliśmy tę samą wizję przyszłości. Teraz dużo rozmawiałam z Julką, nawet o przysłowiowej pogodzie.

-Może już wstaniemy? - spytał Wiktor. Wciąż leżeliśmy nadzy na podłodze w kuchni.

- Czemu?

- Bo mi zimno w tyłek.

Parsknęliśmy śmiechem. Podał mi rękę. Ubraliśmy się powoli. On zapiął mi stanik i pocałował w szyję.

- Dawno tego nie robiłeś - powiedziałam.

- Czego?

- Nie całowałeś mnie w szyję.

- Poprawię się. A teraz daj mi coś do jedzenia, kobieto. Nałożyłam na talerz kawałki ciasta.

- Upiekłaś serniczek specjalnie dla mnie? - zapytał.

- Tak - odpowiedziałam. - Dla ciebie. Cały.

Pocałował mnie. To nie był zwykły cmok, ale długi, namiętny pocałunek. Mój świat znów zawirował. Po ciele przebiegły mi dreszcze. Pragnęłam teraz tylko jednego: żeby moje małżeństwo przetrwało. Wiktor też zrozumiał, że tylko wspólnymi siłami zbudujemy mocny, nierozzerwalny związek. Przestaliśmy się obwiniać o wszystko i powoli zaczęliśmy znajdować rozwiązania na przyszłość. Uzgodniliśmy, że nie będziemy przemilczać żalów i pretensji. Od razu mówiliśmy, co nas boli, z czym się nie zgadzamy.

W przeszłości nazbierało się zbyt wiele niedomówień i oskarżeń. Umyślnie się raniliśmy. A serce, cóż, ono jest takie wrażliwe.

Poszłam oddać krew. To była spontaniczna decyzja. Dalszy ciąg dobrych uczynków w dzisiejszym dniu. Nie, nie zamierzałam być pocieszycielką strapionych, dobroczyńcą, darczyńcą, ale skoro miałam czegoś w nadmiarze, skoro można pomóc, to czemu nie. A dzisiaj byłam w nastroju do dzielenia się, dlatego postanowiłam, że dam upuścić sobie trochę krwi, chociaż panicznie boję się igieł. Tak się złożyło, że pilnie potrzebna była krew dla młodej kobiety, która miała wypadek samochodowy. Byłam w odpowiednim miejscu i czasie. Tak naprawdę każdy z nas powinien mieć w sobie wewnętrzną potrzebę dzielenia się z innymi, ofiarowania komuś szansy powrotu do zdrowia. Przy oddawaniu krwi mamy same korzyści, bo nie dość, że robimy coś dobrego dla innych, to jeszcze dostajemy w nagrodę mnóstwo czekolady. Krwi często brakuje.

Telefon zadzwonił mi w torebce; zanim go wydostałam, ktoś się rozłączył. W spisie nieodebranych połączeń zobaczyłam: GOŚKA Szybko wybrałam jej numer.

- Możesz do mnie przyjechać? - spytała słabym głosem. -Tak.
- Zatrzymałam się w Hotelu Koroniewskich. Pokój trzysta dwanaście.
- Coś się stało?
- Przyjedź, chcę z tobą pogadać.

Po półgodzinie byłam już u niej. Miała zaczerwienione oczy. Ubrana w piżamę frotte, przetłuszczone włosy. Wyglądała jak nie Gośka, która zawsze jest zadbana. Czyżby znowu chodziło o Daniela? A może o jej męża?

- Co jest? - Podeszłam do niej i usiadłam obok na łóżku.
- Dziecka nie będzie.
- Jak to?
- Tak to.

Brałam pod uwagę najróżniejsze scenariusze. Czyżby zdecydowała się usunąć? A może poroniła? Byłam przerażona.

- Możesz mi powiedzieć, co się stało? - starałam się mówić spokojnie.
- Nie jestem w ciąży.
- A test?
- Test wyszedł pozytywnie, ale w ciąży nie jestem.
- Ale nie masz okresu?
- Nie mam i w najbliższym czasie pewnie nie będę mieć.
- Zaczekaj. Nic z tego nie rozumiem.
- Byłam dzisiaj u ginekologa, który stwierdził, że rozpoczęła się u mnie wczesna menopauza. Moje hormony szaleją, a okres się zatrzymał.
- Masz dopiero czterdzieści lat.
- „Wczesna"... Natalia, ogłuchłaś. - Była naprawdę zła, a raczej rozgoryczona.
- Może da się jeszcze to wszystko odwrócić.
- Ja przekwitam - westchnęła ciężko. - Oczywiście, ginekolog powiedział, że zastosujemy terapię hormonalną, ale co mi po niej? Tak się cieszyłam na tę ciążę. - Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.
- Wiem, kochana. - Uklękałam przed nią i mocno objęłam jej kolana.
- Patrz, w życiu wszystko jest na przekór. Nie chcemy, by za chwilę chcieć, odkładamy na później, a wtedy okazuje się, że jest już za późno. Nie warto czekać... Żeby potem nie żałować.
- Jak mogę ci pomóc? - spytałam.
- Po prostu bądź przy mnie.

Kiedy Małgosia usnęła, zadzwoniłam do Wiktora i powiedziałam mu, że zostanę z nią na noc. Nie mogłam zostawić jej samej. W jednej chwili uświadomiłam sobie, że Małgosia, która na co dzień grała silną kobietę i lubiła seks bez zobowiązań, w gruncie rzeczy była delikatną osobką, która potrafiła równie mocno

kochać i pragnąć. Zamyśliłam się na moment. „Co ja bym zrobiła, gdyby okazało się, że nie mogę mieć dzieci, a bardzo bym chciała? Jak bardzo bym się załamała, kiedy dowiedziałabym się, że nie jestem w ciąży, a tak mocno bym tego pragnęła? Nieważne czy od zawsze, czy od niedawna”.

Rozdział 16

W poszukiwaniu miłości

Zajrzałam do szafki w poszukiwaniu dżemu. Nie było go. Cukier też się kończył. Cichcem wyruszyłam na zakupy. Miałam kupić tylko trzy rzeczy, a nabierał się cały koszyk. Serek i rzodkieweczka, mleko i lody na deser. Ręce chciały mi odpaść od dźwigania siatek. Zadzwoiłam po Wiktora, ale nie odbierał. Pewnie spał. No przecież, gdy wychodziłam, leżał na kanapie. Zakłęłam pod nosem. Zmrużyłam oczy, policzyłam do dziesięciu i przypomniałam sobie wczorajsze słodkie popołudnie. Siaty z zakupami od razu zrobiły się lżejsze. Otworzyłam drzwi i ujrzałam moją rodzinę w akcji. Wiktor odkurzał (to dlatego nie słyszał telefonu), Julka zajęła się sprzątaniami łazienki, kot siedział na szafie i wszystkiego doglądał. Postawiłam zakupy i patrzyłam oniemiała na moją rodzinę, na moje nowe życie.

Tak było dobrze.

Sobotnie popołudnie. Kątem oka dostrzegłam, że Wiktor z kimś esemesuje.

- Kochanie, zaraz włączę film - powiedział między piknięciem komórki a wystukaniem odpowiedzi.

- Spokojnie. - Czułam się zrelaksowana. Wcześniej mój mąż zaproponował mi wyjście do kina. Wiedział jednak, że wolę obejrzeć dobry film w domu na kanapie. W kinie nigdy nie mogłam się skoncentrować - słysząc ciamkanie, szelest papierków po batonikach, od razu skakało mi ciśnienie. Zaczynałam się pocić i rzucać złowrogie spojrzenia. I z seansu nici.

Zaczęliśmy oglądać film. Wiktor objął ramieniem moją już nie gibką talię. Uśmiechnęłam się błogo. Och, jak romantycznie się zrobiło, tak słodko i mdło, ale wciąż przyjemnie.

- Ty to masz szczęście - powiedział nagle.
- Pst - uciszyłam go, bo właśnie główny bohater dusił swoją żonę.
- Jesteś szczęściarą! - krzyknął mi do ucha.
- A to niby dlaczego?
- Taki facet jak ja ci się trafił.
- No, faktycznie! - zaczęłam się z nim przekomarzać.
- Nie pije, nie bije, wypłatę do domu przynosi.
- Jest głuchy.
- A ty ślepa.

Roześmialiśmy się i nagle jego usta dotknęły moich. Odnaleźliśmy siebie na scenie codzienności życia. Nasze ciała tańczyły godowy taniec. Czulałam go, czulałam mojego męża, każdy najmniejszą cząstką ciała, tkanką, nerwem. Bawiłam się z nim, cieszyłam jego obecnością, tworzyliśmy coś nowego, wysublimowanego, prawdziwego. A potem długo patrzyliśmy sobie w oczy. Chwila, która zamarła w bezruchu. Kiedy wylądowaliśmy w naszym małżeńskim łóżku, jego ręka odnalazła moją dłoń.

- Dobrze, że jesteś - szepnął. Wtuliłam się w niego.
- Poczytam ci. - Rozłożył gazetę, wierszy nie lubił. A ja, ja odpłynęłam do krainy szczęśliwości...

O trzeciej zadzwonił budzik. Usłyszałam, jak Wiktor bierze prysznic i szykuje się do wyjścia. Zamknął walizkę i pocałował mnie w policzek.

- Szerokiej drogi - szepnęłam zaspana. Jeszcze jeden pocałunek, a potem kolejny.
- Jedź już, bo spóźnisz się na pociąg.
- Zadzwonię, jak będę w Krakowie. Wrócę dzisiaj wieczorem.

Niemrawo wstawał dzień. Oddychał rześkim powietrzem. Delikatny wiatr cicho szemrał w gałęziach. Przez chmury przedzie-

rało się jasnożółte słońce. Ślimak wolno sunął! po wyszczerbionej doniczce. Kielichy kwiatów wypełniała po brzegi poranna rosa. Otworzyłam okno i opuszkami palców dotknęłam mięsistych fioletowych płatków. Uśmiechnęłam się promiennie i trwałam oniemiała w zachwycie, rozkoszując się milisekundami piękna.

- Czas na śniadanie - powiedziałam do Julki. Wyciągnęłam miseczki i wsypałam do nich kolorowe kulki płatków owsianych i kukurydzianych - to dla niej. A dla mnie? Ja miałam ochotę na lody waniliowe. Właśnie tak. Jaki wspaniały był czas zwykłej codzienności. Wystarczyło tylko spojrzeć na niego przez pryzmat mieniającej się w słońcu rosy, lodów waniliowych czy szczęścia bliskich.

Dzisiaj byłam umówiona z klientem dopiero o czternastej, dlatego bezkarnie włóczyłam się po domu w piżamie. Przycupnęłam na starym fotelu i zaczęłam czytać książkę. Sprężyna wbijała mi się w pośladek, ale to nic. Czułam się zrelaksowana. Słyszałam swój spokojny, równomierny oddech. Dzień nabrał rozpędu, a ja - na przekór - zwolniłam. Popołudnie dyszało od gorącego słońca. Wypiłam duszkiem butelkę schłodzonej wody, wzięłam prysznic. Skropiłam się kwiatowymi perfumami, pociągnęłam usta truskawkowym błyszczkiem i ruszyłam do boju.

Mój świat nabrał odcieni ciepłych pastelów. Maszerowałam ścieżką w parku i nagle poczułam ból w mostku. Musiałam przystanąć, bo nie mogłam oddychać. Ogarnął mnie dziwny niepokój. Usiadłam na ławce, oblał mnie zimny pot, a w głowie zaczęło się kręcić. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że do końca życia zapamiętam ten dzień.

Część III

Odrodzenie

Rozdział 1

Wypadek

- Halo? Gośka? Czemu się nie odzywasz? - spytałam, odbierając telefon.

Po drugiej stronie cisza.

- Gosia? Julka? - Dość miałam tych żartów. Nic. W oddali słychać było tylko jakieś trzaski.

- Czy pani Natalia Kozłowska? - W końcu w słuchawce rozległ się nieznany kobiecy głos. Mocniej przycisnęłam ją do ucha.

- Tak, to ja.

- Pani mąż jest w szpitalu wojewódzkim w Gdańsku. Miał wypadek samochodowy.

- Ale przecież on jest w Krakowie, rozumie pani? - Słuchawka wypadła mi z rąk, a w gardle poczułam wielką gulę, która ścisnęła mnie niczym obręcz.

Ubrałam się. Wybiegłam z domu. Złapałam taksówkę. Wsiadłam. Zaczęłam płakać. Nie wiedziałam, gdzie mam jechać. Ale jak? Dlaczego? Nie, to nie mógł być on.

Wiktor był w ciężkim stanie, przeszedł już trzy operacje. To był nieszczęśliwy wypadek. Kierowca wana zasnął za kierownicą, zjechał ze swojego pasa i uderzył w samochód Wiktora. Jemu nic się nie stało, ale Wiktor w stanie krytycznym został przewieziony do szpitala. Na przednim siedzeniu zostały zakrwawione róże, cały pęk. Dla kogo?

Był podłączony do aparatury medycznej, nie mógł sam oddychać. Rozpłakałam się. To śmieszne, ale żal mi było siebie -oszukanej kobiety, a nie jego. Płakałam nad sobą. Skoro nie był w delegacji, skoro wiozł czerwone róże... Była jakaś ONA. Wsta-

łam z krzesła. To niemożliwe, przecież myśmy się kochali, przecież ostatnio nam się układało. Kręciło mi się w głowie i oblewały mnie zimne poty. Musiałam stamtąd wyjść. Natychmiast. Ruszyłam w stronę drzwi. Złapałam za klamkę i w tym momencie zobaczyłam zmartwioną twarz kobiety.

- Przepraszam - powiedziała, wycofując się na korytarz. Ruszyłam za nią. Przyspieszyła, jakby wiedziała, że chcę ją dopaść.

- Zaczekaj! - zawołałam.

Stała, ale nie odwróciła się. Podeszłam i spojrzałam jej prosto w oczy.

- Jesteś jego kochanką? - spytałam.

Odwróciła wzrok. Złapałam ją za poły marynarki i potrząsnęłam.

- Jesteś? - powtórzyłam.

Kobieta milczała. Nagle wszystko dotarło do mnie z taką siłą, że zabrakło mi tchu. Nie mogłam zaczerpnąć powietrza. Dusiałam się od kłamstw. Ogarnęła mnie wściekłość. Byłam niczym rozjuszony byk.

- Ty zdiro! - wrzasnęłam na całe gardło i złapałam ją z całej siły za włosy. - Co ty sobie wyobrażasz? Rozbijasz rodzinę! Krzywdzisz niewinne dzieci!

- Zostaw mnie! To nie tak, jak myślisz! - krzyczała, ale ja nie puszczałam, wręcz przeciwnie - szarpałam jeszcze mocniej.

Nagle poczułam, że jej długie paznokcie wbijają się w moją dłoń. Strużka krwi spłynęła na jasny rękaw koszuli. Dopadłam jej szyi i wbiłam w nią zęby.

Naszą szarpaninę przerwało dwóch pielęgniarzy.

- Dość tych cyrków! - Z dyżurki wyszedł lekarz. - Mamy tu pacjentów, którzy potrzebują spokoju.

- Jeszcze popamiętasz! - krzyknęłam do oddalającej się w popłochu kochanki mojego męża.

„Jak ona mogła? Jak on mógł? Jeszcze wczoraj się ze mną kochał, a dzisiaj jechał do niej z tymi przekłętymi różami” - nie mieściło mi się w głowie.

Lekarze przekazali mi, że stan Wiktora jest bardzo ciężki. Krwiak mózgu, uszkodzony kręgosłup, liczne obrażenia wewnętrzne. Mógł tego nie przeżyć. „A co mnie obchodzi jego życie? Teraz liczy się moje życie!” - pomyślałam z furją.

- Ty draniu! - szepnęłam nad jego łóżkiem. - Nie umieraj. Musisz mi coś wyjaśnić. Jestem okrutna, pozbawiona ludzkich uczuć? Kochałam cię. Nadal cię kocham. A ty? Dlaczego tak mnie skrzywdziłeś? - spytałam.

Zadrwił z moich uczuć, z przysięgi małżeńskiej. Nie chciałam już z nim być, niech ta dziwka bierze go sobie takiego poturbowanego, biednego, umierającego.

Wyszłam ze szpitala. Ciepłe promienie słoneczne padły na moją twarz. Siadłam na trawie i patrzyłam na tulące się pary. Jak na złość, było ich pełno. Osaczały mnie swoją miłością. Myślałam o Wiktorze. Pragnęłam poczuć choćby odrobinę współczucia, ale nic z tego. Czułam tylko gniew, miał metaliczno-gorzki posmak.

Przez kilka kolejnych dni byłam codziennie w szpitalu. Dowiadywałam się o pogarszającym się stanie mojego małżonka. Złapałam się na tym, że chwilami życzyłam mu śmierci. Ale to były tylko chwile... Potem czułam wstyd. Kochałam go przecież, mimo zdrady, mimo cierpienia, jakie mi zadał. Nie można przestać kogoś kochać z dnia na dzień, nawet jeśli ten ktoś okrutnie nas zranił. Dlaczego chwilami bardziej go nienawidziłam, niż kochałam? Zdrada to zdrada, czy to na jawie, czy we śnie, w marzeniach. Czy zdradziłabym Wiktora wtedy, kiedy było między nami naprawdę źle? Gdyby na mojej drodze pojawił się jakiś ON? Czy to był jednorazowy skok w bok? Czy Wiktor zdradzał mnie od dłuższego czasu? Boże, a jeśli on ją kochał? Zdrada emocjonalna to już większy kaliber. Jak to potwornie bolało! A ostatnio tak świetnie nam się układało. Wydawało mi się, że uratowaliśmy nasz związek, rodzinę. Zaczęłam go na nowo kochać, a on co? Mój misternie utkany świat rozsypał się w pył.

Z sennego letargu wyrwał mnie natarczywy dzwonek telefonu. Czulaam, że nie dowiem się niczego dobrego. Usłyszałam szloch. A potem urywany kobiecy głos:

- Wiktor nie żyje.

- Kto mówi? - wydusiłam. -Ja.

A więc o śmierci męża dowiedziałam się od jego kochanki.

Słuchawka wypadła mi z ręki. Przerazający ból przeszył serce. Czulaam się tak, jakbym i ja umierała. Płakałam do czwartej rano. A potem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ból przerodził się w gniew i złość. „Ona przy nim była, kiedy umierał, nie ja. Może się obudził i wyszeptał, że ją kocha? Wyszłam ze szpitala po południu. Siedziałam przy nim cały dzień. Lekarze zapewniali, że jego stan jest stabilny. Okłamali mnie? A może byli z nią w zмовie? Co ja bredzę? Jak ona śmiała do niego przyjść? Dlaczego była z nim w godzinie śmierci? Skąd znała mój numer?” - w głowie miałam gonitwę myśli.

Małgosia zapukała cichutko do drzwi, jakby bała się zakłócić moją żalobę, moje przeżywanie, moje wspomnienia. Wychrypiałam:

- Proszę.

Otworzyła drzwi. Siedziałam naprzeciwko okna, które było otwarte na oścież. Wietrzyłam swoją duszę. Nawet przez moment się nie poruszyłam. Potworny ból sprawił, że moja twarz skamieniała. Małgosia uklękła przy mnie i objęła mnie za kolana. Zapewne poczuła moją tęsknotę, która wpełzła na nieme usta, i ten strach. Co dalej? Zaczęłam coś mówić niemrawo, niewyraźnie. Sama nie poznawałam swojego głosu. W gardle czulaam dławiącą kluchę. Nie powiedziałam Małgosi o zdradzie Wiktora, to nie był czas ani miejsce. Ona próbowała mnie pocieszyć. Wytarte frazesy, że będzie dobrze. A przecież nie będzie. Mój świat runął. Moje małżeństwo odeszło wraz z jego śmiercią, z jego kochanką, z jego kłamstwami.

Nie pamiętam przygotowań do pogrzebu. Byłam na prochach. Nafaszerowana antydepresantami. Wciąż cierpiałam. Dlatego, że Wiktora już nie było, że mnie zdradzał, że nie mogłam mu wykrzyzczyć, jakim jest draniem. Cierpiałam, bo moje dziecko straciło ojca, którego tak kochało.

W kościele nasza trójka tuliła się do siebie. Gosia stała pośrodku i podtrzymywała mnie i Julkę. Ksiądz mówił o śmierci i miłości do grobowej deski. „Co ty możesz wiedzieć o miłości? -dyskutowałam z nim w myślach. -1 o małżeństwie. O kłótniach, obiadach, zwykłej codzienności, zdradach, nieprzespanych nocach". O dziwo, wcale nie chciało mi się płakać. Czułam tylko wściekłość. Bolało mnie serce. „Boże, dlaczego, mi to uczyniłeś?" - bluźniłam na pogrzebie męża.

Po skończonej mszy czterech mężczyzn podniosło trumnę i skierowało się do wyjścia. Przez moment nie mogłam ruszyć nogami. Stałam sztywna, jakbym przyrosła do ziemi.

- Mamo, chodźmy - szepnęła Julka. Podążyłyśmy za przystrojoną wieńcami trumną.

Po co te kwiaty? Ogromne wiązanki. On by tego nie chciał.

Mój mąż leżał w zabitej gwoździami trumnie i nic nie mógł zrobić. Ani się ze mną pokłócić, ani wytłumaczyć z tego, co nam zrobił.

Stałam pochylona nad jego grobem, nic do mnie nie docierało, ludzi widziałam jak przez mgłę. Rozmyte słowa i ten cierpki smak goryczy na końcu języka. Jedyne, co utkwilo mi w pamięci, to powiewająca na wieńcu wstęga: „Kochanemu mężowi - Natalia". Kto, do cholery, zamówił wieniec z takim napisem? Na pewno moja mama. „Kochanemu, kochanemu, kochanemu". Zachciało mi się śmiać. Czy to nie zabawne, że po śmierci kochamy nawet niekochanych, że mówimy o zmarłych tylko dobrze, nawet jeśli byli podłymi draniem? Nawet jeśli zdradzali żonę i oszukiwali dzieci? Miałam ochotę rzucić się na usypany z ziemi grób i zedrzeć tę szarfę z wieńca. Kłamliwy napis.

Po pogrzebie Julka pojechała do mojej mamy. Ja nie byłam w stanie normalnie funkcjonować. Jedyne, o czym marzyłam, to spokój i cisza. Zdjęłam buty. Skarpetki nasiąknęły krwią od zdartych pięt. Przed pogrzebem musiałam kupić czarne buty, bo takich nie miałam. Nie rozchodziłam ich wcześniej, a one okrutnie się na mnie zemściły, pozostawiając zdartą skórę i bąble. W ubraniu położyłam się na łóżku. Rozległ się dzwonek telefonu. Odkąd Wiktor miał wypadek, nienawidziłam tego dzwonnka. Odebrałam jeden telefon, potem drugi. Dzwonili znajomi z kondolencjami. Nie miałam ochoty słuchać ich udawanego współczucia; tak naprawdę byli spragnieni sensacji. Byłam wściekła na Wiktora za wszystkie upokorzenia, jakie na mnie spadły, za to, że nie potrafił ode mnie odejść. Tak byłoby lepiej dla nas wszystkich. Popłakałabym, ale żyłabym dalej. Świat dalej by istniał, tak jak istnieje teraz, a on by żył i byłby ojcem dla mojej córki, która bardzo go kochała.

Rozboliła mnie głowa od nadmiaru emocji. Podeszłam do zamrażarki, wyciągnęłam bryłę lodu i zrobiłam z niej okład. Położyłam go sobie na czoło. Tak było zdecydowanie lepiej. Marzyłam, by choć na chwilę się zdrzemnąć, ale nie potrafiłam. Wciąż myślałam o jednym: o romansie męża. Ciekawe, co Wiktor jej o mnie mówił? Przecież musiałam jakoś istnieć w jego opowieściach. Czy byłam tą niekochaną żoną, z którą się nie sypia, a może wariatką albo kulą u nogi?

Ogarnęła mnie apatia i ośpienie. Godzinami siedziałam w fotelu, bezmyślnie gapiąc się w ścianę. Odtwarzałam w głowie wszystkie błędy, które popełniłam w trakcie naszego małżeństwa. Czasami miałam ochotę krzyczeć, innym razem cały świat mi obojętniał. Były dni, kiedy nawet nie myłam zębów. Jadłam dopiero wtedy, gdy moje wnętrzności skręcały się z głodu. Julka dalej była u mamy, ale codziennie mnie odwiedzała. Sprzątała, coś do mnie mówiła, ale ja nie potrafiłam odróżnić słów. Były też dni, kiedy wstawałam skoro świt i pędziłam na cmentarz. Wkładałam płaszcz na pizamę. Nie obchodziło mnie, co

powiedzą inni. Stawałam przed grobem Wiktora i rozmawiałam z nim, a raczej wyrzucałam mu to, co mnie bolało.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - pytałam.

To absurdatne, ale jeśli piekło istnieje, chciałam, żeby on się w nim smażył. Potem jednak żałowałam moich złorzeczeń i życzyłam mu, aby jego dusza pływała sobie w niebieskich obłokach.

- Dlaczego mnie oszukiwałeś? Dlaczego z nią sypiałeś? Czy była lepsza ode mnie?

Małgosia spytała mnie, czego potrzebuję. A ja krzyknęłam:

- Chcę powtórki z naszego wspólnego życia! Chcę odzyskać mojego męża!

- Już dobrze. - Przytuliła mnie mocno.

- Gosia, ty nie rozumiesz. Nie jest dobrze i nigdy nie będzie.

- Będzie. Zobaczysz.

Mój ból, mimo że ogromny, o dziwo, mnie nie zabił. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Także do bezdechu, krwawiącego serca, zranionej duszy. „Czy coś to zmieni, jeśli będę się zadreczęła? Słońce dalej będzie wstawać, chmury będą zbierać się na deszcz, będzie wiał wiatr, a drzewa będą gubiły liście” - rozmyślałam.

Pewnego dnia rozmawialiśmy z Małgosią o śmierci i przeżywaniu żałoby.

- Jak mam sobie pomóc? - zapytałam, popijając melisę na uspokojenie.

- Masz świadomość, że potrzebujesz pomocy, a to jest ważne. Mogę być dla ciebie drogowskazem, ale ty sama musisz to przeżyć, niestety. - Spojrzała na mnie smutno.

- Tak. - Kiwnęłam głową i rozplakałam się.

- Płacz, trzeba swoje wypłakać.

- Wczoraj byłam w kościele - wyznałam. - Przedemną w ławce siedział stary człowiek. Pewnie po osiemdziesiątce. I wiesz,

zapraǳnęłam być już taka stara jak on, bo miałabym świadomość, że wkrótce umrę.

- Natalia, teraz tak myślisz, ale to przejdzie, ten ból, złość, gorycz, niezgoda.

- Kiedy?

- Z czasem.

- Myślisz, że o nim zapomnę?

- Nie zapomnisz.

To było dokładnie miesiąc po pogrzebie. Zadzwoił ten przekłęty telefon.

- Pani Natalia? - Usłyszałam w słuchawce cichy kobiecy głos.

- Tak, to ja.

- Chciałabym się z panią spotkać...

- Kto mówi? Cisza.

- Kto mówi? - powtórzyłam

- Spotkałyśmy się w szpitalu. Jestem...

- Wiem, kim pani jest. Nie chcę mieć z panią nic wspólnego! - wykrzyczałam do słuchawki. „Jakim prawem ta zdzira do mnie dzwoni?”. Zatrzęsło mną ze złości.

- Niestety, nasze losy zostały ze sobą splecione już na zawsze - powiedziała cicho.

- Nie rozumiem.

- Proszę się ze mną spotkać, a wszystko pani wytłumaczę. To nic jest rozmowa na telefon.

Gdyby przynajmniej była ładniejsza, szczuplejsza, bardziej elegancka, czułabym się lepiej. A ona była nijaka. Szarobura. Pulchna, z mysimi włosami. Ale te oczy - była w nich jakaś magia i piękno. Ile mogła mieć lat? Patrzyłam na nią przenikliwym wzrokiem, kiedy piła sok pomidorowy. Wyglądała na trzydzieści. Więc nie taka młoda, ale jednak młodsza ode mnie.

- A więc mieliście romans? - rzuciłam wściekle.
- Nie do końca. - Wzruszyła ramionami. Była zdenerwowana. Spoconymi dłońmi gniotła chusteczkę. - Kochałam go...
- Tak się składa, że ja też. Na chwilę zamilkła.
- Wiedziałaś o mnie? - spytałam. Babska ciekawość wzięła górę. Gula goryczy zatkała mi gardło. Przez chwilę nie mogłam zaczerpnąć powietrza.
- I co? - Wbiłam w nią oskarżycielski wzrok
- Nic.
- Jak to, kurwa, nic?
- Musiałam z tym żyć. - Spuściła głowę i zaczęła płakać. Wcale jej nie współczułam. Czułam tylko nienawiść. Tak wielką nienawiść.
- Ty wredna...
Podniosła głowę i spojrzała mi w oczy. Tylko przez moment
- Nie chciałam tego.
- Ale zrobiłaś to z premedytacją! - wysyczałam.
- Razem to zrobiliśmy, razem.
- Jak ty właściwie masz na imię? - zapytałam.
- Aleksandra.
- Ola... - Pokiwałam głową. Takie pospolite imię. Pasowało do niej. Milczaliśmy przez kilka minut.
- To nie było tak, jak pani myśli.
- A, kurwa, jak? - Coraz bardziej mnie drażniła
- Poszliśmy do łóżka tylko raz. Bardziej z mojej inicjatywy - przyznała. Poruszyła się i dodała: - Zrobiłam test ciążowy tydzień przed jego wypadkiem... - urwała. - Miałam mu pokazać to... - Wyjęła z torebki małe buciki.
Pobladałam, zakręciło mi się w głowie. W jednej chwili zrobiło mi się niedobrze.
- Jesteś w ciąży?

- Tak. To dziewiąty tydzień.

Zabrakło mi tchu. „Czy mam jej gratulować? A może uderzyć w twarz? Co mam zrobić? Ta śmierć przyszła nie w porę. Urwałabym fiuta draniowi” - myślałam zrozpaczona.

- Mieliśmy o tym porozmawiać. - Zaczęła miętosić w dłoniach dziecięce buciki.

Przez chwilę nawet jej współczułam.

- Czyli on nie wiedział o dziecku?

- Wiedział... - głos jej drżał. - Powiadomiłam go telefonicznie. Tylko że to wszystko wydarzyło się po tym, jak ze mną zerwał. On od początku nie był chętny do nawiązania bliższej znajomości.

- Ty chciałaś? -Tak.

- Zaciągnęłaś mojego męża do łóżka, chciałaś go zrobić w ciążę... - Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. - Jesteś podła, wyrachowana, pozbawiona skrupułów.

- Kiedy dowiedział się o dziecku, napisał mi, że je uzna - odparła z satysfakcją.

Tego było już za wiele. Wypiłam duszkiem całą szklankę lodowatej wody.

- Kłamiesz!

- Nie, mam jego esemesy. Pokazać pani? Zaniemówiłam.

- I czego, kurwa, ode mnie teraz oczekujesz? Pieniądzy, wsparcia? Podziału majątku? Nie dostaniesz nic, rozumiesz, nic!

- Niczego nie chcę - odpowiedziała spokojnie. - Oprócz... - urwała. Wiedziałam, że musi być jakieś drugie dno. - Oprócz tego, aby moje dziecko poznało swoją przyrodnią siostrę. Nie mam rodziny i...

- Po moim trupie! - przerwałam jej głośno. - Zabrałaś mi jego, ale córka jest moja! Moja!

Tak bardzo chciałam ją upokorzyć, zniszczyć, wykrzyczeć w jej stronę same bluźnierstwa. Nie zrobiłam tego. Wstałam

i wyszłam. Marzyłam tylko o tym, by zniknęła z mojego życia raz na zawsze.

Padał deszcz. Szłam wolno wyboistym chodnikiem, rozmyślając o Wiktorze. Czułam się upokorzona. Jak miałam wybaczyć mu zdradę? Czy on faktycznie jej nie kochał? Czy był to jednorazowy skok w bok? Czy nasze małżeństwo od samego początku było skazane na porażkę? Potem pomyślałam o Olce. „Jak ona sobie poradzi? To nie jej wina, że pokochała żonatego mężczyznę. Nie wygląda na modliszkę. A może jednak pozory mylą? Chciałabym jakoś ją zrozumieć, a mimo to nie potrafię. Rana jest zbyt świeża”.

A on? Nigdy nie przypuszczałam, że mój mąż może mieć romans. Romans czy skok w bok to co innego, a miłość to miłość. To inny, głębszy wymiar. Musiał ją kochać, skoro chciał uznać to dziecko. A jeśli ona blefuje? Mogłam zobaczyć te przeklęte esemesy. Górę wzięły emocje, skrywane żale. Czułam się sponiewierana i upodlona. Jak on mógł? Jak oni mogli?

Zadzwoiłam do Małgosi, prosząc, żeby jak najszybciej do mnie przyszła. Opowiedziałam jej wszystko, powtarzając w kółko słowo „ZDRADA”.

- Mieliście kryzys. - Gosia jak zwykle była szczerą do bólu.

- Tak, ale zostałam z Wiktoorem i próbowałam ratować nasze małżeństwo. A jak on mi odpłacił?

- A gdyby w twoim życiu ktoś się pojawił? Zastanawiałaś się nad tym?

- Tak - odparłam twardo. - Nigdy nie zostawiłabym rodziny.

- Czyżby? - Małgosia włożyła do ust ptasie mleczko. - Teraz tak mówisz, ale nie wiesz, jak by było. Może zwinęłabyś manatki i poleciała do kochanka.

- Tylko że ja nigdy Wiktora nie zdradziłam. A on... Jak mogłam niczego nie zauważyć?

- Typowe. Zdradzane żony dowiadują się o wszystkim ostatnie. - Otworzyła okno i usiadła na parapecie.

- Wiesz, co jest w tym wszystkim najśmieszniejsze?

- Tak? - Podniosła na mnie wzrok.
- Ostatnio nawet w łóżku było nam ze sobą zdecydowanie lepiej.
- Faceci już tacy są. - Westchnęła ciężko.
- A miłość, Gośka? Co z tą miłością?
- Miłość... To właśnie ona sprawia, że człowiek głupieje, pięknieje, chce być tylko z obiektem westchnień. Wybucha niespodziewanie, gorąca, pragnąca, szepcząca słodkie słówka. Utkana z tanich frazesów i cierpienia, z niuansów i sprzeczności.
- A ty co? Pieprzona poetka?
- Pieprzona może tak, ale nie poetka, tylko znawczyni życia - odpowiedziała. Wiedziała, że chce mnie rozbawić.
- To nie jest tak, że on cię nie kochał. Musiał cię kochać, tylko mu się pomyliło. Jedna taka pomyłka na całe życie to niewiele.
- Tylko że ja go nie zdradziłam.
- Ty ciągle o jednym. Nie zdradziłaś, a on sobie po prostu bzyknął na boku. Ponoć raz.
- O jeden raz za dużo - westchnęłam. - Zrobię herbatę. - Poderwałam się z krzesła.
- Weszłam do kuchni i rozplakałam się. Gryzłam pięść, żeby nie było słychać szlochu. Mimo to Gosia usłyszała. Przyszła i mocno mnie objęła.
- Ona jest w ciąży - szepnęłam.
- Chodziłam po mieszkaniu w tę i z powrotem, bez celu. Przypomniało mi się, jak kiedyś, będąc z Wiktorem na zakupach, wpadliśmy na Gośkę i jej kochanka.
- Kto to? - zapytał mój mąż, wskazując głową na Daniela.
- Jej kolega - odparłam wymijająco.
- Wygląda na jej przydupasa.
- Weź ziemniaki - zmieniłam temat.
- Niektórym babom w dupach się poprzewracało. Pieprzą się po kątach - syczał pod nosem. Jak mógł osądzać Małgosię, skoro sam mnie zdradzał! Podły drań.
- Rozplakałam się.

Rozdział 2

Żałoba

W nocy nie mogłam spać. Było duszno, więc otworzyłam okno. Rześkie powietrze sprawiło, że usnęłam na chwilę. Obudził mnie hałas. Na zewnątrz rozszalała się burza. Silny wiatr przewrócił doniczkę z kwiatkiem. Podniosłam się z trudem, czując w skroniach pulsujący ból. Migrena. Miałam sucho w gardle i oblewał mnie zimny pot. Oddychałam ciężko. Zapaliłam lampkę. Zastona falowała w rytm podmuchów wiatru. Przez chwilę zdawało mi się, że ktoś za nią stoi. Przestraszyłam się. Wstałam jednak z łóżka i szybkim ruchem zamknęłam okno. I w tym momencie usłyszałam trzask. Ze ściany spadło nasze zdjęcie ślubne. Szklana ramka pękła na pół. „To znak - pomyślałam. - Mój mąż chce mi coś powiedzieć, a może mnie przestraszyć? A może jest mu źle w zaświatach? Może chce mnie poprosić, bym zaopiekowała się jego kochanką? Tak, to byłoby typowe dla niego”.

Po kilku dniach Ola zadzwoniła ponownie.

- Przeszła pani złość?

- Nie przeszła! - syknęłam.

- To zadzwonię kiedy indziej. Denerwowało mnie, że jest tak namolna.

- Zaczekaj - powiedziałam. - Byłaś na jego pogrzebie? -Chciałam to wiedzieć. Musiałam to wiedzieć.

- A pani poszłaby na pogrzeb kochanka? - spytała niespodziewanie.

- To zależy. Gdyby miał rodzinę, to nie - odpowiedziałam. Sama nie wiedziałam, czemu wdałam się z nią w tę bezsensowną dyskusję.

- Nie byłam. Nie jestem aż taką hipokrytką.

Odetchnęłam z ulgą. -1 dobrze. Wiesz...

- Uważa pani, że ma większe prawo do jego trumny? - przerwała mi beczelnie.

Czułam, że wzbiera we mnie złość.

- To mój mąż!

- Nie układało wam się - stwierdziła.

A więc musiał ją poznać, kiedy między nami było naprawdę źle. Ciekawe, co jej naopowiadał?

- Skąd ty to, kurwa, możesz wiedzieć? - Nie mogłam się opanować. Ręce mi drżały.

- Mówił mi. Spędziliśmy ze sobą dużo czasu. A teraz pani może przeżywać żalobę, a ja nie? To ze mną rozmawiał, chodził na spacer, czytał mi wiersze.

- Co ty za brednie opowiadasz?! On nie lubił poezji.

- Kochał Leśmiana - oświadczyła. - Byłam dla niego kimś ważnym.

- Nie masz do niego prawa! Rozumiesz?!

Znowu przez nią płakałam. Było mi niedobrze od nieprzetrawionego bólu. Siedziałam na podłodze i jadłam czekoladowe ciastka, kiedy usłyszałam szcęk klucza w zamku. Poderwałam się na równe nogi w głupiej nadziei, że po drugiej stronie ujrzę Wiktora. Nie wiem, co sobie myślałam - że zmartwychwstał? Stanęła przede mną moja rodzicielka w rudej garsonce.

- Mama? - zdziwiłam się.

- Wyglądasz fatalnie.

- Jak zwykle jesteś szczerą do bólu.

- A nie powinnam?

- Czasami byłoby lepiej, gdybyś ugryzła się w język - odparowałam. Wiem, że mnie kochała, jednak czasami potrafiła być szorstka. Taka już była.

- Przepraszam, przyniosłam ci kolację. - Postawiła na stole torbę z jedzeniem.

- Zjemy razem? - spytałam.

Weszliśmy do kuchni. Mama zmyta brudne garnki, nakryła do stołu, nałożyła jedzenie na talerze. Nie pomogłam jej, nie miałam na to najmniejszej ochoty. Bezmyślnie gapiłam się w okno. Usiadliśmy i przez chwilę jadliśmy w milczeniu, a raczej ona jadła, a ja dłubałam widelcem w potrawce z kurczaka.

- Wszystko w porządku? - spytała w końcu. Rozkleiłam się. Pękła tama. Opowiedziałam jej o Wiktorze,

o zdradzie, o tym, że jego kochanka jest w ciąży, i o tym, że ja też nie byłam bez winy, że przez jakiś czas zaniedbywałam rodzinę.

Mama odłożyła widelec, wytarła usta w serwetkę, podeszła do mnie i przytuliła mocno.

- Wiem, że cię zranił, ale musisz mu wybaczyć.

- Dlaczego?

- Bo tak łatwiej żyć. Może powinnaś z nią jeszcze raz porozmawiać. Na spokojnie. - Mówiąc to, nie patrzyła mi w oczy.

- Mamo! - Byłam oburzona. - O czym miałabym z nią rozmawiać? O tym, jaki Wiktor był w łóżku? A może powinnam ją zapytać, co o mnie mówił? Pewnie dowiedziałabym się, jaka byłam niedobra i dlatego spędzał z nią czas.

- Natalia, życie nie jest proste.

- Tak, wiem, jest skomplikowane, dlatego nie zamierzam go jeszcze bardziej komplikować przez jakąś wywłokę.

- Nie znasz jej.

- I co z tego? - Trzęsłam się ze złości.

- Wiem, że jest ci trudno, ale ona też cierpi. Została sama z dzieckiem.

- Ja też! - Wstałam od stołu.

- I może właśnie dlatego powinnaś wykazać trochę zrozumienia. Jak mówiłaś, sama nie byłaś w porządku wobec Wiktora. - Przeżegnała się.

- Świeć, Panie, nad jego duszą.

- Mamo, do cholery, nie chcę o tym rozmawiać. - Rozbeczałam się.

- Już dobrze. - Podeszła i znów mnie objęła. - Przepraszam, kochanie, nie powinnam.

Rozdział 3

Zycie po drugiej stronie

- Wierzysz w Boga? - spytałam Gośkę. Ja wierzyłam, chociaż czasami wątpiłam w Jego istnienie. To chyba naturalne. Dopiero teraz dotarło do mnie, że choć znałyśmy się tyle lat, nigdy nie rozmawiałyśmy o wierze.

Małgosia przeciągnęła się.

- Ja nie wierzę w nic.

- Czyli jak ktoś umiera, myślisz, że to już ostateczny koniec? - spytałam ją.

- Tak. To tak, jakby ktoś wyłączył wtyczkę z gniazdka. Nicość.

- A ja chcę wierzyć, że człowiek ma duszę, że tam, po drugiej stronie, istnieje lepsze życie i słycać trzepot skrzydeł aniołów.

Roześmiała się.

- Masz taką marzycielską naturę. Nalać ci wina? - Wskazała na butelkę.

- Tak - odpowiedziałam. Gosia tymczasem popijała wodę i masowała się po brzuchu.

- Ludzie koniecznie chcą w coś wierzyć, bo boją się końca - powiedziała.

- A ja ci mówię, że coś w tym musi być. - Starłam się za wszelką cenę przekonać ją do swoich racji. - Nawet naukowcy się za to wzięli.

- I co? Nic nie udowodnili. - Machnęła ręką.

- Mylisz się. - Nałożyłam sobie na talerz ciastko i maczałam je w herbacie. - Pewien psychiatra, nie pamiętam nazwiska, po przebadaniu około dwustu osób po transplantacji ser-

ca stwierdził, że w ludzkim sercu zakodowana jest osobowość, że tam mieszka dusza. Według jego badań to serce kontroluje mózg, a nie odwrotnie. Ludzie po transplantacji serca zmieniają się, a czasami zachowują się podobnie jak swoi dawcy. Sama nie mam potrzeby obcowania z jakimkolwiek bogiem, ważna jest dla mnie duchowość.

- To tylko hipotezy. - Gosia ziewnęła. - Nie ma ani duszy, ani życia pozagrobowego, dlatego nie ma sensu o tym myśleć czy rozmawiać.

- Gosia, szanuję twoje poglądy, ale ty uszanuj moje. - Westchnęłam. - Część naukowców twierdzi, że ciało po śmierci waży kilka gramów mniej, a to dlatego, że jest lżejsze o wagę duszy.

Małgosia zrobiła się czerwona na twarzy.

- Nie wiem, czemu mają służyć te twoje rozważania? - spytała zaczepnie. - Nie mam ochoty na neurotyczno-filozoficzne wywody.

- Chcę tylko, żebyś mi uwierzyła, że po drugiej stronie, jest życie.

- Nie mam takiej potrzeby. Zamilkłam.

- Odbiło ci po śmierci Wiktora - powiedziała po chwili.

- To nie tak. Ja tylko chcę wierzyć, że tam jest jakieś życie, że on tak po prostu nie przestał istnieć, że kiedyś się jeszcze spotkamy i może ze sobą pogadamy, że mi wszystko wyjaśni, że mi powie, że to mnie kochał. Rozumiesz? Ja chcę w to wierzyć i chcę go jeszcze zobaczyć!

- Kochał cię - szepnęła. - Powiem ci coś, co kiedyś sama usłyszałam: „Między tym, co słuszne, a tym, co błędne, rozciąga się wielka przestrzeń. Tam się spotkamy”.

Rozdział 4

Nowy rozdział

Pomalutku przyzwyczajałam się do nowego życia. To życie było inne. Życie, w którym leżałam w pustym łóżku, samotnie jadałam kolacje, i wkręcałam żarówki. Smutniejsze? Tak. Wciąż była we mnie niezgoda i złość. Na nią, na niego, na ten romans. Teraz wszystko było przeszłością, przebrzmiałą historią, a ja wciąż nie potrafiłam wybaczyć. Nikomu.

Otrzymałam od Oli trzy listy. Byłam wściekła na Wiktora, że ona zna nasz adres. Numer telefonu numerem telefonu, ale adres? Nigdy nie przeczytałam tych listów. Bałam się ich treści. Bałam się tego, że będzie w nich żalodne błaganie o wsparcie albo słowa o tym, jacy byli szczęśliwi, a może zarzuty skierowane do mnie. Nie wiem dlaczego nie wyrzuciłam tych listów, chociaż w pierwszym odruchu chciałam je podrzeć i spalić. Schowałam je do drewnianej szkatułki zamykanej na małą kłódkę. Dlaczego ta kobieta mnie prześladowała? Nie dość, że ukradła mi męża, to jeszcze nie dawała mi spokoju. A dziecko? Wciąż o nim rozmyślałam. Przecież ta malutka istotka nie była niczemu winna. Nie chciałam o niej myśleć. Nie mogłam, dla swojego dobra, a przede wszystkim dla dobra Julki. Dla mnie, dla mojej rodziny nie było tego dziecka.

Zobaczyłam ją kiedyś przypadkiem. A więc musiała mieszkać w okolicy. Perfidny drań - romans pod czujnym okiem żony. Człapała ociężale po ubitym piasku. To już? Niedługo pewnie miała termin. Naciągnęłam kaptur na głowę. Z kieszeni kurtki

wyjęłam okulary przeciwsłoneczne. Czułam pewien rodzaj zdenerwowania, ekscytacji, zażenowania i bezsilności. Było zimno i wietrznie, na plaży niewiele osób: kilku starszków, biegające za piłką dzieci i ona - zamyślona, jakby nieobecna. Szła wolno po piasku, który migotał od promieni złotego słońca. Zwolniłam, kiedy była na wyciągnięcie ręki. Otworzyłam nieśmiało usta, lecz nie mogłam wydobyć głosu. Ola minęła mnie. Nie poznała? A może udała, że mnie nie widzi. „I dobrze” - pomyślałam. Dostrzegłam, że ma zaczerwienione oczy. Od łez? Wciąż po nim rozpaczała? Przez moment miałam ochotę pójść za nią i ją przytulić. To był tylko moment, po chwili znów byłam na nią wściekła. Nie chciałam jej w moim życiu. Wróciłam do domu i znów dopadł mnie wisielczy humor. A już było dobrze.

Zwinęłam się w kłębek i jedyne, o czym marzyłam, to żeby sobie popłakać. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Przyszła Małgosia.

- Spójrz na moją fryzurę, jakby mnie piorun strzelił! - Podniosła do góry pasma włosów.

- Gośka, ludzie mają większe problemy. - Pierwszy raz od długiego czasu uśmiechnęłam się do niej.

- Mają, i dlatego przyszłam do ciebie z kudłatym łbem, żebyś się trochę pośmiała. - Małgosia nie cierpiała swojej burzy loków, dlatego codziennie rano spędzała ponad godzinę z prostownicą do włosów, szczotką, pianką i lakierem.

- Dziękuję. Miło mi, że o mnie dbasz.

- Wyglądam jak pudel. - Przygłodziła włosy i z impetem wparowała do łazienki. - Masz lakier do włosów?! - krzyknęła po chwili.

- Gosia, moje mieszkanie ma tylko pięćdziesiąt sześć metrów, nie musisz się drzeć. Nie mam, ale Julka ma. Zajrzyj do dolnej szuflady.

- Jest! - znowu wrzask. - Cały ranek je prostowałam - ściszyła głos. - Wyszłam na dwór, zaczęło lać i co? Pudel.

- Człowiek nie zawsze ma to, co chce.
- Co ty opowiadasz?! Ja zawsze mam to, co chcę. - Wyszła z łazienki ze zmoczoną głową.
- Myślałam, że użyjesz lakieru? - Spojrzałam na jej moką czuprynę.
- A, daj spokój... - machnęła ręką - ...musiałabym zużyć całą butelkę. Lepiej było włożyć głowę pod kran. Potem wysuszę i po robocie.
- Tylko że ja nie mam suszarki.
- Jaja sobie robisz?
- Julka zabrała ze sobą do mamy.
- A twoje włosy?
- Same schną.
- O, matko najdroższa! Ale z ciebie dziwadło. Powinnaś być facetem.

Rozdział 5

Zazdrość

Dopadała mnie wszędzie. Kiedy czytałam książkę, słuchałam muzyki, rozmawiałam z córką. Nie potrafiłam jej pokonać. Dzika, okrutna, nieokiełzana zazdrość, która spędzała mi sen z powiek. O co byłam zazdrosna? O to, że mój mąż miał skok w bok? O jego krótkie chwile szczęścia? Czy o to, że dla tamtej był księciem z bajki, podczas gdy dla mnie przez pewien czas tylko nudnym małżonkiem? A może o to, że pod koniec życia mnie oszukał? Uwierzyłam jego zapewnieniom, że chce razem ze mną umocnić nasz związek. Walczyłam o nasze małżeństwo. Chyba byłoby lepiej, gdyby był taki, jak wcześniej. Kiedy o mnie nie dbał i śmiał się z moich marzeń. Bez tych czułości, miziania i bukietów kwiatów. Najgorsze było to, że całą frustrację przelewałam teraz na NIA. Ola jawiła się w moich oczach jako uosobienie zła, czarownica, która rzuciła urok na mojego męża. Najchętniej wydrapałabym jej oczy albo wyrwała włosy z głowy. Och, co ja bym jej zrobiła! Obrzuciła epitetami i wytarzała w błocie.

- Jesteś walnięta - powiedziała Małgosia, kiedy opowiedziałam jej, że wczorajszego wieczoru zrobiłam szmacianą laleczkę, która miała symbolizować Olę. Wbijałam w nią szpilki, rzucałam złorzeczenia i klątwy.

- To mnie boli - odparłam.

- Wierzę. Ma prawo. Ale nie możesz obsesyjnie myśleć o śmierci tamtej kobiety.

- A to dlaczego?

- Dlatego, że to jest złe i niemoralne. Przerażasz mnie.

Rozdział 5.

Zazdrość

- A ona była moralna?
- Może po prostu się zakochała. - Gosia nałożyła sobie na talerz brokuł i zaczęła go skubać. - Chcesz? - Podsunęła mi pod nos warzywo.
- Wsadź sobie ten brokuł w swoją śliczną dupkę.
- Zdrowy jest. Zawiera dużo minerałów: wapń, potas, żelazo, magnez... W twoim stanie to wskazane.
- Gośka, zlituj się. Wcale mi nie pomagasz.
- Ależ tak. Wysłuchuję twoich żalów. Co mam jeszcze zrobić? Pomóc ci ją uśmiercić? Ta twoja żądza zemsty do niczego dobrego nie doprowadzi. Nienawiść zatruwa cię od środka i zamiast być lepiej, z każdym dniem jest coraz gorzej.
- Bo jest.
- Nie chcę jej bronić. Wiedziała, że Wiktor jest żonaty. Tylko że tak naprawdę ona z jego zdradą ma niewiele wspólnego.
- Ona go uwiodła!
- Otworzyłam barek w poszukiwaniu czegoś mocniejszego. Gosia zaczęła się śmiać. Jak zawsze w najmniej odpowiednim momencie.
- A on, zziębnięty ptaszek, dał jej się ogrzać. Dobrze sobie. Idziesz ze mną na te targi ręcznie robionej biżuterii? - zmieniła temat.
- Nie chce mi się.
- Dlaczego?
- Bo mi źle.
- Dobra, nie pieprz, tylko się ubieraj.
- Spacerowałam między stoiskami z piękną biżuterią. Każdy wisior, pierścionek czy naszyjnik był jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny. Jedno stoisko było szczególnie oblegane.
- Chodź tam. - Małowska pociągnęła mnie za rękę. Stanęłam jak wryta. Nie mogłam zaczerpnąć powietrza.
- Gośka, to ona. Ta kobieta.
- Ciszej - szepnęła przyjaciółka. - Tak, wiem, ona jest niewidoma.

- Wiem, ale nie o to chodzi. Ja już ją kiedyś widziałam. We śnie. Nie mogę w to uwierzyć, to kobieta z mojego snu. Jak to możliwe? Gosia, to znak.

- Jaki znak? Natalia, ja wiem, że przechodzisz teraz trudny okres, ale popadasz w paranoję. Niemożliwe, żeby kobieta ze snu nagle się zmaterializowała.

- To nie ona jest niewidoma, tylko ja. Jestem ślepa na ludzkie nieszczęście. Nie dostrzegam tego, co najważniejsze - mówiłam jak w transie.

- O czym ty mówisz?

- Dobro dziecka. Tylko ono się liczy.

- Natalia, musisz iść do psychiatry... - powiedziała zaniepokojona.

Aleja nie słuchałam jej słów. Podeszłam do stoiska, gdzie stała niewidoma kobieta, a obok niej nastolatka, zapewne jej córka. Patrzyłam na nią z rozdziawioną buzią. Tak, to ona. Nie mogłam w to uwierzyć. Czyja zwariowałam? Rzeczywistość mieszała mi się z jawą? To przez ten pogrzeb. A może już wcześniej byłam walnięta? Małgosia szturchnęła mnie, a ja spuściłam wzrok i zaczęłam oglądać biżuterię.

- Ile kosztuje ten naszyjnik? - Wskazałam jeden, na cienkim łańcuszku, na którym wisały drobne kolorowe kamyczki.

- Dwadzieścia pięć złotych - odparła nastolatka.

- Jest piękny - powiedziałam z uznaniem do niewidomej kobiety.

Uśmiechnęła się do mnie. -1 bardzo delikatny - dodała.

Wróciłam do domu. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Krążyłam po pokoju. W końcu wybrałam numer JEJ telefonu. Odebrała.

- Halo? Halo? Halo? - powtarzała w kółko, ale ja milczałam. Po którymś „halo” odłożyła słuchawkę.

Nie mogłam jej pomóc - chciałam, lecz nie mogłam. Za bardzo bolało...

Rozdział 6

Wyjazd

Ból trochę zmałał, a ja wiedziałam, że muszę się nauczyć na nowo żyć. Najgorsze było to, że w mieszkaniu wszystko przypominało mi Wiktora, choć prawie wszystkie jego rzeczy spakowałam i wyniosłam do piwnicy. Nawet na spacerze w parku myślałam tylko o nim. To tutaj przychodziliśmy, kiedy Julka była mała. To pod tym kasztanowcem ostatnio mnie pocałował. O dziwo, nie pamiętałam tego, co złe, miałam same miłe wspomnienia z nim związane. Może to tak działa, że po śmierci bliskiej osoby pamięć segreguje fakty i zostawia tylko te dobre. Oczywiście wciąż byłam na niego zła, ale to już inna bajka.

- Musisz gdzieś wyjechać - powiedziała Gosia. - Chociaż na chwilę. Pojadę z tobą.

- Jestem w żałobie - odparłam z naciskiem.

- Nie musisz jej przerywać. Wyjedziesz, spojrzysz na pewne sprawy z dystansem. Włochy? - Przyjaciółka wiedziała, że moim marzeniem była podróż do tego kraju.

- A Julka?

- Zostanie z twoją mamą. - A ty?

- Ja też potrzebuję tego wyjazdu. Wiesz, ta urojona ciąża, hormony, nieudane związki i rozwiązania, brak chłopca. Też nie jest mi łatwo - wyznała.

No tak, przez moje problemy nie pomyślałam o tym jak czuje się ona.

- Wszystko już zaplanowałaś?

- Tak. Dobrze ci to zrobi. Mnie również od dawna marzyła się jakaś podróż, ale zawsze coś stało na przeszkodzie.

- Sama nie wiem. - Pokręciłam głową.

- Zastanów się.

- Dobrze. A jak ty się czujesz?

- No wiesz, szprycują mnie hormonami, miewam wybuchy złości, więc lepiej mnie nie wkurzaj. - Zaśmiała się.

- Moja kochana przyjaciółko - szepnęłam i przytuliłam ją mocno do siebie.

- Kochanie... - rozpoczęłam poważną rozmowę z Julką.

- Tak? - spytała, wyciągając z uszu słuchawki.

- Chciałabym wyjechać na jakiś czas - powiedziałam spokojnie i pogłaskałam ją po długich włosach.

- Super! - krzyknęła wniebowzięta.

- Ale bez ciebie.

- Wiem. Dlatego mówię, że będzie super. Codziennie pizza i cola, no i babcia na co dzień.

Skrzywiłam się. Czyżby córka mnie nie potrzebowała? Może przez to moje cierpiętnictwo znów odsunęła się ode mnie? Miała dosyć wiecznie zapłakanej mamy.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie.

- Mamuniu... - wtuliła się we mnie - ...tylko się nie obrażaj. Kocham cię. Wiem, że nigdy nigdzie sama nie wyjeżdżałaś. Potrzebujesz tego.

- Tak, ale...

- Chociaż raz pomyśl o sobie. Ja dam sobie radę. Uścisnęłam ją mocno. Poczulałam ogromną miłość do tej małej kobietki, która była moją córką.

- Od dawna jesteś taka mądra? - spytałam szeptem.

- Od kilku miesięcy. Zaufaj mi, mamó, i odpoczywaj.

- Julka... - powiedziałam nieśmiało - ...wiem, że nie za dużo rozmawiałam z tobą po śmierci taty. Przepraszam.

- Mamó, przecież też cierpiałaś.

- Tak, ale powinniśmy porozmawiać o twoim bólu. Powinnam pomóc ci przejść przez tę żałobę.

- Babcia dużo ze mną rozmawiała, i ciotka Małgosia. „Moje kochane babeczki” - pomyślałam o nich ciepło.

- To dobrze.

- Czułam się fatalnie, jakbym straciła poczucie bezpieczeństwa. Kochałam tatę i nadal go kocham.

- Wiem, córeczko. - Przysunęłam się do niej.

- Myślisz, że tam, po drugiej stronie, jest jakieś życie? - spytała niespodziewanie.

- Sądzę, że tak.

- Ja też w to wierzę, chociaż czasami wydaje mi się to niedorzeczne.

- Na tym polega wiara.

- Myślę, że tata jest w niebie. Przecież był dobrym człowiekiem, czasami wkurzającym, ale dobrym. Jak myślisz, jakie jest niebo?

- Niebo dla każdego wygląda inaczej. Dla mnie jest kopią moich ukochanych miejsc na ziemi, rodzinnego domu. Każda dusza tworzy swoje własne niebo.

- Czyli nie ma wspólnego nieba, jak na obrazach czy w książkach? - Otworzyła szeroko oczy.

- Myślę, że nie. Uśmiechnęła się do mnie.

- Czy tam, po drugiej stronie jesteś sobą? - zapytała po chwili.

- Oczywiście. Nie można być kimś innym, nawet w zaświatach. Tylko że nie odczuwasz bólu, nie masz zmartwień, smutków, żalów, pretensji. Codziennie świeci słońce, latają ptaki, a wiatr rozsiewa dmuchawce.

- Na pewno mu tam dobrze.

- Na pewno - potwierdziłam. Wiedziałam, że Julka chciała to usłyszeć. Chciała zapewnień, że istnieje życie po śmierci.

- Chodź, coś ci pokażę. - Chwyciła mnie za rękę i zaprowadziła do swojej szafki. Otworzyła ją na oścież. Ujrzałam stertę

gazd i kilka kubków. - Wciąż prenumeruję tygodnik taty. Kupiłam też dla niego kilka kubków, bo przecież je zbierał. W ten sposób tata nadal jest obecny w moim życiu...

Cieszyłam się na tę podróż, jednak z drugiej strony miałam wyrzuty sumienia, że zostawiam Julkę w takim momencie. Ona przecież też cierpiała. Co prawda, radziła sobie z żalobą lepiej ode mnie, ale to był jej kochany tatuś. Czułam się rozdarta. Wreszcie podjęłam decyzję - jadę i koniec. Jeśli nie osiągnę równowagi psychicznej, jeśli nie pogodzę się z tym, co się wydarzyło, jeśli nie będę szczęśliwa sama ze sobą, nie będę potrafiła dać szczęścia mojej córce, a ona tego potrzebowała najbardziej. Obiecałam sobie, że po powrocie spędzimy jakiś czas tylko we dwie. Zabiorę ją na zakupy albo do kina.

Rozdział 7

W podróży

Z notatek N.

Dostojewski w „Idiocie” pisze: „O, bądźcie pewni, że Kolumb był szczęśliwy nie wtedy, kiedy odkrył Amerykę, ale wtedy, kiedy ją odkrywał (...). Nie o Nowy Świat tutaj chodzi, pal go lichy! Kolumb umarł, nie ujrawszy go prawie i właściwie nie wiedząc, co odkrył. Chodzi o życie, o samo życie - o odkrywanie go, bezustanne i wieczne, a nie o fakt odkrycia!”.

Silniki samolotu powoli cichły, a moje serce zaczęło mocniej bić. Czułam się taka podekscytowana. Wiedziałam, że ta podróż to najlepsza rzecz, jaka mnie ostatnio spotkała. Załoga zaczęła przygotowania do opuszczenia samolotu. Pasażerowie podnieśli się z miejsc. Do wnętrza wleciało duszne powietrze. Jedyne, o czym marzyłam, to jak najszybciej przejść odprawę, aby znaleźć się po drugiej stronie bramki, złapać taksówkę, zostawić bagaże w hotelu i pędzić co tchu na złotą plażę. Odebrałyśmy bagaż, przedarłyśmy się przez chaos na hali przylotów i wyszłyśmy na ulicę. Nawet tutaj, w okolicy lotniska, było pięknie. Palmy, kolorowe ptaki i przyjemne ciepło w samym środku jesieni. Czułam, że serce łomocze mi w piersi, a nogi mam jak z waty. Zaczęła się moja włoska podróż, konkretnie do Ligurii. To wąski pas lądu, wciśnięty między morze a góry. Graniczy z Francją i Toskanią. Jest nazywany włoską riwierą. Piaszczyste plaże, klifowe wybrzeża i góry schodzące łagodnie w stronę morza. Prawdziwy raj...

Najbardziej w podróżach lubię to ciągle przemieszczanie się i to, że codziennie zmienia się miejsce noclegu. Raz jest to namiot, raz stodoła wypchana po brzegi sianem, innym razem mały hotelik. Noce i poranki w nieznanym miejscach, które dają złudną wolność. Nic mnie w tych miejscach nie trzyma. Łóżka, na których spało przede mną tyle osób. Pościel, mimo że wyprana, przesiąknięta różnymi zapachami: samotności, miłości, rozczarowania...

Poranna kawa wypita z termosu lub z kubka w przydrożnej kawiarence. Świeży rogalik zjedzony na plaży. Wiele godzin wędrówki i tyle samo godzin lenistwa. Odpoczynek pod rozłożystą palmą lub wylegiwanie się na plaży w promieniach złotego słońca.

Podczas marszu, biegu czy jazdy autobusem zapomniałam o smutku i przygnębieniu. Czy byłam szczęśliwa w tej podróży? Powiem za Goethem: „Chwilo, trwaj”. Starłam się być szczęśliwa. Wyruszyłam w poszukiwaniu szczęścia, bo trzeba długo i mozolnie wędrować, żeby je znaleźć, wyciągać do niego ręce, a jak się je już złapie - trzymać mocno i delectować się nim. Szczęście, ono jest takie ulotne jak latawce na wietrze.

Bardzo mi się podobała ta moja wyprawa z Gosią. Kiedy jedna z nas potrzebowała samotności, druga jej nie przeszkadzała. Każda szła w swoją stronę. Potrafiłyśmy spędzać czas razem i osobno. Ja wolałam piesze wędrówki, natomiast ona przemieszczała się autobusami lub taksówkami, czasami leżała w cieniu, czytając książki albo szkicując pejzaże. Widziałam, że jest zrelaksowana. Do niczego się nie zmuszałyśmy. Śniadanie jadłyśmy o dwunastej, a kolację o północy. Myślałyśmy tylko o sobie, o własnej wygodzie, bo właśnie po to tu przyjechałyśmy - aby naładować akumulatory i odprężyć się. To był też pewien rodzaj ucieczki. Dla mnie - przed bolesnymi wspomnieniami, dla Małgosi - od jej nieudanego związku, a raczej dwóch. Niby wszystko z nią było w porządku, jednak czasami dopadał ją smutek, szczególnie na widok małych dzieci.

Nasza podróż to były nie tylko miejsca, nieziemskie widoki, ale przede wszystkim ludzie. Nawiązałyśmy mnóstwo znajomo-

ści. Dużo rozmawialiśmy z nowo poznanymi ludźmi przy lampce wina, kuflu piwa lub filiżance mocnego espresso.

Martin miał trzydzieści trzy lata. Piękny wiek. Chrystusowy. Przejechał na rowerze Europę wzdłuż i wszerz.

- Dlaczego rower? Dlaczego taki sposób podróżowania? - spytałam go przy kuflu spienionego piwa.

- To długa historia. Było mi źle ze sobą. Musiałem przemyśleć pewne sprawy, do niektórych rzeczy dojrzeć. Dlatego ruszyłem w trasę. Nie miałem pieniędzy, więc wybrałem rower.

- Dojrzałeś? - spytała Małgosia, popijając sok pomarańczowy.

- Nie! - roześmiał się. - Przede mną jeszcze długa droga. Ale zrozumiałem, że życie jest piękne i że trzeba walczyć o siebie. Pewnych rzeczy nie da się przeskoczyć, inne trzeba zrozumieć. Kiedy tak pedałuję, odnajduję w sobie spokój, pozytywne myśli, nadzieję. Jestem ja, mój wysiłek, dziki pęd i wiatr we włosach.

- Masz kogoś? - spytałam. Zaśmiał się.

- A co, masz na mnie ochotę?

Poczułam, że się czerwienię. Martin był bardzo przystojny. I te jego piękne, długie, muskularne nogi.

- Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu zastanawiam się, czy twoja druga połówka nie tęskni za tobą.

- Tęskni, i ja za nią też tęsknię. Tylko że takie rozstania dobrze nam robią. Od czasu do czasu trzeba za sobą zatęsknić. Zanim wyruszyłem w podróż, nie układało się między nami najlepiej, myślałem nawet o rozstaniu. Ona chciała stabilizacji, a mnie przerażała wizja małżeństwa.

- A teraz? Jak jest teraz? - dopytywałam się.

- Pedałuję do niej co tchu. A gdy już dotrę, padnę przed nią na kolana. Wiem, że chcę z nią spędzić resztę życia.

Halszka była z Czech. Długie siwe pasma włosów opadały jej na ramiona. Uśmiech nie schodził z twarzy. Miała sześćdziesiąt

osiem lat. Od siedmiu podróżowała autostopem. Pierwsze, o co ją spytałam, to czy nie boi się samotnych podróży.

- A czego miałabym się bać? - Widząc moje zdziwione spojrzenie, zaczęła się śmiać. - Gwałtu? A kto by mnie chciał zgwałcić, za stara jestem. Że mnie okradną? - Machnęła ręką. - Mam tylko plecak i kilka euro w kieszeni. Nie wyglądam na nadzianą babkę. - Wskazała na wyciągnięty t-shirt i sprane dżinsy.

- A rozłąka z rodziną?

- Jestem rozwiedziona. Mam dwójkę dorosłych dzieci. Kocham je, ale one mają swoje życie, a ja mam swoje. W pewnym momencie rodzice muszą pogodzić się z tym, że nie są już swoim dzieciom tak bardzo potrzebni jak wtedy, kiedy były małe. Widuję je, gdy wracam ze swoich wojaży. Teraz bardziej się kochamy i rzadziej się kłócimy. Wiesz, że mocniej kocha się na odległość. - Znowu się roześmiała. - Odkąd pamiętam, marzyłam o podróżowaniu. Zawsze coś stawało mi na przeszkodzie. A to nie ten wiek, nie ta pora, brak funduszy. - Spojrzała mi prosto w oczy. - Ale jak się chce, to wszystko jest możliwe, ty to wiesz.

- Wiem. - Skinęłam głową.

- W najśmielszych snach nie przypuszczałam, że w moim wieku będzie mi dane zwiedzić całą Europę. Słowację, Węgry, Serbię, Macedonię, Grecję, Albanie, Czarnogórę, Chorwację, Francję, Hiszpanię, Portugalię, Belgię, Niemcy, Austrię, Polskę. Przejechałam łącznie ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy kilometrów, złapałam przeszło tysiąc stopów. Dopiero teraz czuję, że żyję.

Fabio miał dziewięćdziesiąt trzy lata.

- To wcale nie tak dużo. - Roześmiał się, ukazując braki w uzębieniu. - Jeszcze trochę pożyję - przetłumaczyła z włoskiego Gosia.

- Opowiedz nam o Włoszech - poprosiłam go. Opowiedział o pobliskim sadzie pod Portofino. Nie o samym miasteczku, ale o drzewach pomarańczowych, soczystych brzo-

skwiniach i limonkach. Nie wspomniał o ciekawych miejscach turystycznych, ale o rybakach wyruszających o świcie na połów, drewnianym moście i farmie z rozwalającą się stodołą. Dzięki niemu dowiedziałyśmy się rzeczy, których nie próżno szukać w przewodnikach.

Spacerowałyśmy po klifach, zbitych ze złotego piasku i mikroskopijnych muszelek. Morze szumiało, lekki wiatr rozwiewał nam włosy, a słońce grzało niemiłosiernie. Przez dobrych kilka kilometrów nie spotkałyśmy nikogo. Podczas tej wędrówki poczułam dziecięcą radość. Coś ścisnęło mnie w dołku. Było mi dobrze. Zachwycalam się pięknem krajobrazu. Agawy na zboczach dawały nam nikły cień. Gdzieś tam rosły mizerne palmy, ich liście były przepalane przez słońce. Szłam dziarsko w stronę plaży, Gośkę zostawiłam za sobą. Stopy ugrzęzły mi w delikatnym piasku. Zaczęłam się śmiać, po czym truchtem wbiegłam do wody. Zanurzyłam się w spienionych falach. W jednej chwili poczułam, jak woda zmywa ze mnie bolesne wspomnienia.

Często sypiałyśmy pod gołym niebem. Dookoła panowała głucha cisza i nieprzenikniona ciemność. Budziłam się kilka razy. Jak dla mnie, było stanowczo za cicho i za ciemno. W dole szumiał ocean, a ja słyszałam bicie własnego serca. Układałam w głowie poplątane myśli. Dużo myślałam o swoim małżeństwie. Pod koniec życia Wiktora wydawało mi się ono niemal idealne. Odnależliśmy siebie na nowo. Tak było przez ostatnich kilka miesięcy, a wcześniej traktowałam go jak nudnego współmałżonka. Czasami nawet czułam do niego obrzydzenie. To wtedy musiał się ode mnie odsunąć i zaprzyjaźnić z Olą. Wtedy, kiedy bez przerwy się go czepiałam i byłam taką potwornie przykładną żoną. A chyba powinnam była spojrzeć krytycznie na siebie, bo to ja serwowałam mu tego pieprzonego schabowego i surówkę z czerwonej kapusty co niedziela. Na pierwsze danie był rosół z domowym makaronem. Rzygać mi się chciało od jego krojenia. A potem on siorbał i mlaskał. A ja na niego patrzyłam i my-

ślałam z ulgą o poniedziałku, o tym, że pójdzie wreszcie do pracy. Ciekawe, czy przy niej też taki był? Nudny, tandetny, przewidywalny? Chciałabym wiedzieć, kiedy to się zaczęło? Na czym polegała ich znajomość? Czy była to taka sama fascynacja, jak ta moja ze snu? Czy faktycznie spali ze sobą tylko raz? Dlaczego nic nie zauważyłam? Odkąd zaczęłam pracę, wiele się między nami zmieniło. Znowu mieliśmy o czym rozmawiać i w łóżku też zaczęło być dobrze. A może to wszystko dlatego, że miał coś na sumieniu i chciał mi się przypodobać? A może zrozumiał, że to ja jestem tą jedną jedyną i że to mnie kocha? Poszczególne fragmenty układanki raniły mi serce. Jaka byłam głupia...

Dlaczego takie rzeczy się zdarzają? Jak miałam powiedzieć o dziecku Julce? Nie mogłam tego przed nią zataić. To będzie jej przyrodni braciszek lub siostrzyczka.

Wylądowaliśmy w Krakowie. Nie kryłam radości, widząc wokół polskie napisy. Dom. Byłam w domu!

- Jedziemy jeszcze do Zakopca? - spytała Gośka.
- Nie lubię gór.
- Trudno. Posiedzisz w pubie.
- Ale ja chcę do domu, do Julki.
- Kilka dni cię nie zbawi.

Zakopane jak zwykle mnie rozczarowało. Na Krupówkach tłok, jarmarczne stragany, paskarskie ceny. Odżyłam dopiero kiedy wyruszyliśmy na szlak.

- Nie sądzisz, że Zakopane straciło swój urok? - spytałam. - Jeszcze dziesięć lat temu było tu całkiem inaczej. A teraz tylko ruch, gwar, drogie knajpy, baseny, hotele.

- To prawda. - Małgosia pociągnęła łyk wody z bidonu. -Zmiany, zmiany i jeszcze raz zmiany. Tylko dzięki tym zmianom miasto ma pieniądze na renowację zabytków, ochronę przyrody.

- W sumie masz rację. Tylko nie każda zmiana jest dobra.
- Zmiany są potrzebne - powiedziała z przekonaniem.
- Chcę pobyć sama - oświadczyłam po chwili.

-Dobrze. Posiedzę tutaj... - Wskazała na polanę nieopodal Wodogrzmotów Mickiewicza - ... i poczytam książkę.

- Będę za godzinę, dwie - dodałam.

- Idziesz nad Morskie Oko?

- Nie, ale w tamtym kierunku. Po godzinie, półtorej zawrócę. Ruszyłam szybkim krokiem. Szlak był łatwy, lekko wznosił

się pod górę. Turystów na szczęście niewiele. Z każdym krokiem czułam w sercu wolność. Czułam, jak kwitnie we mnie szczęście, a wszystkie żale i pretensje momentalnie wyparowują. Byłam sama, gdzieś daleko za mną został cały świat. Tak było dobrze. Po godzinie monotonnego marszu usiadłam na trawie. Wyjęłam wodę i duszkiem opróżniłam pół butelki. Odwinęłam ze sreberka kanapkę i spałaszowałam z przyjemnością. Chociaż ser się rozpuścił, a pomidor rozciapiał, smakowała wybornie. Wyjęłam notes i zapisałam:

Z notatek N.

To nic, że czasem jesteś zagubiona,

To nic, że płaczesz i masz złamane serce.

Miłość jest piękna, nawet ta nieodwzajemniona. Ważne, że jest.

Lepsze cierpienie z miłości niż życie bez niej.

Nie odczuwać, biernie trwać, zobojętnieć - to tak jakby nie żyć.

Po powrocie do hotelu zasnąłam jak niemowlak, a kiedy wstałam, było już południe. Małgosia gdzieś wyszła. Wcale mnie to nie zmartwiło. Przeciągnęłam się i odsłoniłam zasłony. W jednej chwili pokój utonął w ciepłym świetle. Złapałam wczorajszego rogalika i wyszłam na taras. Z uśmiechem na ustach podziwiałam piękny pejzaż, który roztaczał się przede mną. Niebo było przejrzyste, bez żadnej chmurki, na horyzoncie - Tatry. Ile dróg musiałam przejść, żeby przekonać się, że naprawdę żyję. Nawet wtedy, kiedy cierpiałam tak bardzo, że straciłam wiarę, też żyłam...

Rozdział 8

Błaganie o pomoc

Był sobotni wieczór. Julka poszła do koleżanki, a ja nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Cały dzień sprzątałam, prałam i prasowałam, a teraz miałam czas dla siebie i zastanawiałam się, co z nim począć. Otworzyłam barek i nalałam sobie białego wina. Ostatnio tylko takie mi smakowało. Jeden kieliszek, potem drugi, po godzinie wypiałam całe. Świat przyjemnie wirował i tak jakoś cieplej mi było na sercu. Podeszłam do dębowej szafki i otworzyłam szufladę, w której była szkatułka z listami od kochanki mojego męża.

Otworzyłam jeden list, potem drugi i trzeci. Ola nie pisała ani o związku z Wiktorem, ani o sobie, ani o mnie, tylko o swoim dziecku, które było chore. Podczas badania ginekologicznego w dwudziestym drugim tygodniu ciąży wykryto u niego wadę serca. Prosiła mnie, bym jej pomogła, wsparła dobrym słowem, pokazała, jak zająć się po porodzie maleństwem. Nie miała rodziny, nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc. To miało być jej pierwsze dziecko, w dodatku chore. Synek, Mateuszek. W dolnym rogu napisała swój adres. Numer telefonu znałam.

Spotkałyśmy się w niewielkiej kawiarni w centrum. Choć nie miałam na nic ochoty, zamówiłam kawę. Przez dłuższą chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Ja bawiłam się łyżeczką.

- Porozmawiajmy o dziecku - poprosiła Ola. Była blada, wychudzona, miała sine cienie pod oczami. Zdziwiłam się, że tak

szybko wróciła do dawnej figury. Od porodu minęły dopiero dwa miesiące, a po ciąży nie było ani śladu.

- Kradniesz mi męża, a potem dyktujesz warunki? Porozmawiajmy najpierw o was. - Na mojej twarzy pojawił się cyniczny uśmiezek.

- Nie ma już nas, nie ma was. Po co rozdrapywać rany?

- Chcę wiedzieć - wysyczałam.

- Ale co? - Zaczęła nerwowo dudnić palcami o blat stołu.

- Jak się poznaliście?

- W autobusie.

- To takie zwyczajne - stwierdziłam.

Ola skinęła głową, patrząc na mnie smutno, jakbym to ja wyrządziła jej przykrość, a przecież to ona zabrała mi Wiktora. To ona mnie skrzywdziła.

- Teraz jest pani lepiej, kiedy już pani wie?

- Nie wiem - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Kelnerka, która sprzątała sąsiedni stół, spojrzała na nas

i uśmiechnęła się. „Pewnie myśli, że jesteśmy przyjaciółkami, które popijają sobie herbatkę, plotkując o wszystkim i o niczym. Nie, mylisz się, kochana, jesteśmy rywalkami. Ona jest moim wrogiem” - pomyślałam wojowniczo.

Zaczęłam się kołysać na krześle. W sali było duszno od spoconych ciał.

- W autobusie - powtórzyłam. - I co się stało? Ustąpił ci miejsca?

- Nie, ja siedziałam. Zapytał, jaką książkę czytam. -1 co dalej? Zaprosiłaś go na randkę?

- Nie, to on się ze mną umówił. Nie wiedziałam o tobie przez pół roku. Przez te pół roku nic się między nami nie wydarzyło. A później...

- spojrzała przez okno - ...tak się w nim zakochałam, że kiedy wyznał mi prawdę, w jednej chwili zapragnęłam zaciągnąć go do łóżka.

- Czy zamierzał się ze mną rozwieść? - spytałam cicho.

- Nie. On cię kochał, szalenie. - Na jej twarzy pojawiło się niewyobrażalne cierpienie. Ręce opadły wzdłuż tułowia.

- Najwyraźniej to jego... - szukałam odpowiedniego słowa -...zauroczenie to nie była żadna miłość, tylko przypadłość wieku średniego. - Przełknęłam głośno letnią kawę. Chciałam jej dopiec, chciałam, by cierpiała.

- Pomożesz mi z dzieckiem? Proszę!!! Jest teraz w szpitalu. Już z nim lepiej, ale musi przejść jeszcze dwie kolejne operacje. Pomóż mi! - poprosiła błagalnie. Kochanka mojego męża zwracała się do mnie o pomoc. - On mówił, że jesteś wspaniałą matką...

- Jestem wspaniałą matką, ale dla swojej córki. Nie pomogę ci. Nie! Nie! Nie! - krzyknęłam z całych sił. Byłam okrutna. Chciałam być dla niej okrutna. Wstałam i wyszłam, zostawiając oniemiałą z bólu kobietę.

Siedziałam w kuchni i paliłam papierosa. Smak tytoniu był gorzki. Podeszłam do lodówki i wyjęłam butelkę wina. Nalałam do karafki, żeby pooddychało. Zastygłam bez ruchu na kilka chwil, bezmyślnie gapiąc się w płomień świecy. Moja córka ma przyrodnie rodzeństwo - chorego braciszka, a ja nie chciałam pomóc temu dziecku. Nie mogłam tego zrobić. Próg bólu, upokorzenia, upodlenia był tak wysoki, że zachowywałam się tak, jak się zachowywałam. Poczulałam się usprawiedliwiona, rozgrzeszona. Nie miałam obowiązku nikogo wspierać.

Rozdział 9

I ty, Brutusie

Gosia weszła do mojego mieszkania z uśmiechem na twarzy.

- Wstawaj!

Ściągnęła ze mnie kołdrę.

- Nie mam ochoty - burknęłam. Wczoraj rozmawiałam z nią o dziecku Oli i Wiktora do późnej nocy. Nie pamiętałam zbyt dobrze tej rozmowy, bo byłam nieźle wstawiona.

Przyjaciółka usiadła na skraju łóżka.

- Zmienimy dzisiaj pościel? - zapytała.

- Gośka, do rzeczy.

- Musisz pomóc tej kobiecie i jej dziecku. Parsknęłam, wydając z siebie dźwięk przypominający ni to chichot, ni łkanie.

- Żartujesz sobie?

- Nie. - Pogładziła mnie po dłoni. - Pomogę ci przez to przejść.

- Co ciebie to obchodzi? Ona jest twoją znajomą czyja? Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam na nią taka wściekła.

- Chcę cię uchronić przed złą decyzją. Znam cię i wiem, że jeśli tego nie zrobisz, zjedzą cię wyrzuty sumienia.

W jednej chwili zalała mnie fala gniewu. Zrobiłam się purpurowa na twarzy.

- Kogo ci, kurwa, żal?! - krzyknęłam. Przez chwilę milczała.

- Wszystkich was mi szkoda. - Odkręciła butelkę z wodą i pociągnęła spory łyk. - To jest chore dziecko w potrzebie.

- A ty kto? Matka Teresa? Anioł?
- No co ty. Natalia, to jest braciszek twojej córki.
Tego było już stanowczo za wiele jak na moje zszargane nerwy.
- Swojego męża porzuciłaś bez ceregieli, a chcesz zbawiać świat?
Gosia wstała powoli. Była blada jak ściana. Musiała przytrzymać się nocnego stolika, żeby nie upaść.
- Ja... - zaczęła się jąkać - ...przecież wiesz, że dla niego to było najlepsze, co mogłam zrobić. - Łzy spływały po jej policzkach.
- Nie kocham tego dzieciaka! - krzyczałam. - Nie chcę mieć z nim nic wspólnego! A teraz wyjdź! Wyjdź natychmiast!
Odwróciła się na pięcie. Cicho otworzyła drzwi i jeszcze ciszej je zamknęła.
- Tama pękła. A ja się rozsypałam. Ryczałam, wyłam, szlochałam, obwiniając się o wszystkie złe rzeczy, które na mnie spadły, o tę zdradę i moje zauroczenie. Kiedy pod wieczór nie miałam już sił płakać, chwyciłam za słuchawkę i zadzwoniłam do Małgosi.
- Przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam.
- To ja przepraszam - odpowiedziała Gosia spokojnie. - Nie powinnam się mieszać.
- Chciałaś dobrze.
- Ale mi nie wyszło.
- Nie zawsze wychodzi, tak jak chcemy. Jesteśmy tylko ludźmi, popełniamy błędy.
- Właśnie, Natalia, każdy ma prawo popełnić błąd. Zawsze można go naprawić.
- Tylko czasami czyjś błąd może zniszczyć komuś życie - powiedział cicho.
- Rany się goją, potrzeba trochę czasu.

Rozdział 10

Rozmowa z Małgosią

Małgosia rozsiadła się wygodnie na kanapie. Nogi położyła na szklanym stoliku. Nie znosiłam tego.

- Zdejmij je! - syknęłam.

- Mam czyste skarpetki - odparła. Jej stopy miarowo przesuwały się po blacie.

- Cholera! - Nie wytrzymałam. Kochałam Gosię, ale czasami miałam ochotę ją udusić. - Stół służy do jedzenia, a nie do wywalania na niego nóg.

Zaczęła się śmiać.

- Wolałam twoją udomowioną wersję. Byłaś taka potulna i nic nie mówiłaś.

- Akurat! - Ja też wybuchłam śmiechem. Małgosia w końcu łaskawie zsunęła nogi na podłogę.

- Chociaż nie cierpiałam tego ciamajdy, to go rozumiem -wyznała.

- Ale co rozumiesz?

- Ten jego romans, i mój też. Wszystkie zdrady i nieszczęścia świata.

- Czy w tej herbacie było coś mocniejszego? Gadasz jak potłuczona.

- W imię solidarności jajników powinnam psioczyć na niego z tobą: że drań, dawca spermy, uczuciowy popapraniec, zwichrowany emocjonalnie samiec. A ja go mimo wszystko rozumiem. Pogubiliście się.

- No dobrze, to my. A ty?

- Nie odwracaj kota ogonem. My... - wsadziła do buzi garść orzeszków - ...my się po prostu źle dobraliśmy. To było wielkie zauroczenie, skok na główkę do płytkiej wody. Miliony ludzi na całym świecie z obawy przed samotnością pchają się bez opamiętania w bezsensowne układy. Bo to nawet nie są związki. A potem spotykają na swej drodze prawdziwe SZCZĘŚCIE. Ale rozmawiamy o tobie i o Wiktorze. W pewnym momencie dopadł was kryzys. Ludzie różnie sobie radzą z kryzysami. Ty byłaś nudna jak flaki z olejem. Przyzwyczyłaś go do tego, że siedziałaś w domu przez kilka lat i podtykałaś mu pod nos obiadki. Chodziłaś z umęczoną miną i wzywałaś Boga nadaremno: „O Boże, mam już dosyć!”. Czepiałaś się, robiłaś mężowi awantury. Ciągłe było z nim coś nie tak. Więc znalazł sobie chłopina pocieszycielkę, która była zapatrzona w niego jak w obrazek.

- Może masz rację? - Przeciągnęłam się. - Każdą zdradę można w jakiś sposób wytłumaczyć. Ale powiedz mi w takim razie, jak stworzyć udany związek, taki, żeby nie błędzić po omacku?

- To niemożliwe. - Kolejna porcja orzeszków wylądowała w buzi mojej przyjaciółki. - Jesteśmy genetycznie stworzeni do popełniania błędów. Zresztą faceci mają inny tok rozumowania, a my inny. Znasz taką historyjkę? On myśli: „Przespałbym się z nią”, ona myśli: „Czy to on będzie moim mężem?”, a Eros myśli: „O, cholera! Strzała mi gdzieś poleciała! ”No dobra! Zrobię dla nich, co się da! Byle tylko oni też się starali!”.

Rozdział 11

Hospicjum

Z notatek N.

Miałam sen... Zły sen...

Jakiś chaos...

Wiesz, co się w nim działo?

Słońce przestało świecić,

I gwiazd na niebie było mało,

Gasły jedna po drugiej,

Życie ze mnie uciekało...

Blask, trzask, wrzask.

Stoisz przede mną jako anioł

I szepczesz: pomóż, pomóż, pomóż...

Mama od tygodnia była w szpitalu. Połamała się, biduła, wieszając zasłonki. Kupiłam jej sok pomarańczowy i galaretkę; ponoć żelatyna w niej zawarta jest dobra na złamania. Weszłam do szaroburego szpitalnego budynku. Od progu uderzył mnie zapach lizolu. Na tablicy informacyjnej sprawdziłam, gdzie jest ortopedia. Trzecie piętro. Przez pomyłkę zamiast na trzecie, wjechałam windą na czwarte. Rozejrzałam się w poszukiwaniu schodów, by zejść na dół. Były po przeciwnej stronie korytarza. Należało przejść przez hospicjum dla dzieci. Wzdrygnęłam się na samą myśl o umierających maluchach. Nie dlatego, że im nie współczułam, po prostu przerażała mnie myśl, że te dzieci muszą tak bardzo cierpieć. Hospicjum - tu już nie ma ratunku. Tutaj nadzieja umiera szybko. Zobaczyłam kilkoro ma-

łych dzieci z łysymi główkami. Były tutaj z przymusu, na pewno marzyły o normalnym dzieciństwie. Przezroczyste ciała, ziemiste twarze i wielkie oczy, w których tliła się nadzieja, że ból wkrótce minie. Minęłam lekarzy, wolontariuszy i rodziców, którzy przechadzali się po korytarzu ze swoimi pociechami. Wysoki mężczyzna tulił swoją córeczkę, a potem ona złapała go za rękę i podskoczyła wysoko.

- Tutaj też czasem jest wesoło - szepnęła do mnie pielęgniarka, wyglądając z dyżurki. Wszystko tu szeptało - kroplówki, ściany, pielęgniarki.

- Wesoło? - spytałam zdziwiona. - Tu są chore dzieci i ich umęczeni rodzice. Co pani opowiada?! - Byłam oburzona. Starsza pani, o siwych włosach i pomarszczonej od zgryzoty twarzy, wyszła na korytarz, przykładając palec do ust. Zakłóciłam spokój. Zachowywałam się za głośno.

- I dzieci, i rodzice pragną czuć się tu w miarę dobrze. Mamy tutaj pokój zabaw i ściany pomalowane w krasnale. Mimo smutku, mimo braku złudzeń chcemy, by dzieciaki przeżywały piękne chwile. Chcemy dać im namiastkę zwyczajności, dzieciństwa. A kiedy przychodzi czas, musimy pozwolić dziecku w spokoju odejść.

Na korytarz wyszedł starszy mężczyzna. Wolnym, posuwistym krokiem podążał do automatu z kawą, podpierając się laską. Nagle zachwiał się i w ostatniej chwili oparł o ścianę.

Podbiegłam do niego.

- Wszystko w porządku? - spytałam zatroskanym głosem.

- Ze mną jak najbardziej w porządku. Moja wnusia, leży tam. - Wskazał na salę numer piętnaście. - Umiera. - Oczy szybko napełniły mu się łzami.

- Przykro mi - szepnęłam. Znów ten szept, który rozbija się o ściany korytarza. Chciałam mu jakoś pomóc, pocieszyć go, ale nie wiedziałam jak.

- Mnie też. - Rzęsiste łzy kapały mu na pomarszczone policzki, spływały po starczej szyi, wsiąkając w spraną koszulę, na

której utworzyła się plama. Ile musiało być tych łez, aby utworzyć mokrą plamę?

- Przynieść panu kawę albo herbatę? - spytałam.

- Poproszę kawę, mocną.

Nacisnęłam guzik, wrzuciłam monetę. Parująca, czarna ciecz wlała się do plastikowego kubka. Podałam go mężczyźnie. Pocałował moją dłoń.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Zaczął opowiadać o swojej młodości, nadziejach, szansach, przyjaciółach, żonie, dzieciach i wnuczce, tej, która leżała w sali obok. Jedyna wnuczka, ukochana. Miała jasne długie warkoczyki, już ich nie ma. Ma za to wspaniałe serduszko, które bije w wątlej klatce piersiowej. „Nie bójcie się - powtarza nam. - Spotkamy się jeszcze...”.

Ścisnęłam z całej siły jego dłoń. W ten sposób chciałam dodać mu otuchy.

- Dzieci nie powinny tak cierpieć. Żadne dziecko nie zasługuje na takie cierpienie. Żadne! - powiedział dobitnie.

Ruszyłam dalej. Drzwi do jednego z pokoi były uchylone. Na podłogę padało jasne, złote światło. Przystanęłam. Chudy chłopczyk, który miał osiem, może dziewięć lat, patrzył z miłością na zmartwioną twarz kobiety siedzącej obok.

- Mamuniu, dzisiaj mniej bolało - powiedział. Chudą rączką dotknął jej przezroczystej dłoni. Choroba, która powinna go załamać, wzmocniła go. Jego twarzyczka była wychudzona, ale w pięknych wielkich zielonych oczach tliła się nadzieja. Mimo iż z pewnością cierpiał, uśmiechał się.

- To dobrze, kochanie. - Kobieta pocałowała wnętrze jego dłoni.

- Znalazłem fajny fragment w książeczce, którą wczoraj dał mi tatuś. Chcesz posłuchać?

- Tak. - Kobieta pochyliła umęczoną głowę. Przetarła oczy i wyteżyła słuch. Oparła się o niewygodne oparcie plastikowego krzesła.

Chłopczyk otworzył książeczkę, wyjął zakładkę. Po cichu składał zdania. W końcu jednym tchem zaczął czytać na głos:

- *A jeśli pewnego dnia będę musiał odejść?* - zapytał Krzyś, ściskając Misiową łapkę. - *Co wtedy?*

- *Nic wielkiego* - zapewnił go Puchatek. - *Posiedzę tu sobie i na ciebie poczekam. Kiedy się kogoś kocha, to ten drugi ktoś nigdy nie znika* 1.

Dziecko zamknęło książeczkę i spojrzało na mamę. Kobieta miała wilgotne oczy. Przez chwilę nie była w stanie nic powiedzieć. Jej synek tak wiele rozumiał, była z niego bardzo dumna.

- Mamusiu, wiem, że będziemy musieli się rozstać. A wtedy będzie ci smutno. Mnie zresztą też. - Chłopczyk przez cały czas mocno trzymał mamę za rękę. Patrzyli sobie w oczy. - Ale miłość nie umiera, nigdy. Pamiętasz, ty mnie tego nauczyłaś.

Po twarzy kobiety płynęły łzy nieprzerwaną strugą. Chłopczyk z trudem podniósł się z łóżka i zaczął ją całować.

Jest na świecie taka miłość, która jest bezinteresowna i najprawdziwsza ze wszystkich - to miłość matki do dziecka. Choćby nie wiem co się stało, choćby nie wiem jak bardzo własne dziecko cię zawiodło, zraniło, to i tak będziesz je kochać ze wszystkich sił. Ta miłość jest jedną z najpiękniejszych miłości.

- Co pocnie ta biedna kobieta, kiedy jej dziecko odejdzie? - zapytałam pielęgniarkę, która niespodziewanie pojawiła się obok mnie.

- Jest na to przygotowana. - Przytuliła mnie.

- Przygotowana? - Odepchnęłam ją i rozplakałam się. - Żadna matka nie jest przygotowana na śmierć swojego dziecka. Żadna, słyszy pani?!

- Chciałaby pani, żeby pani dziecko cierpiało? Pozwoliłaby mu pani odejść w spokoju, czy chciałaby go pani egoistycznie zatrzymać dla siebie?

- Chciałabym, żeby wyzdrowiało...
- Dziecko wie, kiedy umiera. Jego rodzice też to wiedzą - zaczęła cicho. - Chce przeżyć ostatnie swoje chwile w spokoju, bez bólu, otoczone miłością.

Kiedy opuszczałam czwarte piętro, nie czułam się zbyt dobrze. Obawiałam się, że jeśli zaraz nie usiądę, to zemdleję. Zjechałam windą na parter, gdzie była kawiarnia. Zamówiłam gazowany napój z lodem i usiadłam na krześle. Wolno wdychałam i wydychałam powietrze. Po kilku minutach poczułam się lepiej i dopiero wtedy mogłam iść odwiedzić mamę. W końcu znalazłam jej salę i podeszłam do jej łóżka.

- Cześć, mamusiu. Jak się czujesz? - spytałam.
- Trochę boli. - Mama pokazała zagipsowaną nogę. - A ty czemu jesteś taka blada? - zapytała zatroskanym głosem.
- Głowa mnie boli.
- Głowa? - zapytała podejrzliwie.
- Tak. Jak to się stało? - zmieniłam temat.
- Wiesz, że nie używam drabiny. Wiedziałam.
- Postawiłam pod oknem krzesło, a na nim taboret. Zachwiałam się i spadłam.
- Ile razy ci powtarzałam, żebyś używała drabiny?
- Oj, człowiek stary, a taki głupi. Tyle roboty w domu. - Wszystkim się zajmujemy. Ty odpoczywaj. Potrzebujesz czegoś?
- Nie. - Pokręciła głową. - Chociaż mogłabyś mi przynieść krzyżówki. A ty jak się trzymasz?
- W porządku - skłamałam. - Zapomniałabym... - sięgnęłam do torby - ...przyniosłam ci sok pomarańczowy i galaretkę. Zalecają ją przy złamaniach.
- Dziękuję! - Uśmiechnęła się szeroko. - Chcesz pogadać? - zapytała.

- Przecież rozmawiamy.

- Wiem, że rozmawiamy, ale czy chcesz porozmawiać o tamtej kobiecie i o dziecku?

Pokręciłam głową. Mama wiedziała, że nie jestem w nastroju

- Poprawię ci poduszkę - zaproponowałam. Oparła się na łokciach, a ja w tym czasie podniosłam wyżej poduszkę, by wygodniej było jej siedzieć.

Wróciłam do domu, wzięłam Julkę w ramiona i przytuliłam mocno. „Boże, dziękuję ci za nią, za tę miłość do niej i za to, że jest zdrowa. Czyż nie jestem szczęściarą?” - pomyślałam z wdzięcznością.

- Mamo, daj już spokój. - Julka wyswobodziła się z moich objęć.

- Jeszcze chwilkę - poprosiłam przez zaciśnięte gardło.

- No, dobra! - Roześmiała się do mnie.

Pomogę temu dziecku. Muszę mu pomóc. Choć walczyły we mnie przeciwstawne emocje, wiedziałam, że to będzie dobra decyzja. Wiedziałam, że będzie mi ciężko, jednak musiałam, po prostu musiałam wziąć ten ciężar na swoje barki. Jak mogłam być tak egoistyczna, okrutna i wyrachowana? Po ciele przebiegł mi zimny dreszcz. Oczywiście, miałam wybór, mogłam dalej ignorować fakt, że to dziecko jest, istnieje i w dodatku potrzebuje pomocy. Tak byłoby prościej. Jednak coś szeptało mi w sercu: „Zrob to! Pomóż! Natalia, wierzę w ciebie!”.

Szept mojego anioła...

Rozdział 12

Bolesna prawda

Tak jak się spodziewałam, Julka zareagowała bardzo impulsywnie na wiadomość o zdradzie Wiktora. Kiedy dowiedziała się o przyrodnim bracie, wpadła w szal.

- Nie chcę widzieć tego bachora! - wysyczała przez zaciśnięte zęby. Jej twarz była purpurowa, a mięśnie napięte. Miała prawo być wściekła. W pełni ją rozumiałam.

- Uspokój się, córeczko.

Chodziła po pokoju w tę i z powrotem, potykając się o meble.

- Mój przykładowy ojczulek wybrał się na tamten świat, a wcześniej zmajstrował jakiejś dziwce dzieciaka. Czy on w ogóle myślał o nas?

- Nie waż się tak mówić! Tak czasami w życiu bywa. - Usiadłam na krześle, bo zakręciło mi się w głowie.

- Bywa? Mamo, on cię zdradził, okrutnie zranił, zawiódł twoje, nasze zaufanie.

- To prawda, ale to nowo narodzone dziecko nie jest niczemu winne.

- Nie chcę go widzieć!

- Ono jest chore, a ta kobieta nie ma środków do życia.

- To po co rozkładała nogi przed ojcem?

- Julka, kochanie! - Podeszłam do niej, ale się odsunęła.

- Co mu jest? - spytała po chwili.

- Ma chore serduszko i...

- A ja mam złamane serduszko przez szanownego ojczulka. Jak on mógł!? Jak on, do cholery, mógł!?

Wybiegła z mieszkania i trzasnęła drzwiami.

- Przejdzie jej. - Gosia, która była obecna przy tej rozmowie, stanęła koło mnie. - Z czasem złość mija, a emocje opadają. Porozmawiam z nią.

- I co jej powiesz?

- Ze takie rzeczy się zdarzają.

- Jakie?

- Ze czasami ktoś kogoś puka na boku.

- Puka?

- Współżyje.

- Gośka, wiesz co? Ty już lepiej z nią na ten temat nie rozmawiaj.

- Będę delikatna. Obiecuję nic nie spieprzyć.

Po jakichś dwóch tygodniach od rozmowy z Małgosią Julka przyszła do mojego pokoju i oświadczyła:

- Trzeba im pomóc. - Byłam z niej dumna. Z jej trzeźwego podejścia do sprawy. - Taty nie ma i nie może się wytłumaczyć ze swoich grzechów. Nie możemy go zlinczować ani mu wygarnąć, że postąpił źle, że nas skrzywdził. To mój braciszek, czy mi się to podoba, czy nie.

Podeszłam do niej i przytuliłam ją z całych sił.

Rozdział 13

Anioły istnieją

Trudno mi było rozmawiać z Olą, a nawet na nią patrzeć. Myślałam o dłoniach Wiktora, które błądziły po jej ciele, o tych godzinach, które mój mąż spędził z nią. Starłam się jednak pamiętać, że moje małżeństwo przeżywało wspaniałe chwile. Może Wiktor potrzebował miłości, której ja w pewnym momencie nie mogłam mu dać tyle, ile chciał. Może tak jak ja potrzebował rozmowy, zrozumienia i uwagi. Każdy chce czuć, że komuś na nim zależy. Tłumaczyłam sobie, że pomagam dziecku, a nie jej. Wówczas było mi łatwiej. Nie mogłam na nią patrzeć jak na kochankę, bo wtedy ogarniała mnie złość. Musiałam spojrzeć na nią jak na matkę. Dwie kobiety, które musiały zjednoczyć siły, by ratować dziecko wspólnego mężczyzny. Kiedy spojrzałam na Olkę i jej dziecko, wiedziałam, że odtąd nic już nie będzie takie samo. W jednej chwili ta kobieta stała się nie byłą kochanką mojego męża, a matką rozpaczliwie walczącą o zdrowie synka.

Ola była w rozsypce. To ja była tą silniejszą. Ciągle usiłowała się przede mną tłumaczyć.

- Spróbuj mnie zrozumieć jak kobieta kobietę, jak matka matkę - prosiła. Starłam się okazać jej chociaż trochę zrozumienia, ale nie było to łatwe. - Pokochałam go od pierwszej chwili, a po jakimś czasie zapragnęłam mieć z nim dziecko. Czy wiesz, jak to jest kochać kogoś wbrew wszystkiemu? Wbrew całemu światu?

Wiedziałam.

- Łatwo jest osądzić drugiego człowieka. Obrzucić go błotem - kontynuowała. - Tylko że nie zawsze czarne jest czarne, a białe białe. A miłość? Ona bywa zdradliwa, podstępna i nieodwzajemniona. Często przychodzi nie w porę. Nie prowadzi podziału na tych „zajętych” i tych „wolnych”. Spada jak grom z jasnego nieba, niekiedy raniąc przy tym postronne osoby. Brakuje mi go. - Rozpłakała się. Podała jej paczkę chusteczek. Mogłam do niej podejść i ją przytulić, ale nie byłam w stanie.

- Wiem. - Skinęłam głową.

Ręce jej drżały. Wzięłam od niej Mateuszka i zmieniłam mu pieluchę.

- Wciąż nie mogę się pozbierać. Miałam tutaj koleżankę, ale kiedy dowiedziała się, że spotykam się z żonatym mężczyzną, odwróciła się ode mnie. Pod koniec ciąży zaprosiła mnie na herbatę. Poszłam do niej z nadzieją, że wszystko między nami się ułoży. Kiedy powiedziałam jej o chorobie Mateuszka, uśmiechnęła się pod nosem i stwierdziła, że to kara za moje grzechy.

Nie wytrzymałam i uderzyłam ręką w stół.

- To nieprawda! Nie możesz w to wierzyć. Rozumiesz? Musisz być silna dla swojego dziecka.

- Nienawidzisz mnie? - spytała. Co chwila wycierała nos, który zrobił się czerwony.

- To nie tak, nie nienawidzę cię. Po prostu jestem rozzalona. Mijają dni, a ja nie mogę się uporać z tym, co się stało. Na pewno nie będziemy przyjaciółkami - powiedziałam dobitnie. Nie chciałam jej zranić, ale musiała to wiedzieć.

- Nie będziemy - powtórzyła jak echo.

- Jestem na ciebie zła.

Ola wyciągnęła do mnie dłoń. Spojrzałam na nią i przez moment wahałam się, co zrobić. Po chwili moje palce splotły się z jej palcami. Rozkleiłam się. Było mi ciężko. Bardzo ciężko.

- Chciałam, żebyś wiedziała, że nie planowałam zakochać się w żonatym mężczyźnie. Samo jakoś wyszło - wyznała.

Wiedziałam, co czuje. Miłości się nie planuje. Czasami zauroczenie, pożądanie, namiętność są tak silne, że człowiek nie jest w stanie nad tym zapanować.

- Ciiii. Nie chcę o tym mówić. Uszanuj to - odpowiedziałam łamiącym się głosem.

Kiedy Ola zasnęła, rozejrzałam się po mieszkaniu. Było tu skromnie, wręcz biednie. W jednym pokoiku rozwalająca się szafa, biurko, mały stolik. Na półce stało kilka książek i jeden kwiatek. Drugi pokój, równie malutki, był sypialnią Mateuszka. Stało tu łóżeczko i mała komoda. Dwóm osobom trudno było się w nim poruszać. Weszłam do kuchni i otworzyłam lodówkę. Drzwiczki skrzypnęły. W środku było niewiele. Masło, chleb i karton mleka, a także miseczka jagód, zawinięta w folię. Otworzyłam szafkę. Nie wiem, dlaczego szperałam w mieszkaniu Oli. Czego szukałam? Niczego, po prostu byłam ciekawa, jak żyje. W szafce stały butelki, mleko i herbatki Mateuszka, dwa talerze, dwa kubki i dwa kieliszki. Na narożnej półce jeden garnek i patelnia. Poczulałam silne ukłucie w klatce piersiowej. Żyła bardzo skromnie. Mogłam jej pomóc... lecz nie pomogłam. Ale teraz jestem i będę. Usiadłam na fotelu, przykryłam się spranym kocem i zasnęłam.

W piątym miesiącu ciąży postawiono diagnozę: zespół hipo-plazji lewej komory serca. Jest to wada wrodzona, polegająca na niewykształceniu się w prawidłowy sposób tej komory. „Dziecko w okresie płodowym rozwija się prawidłowo, gdyż krwiobieg funkcjonuje z wyłączeniem płuc, a natleniana krew jest dostarczana z organizmu matki - mówił wolno lekarz. Jego słowa rozmywały się w gęstym od emocji powietrzu. - Dwadzieścia pięć procent wrodzonych wad serca u dzieci wymaga leczenia chirurgicznego zaraz po urodzeniu. Bez leczenia dziecko ma znikome szanse na przeżycie”.

Ola opadła na fotel. Była trupioblada. Brutalna wiadomość, która oznaczała dla niej katastrofę.

- Będzie musiało być operowane? - zapytała.

- Tak. O ile tylko możliwe jest skorygowanie HLHS, u dziecka są przeprowadzane minimum trzy operacje w pierwszych latach życia. Pierwszym etapem jest operacja Norwooda, drugim

- operacja Hemi-Fontana lub dwukierunkowe zespolenie sposobem Glenna, a ostatni etap to operacja Fontana.

Olce nic nie mówiły te medyczne terminy. Mimo to słuchała lekarza z wielką uwagą. Chodziło o życie jej dziecka.

- A ryzyko niepowodzenia podczas operacji? - spytała drżącym głosem.

- Z każdą operacją wiąże się inny rodzaj ryzyka. Zawsze powtarzam to rodzicom w rozmowach przedoperacyjnych. Ryzyko statystyczne mówi, że około dziewięćdziesiąt pięć procent operowanych dzieci z wadami serca przeżywa operacje.

- To dużo. - Twarz Oli rozjaśnił błady uśmiech.

- Dzisiaj zarówno na świecie, jak i w Polsce kardiologia dziecięca jest dobrze rozwinięta. Posiadamy dużą wiedzę.

- zapewnił lekarz. Był cierpliwy i wyrozumiały. Odpowiadał na wszystkie pytania Oli ze stoickim spokojem, jakby jego czas był nieograniczony, a przecież na korytarzu czekali inni pacjenci.

- Dziękuję, doktorze.

- Podziękuj pani, jak będzie już po operacji.

- Ja wiem, że się uda.

- Też mam taką nadzieję.

Zostały jej trzy miesiące, aby uporać się z gonitwą myśli i pogodzić z chorobą synka. Aby nie zwariować, musiała w pełni ją zaakceptować. Nie miała nikogo, z kim mogłaby dzielić swój smutek, płakała do poduszki albo chodziła nocami na grób Wiktora. Prosiła go o wsparcie i o to, żeby przypadkiem nie zabierał ich synka do siebie. Jej oszczędności topniały w zastraszającym tempie. Sprzedała ostatnie cenne rzeczy. Przed zajściem w ciążę pracowała na umowę o dzieło. Tłumaczyła teksty dla firmy prawniczej. Kiedy jednak pracodawca dowiedział się o jej ciąży, zlecenia się skończyły. Przestraszył się jej brzu-

cha? Kłopotów związanych z ciężarnymi? Kupiła używany wózek i łóżeczko. Sama przybiła dwa brakujące szczebelki. Czasami nie starczało jej na jedzenie i wtedy płakała najbardziej. Czuła się winna, że nieodpowiednio się odżywia, a tym samym nie dostarcza wartości odżywczych dziecku. To były jednak tylko chwile słabości, które szybko mijały. Gładziła się po brzuchu, rozmawiała ze swoim nienarodzonym dzieciątkiem lub śpiewała mu kołysanki. Postanowiła, że będzie walczyć o niego. Póki starczy sił.

Pierwsza operacja, zaraz po porodzie. Ola miała tylko chwilkę, by ucałować swoje maleństwo. Tak bardzo chciała ochrzcić synka przed operacją, ale nie było czasu. A miała już dla niego wybrane imię: Mateuszek. Ochrci go zaraz po zabiegu, bo przecież operacja się uda. Musi się udać. Minuty zmieniały się w godziny. Czekwała na jakiś znak od lekarzy, lecz wokół panowała cisza. Tak bardzo się bała. Nieustannie się modliła. W końcu usłyszała upragnione słowa: „Operacja przebiegła pomyślnie”. Płakała przez całą noc, ze szczęścia. Przez ponad tydzień synek był na intensywnej terapii. Dopiero po tym czasie został przeniesiony na oddział dla noworodków. Ola była przy nim cały czas. Nie chciała stracić żadnej cennej minuty ze swoim dzieckiem. Wystarczyło jej to, że mogła na niego patrzeć. Czasami pozwoliła sobie na lekkie muśnięcie wątego ciała. Były też chwile, kiedy patrzyła na swoje dziecko z obawą i strachem. Jej synek był chory, a miał być przecież zdrowy, silny, idealny. Te jego serduszko wcale nie było idealne. Miało wadę.

-1 kiedy wątpiłam w moje dziecko, ono złapało mnie za paluszek - powiedziała Ola. - Jakby chciało mi powiedzieć: „Kochaj mnie takiego, jakim jestem”. „Co mam zrobić?”, szepnęłam do niego. W sercu usłyszałam cichutki głosik: „Po prostu bądź, bądź moją mamą”.

- W tym szpitalu spotkałam ludzi-aniołów - powiedziała mi podczas jednego z naszych pierwszych spotkań. - Byłam taka sła-

ba, obolała, samotna, zła na cały świat. Pielęgniarka przyniosła kawę, wolontariuszka nakryła mnie kocem, lekarz poklepał po ramieniu. - Mimo ogromnej samotności poczułam, jakby otulały mnie skrzydła anioła. Bo anioły istnieją.

- Wiem - odparłam z przekonaniem.

- Kiedyś przeczytałam, że pięknie jest urodzić się bez skrzydeł i móc sobie wyhodować. - Składała i rozkładała dziecięcy kocyk. - Ty też jesteś takim aniołem.

-Nie przesadzaj.

- Ależ tak. Mimo krzywdy, jaką ci wyrządziłam, pomagasz mi.

W piętnastej dobie po operacji Ola mogła zabrać synka do domu. Towarzyszył jej strach i mnóstwo obaw, czy poradzi sobie z chorym niemowlakiem. Dostała zasiłek, który nie był w stanie pokryć wszystkich wydatków. Oddała komputer do lombardu. Chciała pomalować ściany w pokoiku dziecka. Pieniędzy nie wystarczyło jej na pomalowanie całego. Stała przed trudnymi wyborami. Kiedy kupowała mleko, nie starczało na chleb, opłacała gaz, nie starczało na czynsz. Nieustannie towarzyszył jej lęk o to, co będzie jutro, o zdrowie i przyszłość dziecka...

- Oddam ci wszystkie pieniądze - mówiła, kiedy kupowałam jedzenie i pieluchy dla Mateuszka.

- Dobrze - mówiłam, gdyż nie chciałam stawiać jej w kłopotliwej sytuacji.

Ola jadła zachłannie. Tak jakby chciała nadgonić ten czas, kiedy burczało jej w brzuchu.

- Pomożesz nam, Wiktorku, prawda? Ja w to wierzę - szepnęła Ola nad grobem męża, swojego męża, a potem włożyła do wazonu bukiet stokrotek. Jej kwiaty obok moich lilii. Za każdym razem, kiedy widziałam te stokrotki, wyrzucałam je. Czułam podskórnie, że są od niej. A teraz stałam nad grobem swojego męża z jego kochanką. Z kobietą, która urodziła jego dziecko. Stałam i trzęsłam się ze złości.

- Wszystko w porządku? - spytała Ola. Miałam ochotę jej wykrzyknąć, że nic nie jest w porządku. Zamiast tego odwróciłam się na pięcie i odeszłam. Usłyszałam jej drobne kroczki i płacz dziecka. Nie odwróciłam się. W tej chwili nie mogłam spojrzeć jej w oczy. Wracałyśmy do jej domu w milczeniu. A ja zastanawiałam się, dlaczego poprosiła mnie o pomoc. Gdyby nie musiała, na pewno by tego nie zrobiła. Odmówiłam z premedytacją. Ale był jeszcze czas, by pomóc i naprawić błędy. Łatwo powiedzieć, trudniej opanować emocje.

Staralam się, jak mogłam zachować zimną krew, jednak czasami mi nie wychodziło. Przed snem zadawałam sobie pytanie: „Czy stać mnie na takie poświęcenie? Czy będę mogła pomóc dziecku mojego męża? Czy zniosę to wszystko?”. Mateuszek jak na złość już teraz był podobny do taty. Miał taki sam rozstaw oczu, zadarty nosek i czarne włoski. Spoglądałam na to maleństwo i wyobrażałam sobie mojego męża baraszkującego z kochanką. Ta obca kobieta wkradła się między nas. Ile było w niej winy? Ona mnie poniżyła, zraniła, odarła z kobiecości, odebrała mi męża. Oddychałam wolno i głęboko. Nie mogłam teraz o tym myśleć, najważniejszy był Mateuszek.

- Kiedy urodził się mój synek, jedna z pielęgniarek powiedziała, że w narodzinach chorego dziecka kryje się samo dobro i jeszcze więcej szczęścia. Nie wierzyłam jej. „Chore dziecko to tylko zmartwienie”, myślałam. Ale to nieprawda, Mateuszek sprawia mi radość samym swym istnieniem.

Potakiwałam głową w rytm jej słów. Były dni, że przestawałam ją oceniać, a wręcz jej współczułam. To nie była litość. Nikt nie lubi litości. To było współczucie wypływające prosto z serca. Widziałam, jak bardzo kocha to dziecko - mocno i prawdziwie.

Julka często odwiedzała Mateuszkę. Tak jak przepowiadała Gosia, oswoiła się z faktem, że ma przyrodniego braciszka. Na pewno droga do wybaczenia ojcu zdrady była długa, ale w końcu nastąpi zbawienne oczyszczenie. Nie mogłam jej za to winić,

gdyż sama nie potrafiłam wybaczyć Wiktorowi, było za wcześnie, a moje serce wciąż krwawiło. Jednak miałam nadzieję, że kiedyś nastąpi dzień, w którym mu wybaczę, choć na pewno nigdy nie uda mi się zapomnieć.

- Mamo, czy mogę potrzymać Mateuszka? - spytała Julka. Ola skinęła głową.

- Tylko ostrożnie - powiedziałam. - Włóż jedną rękę pod główkę, a drugą pod pupę.

- Wiem. Jaki on śliczny. - Z wielką miłością przytuliła przyrodniego braciszka. A ja spoglądałam na nich ze wzruszeniem, bólem, podziwem. Moja córka pokazała mi, jak można kochać, bez uprzedzeń.

- Będiesz miał cudowne życie - powiedziała. - Może nie takie, jak inne dzieciątka, bo będziesz częstym gościem w szpitalu, ale nigdy nie zabraknie ci w tym życiu miłości. Mojej, twojej mamy, mojej mamy i naszego tatusia, który nad nami czuwa. - Pocałowała malca w czubek głowy.

Czasami obie z Olą czułyśmy się takie bezradne. Mateuszek bardzo wolno przybierał na wadze. Modliłyśmy się, żeby przytył. Karmienie było udręką. Kropelka po kropelce, z butelki, gdyż non stop się krztusił. Przerywałyśmy, by złapał oddech, a potem od nowa go karmiłyśmy, i tak całymi dniami i nocami. Robiłyśmy to na zmianę. Zauważyłam, że Ola rzadko dotykała Mateuszka, nie przytulała go. Myła go, karmiła, przewijała, ale bez żadnych czułości. To ja byłam od tulenia i całowania. Po kilku dniach zaniepokojona spytałam prosto z mostu, o co chodzi:

- Dlaczego unikasz bliskości ze swoim dzieckiem? - Chciałam, by zabrzmiało lekko i spokojnie. Jednak w moim pytaniu słychać było nutkę pretensji.

- Nie chcę się do niego przywiązywać.

- Słucham? - spytałam zdziwiona.

Ola podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Zimne powietrze wpadło do mieszkania. Podbiegłam do kołyski i otuliłam malca kocykiem.

- Boję się go pokochać. Znow kogoś pokocham i go stracę.
- Co ty mówisz? - Podeszłam do niej i potrząsnęłam. - Ty już go kochasz!

- Ale chcę mniej. Bo jak umrze... - Ukryła twarz w drżących dłoniach.
- Nie umrze! Obiecuję ci, że nie umrze.

Rano położyłyśmy Mateuszka na wadze. Znowu ważył mniej. Pognałyśmy do przychodni.

- Dlaczego on nie przybiera na wadze?! - krzyknęłam.

- Proszę się uspokoić i usiąść. - Lekarz wskazał drewniane krzesło. - Powinny sobie panie uzmysłować, że dzieci z wadami serca często mają niższy przyrost wagi niż ich rówieśnicy. Wynika to głównie z dużo cięższej pracy serca dotkniętego wadą i z niedostatku tlenu w tkankach. Wszystko będzie dobrze - pocieszył nas, gładząc maluszka po główce. - Po prostu trzeba trochę czasu i dużo cierpliwości.

Wyszłyśmy z gabinetu podniesione na duchu. Każda zatopiona w swoich myślach.

Mimo zapewnień lekarza z Mateuszkiem było coraz gorzej. Od dwóch tygodni nie przybiera! na wadze. Wręcz przeciwnie, jego waga drastycznie spadała. Zwiększyłyśmy kaloryczność posiłków, ale wciąż nie chciał jeść.

- Musimy go zatrzymać w szpitalu - oznajmił lekarz, kiedy przyszłyśmy do niego ponownie. - Proszę się nie martwić, wszystko się ułoży, a za kilka dni maluch z powrotem nabierze ciała.

Obie wyłyśmy z bólu. Ola stała się jednym wielkim kłębkim nerwów. Kupiłam jej lody o smaku kokosowym, z dużą ilością bitej śmietany. Uśmiechnęła się do mnie przez łzy, a potem pochłonęła przysmak.

- Zobaczysz, mojemu synkowi uda się. To dzielny chłopak - powiedziała z przekonaniem. Widziałam, że ma ogromną wolę walki. Jak lwica będzie walczyć dla swojego dziecka.

Większość czasu spędzałam teraz w mieszkaniu Oli i Mateuszka. Czasami zastanawiałam się, czy to tutaj mój mąż przyjeżdżał i urządzał sobie schadzki z kochanką, czy też wynajmowali pokój w hotelu? Poprawiłam się na krześle, było niewygodne. Co mnie tu przywiodło, do tego mieszkania, do tej kobiety, do tego dziecka? Czy byłam aż tak wspaniałomyślna? Czy to faktycznie był impuls, czy może współczucie? A może każdy, kto znalazłby się na moim miejscu, tak by postąpił? Pokochałam Mateuszka od pierwszej chwili i - co najsmieszniejsze - polubiłam Olę, kochankę mojego męża.

Rozdział 14

Bajka o wyjątkowej mamie

Po miesiącu wróciłyśmy z Mateuszkiem do domu. Synek mojego męża miał słodkie puciołowate policzki. Widać było, że przybrał na wadze. Na nóżkach i brzuszku utworzyły mu się wałeczki. Zaczął się też uśmiechać. Teraz było dużo lepiej. Zjednoczyłyśmy siły. Płakałyśmy razem i razem się śmiałyśmy. Ola wciąż miała ataki paniki związane z jego zdrowiem. Wystarczyło, że kichnął lub się zakrztusił, a ona już tonęła we łzach.

- Musisz oswoić się z tą sytuacją - poradziłam jej.

- Czasami mam dość tego wszystkiego - odpowiedziała. - Kocham Mateuszka, ale nie potrafię być dla niego dobrą mamą.

- Jesteś dobrą mamą. A każda mama ma chwile słabości, zwątpienia, nawet matki zdrowych dzieci. Podejdź spokojnie do nowej roli. Zrewiduj swoje oczekiwania. W życiu nic nie przychodzi łatwo.

Na nowo odnalazłam się w pieluchach. Teraz byłam inna niż wtedy, gdy miałam dwadzieścia kilka lat i opiekowałam się Julką. Bardziej dojrzała, bardziej cierpliwa, mniej znudzona. Czasami jednak bałam się, że mogę zrobić dziecku krzywdę. Był taki delikatny, mały, kruchy, a w dodatku chory. Staralam się jednak, jak mogłam, pomagać Oli we wszystkich czynnościach związanych z dzieckiem.

- Powiedz mi, jak między wami było? - zapytałam kiedyś Olę w trakcie sterylizowania butelek.

- Co masz na myśli?

- Czy była magia, namiętność, erotyzm?

- Dlaczego chcesz to wiedzieć? - zapytała zmieszana.

- Nie wiem, może dlatego, że między nami bywało różnie. Na początku było wspaniale, wiesz, motyle w brzuchu i tak dalej. Jedyne, czego pragnęłam, to kochać się z nim. - Uśmiechnęłam się do swoich wspomnień. - A potem dziecko, rutyna, kredyty przysłoniły namiętność. Chociaż pod koniec życia Wiktora znów zaczęło być nam dobrze w łóżku. Śmieszne to. Przez pewien czas nic, a potem znów pojawiła się ta iskra. Może to dzięki tobie?

- Wiktor lubił mnie jak... - zastanowiła się chwilę -.. jak koleżankę. Nie było mowy o miłości. Fakt, czasami zaiskrzyło między nami, chyba mnie pożądał, chociaż podkreślał, że ma żonę, którą kocha. Poza tym był czuły i opiekuńczy.

- Czuli? Wiktor? - Wydawało mi się, że rozmawiamy o innej osobie.

- Tak. - Skinęła głową. Wyjęła butelki z gorącej wody i odstawiła na czysty talerzyk. - Słuchał tego, co do niego mówiłam, i sam dużo mówił. Opowiadał mi o was.

- A ten wasz jeden jedyny raz? - Zaszło mi w ustach, poczułam pieczenie w mostku.

- Po co ci to?

- Chcę wiedzieć.

- To było tylko kilka chwil. Nieuniknionych. Zrobiłam to specjalnie. Zaprosiłam go do hotelu na lampkę wina. Był w podłym nastroju, bo pokłócił się z tobą i zawalił projekt. Gdyby nie alkohol i to, że miał wszystkiego dosyć, zapewne do niczego by nie doszło. Chciałam go mieć chociaż na moment dla siebie. Pragnęłam, by jego usta mnie całowały, a dłonie dotykały. Wszystko trwało bardzo krótko. Pamiętam tani żyrandol w hotelowym pokoju i promienie słońca, które przedzierały się przez szpary w roletach. Nic więcej nie utkwilo mi w pamięci. Miłość bywa taka nierozsądna. Ta prawdziwa przychodzi nieproszona i zamiast cichutko zapukać, wlatuje jak burza, czyniąc spustoszenie nie tylko w sercu, ale i w psychice. Cieszyłam się, że i mnie

nie ominęła. Moje serce zmartwychwstało, choć dla niewłaściwej osoby. „Cichutko” - mówiłam mu, a ono jak wariat podskakiwało, tańczyło, wywijalo koziołki. - Zaczerwieniła się. Obnażyła się przede mną do końca. - Przepraszam cię, za wszystko. Za te skradzione chwile z nim. - Rozpłakała się.

- Może to i dobrze.

- Słucham?

- Przynajmniej był szczęśliwy wtedy, kiedy ja nie potrafiłam dać mu szczęścia. Czy te kwiaty... - urwałam, gdyż w jednej chwili w gardle urosła mi wielka gula.

- Tak, były dla mnie. - Spuściła głowę, a mnie zrobiło się przykro. - Tylko że to nie do końca tak, jak myślisz. - Popatrzyła mi prosto w oczy. - On je wiozł, żeby mi pogratulować, że jestem w ciąży. Tylko dlatego. Mieliśmy poważnie porozmawiać. W jego życiu tak naprawdę nie było dla mnie miejsca. I ja to rozumiałam. Starłam się rozumieć. On mi ciągle opowiadał o waszej córce i o tobie. Wiem, że tobie też musiało być ciężko, kiedy się dowiedziałas, tylko że ja musiałam się zadowalać ochłapami darowanych chwil, kłamstwami, jego krótką obecnością, przelotnym dotykiem.

- Powinam ci współczuć? Wzruszyła ramionami.

- Może powinnaś mnie zrozumieć.

- Tylko że to był mój mąż, mój! - zachnęłam się.

- To nie moja wina, że go pokochałam.

Gdy wszystko było dobrze, odwiedzałyśmy poradnię kardiologiczną raz na dwa tygodnie, a gdy coś się działo, to częściej. Codziennie stały się wizyty na szpitalnych oddziałach. Miałyśmy dosyć gabinetów lekarskich, zapachu lizolu, białych fartuchów, strzykawek i wszechobecnego smutku.

Ola z dnia na dzień stawała się coraz bardziej twarda. Jak skała. Odnajdywała w sobie nadludzkie siły, by opiekować się Mateuszkiem. Tak naprawdę, nie byłam jej już do niczego potrzeb-

na. Ale ja chciałam. Chciałam być przy niej, a przede wszystkim przy nim. Kiedy szłam do pracy, tęskniłam za nimi. Nie, nie stałyśmy się przyjaciółkami. Czasami nie umiałyśmy ze spokojem rozmawiać o Wiktorze. Wciąż potrafiłyśmy być o siebie zazdrosne. O te chwile, które spędzałam raz z jedną, raz z drugą. Bywałyśmy wobec siebie niemiłe. Miałyśmy swoje humory i fochy. Czasem nie odzywałyśmy się do siebie kilka godzin. Ale gdy karmiłyśmy Mateuszka, złość mijała. To dziecko nas połączyło. Stało się spoiwem.

Gdy miałyśmy chwilę wytchnienia, siadałyśmy na podłodze, popijając wino. Ola - czerwone, ja - białe.

- Kiedy dowiedziałam się, że Mateuszek będzie chory, pierwszą moją reakcją było niedowierzanie, strach, ból, rozpacz. Dziesiątki pytań kłębiło się w mojej głowie, a wśród nich to najbardziej uporczywe i pozostające bez odpowiedzi: dlaczego ja? Dlaczego moje dziecko? Wiesz, ja nigdy nie chciałam mieć dzieci, dopóki nie poznałam Wiktora. Zawsze myślałam, że dziecko mnie uziemi, ograniczy moją wolność. Kiedy pojawił się Wiktor, zrozumiałam, że to nieprawda. On odszedł i nawet nie zobaczył swojego synka. - Po jej policzku popłynęły łzy. Otarła je dłońmi, tak jakby bała się swojej słabości. - Z dniem porodu moje życie zmieniło się nieodwracalnie. - Myślisz, że gdyby Wiktor żył, to mogłabym na niego liczyć? - spytała.

- Tak, z pewnością - odparłam. Chciałam, by moje słowa zabrzmiały prawdziwie. Tak naprawdę nie wiedziałam, jakby było. Wiktor rzadko zajmował się Julką, a co dopiero chorym dzieckiem. To nie znaczy, że jej nie kochał, bo była dla niego całym światem. Może teraz dojrzałby do roli ojca. W gruncie rzeczy był przecież dobrym człowiekiem. - Jest taka bajka o wyjątkowej mamie. Posłuchaj - powiedziałam. Olka wyciągnęła się na puszystym dywanie, a ja zaczęłam: - Czy zastanawiałaś się kiedyś, w jaki sposób Pan Bóg wybiera matki chorych dzieci? Postaraj się wyobrazić sobie Boga, który daje wskazówki swym aniołom zapisującym wszystko w olbrzymiej księdze.

- Małeczka Maria, syn. Święty patron - Mateusz. Kurkowiak Barbara, córka. Święta patronka - Cecylia. Michalewska Janina, bliźniaki. Święty patron ...niech będzie Gerard.

Wreszcie mówi do anioła z uśmiechem jakieś imię:

- Tej damy dziecko upośledzone. A na to ciekawski anioł:

- Dlaczego właśnie tej, Panie? Jest taka szczęśliwa.

- Właśnie dlatego - odparł uśmiechnięty Bóg.

- Czy mógłbym powierzyć upośledzone dziecko kobiecie, która nie wie, czym jest radość? Byłoby to okrutne.

- Ale czy będzie miała cierpliwość? - spytał anioł.

- Nie chcę, żeby miała zbyt dużo cierpliwości, bo utonęłaby w morzu łez, roztkliwiając się nad sobą i nad swoim bólem. A tak, gdy tylko minie szok i bunt, będzie potrafiła sobie ze wszystkim poradzić.

- Panie, wydaje mi się, że ta kobieta nie wierzy nawet w Ciebie. Bóg uśmiechnął się:

- To nieważne. Mogę temu zaradzić. Ta kobieta jest doskonała. Posiada w sobie odpowiednio dużo egoizmu.

Anioł nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Egoizmu? Czyżby egoizm był cnotą? Bóg przytaknął.

- Jeśli nie będzie potrafiła od czasu do czasu rozstać się ze swoim synem, nigdy nie da sobie rady. Tak, taka właśnie ma być kobieta, którą obdaruję dzieckiem dalekim od doskonałości. Kobieta, która teraz nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że kiedyś będą jej tego zazdrościć. Nigdy nie będzie pewna żadnego słowa. Nigdy nie będzie ufała żadnemu swemu krokowi. Ale kiedy jej dziecko powie po raz pierwszy „mamo”, uświadomi sobie cud, którego doświadczyła. Widząc drzewo, zachód słońca lub niewidome dziecko, bardziej niż ktokolwiek inny będzie potrafiła dostrzec moją moc. Pozwolę jej widzieć rzeczy tak jasno, jak ja sam widzę (ciemnotę, okrucieństwo, uprzedzenia), i pomogę jej wznieść się ponad nie. Nigdy nie będzie samotna. Będę

przy niej w każdej minucie i w każdym dniu jej życia, bo to ona z taką troską wykonuje swoją pracę, jakby wciąż była przy mnie.

- A święty patron? - zapytał anioł, trzymając zawieszony w powietrzu, gotowe do pisania pióro.

Bóg uśmiechnął się.

- Wystarczy jej lustro.

Rozdział 15

Czym jest serce?

Czym jesteś, serce? Pompującym krew narządem? Czy może czymś więcej? Może mózg nie jest jedynym świadomym organem w naszym ciele. Ale ty, serce, też masz swoje przemyślenia, tajemnice, sekrety, małe smuteczki i wielkie radości. Serce, to przecież dzięki tobie ten świat się kręci, potrafisz dać tyle miłości. Żyjesz, oddychasz, bijesz, funkcjonujesz na największych obrotach. Jesteś źródłem emocji, pragnień, dążeń. Serce ty moje, jesteś takie piękne! Widziałam cię kiedyś na jawie w całej okazałości.

Niewinne dziecięce serca i te dorosłe, grzeszne, kochające, rozpadające się na drobne kawałki, i złamane, z bliznami, ułomne - wszystkie są miarą naszego człowieczeństwa.

Powietrze wibrowało od upalnego słońca. Włosy przyklejały mi się do policzków. Szukałam gumki, by związać je w koński ogon. Włączyłam wiatrak, by odgonić ospałe muchy. Dopadła mnie melancholia. A gdy mam taki nastrój, to słucham Preisnera - cichutko, żeby nie zagłuszyć swoich myśli. Trochę sobie popłakiwałam, oczyszczając serce ze smutków. Tak lepiej.

Lato - czerwone maki, śnieżnobiałe stokrotki, różowa koniczyna.

Lato - cierpki smak wiśni, kwaśna papierówka, słodkie poziomki.

Lato - słodki smak szarlotki z cynamonem, nadtopione lody na patyku, gofry z bitą śmietaną.

Czułam pragnienie. Kostki lodu dźwięczały na dnie szklanki, do której wlałam ostudzoną herbatę, po czym wycisnęłam sok z limonki. Dorzuciłam kilka listków mięty. Spierzchnięte usta zanurzyłam w zimnym płynie w kolorze słomy.

- Namaluj moje serce - zwróciłam się do Małgosi, która odwiedziła mnie z siatką czereśni. - Z tymi pęknięciami, z poprzeczną blizną. Serce, które ma lepsze i gorsze dni. Uśmiechnięte i płaczące, budzące się do życia i konające z cierpienia.

Rozdział 16

Mateuszek

W pracy miałam dużo zleceń, co ogromnie mnie cieszyło. Zatrudniłam dwie osoby do pomocy, zaczęłam też współpracować z ekipą murarsko-tynkarsko-malarską. Byłam w stanie utrzymać siebie i Julkę, a także pomóc Oli i Mateuszkowi. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, co by było, gdybym wtedy nie sprzeciwiła się Wiktorowi i nie zaczęła szukać pracy. Miłość miłością, rodzina, mąż i tak dalej, trzeba jednak myśleć o sobie, bo nigdy nie wiadomo, co zgotuje nam los. Dzięki mojej pracy miałyśmy z czego żyć.

Moje pieniądze nie wystarczyły jednak na pokrycie drugiego etapu operacji Mateuszka, która zbliżała się wielkimi krokami. Julka i Gosia pomogły mi zorganizować aukcje i koncerty dla naszego chłopczyka. Świat i ludzie nie są źli. Byłam w szoku, widząc, ile jest bezinteresownych osób, które otwierają swoje serca i portfele.

Mateuszek, o dziwo, rósł jak na drożdżach. Kiedy przychodziłam w odwiedziny, witał mnie promiennym uśmiechem. Stałam się dla niego kimś ważnym, co mnie bardzo cieszyło. Julka również zwariowała na punkcie przyrodniego braciszka, obsypując go prezentami z zaoszczędzonego kieszonkowego. Byłam z niej dumna, kiedy widziałam, z jaką troską przewija mu pieluchę lub go karmi. Mateuszek, jak każde dziecko, miewał zmienne nastroje. Raz był pogodny, innym razem płakał. Staralam się go wtedy rozweselić. Kiedy nie mógł się uspokoić, włączałyśmy z Olą wszystkie urządzenia typu blender, odkurzacz,

pralka. Wibracje i dźwięki sprawiały, że dziecko w jednej chwili przestawało płakać, a na jego buzi pojawiał się uśmiech. Bywały dni, gdy Mateuszek zmieniał się w wulkan energii. Wszędzie było go pełno. Ola nie mogła wtedy zapanować nad małym psotnikiem. Kiedy miała wszystkiego dosyć, wychodziła do łazienki i tam po cichutku miotła wyzwiska, żeby dzieciak nie usłyszał. Odkręcała kurek z zimną wodą, płukała twarz, patrzyła na napis, który wypisała sobie na ścianie, i było lepiej.

Ten napis brzmi: „PANIE, TY OBDARZYŁEŚ MNIE POTOMSTWEM, OBDARZ MNIE JESZCZE ODROBINĄ CIERPLIWOŚCI I MĄDROŚCI, ABYM NIE ZMARNOWAŁA TWOJEGO PIERWSZEGO DARU”.

Rozdział 17

O życiu i o śmierci

Ostatnio dużo myślałam o śmierci. O życiu też, tylko mniej. I o tym zawieszeniu między życiem a śmiercią. Czasami śniło mi się, że znikam i mnie nie ma. A potem budziłam się zrana potem i dotykałam swoje ciało. „Jestem, co za ulga!” - myślałam. Panicznie bałam się śmierci, a w związku z ostatnimi wydarzeniami w moim życiu ten strach się nasilił. Gdy się uspokajam, moje myśli szybowwały w stronę Wiktora. Może faktycznie warto uwierzyć, że życie ziemskie to nie koniec wszystkiego, że po tamtej stronie też coś jest. A jeśli nie ma nic? Miałabym tak po prostu zniknąć? Nie chciałam tego, dobrze mi było na tym padole. W tym życiu, miejscu i czasie.

Czasami zazdrościłam innym wiary w życie pozagrobowe, wieczne, nieskończone. Ich bogów, aniołów, nieśmiertelnej duszy. Ja byłam jak chorągiewka na wietrze. Raz wierzyłam, raz nie. To takie nieracjonalne, niepoparte faktami, dowodami. I chyba na tym polega wiara - wierzyć mimo wszystko. Przecież sama przekonywałam o tym Małgosię i Julkę.

Obserwowałam otaczający mnie świat. Dziecko puszczało latawiec, zakochana para tonęła w uściskach, kot wyciągał się na wilgotnym piasku. Dookoła roztaczał się zapach gofrów. Wiatr porwał kapelusz z głowy młodej kobiety, a ona się śmiała. Życie, jakże jesteś piękne!

Umówiłam się z Małgosią na obiad w restauracji. - Co u was, u Mateuszka? - spytała.

- Coraz lepiej. Maluch rośnie jak na drożdżach i gdyby nie blizna na mostku i lekarstwa, można byłoby zapomnieć, że jest chory. Niestety, zbliża się druga operacja, co mnie trochę przygnębia. Wiem, że będzie dobrze, ale strach jest.

- A Ola? - Gośka skończyła jeść sałatkę. Wytarła usta w serwetkę i oparła się wygodnie na krześle.

- Jest zmęczona. Zeszczuplała, wciąż jest na pełnych obrotach. Boi się.

- Może zabrałabyś ją gdzieś, na dzień czy dwa. Chętnie zaopiekuję się dzieckiem.

- Porozmawiam z nią.

- Hej, co to za smutna mina?

- Nie zrozum mnie źle, ale chwilami jestem zazdrosna o to, że wszyscy dopytują się o Olę i Mateuszkę, a o mnie już zapominają. Jesteś moją przyjaciółką, a odkąd są oni, nikt inny się nie liczy. A ja też mam lepsze i gorsze dni. Potrzebuję rozmowy i małego przytulania.

- Kochanie... - Gosia wstała z krzesła i podeszła do mnie. Objęła mnie z mocno. - Przepraszam, świnia jestem. Co u ciebie?

- W porządku - burknęłam. - Słuchaj, ja nie potrafię przebaczyć Wiktorowi. Mam obawy, że gdziekolwiek jest teraz jego dusza, to błąka się lub cierpi, i to przeze mnie.

- Trudności z przebaczeniem nie biorą się z samego tylko ciężaru winy małżonka, który zdradził. Wynikają też z problemów z własną osobowością.

- Myślisz, że jestem wariatką? - oburzyłam się.

- Nie. Myślę, i już ci wcześniej o tym mówiłam, że nie tylko Wiktor zawinił. W pewnym momencie w waszym małżeństwie pojawił się kryzys.

- Może i tak. Ale jak mam mu teraz wybaczyć, kiedy nie mogę?

- Ależ możesz! -Jak?

- Postaraj się.

Siedziałam na plaży, morze miało kolor akwamaryny. Doszłam do wniosku, że niektórym rzeczom należy po prostu dać odejść. To samo dotyczy ludzi i wspomnień. Jeśli ktoś nie chce być przy nas, nie należy go na siłę zatrzymywać. Po co? Żeby się męczył? Dla dobra dzieci, teściowych, matek? Czasami najlepszym wyjściem jest zwrócenie drugiej osobie wolności. Bez szamotania się, szarpania, bez walki. To jest prawdziwa miłość. Gdyby Wiktor powiedział mi wprost o zdradzie, to może dziś wszystko wyglądałoby inaczej. Oczywiście na początku byłabym wściekła, ale potem by mi minęło i zapewne wyszłoby nam to na zdrowie. A tak? Zaraz, zaraz, a może on kochał nas obie? Każdą na swój sposób? A może kochał tylko mnie, ale skoro nie dawałam mu miłości, to znalazł pocieszenie w ramionach innej? Spojrzałam na spienione morze.

- Wiktorku - szepnęłam. - Możesz odejść. My tu sobie poradzimy.

Mimo chłodu, jaki panował, poczułam ciepło. Jakby ktoś obejmował mnie od tyłu. To były ułamki sekund. Trzepot skrzydeł i cisza... a po chwili wiatr rozwał moje włosy, dokładnie w tym momencie, kiedy duch Wiktora uniósł się do nieba. Uśmiechnęłam się szeroko. Z każdym głębokim oddechem wzbierała we mnie niespożyta siła i jakaś nieziemska energia. Wyjęłam z kieszeni telefon.

- To już ten czas - powiedziałam do siebie. - Przejrzałam listę kontaktów. WIKTOR. Wybrałam opcję „Usuń”. Nacisnęłam przycisk. Ręce mi drżały. Koniec, Wiktorku. Żyj sobie spokojnie tam, po drugiej stronie.

Rozdział 18

Druga operacja

Mateuszek nawet nie spodziewał się kolejnych trudnych chwil, którym już niedługo musiał sprostać. Ostatnio ciągle bawił się swoimi stopkami, próbując wepchnąć duży palec do buzi. Gaworzył, chwycił grzechotkę i uderzał nią o szczebelki łóżeczka. W oczkach miał psotne figliki. Zaczął już nawet sam siedzieć, co prawda, podparty poduchą, ale siedział.

Przed drugą operacją Ola miewała huśtawki nastrojów. Rozumiałam ją, ale chwilami mnie przerażała. Raz się uśmiechała, za chwilę wpadała we wściekłość. Potrafiła krzyczeć na synka bez powodu.

- Uspokój się! - powiedziałam, po czym podniosłam zapłakane dziecko.

- Bo co?

- Bo dziecko się boi. - Pogłaskałam Mateuszka po pleckach, a on już po chwili zapadł w błogi sen. Położyłam go delikatnie do łóżeczka i przykryłam kocykiem.

- Ja też się boję, rozumiesz?

- Staram się zrozumieć.

- To mi pomóż! Niech mi ktoś pomoże, bo zwariuję! - Ola zaczęła miotać się po pokoju. Usiadła na podłodze, po chwili wstała. Nerwowym krokiem przemierzała korytarz.

Starałam się dodać jej otuchy.

- Musisz sobie poradzić ze stresem. To oczywiste, że masz kryzys. Powinnaś jednak się z nim uporać, a ja ci w tym pomogę. Jesteś silną, mądrą, kochającą matką.

- Tak. - Skinęła głową. - Jestem, ale chwilami nie daję rady.

- Pozwól sobie na te słabości. A teraz chodź! - Złapałam ją za rękę i zaprowadziłam do łóżeczka. Obie z wielką czułością patrzyłyśmy na śpiącego malca.

- Powiedz mu to, co jest naprawdę ważne.

- Dobrze, że jesteś - szepnęła Ola drżącym głosem. - Damy radę, maleńki!

Mateuszek został przyjęty do szpitala dwudziestego grudnia. Kiedy myślałam o tym, że pierwsze święta w swoim życiu spędzi w szpitalu, nie mogłam powstrzymać się od płaczu. A może wydarzy się cud i będzie to nie tylko Boże Narodzenie, ale ponowne Mateuszkowe narodzenie? On musiał żyć, miał przecież w sobie tyle chęci do życia. Gdyby Bóg miał go zabrać, zrobiłby to już dawno.

„Czy w szpitalach mieszka Bóg? - zastanawiałam się w duchu. - A może zapomniał o tych miejscach? Nie, nie, on jest wszędzie. Tutaj też, może nawet przede wszystkim. Musi tu być”.

Poznałam inne mamy i rodziny dzieci, których - podobnie jak naszego malca - czekała operacja serduszka. Dla jednych był to pierwszy pobyt w szpitalu, dla innych któryś z kolei. Matki, które płakały w kątach korytarzy, ukrywały smutek przed swoimi pociechami.

Synek Oli przeszedł szereg badań, normalnych przed tego typu operacją. Badanie krwi i moczu, echo serca, EKG. Odbyłyśmy również konsultację z chirurgiem, który opowiedział nam o przebiegu operacji. Lekarz był opanowany i zapewnił nas o pomyślnym przebiegu operacji. Jego spokój, zamiast działać kojąco, przeraził mnie. Nie wiem dlaczego, ale miałam złe przeczucia. Termin operacji wyznaczono na dwudziestego ósmego grudnia. To tylko i aż osiem dni!

W nocy Mateuszek dostał ataku duszności, próbował złapać oddech, ale nie mógł, zrobił się siny. Przybiegło do niego kilku lekarzy i pielęgniarki. Ola wpadła w panikę, słysząc, że saturacja spadła do 40 procent. Krążyła nerwowo po sali, była przerażona.

- Proszę się uspokoić - powiedziała pielęgniarka.

Ola podbiegła do łóżeczka. Przepychała się między lekarzami.

- Już dobrze, synku! - krzyknęła. - Mama cię utuli!

- Proszę nie przeszkadzać.

Siłą odciągnęłam Olę na bok. Mnie również chciało się płakać. Jednak musiałam być dzielna. Przynajmniej ja. Było mi ciężko, ale nie chciałam myśleć o tym, co czuje Ola.

- Chcę mu pomóc! Muszę mu pomóc!

- Opamiętaj się! - Potrząsnęłam nią. - Wszystko będzie dobrze.

- Chcę mu pomóc! Muszę mu pomóc! - powtarzała swoją mantrę.

Kryzys minął. Odetchnęliśmy z ulgą.

Wieczere wigilijną spożyliśmy z innymi rodzinami. Było tak cicho, że słyszałam bicie serca Oli. Połamałyśmy się opłatkiem, mokrym od łez. W pewnym momencie młoda kobieta wstała od stołu.

- Jestem Majka - przedstawiła się. - Proszę państwa, nie jesteśmy na pogrzebie. Zaśpiewajmy kolędę - zaproponowała.

Ludzie spojrzeli na siebie zdezorientowani.

- Z czego mamy się cieszyć? - spytał mężczyzna o poszarzałej twarzy.

- Z Bożego Narodzenia - odpowiedziała kobieta.

- A co ten Bóg mi dał?

- Dziecko - odparłam. - Dał ci dziecko.

- Chore - prychnął. - Mam mu być za to wdzięczny?

- Czasami trzeba być wdzięcznym za to, co się ma. Majka zaczęła: *Oj, maluśki, maluśki, maluśki jako rękawicka, Alboli ryz jakoby, jakoby kawalecek smycka.* Dołączyły kolejne głosy: *Spiewojcie i grajcież mu, dzieciątku małemu.*

W gardle ścisnęło mnie ze wzruszenia. Śpiewałam tę pastorałkę nie maluśkiemu Jezuskowi, lecz naszemu Mateuszkowi.

Syn Majki umarł nocą. Miał tylko pół roku. Kobieta załamała się.

Rozmazany, tętniący bólem świat.

Na korytarzu rozległ się wrzask, szloch, a potem słowa kolędy: *Oj, maluśki, maluśki, maluśki...* Zastanawiałam się, czy Majka przypadkiem nie oszalała. A może tak radziła sobie z bólem? Chciałam jej pomóc, ale nie potrafiłam. Bałam się jej bólu, rozgoryczenia, tej śmierci. Nie chciałam włączyć z butami do jej świata. A może popełniłam błąd? Może cierpiącemu człowiekowi potrzebny jest drugi człowiek? Może mogłabym z nią tylko pomilczeć? Nie umiałam. Nie wiedziałam dlaczego. A może wiedziałam? Może po prostu bałam się śmierci? Moja rana po śmierci Wiktora wciąż się nie zabiła. Nośiłam w sobie tę stratę i bałam się na nowo obudzić własny ból.

Spotkałam ją po kilku dniach. Nie wiem dlaczego, ale myślałam jedynie o ucieczce.

- Proszę zaczekać. - Dotknęła mojego ramienia. - Tak?

- Jak Mateuszek?

- Czekamy na operację.

- To dobrze. Modlę się za niego i za wszystkie dzieci z chorym serduszkiem. Szymek, mój synek, będzie nad nim czuwał.

- Dziękuję. A jak u pani? - spytałam.

- Wciąż boli serce, ale już łatwiej oddychać. Cieszę się, że mój synek ze mną był, choć przez chwilę. - Rozpłakała się. Objęłam ją ramieniem, a ona wtuliła się we mnie niczym wystraszone zwierzątko. - Szymek miał takie piękne duże niebieskie oczy. - Na chwilę zamilkła. - Można upaść, ale można też się podnieść i iść do przodu. Zrobię to dla mojego dziecka. A na razie... na razie czuję straszny ból po tym upadku. W dodatku muszę sama walczyć z tym bólem. - Nie mogła się opanować. Wyciągnęłam z kieszeni chusteczkę i podałam jej.

- A rodzina, znajomi?

- Oni udają, że nie ma tych łez. Mówią, że bym nie płakała. A ja muszę płakać, chcę płakać. Mam w sobie tyle łez, że nie je-

stem w stanie ich połykać. Kiedy nie płaczę, mam wrażenie, że one spływają do środka, a ja się duszę.

- Powinna pani z nimi porozmawiać o swoim bólu. Oni nie są obojętni, to tylko taka ludzka bezradność, kiedy nie wiadomo, co zrobić, co powiedzieć, jak zareagować.

- Dziękuję. - Odwróciła się i odeszła.

Po śmierci synka Majki Ola przestała wierzyć, że z Mateuszkiem będzie dobrze, że operacja się uda. Godzinami stała przy łóżeczku malca, patrząc na niego. Zapadła się w sobie. Nie chciała jeść. Wmuszałam w nią posiłki.

- Chociaż troszeczkę. - Wepchnęłam jej do buzi łyżeczkę z jogurtem.

- Musisz być silna - powiedziałam z naciskiem.

Nie odpowiedziała. Trzęsa się, chociaż w pokoju było ciepło. Przytuliłam ją.

- Boję się, tak bardzo się boję - szepnęła łamiącym się głosem.

- Wiem. Ale jesteś nam tu potrzebna. Mateuszkowi najbardziej. Musisz być tu i teraz.

- Nie dam rady.

- Dasz!

W dzień operacji obie byłyśmy rozkojarzone i zdenerwowane. Ola w kółko szeptała słowa modlitwy, wołała do Boga, wznosiła prośby, targowała się z nim. A ja milczałam. Nie potrafiłam się modlić w takiej chwili. Nawet nie chciałam myśleć, co ona przeżywa. Trzymałam ją mocno za rękę, ani na chwilę nie zwalniając uścisku. Obie byłyśmy pochylone nad łóżeczkiem Mateuszka.

W końcu Ola cichutko szepnęła:

- Do zobaczenia.

Pani anestezjolog wzięła go na ręce, a on patrzył na nas wielkimi niebieskimi oczami, w których było tyle życia. Poszli długim korytarzem, po chwili zniknęli za drzwiami sali operacyjnej. Zaraz miało się zacząć. Ola była trupioblada, a mnie zalewała fala

gorąca, poczułam rumieńce na policzkach. Nie umiałabym dokładnie odtworzyć wydarzeń tego dnia. Pamiętałam tylko mój strach i rozdygotanie Oli. Trzymałam ją za dłoń. Moja była spocona, jej lodowata. Pamiętam też suchość w ustach i to, że bardzo chciałam się napić czegoś mocniejszego. Na uspokojenie, na odwagę, dla dodania otuchy.

Lekarze wchodzili i wychodzili z sali operacyjnej. A my czekałyśmy w napięciu. Pytałyśmy, czy wszystko w porządku, ale oni nie odpowiadali. Byli zajęci, ratowali dziecko. A matka? Matka pozostaje sama ze swoim bólem i lękiem. Dla niej nie ma przewidzianej pomocy. Musi być silna. Musi pokonać swój strach o dziecko, wszystkie obawy i wątpliwości związane z operacją.

Udało się! Mateuszek, nasz dzielny wojownik, wygra! i tę walkę. Jego stan był stabilny. Odetchnęłyśmy z ulgą. Ola w końcu zapadła w drzemkę, a ja spacerowałam po szpitalnych korytarzach. Ruch zawsze dobrze mi robił. Łagodził stres. Zjechałam na dół do kawiarni, gdzie poznałam Krysie. Zaczęło się od rozmowy o pogodzie, obie miałyśmy dosyć tematów chorobowych. Krysia opowiedziała mi o podróżach po Azji.

- Wiesz, to było wtedy, kiedy nie było Asi. Teraz jest inaczej. Skinęłam głową na znak zrozumienia.

- Nie myśl, że ją o coś obwiniam. - Napiła się kawy. - Po prostu moje życie jest teraz skupione na opiece nad dzieckiem. Kiedy dowiedziałam się, że Asia jest niepełnosprawna, wpadłam w panikę. Wyszłam z gabinetu lekarskiego i zastanawiałam się, co dalej. Zostałam z tą diagnozą sama. Mąż od nas uciekł. Dosłownie. Pospiesznie spakował walizki i wybiegł z domu.

- To straszne. - Westchnęłam.

- Nie obwiniam go za to, po prostu był ode mnie słabszy. A ja muszę walczyć o każdy dzień dla siebie i dla córki. To jest ciężka praca. Do tego dochodzą rachunki, leki, koszty rehabilitacji... - Oczy zaszły jej łzami.

- A rodzina? - spytałam.

- Rodzina poradziła mi, żebym oddała Asiulę do domu opieki społecznej. Nigdy bym tego nie zrobiła - powiedziała z naciskiem.

Była tak zdenerwowana, że rozsypała cukier. Przez chwilę obie patrzyłyśmy na słodkie kryształki.

- Może tam dziecko miałoby lepszą opiekę - rzekłam. Krysia spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Masz dzieci?

- Mam, córkę.

- Zdrowa?

- Tak - odpowiedziałam.

- A gdyby była chora, oddałabyś ją? -Nie.

Krysia zaczęła bawić się serwetką. Gniotła ją spoconymi dłońmi, by po chwili rozprostować i zwinąć w rulon.

- W domu dziecka dzieci dostają choroby sieroczej, bo brakuje im miłości. Miłość matki jest dla dziecka wszystkim. W domu opieki społecznej chore dzieci są same. Takie dzieci potrzebują dużo więcej ciepła i miłości niż zdrowe. Nikt nie zapewni im takiej opieki i nie da im tyle miłości, co matka. Kiedy Asia była mała, bałam się, że każdy mój dotyk sprawi jej ból. Bałam się jej choroby. Teraz oswoiłam się z jej kalectwem. Poświęciłam dla niej wszystko. Nie żałuję, chociaż oczywiście mam chwile słabości. Wtedy pytam Boga: dlaczego ja? Dlaczego moja Asiula? Ale to tylko chwile. Przedtem było więcej pretensji, złorzeczeń, żalów, że to nie tak, że powinno być inaczej. Szukałam winnych: lekarze, pielęgniarki, mąż - wszyscy oni byli czemuś winni, bo nie zareagowali, bo postawili złą diagnozę, bo może mąż miał obciążenia genetyczne. Teraz już wiem, że jest tak, jak jest. Na początku myślałam, że Bóg mnie opuścił. Bo przecież modliłam się gorąco o cud, a on mi go nie zesłał. Nie uzdrowił Asi. A potem sobie uświadomiłam, że codziennie w moim życiu i życiu Asi zdarzają się małe cuda, wystarczy tylko je dostrzec. Kiedy Asiula się do mnie uśmiecha, to tak jakby mi dziękowała za

to, że z nią jestem. Kiedy coś bełkocze po swojemu, to tak jakby mówiła mi, że mnie kocha, a kiedy mnie obejmuje, wiem, że to wszystko ma jakiś głębszy sens. A ja... - otarła łzę z policzka - ..nie spodziewałam się, że mogę tak kochać.

Wróciłyśmy z Mateuszkiem do domu. Zachłannie pałaszowałyśmy te chwile szczęścia. Dopiero teraz zrozumiałam, jak bardzo go potrzebowaliśmy, jak byliśmy wygłodniałe. Mimo iż naszego chłopczyka czekała jeszcze jedna operacja, byliśmy spokojniejsze, czując, że większa część drogi za nami, że teraz już będzie z górki. Widząc, jak dziecko odzyskuje siły, prawie wyrywałyśmy je sobie z rąk. Wiedziałam, że Ola jest jego matką, ale czułam się z nim równie mocno związana.

Julka z Gosią odwiedzały nas codziennie. W sobotę wymyśliły, że będą piekły ciasteczka. Mateuszek siedział w swoim krzeselku, a buzię miał obsypaną mąką. Prychał, kichał i zanosił się śmiechem. Nawet nie próbowałam sobie wyobrazić, co by było, gdyby operacja się nie udała. Nie, nie chciałam o tym myśleć, nie mogłam.

Kiedy położyłyśmy Mateuszka do łóżeczka, wziął głęboki oddech. To był znak dla nas, że wszystko z nim w porządku.

- Wiesz, na co czekam? - spytała Ola. -Hmmm?

- Na te zwyczajne dni. Uśmiechnęłam się.

- Kiedyś chciałam uciec od codzienności, a teraz tak bardzo jej pragnę. Żeby tylko móc siedzieć w domu albo spacerować po parku, bez tych szpitali, białych fartuchów i operacji.

Ruszyłam do domu, w stronę mojej codzienności. Dopiero teraz zaczęłam doceniać to, że w moim życiu nie było żadnych ekscesów ani fajerków. Ten spokój. Mijałam witryny sklepowe, pędzących przechodniów, panią w dziurawym kapeluszu, rozwrzeszczane dziecko, cukiernię. Było tak pięknie! Uśmiechałam się do życia!

Rozdział 19

Wspomnienia wracają jak bumerang

Kiedy spotykałam się z Olą, nie tylko siedziałyśmy i myślałyśmy o chorobie Mateuszka lub wspominałyśmy Wiktora. Czasami dostawałyśmy głupawki i śmiałyśmy się ze wszystkiego. Czasami robiłyśmy „zapas obiadków”, jak mówiła Ola. Wtedy cały dzień mijał nam na pichceni. Mateusz siedział na kocyku i bębnił drewnianymi łyżkami w plastikowe miski, czasami zjadł coś z ziemi lub wywalił zawartość dolnej szuflady. Uwielbiał, kiedy włączałyśmy mikser lub sokowirówkę. Niekiedy puszczałyśmy głośno muzykę i tańczyłyśmy z naszym chłopczykiem w objęciach.

W radiu leciała piosenka Michaela Jacksona. Ola zaczęła się kołysać, a Mateuszek, który podpierał się o ścianę, naśladował ją. Dołączyłam do niej, złapałam za ręce i wykonałyśmy kilka obrotów. Dziecko zaniósło się śmiechem. Następna była piosenka Starego Dobrego Małżeństwa - *Z nim będziesz szczęśliwsza*. Zaczęłam nucić słowa:

Zrozum to, co powiem. Spróbuj to zrozumieć dobrze. Jak życzenia najlepsze, te urodzinowe. Albo noworoczne, jeszcze lepsze może. O północy, gdy składane drżącym głosem, nieklamane.

*Z nim będziesz szczęśliwsza,
dużo szczęśliwsza będziesz z nim.*

*Ja, cóż, włóczęga,
niepokojny duch.*

*Ze mną można tylko
pójść na wrzosowisko
i zapomnieć wszystko.*

*Jaka epoka, jaki wiek,
jaki rok, jaki miesiąc,
jaki dzień
i jaka godzina
kończy się,
a jaka zaczyna.*

Odwrociłam się w stronę Oli i zamarłam. Jej twarz była mokra od łez. Dopiero teraz do mnie dotarło, że to ukochana piosenka mojego męża a jej kochanka.

- To ulubiona piosenka Wiktora - zaczęłam bez sensu.

- Tak, wiem. Nieraz jej słuchaliśmy.

- Serio? - Poczulałam, jak narasta we mnie gniew. - Wy też? Wyobraź sobie... - starałam się, by mój głos brzmiał naturalnie - ...że my też przy niej często dobrze się bawiliśmy.

Ola wybuchła spazmatycznym szlochem. Mateusz też zaczął płakać. Wzięłam go na ręce, próbując uspokoić.

- Nie chciałam cię zranić - powiedziałam.

Podeszłam do radia i wyłączyłam je. Mateuszek przytulił się do mnie. Chodziłam z nim przez chwilę po pokoju. W pewnym momencie zasnął. Zapadła złowroga cisza.

- Ale zraniłaś - szepnęła Ola.

- Ty mnie też. Będziemy się teraz licytować, kto kogo bardziej?

Potrząsnęła głową.

- Są jeszcze chwile, kiedy sobie nie radzę ze swoimi emocjami - przyznałam. - Musisz mnie zrozumieć.

- Próbuję. I jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz, za opiekę nad moim synkiem i za pomocną dłoń, którą do mnie wyciągnęłaś. Wiem, że nie było i nadal nie jest ci łatwo. Ale bardzo chciałabym, abyś wykazała odrobinę zrozumienia w stosunku do mnie i moich uczuć. Nie mogę ciągle przed tobą udawać, że nie kochałam Wiktora, bo to nieprawda. - Zebrała ręką przetłuszczone włosy i związała w kucyk.

Położyłam Mateuszka do łóżeczka, a sama usiadłam na podłodze. Objęłam rękoma kolana.

- Staram się to wszystko ogarnąć, ale nie zawsze mi wychodzi - zaczęłam. Czuję, jak w gardle rośnie mi ogromna gęsia skórka. - Mam żal do Wiktora, a nie mogę mu tego powiedzieć. Odszedł i zostawił mnie z tym wszystkim samą. Z jego drugim życiem, z jego kochanką, z dzieckiem, z Julką... Gdy czuję gniew, za chwilę mam poczucie winy.

Ola często chodziła na cmentarz do Wiktora. Ja rzadziej. Jakoś nie miałam takiej potrzeby. Czasami jednak szłam z nią i ukradkiem ją obserwowałam. Jak w pocie czoła sprząta płytę nagrobka. Jak zapala znicze, wkłada do wazonu kwiaty. Jak delikatnie dotyka jego zdjęcie, jak z nim rozmawia, jak się uśmiecha do swoich wspomnień. Ona go kochała. Naprawdę kochała. Co jej pozostało? Wspomnienia i jego syn.

Kamienna ścieżka prowadziła do parkingu. Było chłodno, otuliłam się szalem. Ola miała smutną twarz. Zawsze po wizycie na cmentarzu przez kilka godzin była zatopiona we własnych myślach.

- Nie było mi łatwo być tą drugą, której się nie kocha - zaczęła. - Wbrew temu, co myślisz, nie jestem zimną suką. Nieraz myślałam o tobie.

- Naprawdę?

- Tak. Zastanawiałam się, jak wyglądasz. Co lubisz czytać, jeść, w co się ubierasz, jakiej muzyki słuchasz.

- Jak się dowiedziałaś o wypadku? - spytałam.

- Sąsiadka jest salową w szpitalu. Znała mnie. Myślała, że to mój narzeczony. Zadzwoiła do mnie. I... - urwała.

Noc okryła się grubą pierzyną utkaną z najpiękniejszych snów. Delikatnie położyłam głowę na poduszce. Gęste myśli wdarły się do serca. Myślałam, marzyłam, kontemplowałam, by powoli paść w objęcia Morfeusza. Stać się bezkształtną formą lub falującą energią. Chwytałam się usilnie resztek świadomości, ale sen złapał mnie za powieki, potrząsnął delikatnie rzęsami. Ciepłutka błogość obezwładniła całe ciało. Zasnęłam, ale nie śniłam.

Zbudziłam się o dziesiątej. Słońce w kolorze miodu było już wysoko na niebie. Promienie wpadały przez szparę w zasłonach, malując na ścianach wzorki z cieni. Pierwsza myśl, że zasnęłam, że nie można spać do tak późnej godziny, nawet w niedzielę. Już chciałam zacisnąć usta i przybrać minorową minę. Byłam gotowa udzielić sobie reprimendę.

- NIE! - wrzasnęłam na całe gardło. - Będę się cieszyć z tego, że żyję, z miłości do dzieci, z czyjejs wyciągniętej ku mnie dłoni, ze świergotu ptaków, z parującej filiżanki kawy, z porannej rosy, z telefonu Gośki, z kolejnej ścieżki, którą wydeptają moje stopy, z lekkości bytu, ze splotu zdarzeń, z szeleszczących stronic ulubionej książki. Ze wszystkiego, co jest mi dane!

Rozdział 20

Spotkania z przeszłością

Wiosna w tym roku była piękna, słoneczna, spokojna. Świat, pełen chaosu, jakby przystopował i patrzył na drzewa, które budziły się do życia, wypuszczając zielone pąki. Resztki zimowej pierzyny rozpuściły się kilka dni temu, a już tak się zazieleniło. Ogarnęło mnie szaleństwo zakupów. Kupiłam sobie sukienkę w wielkie czerwone maki i sandaalki z cienkimi paseczkami, na wysokich obcasach. Nie lubię takich, bo wpijają się w skórę i nie są wygodne. Ale czy wszystko, co mam, musi być praktyczne? Nie musi. Zaszalałam i uśmiech nie schodził mi z twarzy. Zamknęłam oczy i wdychałam rześkie powietrze.

- Cześć. - Usłyszałam za plecami.

Oniemiała wpatrywałam się w Daniela, byłego kochanka Małgosi. W pierwszym odruchu chciałam uciec. Sama nie wiem, dlaczego. Bałam się, że zapyta mnie o Gosię?

- Cześć - burknęłam pod nosem. - Co słyhać?

- W porządku - odparł.

Zapadła krępująca cisza. Nie kleiła nam się ta rozmowa, bo w sumie o czym mieliśmy rozmawiać?

- Poznałeś mnie? - spytałam głupio. Oprócz jednego spotkania w sklepie nigdy się nie widzieliśmy, dlatego zdziwiłam się, że mnie zapamiętał.

- Tak, mam pamięć do twarzy. Co u Małgosi? - Tego pytania spodziewałam się od początku.

- Ma się dobrze.

- Kochałem ją... - powiedział bez ogródek - ..ale była między nami przepaść. Ona żyła terażniejszością, ja przyszością.

A dla nas nie było przyszłości. Musiała to wiedzieć od samego początku. Chciałem z nią zbudować dom. Miałem tyle planów...

- Z pewnością. - Na mej twarzy pojawił się cyniczny uśmiezek. - To czemu pozwoliłeś jej odejść? Czemu z nią zerwałeś? - spytałam zirytowana.

Milczał. Patrzył na mnie nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Powiedziała ci, że odszedłem? Skinęłam głową.

- Nawet ciebie okłamała. - Złapał się za głowę.

- Co ty wygadujesz? - Zadrżałam. Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy. „Czy Gosia rzeczywiście mnie okłamała? Wymyśliła tandetną historyjkę o okrutnym kochanku? A może to on kłamie?” - zastanawiałam się w popłochu.

- Któregoś dnia kazała mi się wynosić. Tak po prostu, niespodziewanie zerwała ze mną. Kiedy wydawało mi się, że między nami nie może być lepiej, ona powiedziała: „Żegnaj”. Ponoć chciała ratować swoje małżeństwo.

Kłamała. Małgośka go okłamała. Z miłości? Nie chciała, by chłopak w tak młodym wieku musiał rezygnować z siebie i niańczyć dziecko? Pieluchy, zarwane noce, kaszki, kupki - one niszczą dziką namiętność. Bała się zaangażować? A może to jest tak, że kiedy naprawdę się kocha, to pragnie się, by ukochana osoba była szczęśliwa, nawet kosztem naszego złamanego serca? Tylko czy miała prawo tak postąpić? Wtedy myślała, że jest w ciąży. Gdyby faktycznie była, teraz to dziecko nie miałyby ojca. Dlaczego?

- Boże! - Zachwiałam się.

- Co się stało? - Daniel złapał mnie za rękę.

- Nie, nic - powiedziałam. Musiałam mu opowiedzieć o Małgosi, że go kochała, że ciągle go kocha, że może im się udać, gdyby tylko chcieli...

- Ożeniłem się - wyznał niespodziewanie.

Zapadła niezręczna cisza. Czułam się słabo, kręciło mi się w głowie. Usiadłam na ławce. Niewypowiedziane słowa nigdy nie ujrzą światła dziennego.

- Gratuluję - rzekłam bez przekonania.
- Tylko że to nie jest miłość. - A co?
- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. Jego twarz stężała jak galareta. -
Wciąż myślę o Gosi. - Podobało mi się to, z jaką czułością
wypowiedział jej imię. - Ona była wspaniała. Rozpieszczała mnie. -
Uśmiechnął się do swoich wspomnień. - Za każdym razem, kiedy się
żegnaliśmy, bałem się jej dotyku, pocałunku, który mógł zapowiadać
rychły koniec naszego związku. Ale gdy trzymałem ją w ramionach i
czułem jej zapach i ciepło, wszystkie obawy pryskały niczym bańka
mydlana. To ona nauczyła mnie miłości i pokazała, jak cieszyć się z
życia. Była... taka spontaniczna. - Mówił, a ja poczułam, jakbym przez
chwilę dotykała najintymniejszej z tajemnic Małgosi, której nie chciała
nikomu zdradzić. - Nigdy jej nie zapomnę. Mam kilka jej obrazów
zachowanych w pamięci. Przewijam je często jak slajdy.

Czułam się rozbita. Skoro Małgosia nie powiedziała mi prawdy, to
czyja powinnam powiedzieć jej o tym spotkaniu? A może gdybym
choć napomknęła, to wszystko by się zmieniło?

- Nie mów jej o naszym spotkaniu - poprosił Daniel.

- Dlaczego?

- Bo jest już za późno...

Odszedł. Widziałam jego przygarbione plecy i spuszczoną głowę.
Sunął powoli do przodu. Nie odwrócił się. Zostawił przeszłość za sobą.

Znowu dopadły mnie czarne myśli. Pomyślałam o Oli i ogarnęła mnie
złość.

- Jestem nieszczęśliwa! - krzyknęłam do niej, nie zwracając uwagi na
śpiącego Mateuszka. - To mnie należy się współczucie! Jesteś jednym
wielkim zbiorem wad i grzechów, złodziejką, która zbudowała
szczęście na cudzym dramacie!

Ola wzięła mnie pod rękę i wyprowadziła z pokoju. Nalała mi wódki i
podała kieliszek.

- Czyżbym ja była taka szczęśliwa? Niby kiedy? Gdy Wiktor mógł mi ofiarować tych kilka chwil? Gdy wiecznie czekałam na niego, na to że w końcu mnie pokocha, na lepsze jutro? Kiedy? - powtarzała. Cała się trzęsła. - A poza tym, ja wiedziałam od początku.

- O czym?

- O tym, że tak naprawdę on kochał tylko ciebie. Nie odzywałam się. Ola mówiła dalej:

- Tęsknię za normalnością, za beztróskim wylegiwaniem się na plaży, za chodzeniem na zakupy, do teatru, za makijażem i szpilkami, za traceniem czasu. Dziś już nie robię tych rzeczy, nie mam kiedy. Każda minuta mojej doby jest na wagę złota. Całe swoje życie dostosowałam do potrzeb Mateuszka, całą dobę podporządkowałam opiece nad chorym dzieckiem. A wcześniej? Podobnie jak ty, chciałam być szczęśliwa... Byłyśmy takie same. Różnił nas czas, w którym zainteresowałyśmy się tym samym mężczyzną... Skrzywdzona i winna. Połączyła nas miłość do tego samego mężczyzny.

- A teraz kochamy jego. - Wskazałam na drzwi do pokoju Mateuszka. Jednym haustem wypilałam wódkę. Zagryzłam ciastkiem. Oczy same mi się zamykały.

- Połóż się.

- Dlaczego?

- Bo jak się z tym prześpisz, spojrzysz na to wszystko inaczej. Przykryłam się kocem i szybko zapadłam w sen. Kiedy wstałam, na dworze było już ciemno. Przeciągnęłam się leniwie.

- Jak długo spałam?

- Trzy godziny. - Ola uśmiechnęła się promiennie, a Mate-uszek wyciągnął do mnie rączki.

- Lepiej ci?

- Tak, zdecydowanie lepiej - odparłam. - W sobotę jedziemy na wycieczkę rowerową - dodałam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

-Ale...

- Nie ma żadnego „ale”. Dzieckiem zajmie się Małgosia. Sama zaproponowała nam pomoc.

- To będzie moje pierwsze wyjście od porodu - mówi Ola.

- Wiem. Mimo problemów, choroby dziecka, musisz normalnie żyć, musisz mieć czas dla siebie, żeby nie zwariować. Nie możesz zachowywać się jak kwoka. Traktuj Mateuszka tak, jakby był zdrowym dzieckiem, a w przyszłości on też uwierzy, że wcale nie różni się od rówieśników, i będzie mu w życiu łatwiej.

- Myślałam, żeby zacząć pracować w domu - powiedziała nieśmiało. - Nie mam pomysłu na siebie.

- A tłumaczenia, wprowadzanie danych?

- To nie to. Chciałabym, żeby mój syn miał ambitną mamę, która robi to, co lubi. Chciałabym pomagać innym mamom' które mają chore dzieci. Może mogłabym otworzyć jakąś fundację? Tylko że, tak jak wszędzie, najważniejsze są znajomości, kontakty.

- Hm... - Podeszłam do okna. - Może Gośka by pomogła? - zastanawiałam się na głos. - Ma znajomości.

Z notatek N. *Zasłyszane:*

Kiedy ból jest częścią życia, jak oddychanie, jak sen, można do niego przywyknąć.

Bo ból się w człowieku oswaja. I mimo bólu, wciąż chce się żyć.

Małgosia jak zwykle przyszła spóźniona. Z naręczem żółtych tulipanów, całą siatką zabawek dla Mateuszka, drożdżowym ciastem i butelką wina pod pachą.

- Wreszcie dotarłam - powiedziała zdyszana. - To dla was, dziewczynki! - Podała nam ciasto, kwiaty i wino. - A to dla ciebie' słodziaku. - Podeszła do kojca i pokazała Mateuszkowi zabawki! Dziecko wyciągnęło do niej ręce, słodko gaworząc. W oczach Oli dostrzegłam łzy. - Mogę go wziąć na ręce? - spytała Małgosia.

- Oczywiście - odparła Ola.

Gosia delikatnie odkryła kocyk i podniosła bobasa do góry. Przez chwilę na siebie patrzyli, a potem uśmiechnęli się do siebie. Zrobiłam im zdjęcie.

- Ślicznie z nim wyglądasz - powiedziała Ola.

- Dziękuję. - Małgosia zrobiła się smutna.

- Coś nie tak? - spytała Ola. Nie wiedziała, że poruszyła drażliwy temat.

- Nie mam dzieci, i pewnie nigdy nie będę miała - wyznała moja przyjaciółka.

-Przepraszam, nie chciałam cię urazić.-Ola zaczęła nerwowo kręcić się na krześle.

- Skąd miałaś wiedzieć - powiedziała Gosia. Maluch wrywał się do zabawek, więc odłożyła go do kojca. - Ostatnio mam fioła na punkcie dzieciaków - dodała po chwili. - Mam w sobie tyle miłości, niezaspokojony instynkt macierzyński. Czasami nie mam siły patrzeć na kobiety w ciąży. Jestem zazdrosna o ich wielkie brzuchy, nabrzmiałe piersi, poranne mdłości. Narasta we mnie gniew na cały świat, na niesprawiedliwość losu. Zadaję sobie pytanie: Czemu moje życie ułożyło się tak, a nie inaczej?

Ola podeszła do Małgosi i mocno ją objęła. Zaczęły płakać, a ja stałam oniemiała, nie bardzo wiedząc, co zrobić. W końcu podeszłam i przytuliłam się do nich.

Usiadłyśmy i w milczeniu zaczęłyśmy pić wino. Pierwsza odezwała się Gosia:

- Czasami w życiu nie wychodzi tak, jak byśmy chcieli. Kiedy byłam mężatką, miałam romans ze sporo młodszym facetem i to z nim chciałam mieć dziecko. - Spojrzała na Olę.

- Kochałaś go? - spytała.

- Bardzo.

- To jest najważniejsze.

- Może i tak, tylko że ta miłość nie była taka prosta. Ta cała sytuacja była niedorzeczna.

- Życie jest skomplikowane. Spójrz na mnie. Chore dziecko wymaga wielkiego poświęcenia, ale daje mi niewyobrażalne szczęście, że jest, istnieje, uśmiecha się i walczy o każdy dzień razem ze mną. Trzeba zaakceptować to, co się ma, i pogodzić się z tym, czego nie mamy. Nic nie dzieje się bez przyczyny.

- Jesteś zmęczona? - spytała Małgosia.

- Czasami tak - przyznała Ola. - Mimo to czuję, że muszę coś zrobić ze swoim życiem, że to jest właśnie ten moment, którego nie mogę przegapić. Chciałabym zacząć pracować i robić to, co lubię. Nie za bardzo mam pomysły na siebie...

- Natalia mi mówiła, że chcesz założyć fundację, pomagać chorym dzieciakom i ich matkom. Mam dla ciebie propozycję. Może najpierw zaczęłabyś prowadzić blog o Mateuszku, jego chorobie, przeprowadzonych operacjach. W międzyczasie pomyślimy o stronie. Z fundacją jest więcej zachodu, ale wszystko da się zrobić. Mam wejścia.

- Pewnie. Piszę się na to! - Uradowana Ola klasnęła w ręce.

Po spotkaniu z Małgosią w Oli obudziła się chęć do życia. To dziwne, jak ból, cierpienie, walka o dziecko, a przede wszystkim chęć zmian motywują do działania. Ola zgodziła się założyć blog, na którym miała opisywać codzienność z Mate-uszkiem, a także przebyte przez niego operacje; wynalazła też fundację wspierającą dzieci z wadami serca, z którą chciała nawiązać bliższy kontakt. No, i oczywiście miała współpracować z Gosią. Po kilku rozmowach Ola przyznała mi rację, że musi żyć też dla siebie. Chore dziecko zmienia życie matki, zmusza do zmiany planów, ale z drugiej strony - umacnia. Trzeba tej malej istotce zapewnić godziwe życie i uśmiechniętą, spełnioną mamę.

- Wiem, że to może pytanie nie na miejscu, ale chciałabym wiedzieć, co czułaś przed porodem? - spytałam Olę.

- Co chcesz wiedzieć? Poród jak poród.

- Przepraszam, nie chciałam cię urazić. - Poszłam do kuchni zmywać naczynia.

- To ja przepraszam. - Stała za mną. - Wiem, że pytałaś o moje odczucia, emocje... - Usiadła na podłodze i zaczęła bawić się wielkimi liśćmi figusa. - Sucho ma - stwierdziła po chwili. - Podleję go. Jutro. Kilka dni przed terminem poczułam niewyobrażalny strach. Oczekiwanie na poród było największym koszmarem. Bałam się o Mateuszka. Wyłam z bólu i bezradności. Nic nie mogłam zrobić. Cały czas modliłam się do Boga, w którego wcześniej nie wierzyłam. A nawet nie tyle do niego, co do Anioła Stróża mojego dziecka. Anioły przecież istnieją.

- Tak, wiem. - Usiadłam obok niej. Czułam, że cała drży.

- Miałam wrażenie, jakby zapomniał o mnie cały świat. Byłam sama ze swoim bólem. Wiem, że każdy ma jakieś problemy. Mniejsze czy większe, ale ma. Nie jestem jedyna. Tylko kiedy wali ci się świat, myślisz, że twoje zmartwienie jest największe, i oczekujesz od ludzi wsparcia, dobrego słowa.

Ścisnęło mnie w dołku. Mogłam jej wtedy pomóc, a nie zrobiłam tego...

- Odliczałam godziny, minuty do porodu i prosiłam Mateuszka, żeby przeżył - kontynuowała. - Poród. Inkubator. Oddział neonatologii. Operacja. Czekałam. Wtedy kilka razy umierałam i budziłam się do życia. Zamykałam oczy, wiedząc, że muszę je otworzyć dla mojego synka. Musiałam być silna, bo jeśli nie ja, to kto? Mój szkrab przeżył. On musi żyć. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Rozdział 21

Kobiety Wiktora

Mateuszek był kochany, jednak czasami dawał się Oli we znaki. Miewał humory i psocił jej na przekór.

Siedziałyśmy na balkonie, popijając sok pomarańczowy.

- Czasami jestem zmęczona opieką nad synkiem - przyznała Ola, wzdychając głęboko.

- To normalne. - Zwróciłam twarz w stronę słońca, które wyszło właśnie zza chmur.

- Myślisz, że mam prawo do narzekania?

- Pewnie, że masz.

- Czyli mówisz, że to normalne? - chciała się upewnić.

- Mhmm.

- A te wszystkie panie z reklam, które nigdy nie czują zmęczenia, parując z uśmiechem przyklejonym do twarzy?

- One są nieprawdziwe. Żyją sobie w telewizorku. Wszystko trzeba wypośrodkować. W życiu jest czas na zabawę, na tulenie swojego dziecka, na czytanie mu bajeczek, ale możesz także mieć gorszy dzień, kiedy nie masz na nic ochoty i najchętniej nie wstawałabyś z łóżka.

- To prawda. - Ola otworzyła kolejny karton soku. - Mogę sobie ponarzekać i nie czuć wyrzutów, że jestem wyrodną matką. - Uśmiechnęła się do siebie.

Oparłam nogi o balustradę. Ona w tym czasie podeszła do skrzynki z pelargoniami i zaczęła odrywać uschnięte liście.

- Powinnaś sobie kogoś znaleźć - powiedziałam nagle. Zastygła w bezruchu, po czym potrząsnęła głową.

- Nie potrzebuję nikogo. Mam ciebie.
- Potrzebujesz mężczyzny. Odwróciła się w moją stronę.
- Nigdy nie znajdę nikogo takiego jak Wiktor - rzekła stanowczo.
Zamknęłam oczy. Wiktor - mój mąż, ukochany Oli. Ona nie była jeszcze gotowa na nowy związek.
- Na pewno nie będzie drugiego Wiktora, ale będzie ktoś inny. Musisz tylko spróbować.
- Ale ja nie chcę.
- Czas... - zaczęłam, ale mi przerwała.
- Nigdy nie będę chciała. Ta miłość, chociaż nieodwzajemniona, była niesamowita, niespotykana, jedyna w swoim rodzaju.
Jej słowa poraziły mnie. Były jak cios wymierzony pięścią prosto w twarz.
- Mylisz się. - Byłam na nią zła i chciałam jej dopiec. - Gdyby ten związek miał rację bytu, spowszedniałby ci. A gdyby Wiktor był twoim mężem, to nie byłoby tych fajerwerków. Jego brudne skarpetki...
- Prałabym te skarpetki. Wstałam.
- I co, nie znudziłoby ci się? Jak długo? Rok, dwa, dziesięć? Stałabyś się taką samą rozczarowaną życiem kobietą, jaką byłam ja. W pewnym momencie ta monotonia sprawiła, że oddaliłam się od niego, miałam dość tego małżeństwa. Kochanka jest jak słodka czekolada. Tylko że w nadmiarze bolą od niej zęby.
- Wiktor był moją wielką miłością. - Ola spuściła głowę.
- Pomyślałaś wtedy o moim dziecku? - Uniosłam się.
- Już to sobie wyjaśniłyśmy.
- Masz rację. Tylko że ja wciąż mam napady złości, gniewu, agresji. Coraz rzadziej, ale mam.
- Przepraszam. - Ola nie wiedziała, co zrobić z rękoma. Bawiła się frędzlem narzuty. - To prawda, zgłupiałam, liczył się tylko on i chwile, które razem spędzaliśmy, i szybsze bicie serca, za-

wroty głowy, i przyjemne mrowienie w brzuchu. Wiedziałam, że moje szczęście to czyjaś krzywda, ale nie docierało to do mnie. Może masz rację, nie rozumiałam, że wielka miłość może minąć, wyblaknąć jak bluzka, którą wieszka się na słońcu.

- To nie tylko twoja wina. Winni byliśmy wszyscy troje, jednak trudno mi się z tym pogodzić.

Rozdział 22

Minął rok

Minął rok. Mateuszek stał się rozbrykanym, rozkrzyczanym, roześmianym i najukochańszym dzieckiem pod słońcem. Miał już dwa ząbki i mówił do mnie „baba”. Fajnie być taką Mateuszkową babą. Próbował też chodzić. Stawiał kilka kroczków, po czym chwiał się i upadał na pupę. Za osiem miesięcy czekała go ostatnia operacja. I tym razem się uda - obie z Olą mocno w to wierzyłyśmy.

Minął rok, odkąd poznałam Olę i jej synka. Rok, który obfitował w wydarzenia, zbiegi okoliczności, wzruszenia, wzburzenia, złości, gniew, ból. Zastanawiałam się, co by było, gdybym im nie pomogła, gdybym nie pojawiła się w ich życiu. Jak potoczyłyby się losy tej kobiety, a jak moje? Czy byłabym inną osobą? Na pewno tak. Gorszą czy lepszą? Trudno powiedzieć. Czy gdybyśmy się poznały na neutralnym gruncie, mogłybyśmy zostać przyjaciółkami? Czy nasze spotkanie było zapisane gdzieś tam, na górze?

Minął rok, a ja porzuciłam dawne życie, by zacząć nowe. Czy tamto życie było nic niewarte? Nie, było po prostu inne.

Minął rok, który przyniósł ogromne zmiany w życiu Oli. Każdego dnia robiła wpis na blogu, z pomocą Małgosi założyła stronę internetową, współpracowała z fundacją, była nawet kiedyś w telewizji, gdzie udzieliła wywiadu. Wspierała inne matki chorych dzieci i zabierała głos na forach dla matek, które tak jak ona miały chore dzieci. Była świetnie zorganizowana, mimo iż miała tak mało czasu.

Ja również zajęłam się własnym życiem. Już nie odwiedzałam codziennie Oli i Mateuszka, miałam przecież córkę. Czasami mnie korciło, żeby do nich pójść, chociaż na pięć minut, ale się powstrzymywałam. Wpadałam do nich raz na trzy, cztery dni. Wiem, wiem, to i tak za dużo. Ale kochałam to dziecko. Bardzo.

Pierwszy raz wybraliśmy się na Mazury. Cała trójka, czyli Ola, Mateusz i ja. Julka nie chciała nam towarzyszyć. Miała już przecież piętnaście lat.

- Ale na pewno? - dopytywałam się.

- Mamo, daj spokój, jestem już dorosła - odparła, zjadając chipsy w łóżku. „Jak można jeść chrupki w łóżku, a potem spać na tych okruszkach?” - pomyślałam ze zgrozą.

- Jeszcze nie masz osiemnastu lat - przypomniałam. Wyobraziłam sobie, co będzie wyprawiała podczas mojej nieobecności. Seks, narkotyki i tego typu rzeczy. Wzdrygnęłam się.

- Obiecuję być grzeczna. - Julka puściła do mnie oko.

- Będzie do ciebie zaglądać ciotka Małgosia i babcia.

- Uwielbiam ciotkę. Wiesz, ona jest taka wyluzowana, może zapalimy blanta?

- Julka! - Zrobiłam przerażoną minę.

- No przecież żartowałam.

- Jedzenie masz zamrożone na kilka dni. Tu są klopsy, a tu pierogi. - Stałam przy zamrażalniku i po kolei wyjmowałam pudełka.

- Mamo, już dobrze. - Objęła mnie. - Dam sobie radę.

- Mój numer telefonu masz.

- Mamooooo!!! Pewnie, że mam. Dzwonię do ciebie regularnie, nie pamiętasz?

- No tak, tak.

Spakowałyśmy do walizki łopatkę, zabawki, śpiworek, słoiczki z jedzeniem, pieluszki, chusteczki i całą masę innych niezbędnych rzeczy. Bilans - trzy wielkie walizki i torba jedzenia: chrup

ki, soczki, zupki. Wzięłyśmy mój samochód, to znaczy Wiktora. Ja nie miałam prawa jazdy, prowadziła Ola. Mateuszek przez całą drogę darł się wniebogłosy. Ola denerwowała się za kółkiem. Siedziałam z nim z tyłu i wpychałam w niego chrupki, bo tylko wtedy na chwilę się uspokajał. Byłam wykończona, pot spływał mi ciurkiem po plecach. Cały czas na siebie warczałyśmy. Zapowiada! się cudowny wyjazd.

Dotarliśmy do ośrodka grubo po dwudziestej pierwszej, marząc tylko o prysznicu i łóżku. Niestety, Mateuszek skutecznie rozwiął nasze marzenia. Pierwsza noc w mazurskim kurorcie nie należała do udanych. Maluch rozrabiał do północy, wreszcie zasnął na podłodze. Obudził się już o piątej rano, rześki i pełen niespożytej energii. Tyle ekscytujących rzeczy było w nowym miejscu. Szafki, dywanik, lampka. Raj dla małych, zachłannych rączek. Pierwszy dzień naszego pobytu był deszczowy. A my, zaspane, zmarnowane dreptałyśmy wokół jeziora, pchając przed sobą wózek z roześmianym Mateuszkiem. Przynajmniej jedno z nas miało dobry humor.

Na szczęście kolejne dni były już pogodne. Słońce rozproszyło chmury, a nasz kawaler przystosował się do zmiany otoczenia.

- Uff - westchnęła Ola, rozkładając koc. - Nareszcie usnął, nareszcie słońce i nareszcie mamy chwilę wytchnienia.

Położyłyśmy się na kocu.

- Łatwo nie jest - przyznała Ola.

- Nie przejmuj się, najtrudniejsze jest pierwsze osiemnaście lat. Potem to już z górki - pocieszyłam ją. Roześmiała się. Potem zasnęła, a ja odebrałam telefon. Dzwoniła Małgosia.

- Coś z Julką? - spytałam przerażona.

- U niej wszystko okej.

- To dobrze - odetchnęłam z ulgą.

- Ja pierdołę! - wypaliła. - Dookoła mnie mieszkają świry. Przyszedł dzisiaj do mnie sąsiad z dołu z pretensjami, że jak chodzę po domu w szpilkach, to mu się żyrandol kołysze. I za głośno słucham muzyki.

- Chodzisz po domu w szpilkach? - spytałam zdziwiona.
- Czasami tak. Nie pytaj dlaczego. Nie spytałam.
- I co mu powiedziałaś?
- Ze on z kolei chrapie jak lokomotywa.
- Jesteś bezczelna!
- Natalia, ale ja naprawdę słyszę jego chrapanie. Czasami budzę się po kilka razy w nocy. Czy to jest fair?
- I co on na to? - Dusiałam się ze śmiechu.
- Uciekł.

Gosia była zawsze szczerą do bólu. Myślę, że czasami powinna ugryźć się w język, by nie sprawić komuś przykrości. Kiedyś wytknęła mi, że po porodzie mój brzuch wygląda jak opona.

- Dziewczyno, weź się w garść, bo nie mogę na ciebie patrzeć - powiedziała bez ogródek.

- Urodziłam trzy miesiące temu - broniłam mojej opony. Dobrze, że depresja minęła, bo wpadłabym w jeszcze większy dół.

- Ale co ja mam robić? - załkałam.

- Ćwiczyć. Brzuski. Dzień w dzień. Rozciągnęła ci córa brzuch, oj, rozciągnęła. - Kręciła głową z dezaprobatą.

To dzięki niej zaczęłam ćwiczyć. Po pół roku mój brzuch był płaski i bez grama tłuszczu. Boże, dziękuję ci za takich przyjaciół. Niestety, moje uwielbienie do słodyczy okazało się silniejsze i po dwóch latach opona wróciła na swoje miejsce.

- Natalia!!! - krzyczała Gosia, kiedy sięgałam po kolejne ciastko. - To już nie opona, tylko ponton!

Dla Mateuszka Mazury to był raj. Wszystko go ciekawiło. Szyszki, woda w jeziorze, huśtawka, inne dzieci. Chlapał się w wodzie, bawił w piasku, oglądał małe kamyczki. Był szczęśliwy a my razem z nim. Chodziłam na spacerki już o piątej rano, czasami z Mateuszkiem, który był tak podekscytowany, że nie

mógł spać. Lubiłam tę porę, bo wtedy na dworze nie było prawie nikogo. Słońce wstało leniwie, unosząc się nad drzewami i rozlewając swoje wdzięki. Po lesie roznosiły się ptasie trele. Dzień, który daje początek nowemu życiu. Dzika jabłonka ugięła się pod ciężarem rumianych jabłek. Malwy, maki, stokrotki wychyliły swe główki w stronę promieni słonecznych. Motyle otrzepały skrzydełka z porannej rosy. Bocian wyfrunął z gniazda, żaby wyskoczyły z moczarów, by przywitać mnie kumkaniem. Kiedy spacerowałam z Mateuszkiem, malec zaczął z radości piszczeć, a zielone żabki skakały na boki.

Podczas naszego wyjazdu dużo rozmawiałam z Olą o dzieciach. Moich, cudzych, chorych, zdrowych.

- „Dzieci są nadzieją, która rozkwita wciąż na nowo” - zacytowałam jej słowa Jana Pawła II. - Papież mawiał, że dzieci są projektem, który nieustannie się urzeczywistnia. Przyszłością, która pozostaje zawsze otwarta.

- Myślisz, że choroba Mateuszka to kara za to, co zrobiłam twojej rodzinie? - spytała nieśmiało Ola.

- Choroba dziecka to nie kara, ale sprawdzian z miłości i człowieczeństwa - odpowiedziałam.

- Może ta choroba jest po coś? Może, tak jak mówisz, to taki egzamin z mojej miłości, gotowości do macierzyństwa, próba, ile jestem w stanie poświęcić?

- Może...

Ukroiłam sernik. Był strasznie wilgotny, pokruszył się na talerzyku. Mimo to pochłonęliśmy go w zastraszającym tempie.

- Dopiero teraz, kiedy Julka jest nastolatką, doceniam miłość macierzyńską. Może dojrzałam? A może to dzięki Mate-uszkowi? Miłość do dziecka jest śpiewająca, wesola, rozbrykana, tańcząca, odpowiedzialna, bezwarunkowa, bezinteresowna.

- Wieczna - dodała Ola, a ja przytaknęłam. - Pierwszy raz ogarnia mnie tak ogromne uczucie do drugiego człowieka. Uczucie pełne wzruszeń, uśmiechu, troski, rozmaitych emocji i lęku o przyszłość tego małego człowieka.

- Nikt mnie nie przekona, że istnieje jakiś cud większy od cudu macierzyństwa. Nawet nie próbuję doszukiwać się takiego, który mógłby się z nim równać. A mimo wszystko czasami zbierają się czarne chmury. Nie jest łatwo wychowywać dziecko - przyznałam. - Czasami ma się dosyć, czasami własne dzieci cię denerwują, nie zgadasz się z ich wyborami, bo uważasz, że jeśli zrobią to czy tamto, nie wyjdzie im to na dobre. A przecież one również muszą się sparzyć, dostać naukę od życia, uczyć się na swoich błędach.

- Wciąż się boję o Mateuszkę.

- To normalne. Ja też się boję o swoją córkę. Chociaż jest zdrowa, codziennie towarzyszy mi lęk o nią. Kiedyś myślałam, że z wiekiem on zmaleje. To nieprawda. Pierwsze siniaki, złamana noga, pierwszy papieros i nieodpowiednie towarzystwo. Chciałoby się uchronić przed tym wszystkim swoje pociechy, ale nie da się. Może o to w tym wszystkim chodzi?

- Da, da, da. - Naszą rozmowę przerwał Mateuszek, który przytuptał do nas niczym mały pingwinek. Zaczęłyśmy się śmiać.

-1 o to chodzi - powiedziała Ola.

Rozdział 23

Każdy ma swoją tajemnicę

Wczesnym popołudniem znów wybrałyśmy się w stronę jeziora. Mateuszek gaworzył, a my pałaszowałyśmy lody.

- Olka?! Tyle lat! - Nagle podeszła do nas kobieta o rudych włosach. Ola zrobiła się trupioblada.

- Pani mnie z kimś pomyliła - odpowiedziała cicho. Ruda zmarszczyła czoło.

- Ola, nie wygłupiaj się.

- Nie znam pani! - powtórzyła Ola dobitnie i minęła kobietę. Nerwowo manewrowała wózkem między ławką a drzewem. Lody upadły jej na chodnik, tworząc śmietankową breję. Stałam przez chwilę jak słup soli, po czym ruszyłam za nią.

- Kto to był? - spytałam.

- Nikt!

- Ale przecież...

- Nie chcę o tym mówić. Okej? -Okej.

Przystanęłyśmy nad brzegiem jeziora. Ola siadła na kamiennym murku, a ja rozłożyłam kocyk i posadziłam na nim Mateuszka. Malec przez chwilę bawił się foremkami, a potem zasnął. Spojrzałam na Olę. Drżała na całym ciele. Z oczu płynęły jej łzy. Po kilku chwilach wstała i podeszła do mnie.

- Każdy ma swoją mniejszą lub większą tajemnicę. Sekret, którego nie chce nikomu wyjawić - szepnęła.

- Wiem.

- Moi rodzice nie umarli. - Wzięła głęboki oddech. - To znaczy, nie wiem. Może żyją, a może już nie.

- Nie masz z nimi kontaktu?

- Nie. Nie chcieli mnie. Bo jakby chcieli... - Głos jej się załamał. - Dzieciństwo spędziłam w domu dziecka.

Zatkałam usta dłonią.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nikomu nie powiedziałam. Nawet Wiktorowi. Nie było mi źle w bidulu. Żadnego znęcania się, gwałtów. Jedyne, czego mi brakowało, to miłości. Do domu dziecka trafiłam, gdy miałam półtora roku, razem ze starszą siostrą. Byłyśmy nierozłączne, była najbliższą mi osobą. Pamiętam ją jak przez mgłę. Zmarła na białaczkę. Od tej pory byłam na świecie sama.

- Dlaczego się tam znalazłyście?

- Bo rodzice pili. Wzdrygnęłam się.

- Mój ojciec nie żyje. Nigdy go nie poznałam - powiedziałam cicho. - Miałam jednak więcej szczęścia od ciebie, bo była babcia i mama.

- Taaak. Ale wiesz, ja nie mam pretensji o to, że inni mają pełne rodziny. Marzyłam tylko o tym, żeby mieć kogoś przy sobie. Czasami zazdrościłam koleżankom ze szkoły, że mama może przyjść do nich na wywiadówkę albo że mogą iść z mamą na zakupy. Z tym że ta zazdrość nie była zła, była taka ludzka.

- Czy tamta kobieta też mieszkała w domu dziecka? Ola przytaknęła.

- To Paulina. Moja współlokatorka. Lubiłam ją, a równocześnie miałam do niej jakiś niewy tłumaczalny żal. Choć też mieszkała w bidulu, rodzice ją odwiedzali. Mnie nie odwiedzał nikt. Święta zawsze spędzała z nimi. A po świętach wracała z czekoladą, pomarańczą i pierniczkami. Zawsze dzieliła się ze mną swoimi zdobyczami. Tylko że ja nie chciałam tych pierniczków, czekolady ani pomarańczy. Chciałam, żeby mnie ze sobą zabrała na prawdziwą Wigilię. Za to jej nienawidziłam, za to, że nigdy

mnie do siebie nie zaprosiła. A przecież to nie od niej zależała. Wiem jestem niesprawiedliwa, ale nie mogę zmienić swoich odczuć. Ja miałam tylko jeden świat - BIDUL. A ona miała dwa światy. W podstawówce zaprzyjaźniłam się z Pawełkiem. To były jedne z najszczęśliwszych chwil w moim życiu. Jego mama zapraszała mnie do ich domu na obiady, czasami przytuliła, pocałowała i nawet pozwoliła mi pomalować usta swoją szminką. Lubiła mnie bardzo, a przede wszystkim nie dała mi odczuć, że jestem gorsza. Wszystko, co dobre, szybko się kończy. Paweł wyjechał z rodzicami do Holandii. Namiastka normalnego świata legła w gruzach. Znów byłam sama. Po raz kolejny. Nie miałam na świecie nikogo. A kiedy spotkałam Wiktora, poczułam, że wszystko się zmieni, że już nie będę samotna. O, jakże się myliłam! Zakochałam się w niewłaściwym facecie, z którego me potrafiłam zrezygnować.

- Gdybyś mi wcześniej o wszystkim powiedziała... - urwałam.

- To co Natalia? Myślisz, że to by coś zmieniło, że zrozumiałbyś mnie, poklepałabyś po ramieniu? Nie, nic takiego by się me stało. A teraz... Teraz jest dobrze tak jak jest, i za wszystko, co dla nas zrobiłaś, będę ci wdzięczna do końca życia.

Rozdział 24

Blizny na sercu

Umówiłam się z Małgosią w jej nowym, wynajętym mieszkaniu. Było przestronne i słoneczne. Urządzone minimalistycznie, ale stylowo i elegancko. Meble w kolorze ciepłego karmelu i bieli. Tylko pokój Mateuszka, który często tu bywał, był kolorowy. Żółć mieszała się z błękitem i soczystą zielenią. Podobało mi się u niej.

- Jak ci się układa z Olą? - spytała.

- Zdziwiłabyś się, ale się dogadujemy.

- Szkoda.

- Dlaczego?

- Liczyłam na coś pikantniejszego: walki w kisielu, skakanie sobie do gardeł, gryzienie, szczypanie i takie tam. - Jak zwykle była nieco złośliwa.

- To już było.

- Myślisz, że tak łatwo przyszło ci pogodzenie się ze zdradą Wiktora i zaakceptowanie jego kochanki, bo sama miałaś coś na sumieniu? - Podeszła do okna, otworzyła je i zapaliła papierosa, wydmuchując dym na zewnątrz. Popijała wino.

- Małżeństwo to rzecz święta - powiedziałam stanowczo. - Mylisz się, niełatwo mi przyszło pogodzić się z tym wszystkim.

Parsknęła śmiechem, wypluwając wino na swoją dłoń.

- Wierność jest zaprzeczeniem naszego człowieczeństwa - rzekła sarkastycznie. - Małżeństwo to przeżytek. A wiesz, co jest najśmieszniejsze? Ze to mężczyźni je wymyślili. Nie mogli znieść

tego, że ich kobiety uprawiały seks z innymi. Sami sobie zawiesili pętlę na szyi, a teraz chcą się zabawić z innymi kobietami.

- Kobiety nie są lepsze. Czasami mi się wydaje, że we współczesnym świecie wszyscy zdradzają.

- Dawniej też tak było. Zawsze tak było. Dlaczego niby dwoje ludzi ma być razem do grobowej deski?

- Miłość. To jest odpowiedź. - Podeszłam do niej i spojrzałam głęboko w oczy.

- Miłość jest przereklamowana. Przelotna, złudna, dziś jest, jutro jej nie ma. To takie przejściowe zaburzenie funkcjonowania mózgu. To tylko chemia, która zalewa ośrodek racjonalnego myślenia. Możesz się naszprycować i też ci będzie fajnie.

- Może i masz trochę racji. - Wskoczyłam na kanapę i nakryłam się kocem. - Tysiące lat temu, gdy ludzie żyli w jaskiniach i zagrażały im stada dzikich zwierząt i nieprzychylny klimat, założenie rodziny było nieodzowne dla przetrwania gatunku. Nasz dziki przodek trwał przy swojej kobiecie i zapładniał ją, by zapewnić sobie genetyczne dziedzictwo. Nie wiem tylko, czy między tym dwojgiem ludzi nie tworzyła się jakaś inna, nierozzerwalna więź.

- Może tak, a może nie.

-Ja i tak wierzę w miłość. Ty zresztą też, tylko się z tym kryjesz.

- Jak się czuje Mateuszek? - Gosia zmieniła temat. W jednej chwili zrobiła się poważna. Kiedy powiedziałam, że jest dobrze, uśmiechnęła się.

- Smutno mi, że Mateusz nigdy nie pozna ojca. Moja Julka jest w lepszej sytuacji. Znała go, ma piękne wspomnienia z nim związane. A synek Oli, nie dość, że chory, to jeszcze bez ojca. Jakie to życie bywa niesprawiedliwe.

Zamilkłyśmy, pijąc wino.

- Chciałabym ci coś wyznać - powiedziała Gosia. Była już pijana.

- Mów.

- O facetach. O czym ja bym mogła rozmawiać? - Wydęła usta w podkówkę. - Budziłam się koło różnych mężczyzn. Na niektórych patrzyłam z obrzydzeniem, innych chciałam pokochać. Udawałam orgazmy w imię miłości. Dla mojego męża byłam księżniczką. A ja go okłamywałam. Poznałam Daniela i -jednym haustem wypija kieliszek wina -.. .rozstaliśmy się bo nie mogliśmy ze sobą żyć. O, ironio losu! Świat jest pełen sprzeczności. Można kochać kogoś do bólu, i ten ktoś cię będzie kochał, ale związku z tej miłości nie zbudujecie.

- Dlaczego?

- Dlatego. Koniec, kropka. Muszę się wyrzygać.

Zamknęła się w łazience. Słyszała jej ciche kwilenie. Mogłam jej powiedzieć o Danielu, o tym, że wszystko wiem tylko co by to zmieniło? Nic. Było już za późno. Po tej miłości zostaną tylko zabliznione rany. Każdy człowiek był kiedyś zraniony. Niektóre rany ładnie się goją, inne długo się jątrzą. Blizny na sercu - każda z nich coś znaczy, każda ma swoją historię.

Rozdział 25

Wybaczenie

Wieczorem poczułam się zmęczona. Usiadłam na podłodze i gapiłam się na pustą ścianę, po czym stwierdziłam, że im wybaczam. Tak, właśnie w tej chwili, tego wieczoru, o tej porze. To nie znaczy, że wszystko chciałam puścić w niepamięć. Wybaczyć nie oznacza zapomnieć, zrozumieć, zatrzeć wyrządzoną nam krzywdę, zrezygnować z bólu, który nas dopadł. Wybaczyć to przestać pielęgnować urazy i chęć zemsty. To pogodzić się z bolesnym wydarzeniem i otworzyć na nowe życie. Oczyszczyć ranę i zalepić ją plastrem...

- Zapomniałaś? - spytała mnie Ola.

- Niczego nie zapomniałam - odparłam zgodnie z prawdą. - Wyciągnęłam lekcję na przyszłość. Nauczyłam się dużo o tym, czym małżeństwo powinno być, a czym nie jest. Poznałam lepiej siebie i ludzi, którzy mnie otaczają. Najważniejsze jest to, że pamięć o krzywdzie przestała mnie boleć. Zastanawiam się teraz, co było prawdą, a co kłamstwem.

- On cię kochał - po raz kolejny zapewniła mnie Ola. - Powiedział mi, że gdybyś ty kochała go tak samo jak on ciebie, to nigdy nie dopuściłby się zdrady. - Spojrzałam na nią smutno. Wiedziałam, ile kosztują ją te słowa. Świadomość, że mimo iż spędzała z nim dużo czasu, Wiktor i tak kochał mnie. - Nie patrz tak na mnie. - Potrząsnęła głową. - Przeżywaliście kryzys i wtedy wszystko się posypało. Domu nie można zbudować na pia-

sku, bo wcześniej czy później fundamenty się obsuną. - Poprawiła ramiączko sukienki. - Byłam dla niego zaledwie przystanią, a marzyłam, by być portem.

Szłyśmy obok siebie. Ola stawiała małe kroczki, ja wyciągałam nogi i stukałam obcasami. Jeden wielki sus, kilka małych tupnięć.

Zamknęłam oczy.

- Wybacz mi - powiedziała, jak ktoś, kto autentycznie prosi o przebaczenie.

- Wybaczam ci - odpowiedziałam. Dwa słowa, które świadczyły o tym, że pokonałam swój gniew, przyjął jej żal. Przyjmując go, dałam dowód, że ją rozumiem.

Rozdział 26

Trzeci etap

Przez cały czas pomiędzy drugą i trzecią operacją starałyśmy się nie myśleć o chorobie Mateuszka. Cieszyłyśmy się każdą chwilą, którą z nim spędzałyśmy. Żyłyśmy teraźniejszością. Bo chyba tak trzeba żyć - TU i TERAZ. Nie dopuszczaliśmy czarnych myśli. Zresztą, kiedy patrzyłyśmy na niego, nie mogłyśmy uwierzyć, że ta żywołowa, rozbrykana istotka ma wadę serduszka. Przed trzecią i ostatnią operacją Mateuszka było nam jakoś różnie. A to za sprawą ziemskich aniołów. Konkretnie dwóch anielic, które, gdy tylko wchodziły do sali, to cały świat jaśniał.

Szpitalne siostry miłosierdzia. Roztaczają wokół siebie blask. Białe habity, długie welony i uśmiech, który nie schodzi z ich twarzy. Mają mnóstwo anielskiej cierpliwości. Wysłuchają, przytulą, pogłaskają, dodadzą otuchy. Posiadają jakąś wewnętrzną siłę, która przejawia się w każdym wypowiedzianym słowie. Są wrażliwe, a przy tym takie kobiece. Najbardziej podobała mi się ich prawdziwość, szczerść i ludzkie podejście do chorych i ich rodzin. Siostra Barbara, ta starsza, pyzata, rumiana, rozmawiała z nami o chorobie Mateuszka, o cierpieniu nie teologicznie, ale zwyczajnie, po ludzku. Były łzy, współczucie i dodawanie otuchy. Cierpienie dla siostry to zawsze cierpienie konkretnego człowieka. Nie powiedziała nam jak cierpieć, ale jak przejść przez cierpienie.

- Czy siostra nigdy nie miała dość? - spytałam.

- Oczywiście, że miałam. Były chwile zwątpienia. Kiedy ktoś krzyczał, że co ja mogę wiedzieć o chorobie, życiu, rodzinie, że jakim prawem się mieszam. Faktycznie, nie byłam ciężko chora, nie mam rodziny, dzieci. Moi rodzice odeszli, kiedy byłam małą dziewczynką. Ale miewam chwile słabości, nieraz cierpiałam, byłam zagubiona, sponiewierana. Mam przyjaciół, z którymi współprzeżywam ich problemy, którym pomagam, kiedy chorują. Znam te wszystkie uczucia i dlatego staram się pomóc tak po prostu, po ludzku. Moja praca nie jest łatwa, napotykam coraz większe trudności. Wielu ludzi jest nieszczęśliwych, zagubionych, brakuje im miłości, bliskości, zrozumienia. Trzeba do nich wyciągnąć rękę, a czasami z nimi pomilczeć.

- A jak ktoś nie wierzy? Zaśmiała się.

- My nikogo nie nawracamy na siłę. Ale wiesz, co ci powiem? Na nawrócenie nigdy nie jest za późno. Na jakieś nowe przedsięwzięcie, na wielkie zmiany w życiu, które zbliżą nas do Boga. Nie jesteśmy tu po to, aby umoralniać, ale by pomóc chorym i potrzebującym.

- Czasami martwię się o Olę, że nie da rady, że tyle na nią spadło, i jak już będzie po wszystkim, to ona się załamie.

- Nie załamie się.

- Skąd siostra to wie? - spytałam.

- Widzę, jak bardzo kocha. Ta miłość dodaje jej sił. Człowiek to silna istota. Potrafi pokonać całą masę problemów. Czasami spadają na niego jak lawina, a on mimo wszystko idzie naprzód. Nogi uginają się pod ich ciężarem, a on brnie przed siebie, póki starczy sił. Każdy ma taki krzyż, jaki zdoła unieść. A zresztą, tylko matka dla swojego dziecka robi wszystko, nawet własnym kosztem. Dwa lata temu w naszym szpitalu leżała chora Zuzia. Jej mama przyjeżdżała do niej codziennie. Dwoma pekaesami. Czasem na drugi autobus musiała czekać ponad godzinę, w deszczu, zimnie. Kobieta pochodziła ze wsi, miała na utrzymaniu trójkę dzieci i gospodarstwo. Jej mąż wyjechał

do Stanów i słuch o nim zaginął. Bronia, bo tak miała na imię, była wówczas w ciąży. Lekarz wykrył na USG poważne wady rozwojowe płodu. „Lepiej będzie i dla pani, i dla dziecka, jeśli dokona pani aborcji” - powiedział. Bronka na te słowa wstała, walnęła pięścią w stół i powiedziała: „Nigdy!”. Wiedziała, że będzie jej ciężko, ale się nie poddała. Zuzia żyła półtora roku. Był to najpiękniejszy, choć trudny czas w życiu Bronki i jej pozostałych dzieci. Chora dziewczynka mimo cierpienia była zawsze uśmiechnięta, co wywoływało uśmiech na twarzach rodzeństwa. Żyła krótko, ale żyła, istniała, czuła, że jest kochana. A kiedy nadszedł kres, Bronka pozwoliła jej odejść. Nie chciała terapii, która tylko przedłużyłaby jej cierpienie. „Na zawsze pozostanie w naszych sercach” - wyszeptała, kiedy Zuzia umarła. Spotkałam ją pół roku później. Do końca życia zapamiętam słowa które wówczas powiedziała: „Jestem wdzięczna niebiosom, że nie dałam sobie wmówić, że byłoby lepiej, gdyby moje chore dziecko nie przyszło na świat!”.

Z notatek N.

Dostrzegam coraz więcej aniołów na mojej drodze, trzepoczących, jasnych skrzydeł, ciepłych słów...

Dzisiaj rano Mateuszek miał wykonane jedynie podstawowe badania. Był bardzo dzielny, nawet nie zapłakał. Uśmiech me schodził mu z twarzy. Dla widoku jego roześmianej twarzyczki warto walczyć. Bawiłyśmy się z nim na zmianę. Do szpitala zaglądała też Julka. Mateuszek, zawsze gdy tylko ją widział, wyciągał do niej rączki. Nasze dzieciaki tuliły się do siebie, a potem wspólnie układały klocki. Wyszliśmy z Olą na korytarz.

- Wszystko okej? - spytałam. Była blada jak ściana.

- Boję się. Za każdym razem, kiedy tu jesteśmy, ogarnia mnie panika.

Podeszliśmy do okna. Ola usiadła na parapecie.

- To zrozumiałe.

- Emocje rozwalają mnie od środka, czuję bezradność i strach. Mówią nam, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mogą tego zagwarantować na sto procent.

- Niczego nie można być pewnym na sto procent.

- Nieprawda. - Spojrzała mi prosto w oczy. - Miłości jest się zawsze pewnym.

Nazajutrz dzień był mglisty. Świat wyglądał jak przysypany białą mąką. Mateusz miał kolejne badania - RTG, EKG, morfologię. Nawet nie pisnął przy ukłuciu, zacisnął tylko usteczka, by po wszystkim ładnie się uśmiechnąć do pielęgniarki. Ola położyła się koło niego, ostatni raz przed operacją. Chciała poczuć jego ciepłe ciało. Była tak zdenerwowana, że zahaczyła łokciem o stół i przewróciła butelkę z mlekiem.

- To nic - uspokoiłam ją.

Wytarłam rozlane mleko. Spojrzała na mnie z wdzięcznością. Objęła mocno Mateuszkę, a ja chwyciłam ją za rękę. Dwadzieścia po dziesiątej na salę wszedł uśmiechnięty anestezjolog. To już, zaraz. Zaczęłam się pocić, mimo iż w pomieszczeniu był przyjemny chłód.

- Cześć, szkrabie. Dobrze wyglądasz - lekarz zwrócił się do Mateuszki. Dziecko jakby wyczuwało, co go czeka. Spoglądało niepewnie, to na mnie, to na mamę.

- Czy będziemy mogli z nim zostać, dopóki nie zaśnie? - spytałam.

- Oczywiście. Obie? - Tak.

- Gdyby moja miłość mogła leczyć, już dawno byłbyś zdrowy... - szepnęła Ola do synka.

Trzymałyśmy Mateuszkę za jego pulchne rączki, podczas gdy lekarz z wielką precyzją i skupieniem wpuszczał płyn przez założony wcześniej wenflon. Ostatni pocałunek, ostatnie spojrzenie, ostatni uścisk. Już czas, dziecko wyruszyło na blok operacyjny. Ola dostała ataku hysterii. Na siłę musiałam odrywać ją od łóżka, na którym leżał Mateuszek.

- Już dobrze. - Przytuliłam ją i pogłaskałam po plecach. Drżała na całym ciele i powtarzała w kółko:

- Mój synek, mój kochany synek...

W końcu i ja się rozkleiłam. Nie potrafiłam być silna. Moje łzy spływały na jej włosy. Jej łzy wsiąkały w mój sweter.

Siedziałyśmy na korytarzu w niemym oczekiwaniu. Plastikowe krzesła były niewygodne. Powietrze gęstniało. Upiływające minuty dłużyły się w nieskończoność. Wydawało się, że czas jak na złość stanął w miejscu. Krew w żyłach wolniej krążyła, z emocji czułam ucisk w gardle. Nie mogłam złapać powietrza.

- Zaraz oszaleję - szepnęła Ola.

Wpatrywałam się bezustannie w drzwi sali operacyjnej. O czternastej operacja powinna się zakończyć. A tu cisza. Drzwi ani drgnęły. Napięcie rosło z każdą minutą. Ola się rozplakała, a ja nie wiedziałam, co mam robić.

- Siedź tu - powiedziałam. - Pójdę do pielęgniarki. Może będzie coś wiedziała.

Pielęgniarka kazała nam cierpliwie czekać. Czekać, czekać, czekać... Wzięłam głęboki oddech. Czułam, że nogi mi drżą. Weszłam do łazienki, obmyłam twarz lodowatą wodą. Już lepiej. Wróciłam do Oli.

- No i co? - spytała.

- Wszystko w porządku, tylko się przedłużyła - skłamałam. W jej oczach na nowo zakwitła nadzieja.

Uśmiech chirurga stojącego w progu bloku operacyjnego powiedział nam, że się udało. Ola zerwała się z krzesła i pobiegła w jego kierunku. A ja za nią.

- Operacja przebiegła prawidłowo. - Usłyszałyśmy upragnione słowa lekarza. Miałam ochotę rzucić mu się na szyję i go wycalować. Ola śmiała się głośno. Ten jej śmiech był jak słońce w pochmurny dzień, jak oaza na pustyni. To był śmiech ze szczęścia. Oznaczał wygraną.

Czekałyśmy jeszcze kilka chwil. I oto pojawił się nasz Mateuszek. Jego ciało było oplątane siecią rurek, pokłute, lekko sine. Przewieziono go na OIOM. Na szczęście, odtąd mogliśmy już być przy nim. Ola siedziała bez ruchu, wpatrzona w swojego dzielnego chłopca. Po policzkach ciurkiem płynęły jej łzy.

- Udało się - powtarzała do siebie, do mnie, do Mateuszka.

Patrzyłam na nią i rozumiałam, że moje dotychczasowe problemy były niczym w obliczu jej problemów. Jestem zdrowa, moje dziecko jest zdrowe, do niedawna miałam męża. Może między nami nie było kolorowo, ale na swój sposób byliśmy szczęśliwi. Tyle razy wydawało mi się, że moje kłopoty, smutki są największe na świecie, że jest tak źle, że gorzej być nie może. Bzdura! Inni mają większe problemy i żyją, walczą o każdy dzień. Śmieją się w oczy nieszczęściom, które na nich spadają. A gdybym jeszcze raz miała przeżyć życie, czy coś bym zmieniła? Chyba nie. Może tylko bardziej zawalczyłabym o siebie.

Przeczytałam kiedyś historię osiemdziesięcioletniej kobiety, Nadine Stair, która powiedziała: *Gdybym miała przeżyć życie jeszcze raz, odważyłabym się popełnić więcej błędów. Odprężyłabym się, rozluźniła. Byłabym głupsza niż w czasie tej podróży. Mniej rzeczy brałabym na poważnie. Wykorzystałabym więcej szans, pojechała na więcej wycieczek, wspięła się na więcej gór i przepłynęła więcej rzek. Jadłabym więcej lodów i mniej fasolki. Miałabym pewnie więcej prawdziwych problemów, ale za to mniej zmyślonych. (...) Częściej chodziłabym na tańce, częściej jeździła na karuzeli i zbierała więcej stokrotek. Mam nadzieję, że jeszcze trochę przede mną tego życia i uda mi się nadrobić stracony czas.*

Mateuszek spał spokojnie, podłączony do respiratora. Zdawało mi się, że na jego twarzy maluje się delikatny uśmiech. To pewnie złudzenie, a może jednak nie?

Leczenie pooperacyjne przebiegało bez powikłań i już po dwóch tygodniach Ola wróciła z dzieckiem do domu.

Rozdział 27

Świat oszalał

To początek końca świata. Małgosia zaczęła gotować, piec, marynować. Wszystkiego chciała się nauczyć w ciągu kilku dni.

- Zwariowałaś - powiedziałam, widząc ją w kuchni, obsypaną mąką. Wokół był straszny bałagan.

- Piekę murzynka. - Wypięła dumnie pierś.

- A twoje tipsy, makijaż, włosy?

- Mam to gdzieś. Jestem przecież kobietą. A kobiety gotują.

- To prawda! - Wybuchnęłam śmiechem.

- Napijesz się wina? Skinęłam głową.

- To sobie nalej, widzisz, że mam pełne ręce roboty.

- Widzę.

Parsknęłyśmy śmiechem.

- Mnie też możesz nalać.

- Przecież wiem.

Gosia uniosła do góry kieliszek.

- Za co pijemy?

- Za terażniejszość. Przeszłość bywała niebezpieczna... Na szczęście jest już za nami. - Puściła do mnie oko.

Kiedy ciasto było już gotowe, rzuciłyśmy się na nie.

- Udało ci się - pochwaliłam przyjaciółkę.

- Prawda, że pyszne? -Mhm...

- Całą buzię masz umazaną czekoladą. Jak dziecko.

- Na starość człowiek dziecinnieje.

Poszłam do łazienki umyć twarz i przy okazji stanęłam na wadze.

- Gośka! - krzyknęłam. -No?

- Z twoją wagą jest coś nie tak.

- A co, nie działa?

- Działa, ale dodaje kilogramów.

- Hmm. - Małgosia stanęła w progu. - Może postaw ją na płytkach?

Zdjęłam wagę z chodniczka i postawiłam na posadzce.

- Jest jeszcze gorzej. - Spojrzałam na wskazówkę. - To wolę już na chodniczku.

- Ty przecież masz wagę w domu.

- Ona też dodaje kilogramów. -Aha...

Wybuchnęliśmy śmiechem.

Dzisiaj od pana z ekipy remontowej usłyszałam, że mam jaja. Miałam ochotę go wyściskać. To najpiękniejszy komplement, jaki ostatnio usłyszałam od faceta. Mam jaja! A wszystko dlatego, że opieprzyłam panów, którzy zamiast pracować, wylegiwali się na słoneczku, odpalając jednego papierosa od drugiego. Rozumiem, że przerwa się człowiekowi należy, ale jeśli ta przerwa trwa ponad dwie godziny, to już przesada. Wkroczyłam do akcji i porozstawiałam ich po kątach. Panowie chwycili za pędzle oraz szpachle i ruszyli do boju. A ja z uśmiechem na twarzy zamknęłam się w łazience i zaczęłam rozmyślać o tym, kim się stałam. Niezależną kobietą, która spełnia swoje marzenia. Ma wspaniałą córkę i przyszywanego synka, bo tak myślę o Mateuszku. Stałam się silniejsza i odważniejsza. Przez to, że dostałam od życia porządnego kopa, teraz wiem, że nic mnie nie złamie. Przemiełiałam życie przez maszynkę i wyszło całkiem fajnie. Ile jest, ile było takich kobiet... Coraz więcej, i chwała nam za to. Bywały dni, że miałam ochotę na seks. Ignorowa-

łam te swoje potrzeby. Zimny prysznic i po sprawie. Nie miałam ochoty na kolejny związek - ani teraz, ani w bliżej nieokreślonej przyszłości. Tak było mi dobrze. Za stara byłam, by przygarniać pod dach jakiegoś faceta. Zresztą, w moim wieku wszyscy byli żonaci albo po rozwodzie. A ja nie chciałam rozwodnika. Po prostu nie, i już.

Rozdział 28

Spotkałam anioła

- Jesteś aniołem - powiedziała do mnie któregoś dnia Ola, a ja uśmiechnęłam się pod nosem.

- Nie jestem. Anioły są dobre.

- Ty jesteś dobrym człowiekiem. Dlaczego mi pomogłaś?

- W pewnym momencie poczułam, że muszę. Byłam w szpitalu, zobaczyłam chore dziecko i jego mamę - coś we mnie pękło. Choć było to dla mnie trudne, wiedziałam, że chcę wam pomóc. - Podeszłam do okna i otworzyłam je na oścież. Powoli wdychałam rześkie powietrze. Delektowałam się nim. - Mnie też ktoś kiedyś w życiu bardzo pomógł.

- Kto? - Ola sprawnie zmieniała Mateuszkowi zasikaną pieluchę. Chociaż miał już dwa latka, nie chciał siadać na nocnik.

- Anioł. Pojawił się w moim życiu, kiedy najbardziej go potrzebowałam. Zleciał prosto z nieba, zatrzepotał skrzydłami i obudził do życia. On wierzył za mnie, we mnie, ze mną. Nie mówił, jak mam postąpić, jaką podjąć decyzję, czy zrobić to tak, a tamto inaczej. Po prostu był. Dzięki niemu przewróciłam swoje życie do góry nogami. Wyszło mi to na zdrowie. A kiedy się od niego uzależniłam, po prostu zniknął.

- Może wiedział, że już go nie potrzebujesz?

- Może.

- Czy to był mężczyzna? - zapytała Ola.

- Już mówiłam - anioł.

Zmarszczyła zabawnie nos. Nie wierzyła mi.

W ostatniej chwili wbiegłam do nocnego autobusu. Drzwi przytrzasnęły mi torebkę. Zaczęłam ją ciągnąć z całej siły. Urwałam pasek. Świetnie. W końcu udało mi się ją wyszarpnąć z potrzasku. W autobusie zionęło alkoholem. Młodzież wracała z nocnych imprez. Patrzyłam na parę, która namiętnie się całowała. „Też bym tak chciała - pomyślałam bez cienia zazdrości. - Nawet tu i teraz”. Byłam śpiąca i zmęczona. Ola namawiała mnie, żebym została u niej na noc. Nie chciałam. Nie lubię spać w cudzym łóżku, nigdy się nie wysypiam. Budzę się co chwilę i odliczam minuty do świtu, aby wreszcie zakończyć tę męczarnię.

W domu zdjęłam buty, dżinsy i t-shirt, włożyłam piżamę. Włączyłam film. Powieki mi ciążyły, ale fabuła mnie wciągnęła. Czytelny przekaz, prosta forma i niebanalna treść. Od dawna marzyłam, żeby obejrzeć *Rzym, miasto otwarte* Rosselliniego, ale jakoś brakowało mi czasu i chęci. A teraz... teraz robiłam dużo rzeczy, na które miałam ochotę.

Popłakałam się, film mnie poruszył. Jego kwintesencją jest prawda o człowieku. O tym, że potrafi być równie dobry, jak i zły. O demonach ukrytych w każdym z nas. Surowy obraz podkreśla serię ludzkich dramatów. Kiedy film się skończył, była już czwarta nad ranem. Cieszyłam się w duchu, że zrobiłam to, na co miałam ochotę. Zauważyłam ostatnio, że szanuję swój czas. Szkoda mi życia na słabe filmy, kiepskie książki i obłudnych ludzi. Żal mi czasu na nieobiecujące znajomości, kiepskie wino i lurowatą kawę.

Rozdział 29

Przedszkole

Za oknem prószył śnieg, malując świat na białe. Pokrywał dachy kamienic śnieżną czapą. Niebo nabrało koloru głębokiego grafitu. Z radia płynęły kolędy. Przytuliłam się do ciepłego kaloryfera. Byłam senna. Nagle zadzwonił telefon.

- Możesz do mnie dzisiaj wpaść? - spytała Ola.
- Coś się stało? - zaniepokoiłam się.
- Muszę z tobą pogadać, bo zaraz zwariuję. Spojrzałam na zegarek.
- Będę za pół godziny.
- Dobrze.

Wpadłam do niej zziębnięta. Zobaczyłam, że ma zapuchnięte oczy od płaczu.

- Mateuszek? - spytałam przerażona. Pokręciła głową.
- Bawi się w swoim pokoiku.
- Co się stało? - Nic nie rozumiałam.
- Rozbierz się, a ja zaparzę herbatę. Z cytryną?
- Tak.
- Dzisiaj rozpoczęłam poszukiwania przedszkola dla Mate-uszka.
- Tak, wiem. - Wsypałam do filiżanki dwie łyżeczki cukru.
- Myślałam, że spotkanie z rówieśnikami dobrze na niego wpłynie.
- 1? - Kręciłam się niecierpliwie na krześle.

- Najpierw odwiedziliśmy przedszkole na Kwiatowej. Mateuszek bawił się z dziećmi. Nawet nie wiesz, jaki był szczęśliwy wśród rówieśników. Ja tymczasem rozmawiałam z dyrektorką. Wszystko było dobrze, póki nie wspomniałam jej o wadzie serduszka. Wtedy spochmurniała i odpowiedziała jednym słowem: „Nie”. „Dlaczego?” - zapytałam. A ona na to: „To chore dziecko. W tym przedszkolu są tylko zdrowe dzieci”. Aż mną zatrzęsło. „Ale Mateuszek...” - próbowałam z nią rozmawiać. „Nie!” - ucięła dyskusję. Drugie przedszkole. Jakże byłam nim zachwycona. Na drzwiach do Krasnali napis: „Chcemy, aby twoje dziecko czuło się u nas jak w domu”. Uśmiechnięte wychowawczynie, kolorowe ściany, drewniane zabawki, rozbrykane dzieci. „Tak, to odpowiednie miejsce dla mojego Mateuszka” - pomyślałam z nadzieją. Spotkała mnie jednak kolejna odmowa. Próbowałam się dowiedzieć dlaczego. „Dla takich dzieci są specjalne przedszkola”. „Ale Mateuszek nie jest upośledzony”. Odpowiedzią był wzrok nieznoszący sprzeciwu. Moje nadzieje roztrzaskały się w drobny pył.

Otarła łzy z policzka.

- Chcę dla Mateuszka normalności - szepnęła.

- Wiem. Znajdziemy dla niego przedszkole. Już ja tego dopilnuję! Obiecuję ci.

Po dwóch miesiącach poszukiwań trafiłam w końcu na wrażliwą, mądrą panią dyrektor, która powiedziała: „TAK”. Upragnione słowo. Przepustka do normalnego świata. Gdzie nie ma podziału na tych gorszych, po przebytej chorobie, i tych lepszych, bo zdrowych.

Rozdział 30

Miłość łatwo pokonać

- Dlaczego z nim zerwałaś? - W końcu zdobyłam się na odwagę i spytałam Gosię o to, dlaczego rozstała się z Danielem. Oczywiście, nie zamierzałam wspominać o spotkaniu z jej dawnym kochankiem. Po co? Nie chciałam jej ranić, a zresztą obiecałam mu, że będę milczeć.

- Już ci mówiłam, to on odszedł. - Nawet na mnie nie spojrziała. Odkręciła kran i naląła wody do umywalki. Po chwili wlała kilka kropli płynu do prania. Zaczęła prać zabrudzoną winem bluzkę.

- Gośka, ja wiem. Nie pytaj skąd, może po prostu znam cię zbyt dobrze i wiem, że nie powiedziałaś mi prawdy.

Wypuściła bluzkę z rąk. Zgarbiła się, a raczej skuliła.

- Bo go kochałam.

- Przecież nie wierzysz w miłość.

- Wierzę. To, co mówię, to taka zasłona dymna. Chyba nie wierzę w związki. Boję się z kimś być. Z kim mogłabym być szczęśliwa. Udaję silną i taką, co ma jaja i wszystko olewa, ale tam, w środku... - wskazała na serce - ..jestem kruchą kobietką, która potrzebuje miłości. Bałam się, tej różnicy wieku, tego, że za kilka lat cała się pomarszczę i obwiśnie mi tu i tam, a on znajdzie sobie młodszą. Wyobrażasz sobie reakcję jego rodziców? Byliby naszymi największymi wrogami. I wcale bym się im nie dziwiła. Ja też byłabym wściekła, gdybym miała syna, a on związałby się z babą dwadzieścia lat starszą. A otoczenie? Byłam kiedyś z Danielem w kawiarni, kelnerka patrzyła na niego zachłannie. Przyjęła ode mnie zamówienie, a potem zapytała: „A co dla syna?”.

Wiesz, jak to cholernie boli? Co by nas czekało? Ostracyzm, obmawianie, wytykanie palcami, złośliwe uśmiešky... To może zatruć nawet najpiękniejsze uczucie. Poza tym on miał swoje plany, marzenia, imprezy, swoją wolność.

- Cały świat przeciwko wam, ale wy mieliście siebie.

- Czy ja wiem? Jemu się wydawało, że jestem całym jego światem i że miłość trwa wiecznie. Był zwyczajnie niedojrzały. Nieprzygotowany do życia.

- Nie wiadomo, czy to niedojrzałość - powiedziałam. - A jeśli to była prawdziwa miłość?

- Tego nie wiem... Nałożę ci ciasta. - Podeszła do lodówki i wyjęła z niej sernik na zimno. Wyglądał apetycznie. - Galaretka jeszcze nie zastygła.

Potrząsnęła gwałtownie głową. Włos spadł na talerzyk z ciastem. Wyrzuciła całą porcję do śmietnika i ukroiła nową.

- A miłość? Gosia, a co z miłością?

- Wiesz, Natalia, kiedyś myślałam, że miłość wszystko zwycięży. To było dawno temu. Teraz mam czterdzieści lat i wiem, że miłość łatwo pokonać.

Zakończenie

Od śmierci Wiktora minęły już trzy lata. Chwilami nadal byłam na niego zła za to, co mi zrobił. Innym razem nurtowało mnie pytanie, czy nie byłam współwinna tego, co się stało. Nigdy nie przestałam myśleć o Nieznajomym. Do tej pory zastanawiam się, czy on istniał, czy był wytworem mojej chorej wyobraźni. Wciąż porównywałam Wiktora do fikcyjnej postaci, która zamieszkała w moim sercu i zawładnęła moją duszą. Kiedy kochałam się z mężem, kiedy trzymał mnie w ramionach, podskórnie czułam, że to nie to. Nie ten dotyk, nie te usta, nie te szepty. Wiecznie tęskniłam za kimś, za czymś, czego nie miałam. Miałam nadzieję, że te uczucia miną, jednak one wciąż były żywe... Fakt, pod koniec życia Wiktora było nam ze sobą naprawdę dobrze. Tylko co by było, gdyby on żył, a ja dowiedziałabym się o Mateuszku? Czy wtedy bym się z nim rozwiodła, czy wybaczyłabym zdradę? Czy poznałabym Olę i jej synka? Te pytania pozostaną bez odpowiedzi. Może faktycznie wszystko w życiu dzieje się po coś, nawet te złe rzeczy?

Ola z synkiem często mnie odwiedzają. Mateuszek wprowadza chaos do mojego mieszkania. Biega, skacze, rozwala zabawki, rysuje dla mnie obrazki, które potem wieszam na ścianach. Jest wesołym dzieckiem, tryska energią. Tak bardzo się cieszę, że mogłam mu pomóc. To straszne, co teraz powiem, ale gdyby nie śmierć Wiktora, byłabym innym człowiekiem. Żyłabym na pół gwizdka. A w życiu trzeba dostrzec głębię. Trzeba w nie wskoczyć i zanurkować.

Julka poznała fajnego chłopaka, Bartka. Starszego od niej o dwa lata. To z nim przeżyła swój pierwszy raz. Powiedziała

mi o tym, mimo mojego skrępowania. Jesteśmy ze sobą bardzo blisko. Oczywiście, kłócimy się, ale potem szybko godzimy. Już nie ma między nami cichych dni. W tym roku Julka wybiera się na studia. Zdecydowała się na zoologię. Nadal pracuje w schronisku, gdzie oddaje swoje serce pokrzywdzonym zwierzętom.

Małgosia spotyka się z przystojnym mężczyzną w średnim wieku, rozwiedzionym, wykształconym, z szerokimi horyzontami i niebanalnym poczuciem humoru. Czy można chcieć czegoś więcej? W dodatku od początku był w nią wpatrzony jak w obrazek. Na drugiej randce zaprosiła go do siebie i poszli do łóżka. „To tylko na chwilę” - mówi. Wciąż jest piękna i szczupła. Czyli cała Gosia.

Siedzimy z Małgosią w kawiarni i pijemy kawę. To ta sama kawiarnia, do której przychodziłam z Nieznajomym w moich snach. Zajmujemy stolik przy oknie, obydwie lubimy obserwować przechodniów. Nagle widzę go. Czy to sen? Szczypię się z całej siły w rękę. Nie, to nie sen. Za oknem stoi on - Nieznajomy, niczym zjawą, anioł w całej okazałości. Uśmiecha się do mnie. Wybiegam z kawiarni, Małgosia za mną. Rozglądam się dookoła. Jest, po drugiej stronie ulicy. Przebiegam i... Pisk opon, w jednej chwili czuję niewyobrażalny ból, moje ciało szybuje nad ziemią. W ustach czuję metaliczny posmak krwi. Umieram? Boże, nie teraz, kiedy jestem tak bardzo szczęśliwa. A może żaden moment nie jest dobry na śmierć? Będę z nim. Moje usta zamierają w uśmiechu... A jeśli to tylko sen?

- Natalia! Natalia! Natalia! - słyszę wołanie.